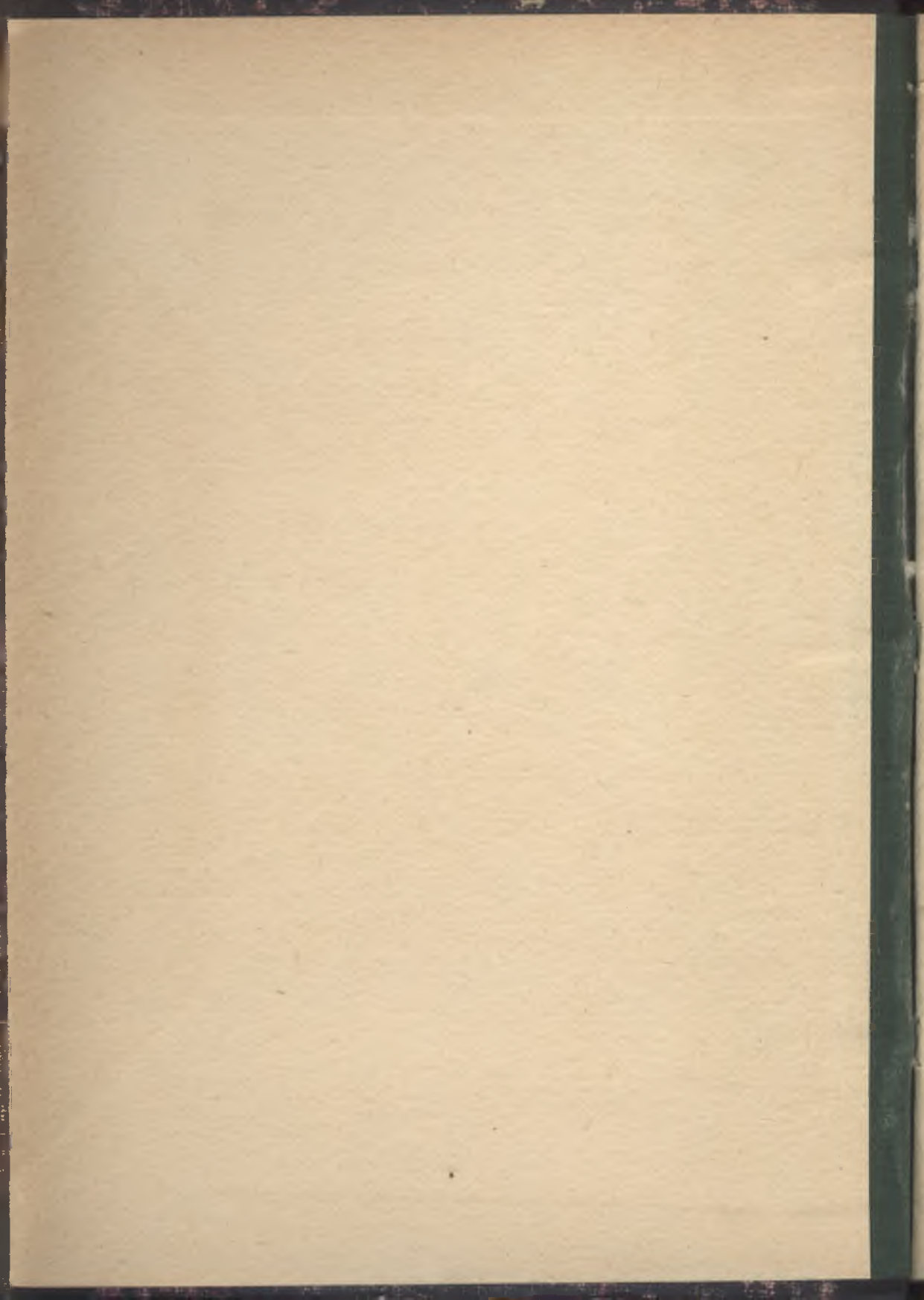
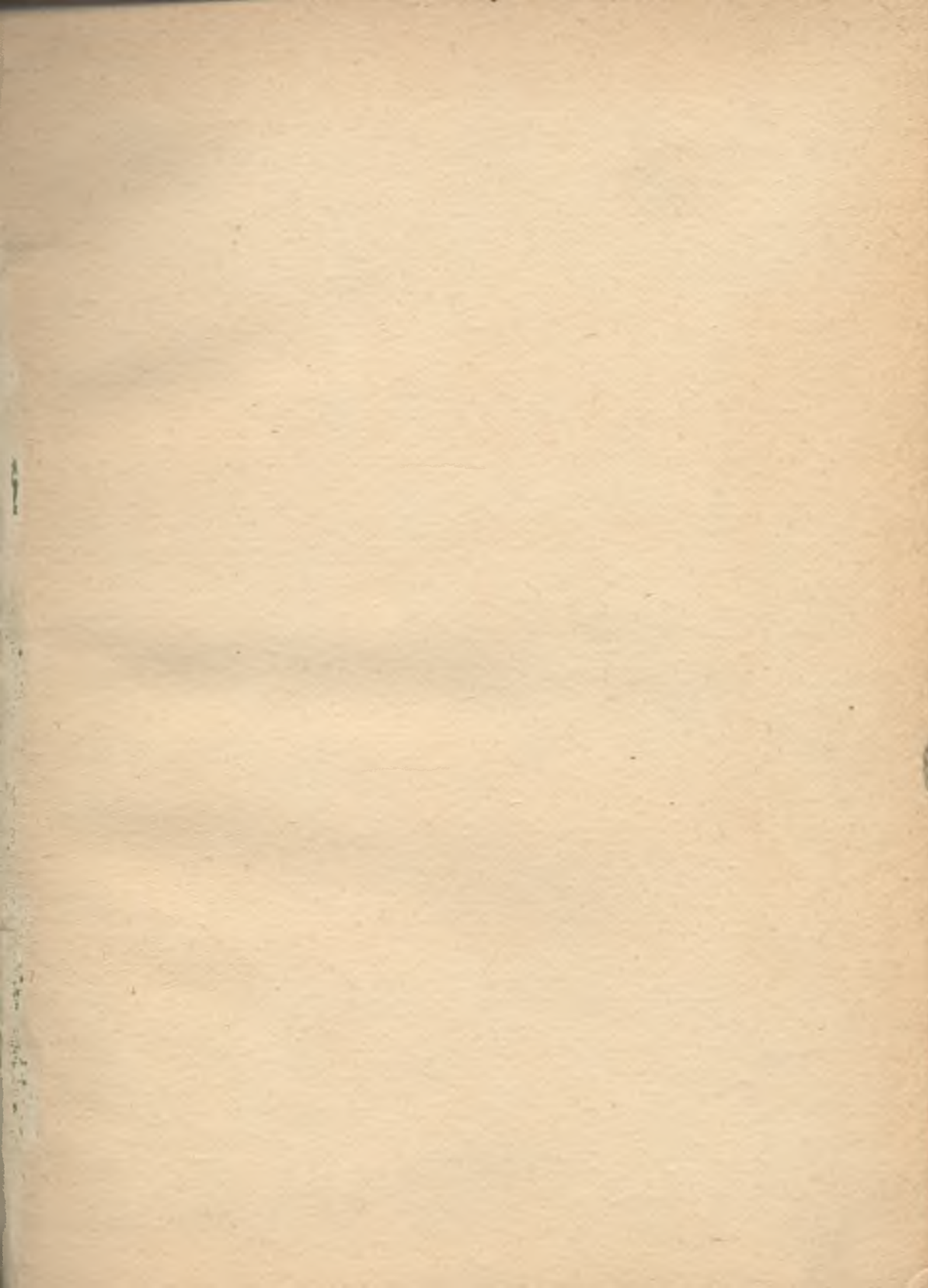










C.002368 II

S-2. 378177
18 VI

PZKO

KALENDARZ

Zwycięstwo

1957



KALENDARZ » ZWROTU «

NA ROK

1957

ROCZNIK IV

WYDAWCA

POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W CZECHOSŁOWACJI
Zarząd Główny PZKO - Czeski Cieszyń, ul. Gottwalda 18



Darował
Ludwik Brożek
Kierownik Muzeum



W podziemiach największej kopalni na Śląsku czechosłowackim, którą jest kopalnia im. Armii Czechosłowackiej w Karwinie.

1957

Rok 1957 jest rokiem zwyczajnym o 365 dniach

Cztery pory roku

Wiosna astronomiczna rozpoczyna się w roku 1957 dnia 20 marca o godz. 22 czasu środkowo-europejskiego, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Barana. — Wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Lato astronomiczne rozpoczyna się dnia 21 czerwca o godzinie 17, w momencie gdy słońce wstępuje w znak Raka. — Solsticjum letnie. — Najdłuższy dzień, najkrótsza noc. —

Jesień astronomiczna rozpoczyna się dnia 23 września o godzinie 8, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Wagi. — Jesienne zrównanie dnia z nocą. —

Zima astronomiczna rozpoczyna się dnia 22 grudnia o godzinie 4, w momencie, gdy słońce wstępuje w znak Koziorożca. — Solsticjum zimowe. — Najkrótszy dzień, najdłuższa noc.

Zaćmienia słońca i księżyca

W roku 1957 będą miały miejsce 4 zaćmienia: dwa zaćmienia słońca i dwa księżyca. Dwa z tych zaćmień będą widoczne na Śląsku.

I. 29/30 kwietnia wypada pierścieniowe zaćmienie słońca na Śląsku niewidzialne. Będzie ono widoczne w północno-wschodniej Azji, w okolicach Bieguna Północnego, na północnym Pacyfiku oraz w zachodniej części Ameryki Północnej.

II. 13/14 maja będzie miało miejsce całkowite zaćmienie księżyca widoczne na Śląsku. Poza tym będzie ono widzialne w Europie, w Azji, w Australii, na Oceanie Indyjskim, w Afryce, na Oceanie Atlantyckim, w Południowej Ameryce oraz we wschodnich częściach Ameryki Północnej. Wejście księżyca do półcienia nastąpi 13 maja o godz. 20, min. 41,9, do cienia o godz. 21, min. 44,8; środek zaćmienia przypada na godz. 23, min. 30,9, wyjście księżyca z cienia 14 maja o godz. 1, min. 17,0, a wyjście z półcienia o godz. 2, min. 20,0. Wielkość zaćmienia wyraża się liczbą 1,304, gdy za jednostkę przyjmiemy średnicę tarczy księżyca.

III. 23 października wypada całkowite zaćmienie słońca na Śląsku niewidzialne. Będzie ono widoczne w Antarktydzie, na Oceanie Indyjskim oraz w Afryce Południowej.

IV. 7 listopada będzie miało miejsce całkowite zaćmienie księżyca widoczne częściowo na Śląsku. Poza tym będzie ono widzialne we Wschodniej Europie, w Azji, w Australii, na Oceanie Indyjskim, na Pacyfiku i w zachodniej części Ameryki Północnej. Na Śląsku Cieszyńskim wszędzie księżyc w dniu 7 listopada o godz. 16, min. 10 już zaćmiony i to po okresie całkowitości; wyjście księżyca z cienia nastąpi o godz. 17, min. 10,5, a wyjście z półcienia o godz. 18, min. 23,2. Wielkość zaćmienia wyraża się liczbą 1,035, gdy za jednostkę przyjmiemy średnicę tarczy księżyca.

Wszystkie podane wyżej momenty liczone są w czasie środkowo-europejskim.

Dwanaście znaków niebieskich

Znaki wiosenne	Znaki letnie	Znaki jesienne	Znaki zimowe
 Baran	 Rak	 Waga	 Koziorożec
 Byk	 Lew	 Niedźw.	 Wodnik
 Bliźnięta	 Panna	 Strzelec	 Ryby

Podane w kalendarium dla każdego dnia znaki niebieskie oznaczają tę część Zwierzyńca Niebieskiego, w której znajduje się księżyc w południe grenwich'skie, tj. o godzinie 13 czasu środkowo-europejskiego danego dnia.

Wschody i zachody słońca i księżyca

W niniejszym Kalendarzu „Zwrotu” zostały momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca obliczone ściśle z ważnością dla Śląska Cieszyńskiego. Momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca podane są w czasie urzędowym, tj. w czasie środkowo-europejskim.

ROK ŻYDOWSKI 5718 rozpocznie się dnia 26 września 1957.

ROK MAHOMETAŃSKI 1377 rozpocznie się dnia 29 lipca 1957.

Danych astronomicznych dostarczył do Kalendarza prof. dr **Karol Koziel**.



Dnia		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nieb.	Księżyc	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	W	Nowy Rok	Nowy Rok	7 ⁴⁴	15 ⁵⁴	☾	7 ³⁴	16 ³⁹
2	Ś	Makarego	Abla i Seta	7 ⁴⁴	15 ⁵⁵	☾	8 ⁰⁷	17 ⁴¹
3	Cz	Genowefy	Enocha	7 ⁴⁴	15 ⁵⁶	☾	8 ³⁵	18 ⁴⁴
4	P	Tytusa b.	Izabeli	7 ⁴³	15 ⁵⁷	☾	8 ⁵⁹	19 ⁴⁷
5	S	Telesfora	Szymona	7 ⁴³	15 ⁵⁸	☾	9 ²¹	20 ⁵⁰
6	N	Trzech Króli	Epifanii	7 ⁴³	15 ⁵⁹	☾	9 ⁴¹	21 ⁵⁴
7	P	Juliana	Izydora	7 ⁴³	16 ⁰⁰	☾	10 ⁰²	22 ⁵⁸
8	W	Seweryna	Bogdana	7 ⁴²	16 ⁰¹	☾	10 ¹³	—
9	Ś	Antoniego m.	Marcjanny	7 ⁴²	16 ⁰³	☾	10 ⁴⁷	0 ⁰⁴
10	Cz	Jana Dobr.	Pawła ap.	7 ⁴¹	16 ⁰⁴	☾	11 ¹⁴	1 ¹¹
11	P	Aleksandra	Magdaleny	7 ⁴¹	16 ⁰⁵	☾	11 ⁴⁸	2 ³⁰
12	S	Ernesta	Czesława	7 ⁴⁰	16 ⁰⁷	☾	12 ²³	3 ³⁰
13	N	1 po 3 Kr. Wer.	1 po Ep. Hil.	7 ⁴⁰	16 ⁰⁸	☾	13 ²²	4 ³⁶
14	P	Hilarego	Feliksa	7 ³⁹	16 ¹⁰	☾	14 ²⁶	5 ³⁷
15	W	Pawła ap.	Dąbrowki	7 ³⁸	16 ¹¹	☾	15 ⁴⁰	6 ³⁹
16	Ś	Marcelego	Włodzimierza	7 ³⁸	16 ¹³	☾	17 ⁰¹	7 ¹³
17	Cz	Antoniego op.	Antoniego	7 ³⁷	16 ¹⁴	☾	18 ²⁵	7 ⁴⁹
18	P	Katedry św. Piotra	Pryski	7 ³⁶	16 ¹⁶	☾	19 ⁴⁷	8 ³⁰
19	S	Henryka	Erwina	7 ³⁵	16 ¹⁷	☾	21 ⁰⁸	8 ⁴⁷
20	N	2 po 3 Kr. F. i S.	2 po Ep. F. i S.	7 ³⁴	16 ¹⁹	☾	22 ²⁶	9 ¹⁴
21	P	Zgon W. I. Lenina	Zgon W. I. Lenina	7 ³³	16 ²⁰	☾	23 ⁴²	9 ⁴⁰
22	W	Wincentego	Wincentego	7 ³²	16 ²²	☾	—	10 ⁰⁷
23	Ś	Zaśl. N. M. P.	Janusza	7 ³¹	16 ²³	☾	0 ⁵⁴	10 ³⁸
24	Cz	Tymoteusza	Tymoteusza	7 ³⁰	16 ²⁵	☾	2 ⁰³	11 ¹³
25	P	Nawr. św. Pawła	Nawr. św. Pawła	7 ²⁹	16 ²⁷	☾	3 ⁰⁶	11 ⁵⁴
26	S	Polikarpa	Polikarpa	7 ²⁸	16 ²⁸	☾	4 ⁰³	12 ⁴¹
27	N	3 po 3 Kr. J. Chr.	3 po Ep. J. Zł.	7 ²⁶	16 ³⁰	☾	4 ⁵²	13 ³⁴
28	P	Karola W.	Karola W.	7 ²⁵	16 ³²	☾	5 ³⁴	14 ³²
29	W	Franciszka S.	Waleriana	7 ²⁴	16 ³³	☾	6 ⁰⁹	15 ³²
30	Ś	Martyny	Martyny	7 ²³	16 ³⁵	☾	6 ³⁸	16 ³⁵
31	Cz	Piotra z N.	Ludwika	7 ²¹	16 ³⁷	☾	7 ⁰⁴	17 ³⁸

FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 1-go o godz. 3, min. 13. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 9-go o godz. 8, min. 6. — Pełnia ☽ dnia 16-go o godz. 7, min. 21. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 22-go o godz. 22, min. 48. — Nów ● dnia 30-go o godz. 22, min. 24.

Dnia przybywa o 1 godzinę 6 minut.





Budowa pierwszego domu dla górników w Czeskim Cieszynie. Zdjęcie dokonane w porze nocnej

-
- 5 stycznia 81 rocznica urodzin Wilhelma Piecka, prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej
- 15 stycznia Dzień Czechosłowackiej Artylerii
- 38 rocznica zamordowania Karola Liebknechta i Róży Luxemburg
- 21 stycznia 33 rocznica śmierci Włodzimierza Iljicza Lenina (1924)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Ignacego	Wandy	7 ²⁰	16 ³⁸	♈	7 ²⁷	18 ⁴¹
2	S	N. M. P. Gromn.	Oczyszcz. P. M.	7 ¹⁸	16 ⁴⁰	♉	7 ⁴⁸	19 ⁴⁴
3	N	4 po 3 Kr. Bl.	4 po Ep. Bl.	7 ¹⁷	16 ⁴²	♊	8 ⁰⁸	20 ⁴⁸
4	P	Andrzeja Kors.	Weroniki	7 ¹⁵	16 ⁴⁴	♋	8 ²⁹	21 ⁵³
5	W	Agaty p. m.	Agaty	7 ¹⁴	16 ⁴⁵	♌	8 ³⁸	22 ⁵⁸
6	Ś	Doroty	Doroty	7 ¹²	16 ⁴⁷	♍	9 ¹⁷	—
7	Cz	Romualda op.	Ryszarda	7 ¹¹	16 ⁴⁹	♎	9 ⁴⁷	0 ⁰⁵
8	P	Jana z M.	Salomona	7 ⁰⁹	16 ⁵⁰	♏	10 ²⁴	1 ¹²
9	S	Apolonii p. m.	Apolonii	7 ⁰⁷	16 ⁵²	♐	11 ⁰⁸	2 ¹⁷
10	N	5 po 3 Kr. Sch.	5 po Ep. R.	7 ⁰⁶	16 ⁵⁴	♑	12 ⁰⁵	3 ¹⁹
11	P	Eufrozyny	Eufrozyny	7 ⁰⁴	16 ⁵⁶	♒	13 ¹²	4 ¹⁴
12	W	Grzegorza p.	Eulalii	7 ⁰²	16 ⁵⁷	♓	14 ²⁸	5 ⁰¹
13	Ś	Katarzyny	Kastora	7 ⁰¹	16 ⁵⁹	♈	15 ⁵⁰	5 ⁴¹
14	Cz	Walentego	Walentego	6 ⁵⁹	17 ⁰¹	♉	17 ¹⁴	6 ¹⁶
15	P	Faustyna	Faustyna	6 ⁵⁷	17 ⁰³	♊	18 ³⁸	6 ⁴⁶
16	S	Julianny	Julianny	6 ⁵⁵	17 ⁰⁴	♋	20 ⁰⁰	7 ¹³
17	N	Starozap. K.	Starozap. K.	6 ⁵³	17 ⁰⁶	♌	21 ¹⁹	7 ⁴⁰
18	P	Symeona b. w.	Zuzanny	6 ⁵¹	17 ⁰⁸	♍	22 ³⁶	8 ⁰⁹
19	W	Konrada w.	Konrada	6 ⁴⁹	17 ⁰⁹	♎	23 ⁴	8 ³⁹
20	Ś	Leona	Euchariusza	6 ⁴⁸	17 ¹¹	♏	—	9 ¹⁴
21	Cz	Feliksa	Eleonory	6 ⁴⁶	17 ¹³	♐	0 ⁵⁶	9 ⁵²
22	P	Eleonory	Małgorzaty	6 ⁴⁴	17 ¹⁵	♑	1 ⁵⁶	10 ⁵⁹
23	S	Macieja ap.	Seweryna	6 ⁴²	17 ¹⁶	♒	2 ⁴⁸	11 ³⁰
24	N	Mięsopust. Fl.	Mięsopust. M.	6 ⁴⁰	17 ¹⁸	♓	3 ³³	12 ²⁶
25	P	Zwycięstwo czechostowackiego ludu pracują- cego — Pamiętny dzień ČSR		6 ³⁸	17 ²⁰	♈	4 ¹⁰	13 ²⁶
26	W	Bogusława	Bogusława	6 ³⁶	17 ²¹	♉	4 ⁴¹	14 ²⁷
27	Ś	Anastazji	Gabriela	6 ³⁴	17 ²³	♊	5 ⁰⁸	15 ³⁰
28	Cz	Romana	Romana	6 ³²	17 ²⁵	♋	5 ³²	16 ³³



FAZY KSIĘŻYCA:

Pierwsza kwadra ☾ dnia 8-go o godz. 0, min. 23. — Pełnia ☾ dnia 14-go o godz. 17, min. 38. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 21-go o godz. 13, min. 18.

Dnia przybywa o 1 godzinę 35 minut.



Przy licznych zakładach pracy na Śląsku czechosłowackim istnieją tzw. kluby zakładowe, w których ogólny poczet członków podzielony jest na tzw. kółka zainteresowań. Zadaniem zaś kółek zainteresowań — to m. i. krzewienie oświaty i kultury, pobudzanie własnych zdolności twórczych. Z najbardziej ruchliwych na Śląsku czechosłowackim jest Klub Zakładowy Huty w Trzyńcu, który posiadał przeszło 20 różnych „kółek zainteresowań”, w których, poza swą pracą zawodową, działają ofiarnie hutnicy obydwóch narodowości.

23 lutego Dzień Armii Radzieckiej i radzieckich sił morskich
 25 lutego 9 rocznica zwycięstwa czechosłowackiego ludu pracującego — Pamiętny dzień
 Czeskiej

Marzec

3. III.
1953
14. III.

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Antoniny m. ●	Albina ●	6 ³	17 ²⁶	♈	5 ⁵⁴	17 ³⁶
2	S	Heleny	Ludwika	6 ²⁸	17 ²⁸ *	♈	6 ¹⁵	18 ⁴⁰
3	N	Zapustna K.	Zapustna K.	6 ²⁶	17 ²⁹	♈	6 ³⁶	19 ⁴⁴
4	P	Kazimierza kr.	Kazimierza	6 ²⁴	17 ³¹	♈	6 ⁵⁸	20 ⁴⁹
5	W	Euzebiusza	Fryderyka	6 ²²	17 ³³	♈	7 ²³	21 ⁵⁶
6	Ś	Popielec	Mariana	6 ¹⁹	17 ³⁴	♈	7 ⁵²	23 ⁰²
7	Cz	Tomasza z Akw.	Felicji	6 ¹⁷	17 ³⁶	♈	8 ²⁵	—
8	P	Międzynarodowy Dzień Kobiet	Kobiet	6 ¹⁵	17 ³⁸	♈	9 ⁰⁶	0 ⁰⁶
9	S	Franciszki w. ☾	Prudentego ☾	6 ¹³	17 ³⁹	♈	9 ⁵⁷	1 ⁰⁸
10	N	1 Post. Wstępna	1 Post. Wstępna	6 ¹¹	17 ⁴¹	♈	10 ⁵⁷	2 ⁰³
11	P	Konstantyna	Rozyny	6 ⁰⁹	17 ⁴³	♈	12 ⁰⁸	2 ⁵²
12	W	Grzegorza W.	Grzegorza	6 ⁰⁷	17 ⁴⁶	♈	13 ²⁸	3 ³⁴
13	Ś	Krystyny p.	Ernesta	6 ⁰⁵	17 ⁴⁸	♈	14 ⁴²	4 ¹⁰
14	Cz	Matyldy w.	Zachariasza	6 ⁰²	17 ⁴⁷	♈	16 ⁰⁴	4 ⁴¹
15	P	Długosza	Krzysztofa	6 ⁰⁰	17 ⁴⁹	♈	17 ²⁷	5 ¹⁰
16	S	Cyriaka d. ☿	Cyriaka ☿	5 ⁵⁸	17 ⁵¹	♈	18 ⁴⁹	5 ³⁸
17	N	2 Post. Sucha	2 Post. Sucha	5 ⁵⁶	17 ⁵²	♈	20 ⁰⁸	6 ⁰⁶
18	P	Edwarda	Anzelma	5 ⁵⁴	17 ⁵⁴	♈	21 ²⁵	6 ³⁶
19	W	Józefa Obl.	Józefa	5 ⁵¹	17 ⁵⁵	♈	22 ³⁷	7 ¹⁰
20	Ś	Eufemii	Teodozji	5 ⁴⁹	17 ⁵⁷	♈	23 ⁴³	7 ⁴⁹
21	Cz	Benedykta	Benedykta	5 ⁴⁷	17 ⁵⁹	♈	—	8 ³⁴
22	P	Oktawiana	Oktawiana	5 ⁴⁵	18 ⁰⁰	♈	0 ⁴⁰	9 ²⁴
23	S	Pelagii ☾	Zygmunta ☾	5 ⁴³	18 ⁰²	♈	1 ²⁸	10 ¹⁹
24	N	3 Post. Głucha	3 Post. Głucha	5 ⁴¹	18 ⁰³	♈	2 ⁰⁸	11 ¹⁸
25	P	Zwiast. N. M. P.	Marii	5 ³⁸	18 ⁰⁵	♈	2 ⁴²	12 ¹⁹
26	W	Emanuela	Emanuela	5 ³⁶	18 ⁰⁷	♈	3 ¹¹	13 ²¹
27	Ś	Jana p.	Tadeusza	5 ³⁴	18 ⁰⁹	♈	3 ⁵⁶	14 ³⁴
28	Cz	Amalii	Amalii	5 ³²	18 ¹⁰	♈	3 ⁵⁸	15 ²⁷
29	P	Cyryla d. m.	Eustachego	5 ³⁰	18 ¹¹	♈	4 ²⁰	16 ³⁰
30	S	Kwirynta	Gwidona	5 ²⁷	18 ¹³	♈	4 ⁴¹	17 ³⁵
31	N	4 Post. Środop. ☿	4 Post. Środop. ☿	5 ²⁵	18 ¹⁴	♈	5 ⁰³	18 ⁴⁰

FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 1-go o godz. 17, min. 12. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 9-go o godz. 12, min. 50. — Pełnia ☾ dnia 16-go o godz. 3, min. 22. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 23-go o godz. 6, min. 4. — Nów ● dnia 31-go o godz. 10, min. 19.

Dnia przybywa o 1 godzinę 53 minuty.



Władysław Pasz

olej

„W marcu na wsi cieszyńskiej”

8 marca Międzynarodowy Dzień Kobiet

28 marca Dzień Nauczyciela (w r. 1592 urodził się Jan Amos Komenský)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońce		Znaki nieb.	Księżyc	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Hugona b. w.	Teodora	5 ²³	18 ¹⁸		5 ²⁸	19 ⁴⁷
2	W	Franciszka z P.	Walerii	5 ²¹	18 ¹⁷		5 ⁵⁵	21 ⁵³
3	Ś	Ryszarda	Dar usza	5 ¹⁹	18 ¹⁹		6 ²⁸	20 ⁵
4	Cz	Izydora b. w.	Ambrożego	5 ¹⁷	18 ²¹		7 ⁰⁷	23 ¹
5	P	Wincentego	Hozeasza	5 ¹⁵	18 ²²		7 ⁵⁴	23 ⁵⁸
6	S	Celestyna pap.	Ireneusza	5 ¹²	18 ²⁴		8 ⁵⁰	
7	N	5. Postna Czarna ☾	5. Postna Czarna ☾	5 ¹⁰	18 ²⁵		9 ⁵⁵	0 ⁴⁸
8	P	Dionizego	Krystyny	5 ⁰⁸	18 ²⁷		11 ⁰⁷	1 ¹¹
9	W	Marii Kleof.	Dym tra	5 ⁰⁶	18 ²⁸		12 ²²	2 ⁰⁸
10	Ś	Ezechiela pr.	Ezechiela pr.	5 ⁰⁴	18 ³⁰		13 ¹¹	2 ⁴⁰
11	Cz	Leona pap.	Leona	5 ⁰²	18 ³¹		15 ⁰⁰	3 ⁰⁹
12	P	Juliusza	Juliusza	5 ⁰⁰	1 ³³		16 ⁰⁰	3 ³⁸
13	S	Justyna	Justyna	4 ⁵	18 ³⁵		17 ⁰	4 ⁰³
14	N	6 Postna Palm. ☾	6 Postna Palm. ☾	4 ⁵⁰	18 ³⁶		18 ⁵⁸	4 ³²
15	P	Anastazji	Olimpii	4 ⁵³	18 ³⁸		20 ¹³	5 ⁰⁵
16	W	Lamberta m.	Aarona	4 ⁵¹	18 ³⁹		21 ²³	5 ⁴²
17	Ś	Rudolfa b. m.	Rudolfa	4 ⁴⁹	18 ⁴¹		22 ²⁶	6 ²⁴
18	Cz	Zielony Czwartek	Apoloniusza	4 ⁴⁷	18 ⁴²		23 ¹⁹	7 ¹³
19	P	Wielki Piątek	Wielki Piątek	4 ⁴⁵	18 ⁴⁴		—	8 ⁰⁸
20	S	Wielka Sobota	Agnieszki	4 ⁴³	18 ⁴⁵		0 ⁴	9 ⁰⁶
21	N	Wielkanoc	Wielkanoc	4 ⁴¹	18 ⁴⁷		0 ⁴⁰	10 ⁰⁸
22	P	Pon. Wielkan. ☾	Pon. Wielkan. ☾	4 ³⁹	1 ⁴⁹		1 ¹¹	11 ¹⁰
23	W	Urodziny W. I. Lenina	1870					
24	Ś	Wojciecha a.	Wojciecha	4 ³⁷	18 ⁵⁰		1 ³⁸	12 ³
25	Cz	Jerzego	Jerzego	4 ³⁵	1 ⁵²		2 ⁰²	13 ¹⁵
26	P	Marka	Marka ew.	4 ³⁴	18 ⁵³		2 ²³	14 ¹⁸
27	S	Kleta pr.	Zbigniewa	4 ³²	1 ⁵⁵		2 ⁴⁵	15 ²²
28	N	Teofila	Anastazego	4 ³⁰	18 ⁵⁶		3 ⁰⁷	16 ²⁷
29	P	1 po W. Przew.	1 po W. Biała	4 ²⁸	18 ⁵⁸		3 ¹	17 ³⁴
30	W	Piotra m.	Syb lii	4 ²⁶	18 ⁵⁹		3 ⁵⁷	18 ⁴¹
31	W	Katarzyny Sen. ●	Eutropiusza ●	4 ²⁴	19 ⁰¹		4 ²⁸	19 ⁴⁸
 FAZY KSIĘŻYCA: Pierwsza kwadra ☾ dn'a 7-go o godz. 21, m'n. 32. — Pełn'a ☽ dn'a 14-go o godz. 13, m'n. 9. — Ostatnia kwadra ☾ dn'a 22-go o godz. 0, min. 0. — Nów ● dn'a 30-go o godz. 0, m'n. 54. Dn'a przybywa o 1 godzinę 44 minuty.								



Najmłodsi amatorzy śpiewu wraz ze swym rówieśnikiem a zarazem młodym dyrygentem chóru

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

-
- 4 kwietnia Święto państwowe Węgierskiej Republiki Ludowej
 - 5 kwietnia 12 rocznica ogłoszenia rządowego Programu Koszyckiego
 - 22 kwietnia 87 rocznica urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina (1870)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	Ś	Święto Pracy	Święto Pracy	4 ²³	19 ⁰³		5 ⁰⁶	20 ⁵³
2	Cz	Atanazego	Zygmunta	4 ³¹	19 ⁰⁴		5 ⁵¹	21 ⁵³
3	P	Znal. św. Krzyża	Moniki	4 ¹⁹	19 ⁰⁶		6 ⁴⁵	22 ⁵⁶
4	S	Floriana	Floriana	4 ¹⁷	19 ⁰⁷		7 ⁴⁸	23 ³¹
5	N	2 po W. P. I. p.	2 po W. P. I. p.	4 ¹⁵	19 ⁰⁹		8 ⁵⁸	—
6	P	Jana w ol.	Bogumiła	4 ¹⁴	19 ¹⁰		10 ¹²	0 ⁰⁹
7	W	Flawii	Flawii	4 ¹²	19 ¹²		11 ²⁸	0 ⁴²
8	Ś	Stanisława	Stanisława	4 ¹⁰	19 ¹³		12 ⁴⁵	1 ¹¹
9	Cz	Święto państwowo Republiki Czechosłow.	Święto państwowo Republiki Czechosłow.	4 ⁰⁹	19 ¹⁵		14 ⁰²	1 ³⁸
10	P	Izydora	Daniela	4 ⁰⁷	19 ¹⁶		15 ¹⁹	2 ⁰⁴
11	S	Mamerta b.	Wojciecha	4 ⁰⁶	19 ¹⁸		16 ³⁶	2 ³²
12	N	3 po W. Pank.	3 po W. Pank.	4 ⁰⁴	19 ¹⁹		17 ⁵¹	3 ⁰²
13	P	Serwacego b.	Serwacego	4 ⁰³	19 ²¹		19 ⁰³	3 ³⁶
14	W	Bonifacego b.	Bonifacego	4 ⁰¹	19 ²²		20 ⁰⁹	4 ¹⁶
15	Ś	Zofii	Zofii	4 ⁰⁰	19 ²³		21 ⁰⁷	5 ⁰¹
16	Cz	Jana Nepom.	Jana Nepom.	3 ⁵⁸	19 ²⁵		21 ⁵⁶	5 ⁵⁴
17	P	Paschalisa	Brunona	3 ⁵⁷	19 ²⁶		22 ³⁷	6 ⁵²
18	S	Feliksa k.	Feliksa	3 ⁵⁶	19 ²⁷		23 ¹¹	7 ⁵³
19	N	4 po W. Cel.	4 po W. Pot.	3 ⁵⁵	19 ²⁹		23 ³⁹	8 ⁵⁶
20	P	Bernarda	Bernarda	3 ⁵³	19 ³⁰		—	9 ⁵⁹
21	W	Heleny	Heleny	3 ⁵²	19 ³¹		0 ⁰⁴	11 ⁰²
22	Ś	Julii p.	Julii	3 ⁵¹	19 ³³		0 ²⁷	12 ⁰⁵
23	Cz	Dezyderiusza	Dezyderiusza	3 ⁵⁰	19 ³⁴		0 ⁴⁸	13 ⁰⁸
24	P	Joanny wd.	Zuzanny	3 ⁴⁹	19 ³⁵		1 ¹⁰	14 ¹²
25	S	Urbana	Urbana	3 ⁴⁷	19 ³⁷		1 ³²	15 ¹⁸
26	N	5 po W. Fil.	5 po W. Miecz.	3 ⁴⁶	19 ³⁸		1 ⁵⁷	16 ²⁵
27	P	Jana pap.	Lucjana	3 ⁴⁵	19 ³⁹		2 ²⁶	17 ³³
28	W	Magdaleny	Magdaleny	3 ⁴⁵	19 ⁴⁰		3 ⁰¹	18 ³⁹
29	Ś	Teodozji	Teodozji	3 ⁴⁴	19 ⁴¹		3 ⁴⁴	19 ⁴³
30	Cz	Wniebowst. P.	Wniebowst. P.	3 ⁴³	19 ⁴²		4 ⁴⁴	20 ⁴⁰
31	P	Anieli	Petroneli	3 ⁴²	19 ⁴³		5 ³⁷	21 ²⁹
FAZY KSIĘŻYCY: Pierwsza kwadra ☾ dnia 7-go o godz. 3, min. 29. — Pełnia ☽ dnia 13-go o godz. 23, min. 34. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 21-go o godz. 18, min. 3. — Nów ● dnia 29-go o godz. 12, min. 39. Dnia przybywa o 1 godzinę 21 m nut.								



Gustaw Fierla

olej

„Koksownia w Łazach”

-
- 1 maja Święto Pracy — Dzień wolny od pracy
 5 maja 139 rocznica urodzin Karola Marksa (1808)
 9 maja Święto państwowe Republiki Czechosłowackiej (12 rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką 1945) — Dzień wolny od pracy
 14—17 maja 36 rocznica założenia KPCz (1921)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	S	Gracjana	Nikodema	3 ⁴¹	19 ⁴⁴	♋	6 ⁴⁶	21 ¹¹
2	N	6 po W. E. M. Dz. Dz. Międzynarodowy Dzień Dziecka	6 po W. E. M. Dz. Dz.	3 ⁴⁰	19 ⁴⁵	♋	8 ⁰⁰	22 ⁴⁵
3	P	Klotyldy kr.	Erazma	3 ⁴⁰	19 ⁴⁶	♋	9 ¹⁷	23 ¹⁶
4	W	Kwiryna	Karpazjusza	3 ³⁹	19 ⁴⁷	♋	10 ³⁴	23 ⁴³
5	S	Florencji p.	Florencji	3 ³⁸	19 ⁴⁸	♋	11 ⁵¹	—
6	Cz	Norberta	Benigna	3 ³⁸	19 ⁴⁹	♋	13 ⁰⁷	0 ⁰⁹
7	P	Lukrecji	Lukrecji	3 ³⁷	19 ⁵⁰	♋	14 ²²	0 ¹⁶
8	S	Medarda b.	Medarda	3 ³⁷	19 ⁵¹	♋	15 ³⁶	1 ⁰⁴
9	N	Zielone Święta	Zielone Święta	3 ³⁷	19 ⁵²	♋	16 ⁴⁸	1 ³⁵
10	P	Zagłada Lidic	Zagłada Lidic	3 ³⁶	19 ⁵²	♋	17 ⁵⁵	2 ¹²
11	W	Barnaby ap.	Barnaby	3 ³⁶	19 ⁵³	♋	18 ⁵⁶	2 ⁵⁴
12	S	Onufrego	Bazylego	3 ³⁵	19 ⁵⁴	♋	19 ⁴⁹	3 ⁴³
13	Cz	Antoniego	Antoniego	3 ³⁵	19 ⁵⁴	♋	20 ³³	4 ³⁹
14	P	Bazylego	Tobiasza	3 ³⁵	19 ⁵⁵	♋	21 ¹⁰	5 ³⁹
15	S	Wita	Wita	3 ³⁵	19 ⁵⁵	♋	21 ⁴¹	6 ⁴²
16	N	Trójcy Św. Z.	Trójcy Św. J.	3 ³⁵	19 ⁵⁶	♋	22 ⁰⁷	7 ⁴⁵
17	P	Lecha	Lecha	3 ³⁵	19 ⁵⁶	♋	22 ³¹	8 ⁴⁸
18	W	Marka	Marka	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♋	22 ⁵³	9 ⁵¹
19	S	Gerwazego	Protazego	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♋	23 ¹⁴	10 ⁵⁴
20	Cz	Boże Ciało	Sylasa	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♋	23 ³⁵	11 ⁵⁷
21	P	Alojzego G.	Albana	3 ³⁵	19 ⁵⁸	♋	23 ¹⁹	13 ⁰¹
22	S	Paulina b.	Achazego	3 ³⁵	19 ⁵⁸	♋	—	14 ⁰⁷
23	N	2 po Z. Św. W.	1 po Tr. Św. W.	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♋	0 ²⁶	15 ¹³
24	P	Jana Chrzciciela	Jana Chrzciciela	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♋	0 ⁵⁷	16 ²¹
25	W	Prospera b.	Prospera	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♋	1 ³⁵	17 ²⁶
26	S	Jana i Pawła	Jeremiasza	3 ³⁷	19 ⁵⁸	♋	2 ²³	18 ²⁷
27	Cz	Władysława kr.	Władysława	3 ³⁷	19 ⁵⁸	♋	3 ²⁰	19 ²¹
28	P	Leona pap.	Leona	3 ³⁸	19 ⁵⁸	♋	4 ²⁷	20 ⁰⁷
29	S	Piotra i Pawła	Piotra i Pawła	3 ³⁸	19 ⁵⁸	♋	5 ⁴²	20 ⁴⁵
30	N	3 po Z. Św. E.	2 Po Tr. Św. L.	3 ³⁹	19 ⁵⁸	♋	7 ⁰⁰	21 ¹⁸
FAZY KSIĘŻYCY: Pierwsza kwadra ☾ dnia 5-go o godz. 8, min. 10. — Pełnia ☾ dnia 12-go o godz. 11, min. 2. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 20-go o godz. 11, min. 22. — Nów ☾ dnia 27-go o godz. 21, min. 53. Do 21 czerwca przybywa dnia o 20 minut, następnie zaś do końca czerwca ubywa dnia o 4 minuty.								



Uczennice polskich i czeskich klas Wyższej Szkoły Gospodarczej w Cz. Cieszynie biorą udział w powiatowej Spartakiadzie...

1 czerwca Międzynarodowy Dzień Dziecka
10 czerwca 15 rocznica zagłady Lidic
24 czerwca 15 rocznica zagłady Leżaków



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Aarona	Haliny	3 ³⁹	19 ⁵⁸		8 ²⁰	21 ⁴⁸
2	W	Nawiedz. N. M. P.	Marii	3 ⁴⁰	19 ⁵⁷		9 ³⁸	22 ¹⁵
3	Ś	Heliodora	Kornela	3 ⁴¹	19 ⁵⁷		10 ⁵⁶	22 ⁴¹
4	Cz	Prokopa	Józefa	3 ⁴¹	19 ⁵⁷		12 ¹²	23 ⁰⁹
5	P	Cyryla i Metodego — Pamiętny dzień CzSR		3 ⁴²	19 ⁵⁶		13 ²⁶	23 ³⁹
6	S	Jana Husa — Pamiętny dzień CzSR		3 ⁴³	19 ⁵⁶		14 ³⁸	—
7	N	4 po Z. Św. E.	3 po Tr. Św. L.	3 ⁴⁴	19 ⁵⁵		15 ⁴⁶	0 ¹³
8	P	Kiliana	Kiliana	3 ⁴⁵	19 ⁵⁵		16 ⁴⁸	0 ⁵³
9	W	Weroniki	Anatolii	3 ⁴⁵	19 ⁵⁴		17 ⁴³	1 ³⁸
10	Ś	7 braci m.	Amalii	3 ⁴⁶	19 ⁵³		18 ³⁶	2 ³¹
11	Cz	Pelagii	Pelagii	3 ⁴⁷	19 ⁵³		19 ¹⁰	3 ²⁸
12	P	Jana Ew.	Henryka	3 ⁴⁸	19 ⁵²		19 ⁴³	4 ³⁰
13	S	Małgorzaty p.	Małgorzaty	3 ⁴⁹	19 ⁵¹		20 ¹¹	5 ³³
14	N	5 po Z. Św. B.	4 po Tr. Św. Z.	3 ⁵⁰	19 ⁵⁰		20 ³⁵	6 ³⁶
15	P	Henryka	Rozesł. Apost.	3 ⁵¹	19 ⁴⁹		20 ⁵⁸	7 ³⁹
16	W	N. M. P. Szkapl.	Ruty	3 ⁵³	19 ⁴⁸		21 ¹⁹	8 ⁴²
17	Ś	Aleksego w.	Aleksego	3 ⁵⁴	19 ⁴⁷		21 ⁴¹	9 ⁴⁵
18	Cz	Szymona	Karoliny	3 ⁵⁵	19 ⁴⁶		22 ⁰³	10 ⁴⁸
19	P	Wincentego a P.	Pawelki	3 ⁵⁶	19 ⁴⁵		22 ²⁸	11 ⁵²
20	S	Eliasz pr.	Eliasz pr.	3 ⁵⁷	19 ⁴⁴		22 ⁵⁶	12 ⁵⁶
21	N	6 po Z. Św. D.	5 po Tr. Św. D.	3 ⁵⁹	19 ⁴³		23 ³⁰	14 ⁰²
22	P	Marii Magdaleny	Marii Magdaleny	4 ⁰⁰	19 ⁴²		—	15 ⁰⁷
23	W	Apolinarego	Apolinarego	4 ⁰¹	19 ⁴¹		0 ¹²	16 ⁰⁹
24	Ś	Krystyny p.	Cyriaka	4 ⁰²	19 ⁴⁰		1 ⁰³	17 ⁰⁶
25	Cz	Jakuba ap.	Jakuba ap.	4 ⁰⁴	19 ³⁸		2 ⁰⁵	17 ⁵⁷
26	P	Anny	Anny	4 ⁰⁵	19 ³⁷		3 ¹⁶	18 ³⁹
27	S	Natalii	Marty	4 ⁰⁶	19 ³⁶		4 ³⁴	19 ¹⁶
28	N	7 po Z. Św. I.	6 po Tr. Św. P.	4 ⁰⁷	19 ³⁴		5 ⁵⁵	19 ⁴⁸
29	P	Marty	Olgi	4 ⁰⁹	19 ³³		7 ¹⁷	20 ¹⁷
30	W	Heleny wd.	Abdona	4 ¹⁰	19 ³¹		8 ³⁸	20 ⁴⁵
31	Ś	Ignacego L.	Bonawentury	4 ¹²	19 ³⁰		9 ⁵⁷	21 ¹³

FAZY KSIĘŻYCA:

Pierwsza kwadra ☾ dnia 4-go o godz. 13, min. 9. — Pełnia ☽ dnia 11-go o godz. 23, min. 50. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 20-go o godz. 3, min. 17. — Nów ☾ dnia 27-go o godz. 5, min. 28.

Dnia ubywa o 1 godzinę i 1 minutę.





Wisła na Śląsku Cieszyńskim, skąd bierze swe źródła największa rzeka Polski...

-
- 2 lipca 8 rocznica śmierci Jerzego Dimitrowa (ur. 18. 6. 1882)
 - 3 lipca Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy
 - 5 lipca Słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody — Pamiętny dzień CzSR.
 - 6 lipca 542 rocznica spalenia Mistrza Jana Husa — Pamiętny dzień CzSR.
 - 11 lipca Święto państwowe Mongolskiej Republiki Ludowej
 - 22 lipca Święto państwowe Polskiej Republiki Ludowej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nleń.	Księżycyca	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	Cz	Piotra w ok.	Piotra	4 ¹³	19 ²⁹	♂	11 ¹⁴	21 ⁴³
2	P	Porcjunkuli	Gustawa	4 ¹⁵	19 ²⁷	♂	12 ²⁸	22 ¹⁶
3	S	Znal. św. Szczep.	Augusta	4 ¹⁶	19 ²⁵	♂	13 ³⁸	22 ⁵⁴
4	N	8 po Z. Św. D.	7 po Tr. Św. D.	4 ¹⁷	19 ²⁴	♂	14 ⁴²	23 ³⁸
5	P	N. M. P. Śnieżnej	Oswalda	4 ¹⁹	19 ²²	♂	15 ³⁹	—
6	W	Przem. Pańskie	Sykstusa	4 ²⁰	19 ²¹	♂	16 ²⁸	0 ²⁷
7	Ś	Kajetana w.	Donata	4 ²²	19 ¹⁹	♂	17 ¹⁰	1 ²³
8	Cz	Cyriaka	Krystyny	4 ²³	19 ¹⁷	♂	17 ⁴⁵	2 ²²
9	P	Romana	Romana	4 ²⁵	19 ¹⁵	♂	18 ¹⁴	3 ²⁴
10	S	Wawrzyńca	Wawrzyńca	4 ²⁶	19 ¹³	♂	18 ⁴⁰	4 ²⁷
11	N	9 po Z. Św. Z.	8 po Tr. Św. Z.	4 ²⁷	19 ¹²	♂	19 ⁰³	5 ³⁰
12	P	Klary	Klary	4 ²⁹	19 ¹⁰	♂	19 ²⁵	6 ³³
13	W	Hipolita	Kasjana	4 ³⁰	19 ⁰⁸	♂	19 ⁴⁷	7 ³⁵
14	Ś	Euzebiusza	Euzebiusza	4 ³²	19 ⁰⁶	♂	20 ⁰⁹	8 ³⁸
15	Cz	Wniebowz. N. M. P.	Marii	4 ³³	19 ⁰⁵	♂	20 ³²	9 ⁴⁰
16	P	Jacka i Rocha	Rocha	4 ³⁵	19 ⁰³	♂	20 ⁵⁹	10 ⁴⁴
17	S	Mirona	Anastazego	4 ³⁶	19 ⁰¹	♂	21 ³⁰	11 ⁴⁸
18	N	10 po Z. Św. H.	9 po Tr. Św. H.	4 ³⁸	18 ⁵⁹	♂	22 ⁰⁷	12 ⁵²
19	P	Benigny p.	Emanuela	4 ³⁹	18 ⁵⁷	♂	22 ⁵³	13 ⁵⁴
20	W	Bernarda op.	Bernarda	4 ⁴¹	18 ⁵⁵	♂	23 ⁴⁸	14 ⁵²
21	Ś	Joanny wd.	Wiesława	4 ⁴²	18 ⁵³	♂	—	15 ⁴⁴
22	Cz	Tymoteusza	Tymoteusza	4 ⁴⁴	18 ⁵¹	♂	0 ⁵³	16 ³⁰
23	P	Filipa B.	Zacheusza	4 ⁴⁵	18 ⁴⁹	♂	2 ⁰⁶	17 ⁰⁹
24	S	Bartłomieja	Bartłomieja	4 ⁴⁷	18 ⁴⁷	♂	3 ²⁵	17 ⁴⁴
25	N	11 po Z. Św. L.	10 po Tr. Św. L.	4 ⁴⁸	18 ⁴⁵	♂	4 ⁴⁷	18 ¹⁵
26	P	Aleksandra m.	Zefiryna	4 ⁵⁰	18 ⁴³	♂	6 ¹⁹	18 ⁴⁴
27	W	Róży p.	Mariana	4 ⁵¹	18 ⁴¹	♂	7 ⁵²	19 ¹³
28	Ś	Augustyna b.	Augustyna	4 ⁵³	18 ³⁹	♂	8 ⁵³	19 ⁴⁴
29	Cz	Słowackie Powstanie Narodowe — Pamiętny dzień Republiki Czechosłowackiej		4 ⁵⁴	18 ³⁷	♂	10 ¹¹	20 ¹⁷
30	P	Pociesz. N. M. P.	Rebeki	4 ⁵⁶	18 ³⁵	♂	11 ²⁴	20 ⁵⁴
31	S	Rajmunda w.	Hilarii	4 ⁵⁷	18 ³³	♂	12 ³²	21 ³⁷

FAZY KSIĘŻYCZA:

Pierwsza kwadra ☾ dnia 2-go o godz. 19, min. 55. — Pełnia ☽ dnia 10-go o godz. 14, min. 8. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 18-go o godz. 17, min. 16. — Nów ☾ dnia 25-go o godz. 12, min. 32.

Dnia ubywa o 1 godzinę 40 minut.





Dzięki ofiarnym członkom Kółka Astronomicznego, wybudowano w Trzyńcu obserwatorium astronomiczne. W pogodne wieczory bywa na obserwatorium ruchliwo. Przez duży teleskop można podziwiać wszechświat, a w dzień plamy na słońcu. Na zdjęciu obserwatorium w ogrodzie Domu Ludowego i teleskop. Ofiarnym pracownikiem i przewodniczącym Kółka jest członek PZKO inż. W. Zielina.

15 sierpnia Święto państwowe Koreańskiej Republiki Ludowej
 23 sierpnia Święto państwowe Rumuńskiej Republiki Ludowej
 29 sierpnia 13 rocznica Słowackiego Powstania Narodowego (1944) — Pamiętny dzień CzSR



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycyca	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	N	12 po Z. Św. B.	11 po Tr. Św. I.	4 ⁵⁹	18 ³⁰	♈	13 ³³	22 ²⁵
2	P	Stefana kr.	Stefana	5 ⁰⁰	18 ²⁸	♈	14 ³⁵	23 ¹⁹
3	W	Eufrozyny p.	Bronisławy	5 ⁰²	18 ²⁶	♈	15 ⁰⁹	—
4	Ś	Rozalii	Rozalii	5 ⁰³	18 ²⁴	♈	15 ⁴⁶	0 ¹⁷
5	Cz	Urbana pap.	Wawrzyńca	5 ⁰⁵	18 ²²	♈	16 ¹⁷	1 ¹⁸
6	P	Zachariasza	Bolesława	5 ⁰⁶	18 ²⁰	♈	16 ⁴⁴	2 ²⁰
7	S	Reginy	Reginy	5 ⁰⁸	18 ¹⁷	♈	17 ⁰⁹	3 ²²
8	N	13 po Z. Św. M.	12 po Tr. Św. M.	5 ⁰⁹	18 ¹⁵	♈	17 ³¹	4 ²⁵
9	P	Dzień Górników	Dzień Górników	5 ¹¹	18 ¹³	♈	17 ⁵⁸	5 ¹⁷
10	W	Mikołaja z Tol.	Jodoka	5 ¹²	18 ¹¹	♈	18 ¹⁵	6 ²⁹
11	Ś	Prota i Jacka	Prota	5 ¹⁴	18 ⁰⁹	♈	18 ³⁸	7 ³²
12	Cz	Tobiasza	Gwidona	5 ¹⁵	18 ⁰⁷	♈	19 ⁰⁴	8 ³⁶
13	P	Aureliusza	Aureliusza	5 ¹⁷	18 ⁰⁵	♈	19 ³³	9 ³⁹
14	S	Podw. św. Krzyża	Podw. św. Krzyża	5 ¹⁸	18 ⁰²	♈	20 ⁰⁸	10 ⁴²
15	N	14 po Z. Św. N.	13 po Tr. Św. N.	5 ²⁰	18 ⁰⁰	♈	20 ⁴⁹	11 ⁴³
16	P	Kornela pap.	Ludmiły	5 ²¹	17 ⁵⁸	♈	21 ³⁹	12 ⁴¹
17	W	Justyny p.	Kornela	5 ²³	17 ⁵⁶	♈	22 ³⁸	13 ³⁴
18	Ś	Tomasza z W.	Tytusa	5 ²⁴	17 ⁵³	♈	23 ⁴⁶	14 ²¹
19	Cz	Januarego	Konstancji	5 ²⁶	17 ⁵¹	♈	—	15 ⁰²
20	P	Eustachego	Eustachego	5 ²⁷	17 ⁴⁹	♈	0 ⁵⁸	15 ³⁸
21	S	Mateusza ap.	Mateusza ap.	5 ²⁹	17 ⁴⁷	♈	2 ¹⁷	16 ¹¹
22	N	15 po Z. Św. M.	14 po Tr. Św. M.	5 ³⁰	17 ⁴⁵	♈	3 ³⁸	16 ⁴¹
23	P	Tekli p.	Tekli	5 ³²	17 ⁴²	♈	5 ⁰⁰	17 ³⁰
24	W	Mieczysława	Mieczysława	5 ³³	17 ⁴⁰	♈	6 ²³	17 ⁴⁰
25	Ś	Kleofasa	Kleofasa	5 ³⁵	17 ³⁸	♈	7 ⁴⁴	18 ¹³
26	Cz	Jozafata b. m.	Cypriana	5 ³⁶	17 ³⁶	♈	9 ⁰²	18 ⁵⁰
27	P	Władysława	Władysława	5 ³⁸	17 ³³	♈	10 ¹⁵	19 ³¹
28	S	Wacława kr.	Wacława	5 ³⁹	17 ³¹	♈	11 ²⁰	20 ¹⁹
29	N	16 po Z. Św. M.	15 po Tr. Św. M.	5 ⁴¹	17 ²⁹	♈	12 ¹⁷	21 ¹²
30	P	Hieronima	Hieronima	5 ⁴²	17 ²⁷	♈	13 ⁰⁵	21 ¹⁰

FAZY KSIĘŻYCA:



Pierwsza kwadra ☾ dnia 1-go o godz. 5, min. 34. — Pełnia ☽ dnia 9-go o godz. 5, min. 55. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 17-go o godz. 5, min. 2. — Now ☽ dnia 23-go o godz. 20, min. 18. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 30-go o godz. 18, min. 49.

Dnia ubywa o 1 godzinę 46 minut.



Przy Klubie Zakładowym Huty w Trzyńcu istnieje Kółko Ogrodnicze. Kółko to założyło ogród doświadczalny i corocznie urządza wystawę owoców.

-
- 2 września Święto państwowe Wietnamskiej Republiki Ludowej
 - 7 września Dzień lotnictwa czechosłowackiego
 - 8 września 14 rocznica zamordowania robotnika narodowego Juliusza Fućka
 - 9 września Dzień Górników
 - 17 września Święto państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej
 - 21 września Dzień Prasy
 - 30 września 19 rocznica zdrady monarchistycznej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nle.	Księżyc	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	W	Remigiusza	Benigna	5 ⁴⁴	17 ²⁵	♏	13 ⁴⁵	23 ¹⁰
2	Ś	Święto Pokoju	Święto Pokoju	5 ⁴⁵	17 ²³	♏	14 ¹⁹	—
3	Cz	Teresy od Dz. J.	Lukrecji	5 ⁴⁷	17 ²⁰	♏	14 ⁴⁷	0 ¹²
4	P	Franciszka S.	Franciszka	5 ⁴⁹	17 ¹⁸	♏	15 ¹³	1 ¹⁴
5	S	Placyda	Flawii	5 ⁵⁰	17 ¹⁶	♏	15 ³⁶	2 ¹⁷
6	N	17 po Z. Św. Dz. A.	16 po Tr. Św. Dz. A.	5 ⁵²	17 ¹⁴	♏	15 ⁵⁸	3 ¹⁹
7	P	Justyny	Szczęsnego	5 ⁵³	17 ¹²	♏	16 ²⁰	4 ²¹
8	W	Brygidy	Pelagii	5 ⁵⁵	17 ¹⁰	♏	16 ⁴³	5 ²⁴
9	Ś	Dionizego	Dionizego	5 ⁵⁶	17 ⁰⁸	♏	17 ⁰⁸	6 ²⁷
10	Cz	Franciszka B.	Franciszka	5 ⁵⁸	17 ⁰⁵	♏	17 ³⁷	7 ³¹
11	P	Wincentego K.	Emiliana	5 ⁵⁹	17 ⁰³	♏	18 ¹⁰	8 ³⁵
12	S	Maksymiliana	Maksymiliana	6 ⁰¹	17 ⁰¹	♏	18 ⁴⁹	9 ³⁷
13	N	18 po Z. Św. E.	17 po Tr. Św. K.	6 ⁰³	16 ⁵⁹	♏	19 ³⁶	10 ³⁶
14	P	Kaliksta pap.	Edwarda	6 ⁰⁴	16 ⁵⁷	♏	20 ³¹	11 ³⁰
15	W	Jadwigi	Jadwigi	6 ⁰⁶	16 ⁵⁵	♏	21 ³³	12 ¹⁸
16	Ś	Gawła	Gawła	6 ⁰⁷	16 ⁵³	♏	22 ⁴²	13 ⁰⁰
17	Cz	Małgorzaty	Florentego	6 ⁰⁹	16 ⁵¹	♏	23 ⁵⁶	13 ³⁶
18	P	Lukasza ew.	Lukasza ew.	6 ¹¹	16 ⁴⁹	♏	—	14 ⁰⁸
19	S	Urszuli p.	Piotra	6 ¹²	16 ⁴⁷	♏	1 ¹⁸	14 ³⁸
20	N	19 po Z. Św. I.	18 po Tr. Św. E.	6 ¹⁴	16 ⁴⁵	♏	2 ³²	15 ⁰⁷
21	P	Korduli p.	Urszuli	6 ¹⁵	16 ⁴³	♏	3 ⁵²	15 ³⁶
22	W	Jana Kap.	Korduli	6 ¹⁷	16 ⁴¹	♏	5 ¹³	16 ⁰⁷
23	Ś	Rafała	Seweryna	6 ¹⁹	16 ³⁹	♏	6 ³³	16 ⁴²
24	Cz	Piotra z Al.	Salomei	6 ²⁰	16 ³⁷	♏	7 ⁴⁹	17 ²¹
25	P	Jana Kant.	Ziemowita	6 ²²	16 ³⁵	♏	9 ⁰⁰	18 ⁰⁷
26	S	Ewarysta p. m.	Ewarysta	6 ²⁴	16 ³¹	♏	10 ⁰³	19 ⁰⁰
27	N	20 po Z. Św. S.	19 po Tr. Św. S.	6 ²⁵	16 ³²	♏	10 ⁵⁷	19 ⁵⁷
28	P	Dzień Unarod.	Dzień Unarod.	6 ²⁷	16 ³⁰	♏	11 ⁴¹	20 ⁵⁸
29	W	Narcyza b.	Narcyza	6 ²⁹	16 ²⁸	♏	12 ¹⁸	22 ⁰¹
30	Ś	Klaudiusza	Klaudiusza	6 ³⁰	16 ²⁶	♏	12 ⁴⁹	23 ⁰⁴
31	Cz	Lucylli	Pam. Reformacji	6 ³²	16 ²⁵	♏	13 ¹⁵	—
 FAZY KSIĘŻYCA: Pełnia ☾ dnia 8-go o godz. 22, min. 42. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 16-go o godz. 14, min. 44. — Nów ☾ dnia 23-go o godz. 5, min. 43. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 30-go o godz. 11, min. 48. Dnia ubywa o 1 godzinę 48 minut.								



Powiatowy Zespół Śpiewu i Tańca, karwiński „Górnik”, wystąpił z swym nowym, drugim programem po raz pierwszy w październiku 1956 roku

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

-
- 1 października Święto państwowe Chińskiej Republiki Ludowej (1949)
 - 6 października Dzień Armii Czechosłowackiej
 - 7 października Święto państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej (1949)
 - 28 października Dzień unarodowienia — Dzień wolny od pracy



Listopad



MIESIĄC PRZYJAŹNI

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nleb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	<i>Wszystkich Świętych</i>	<i>Wszystkich Świętych</i>	6 ³⁴	16 ²³		13 ³⁹	0 ⁰⁸
2	S	Dzień Zaduszny	Dzień Zaduszny	6 ³⁵	16 ²¹		14 ⁰²	1 ⁰⁹
3	N	21 po Z. Św. H.	20 po Tr. Św. B.	6 ³⁷	16 ¹⁹		14 ²⁴	2 ¹¹
4	P	Karola B.	Modesty	6 ³⁹	16 ¹⁸		14 ⁴⁷	3 ¹³
5	W	Zachariasza	Elżbiety	6 ⁴⁰	16 ¹⁶		15 ¹¹	4 ¹⁷
6	Ś	Lidii	Lidii	6 ⁴²	16 ¹⁵		15 ³⁸	5 ²¹
7	Cz	Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa — Pamiętny dzień RCZS ☾		6 ⁴⁴	16 ¹³		16 ¹⁰	6 ²⁵
8	P	Maura	Maura	6 ⁴⁵	16 ¹²		16 ⁴⁸	7 ²⁹
9	S	Teodora	Teodora	6 ⁴⁷	16 ¹⁰		17 ³³	8 ³⁰
10	N	22 po Z. Św. A.	21 po Tr. Św. N.	6 ⁴⁹	16 ⁰⁹		18 ²⁶	9 ²⁶
11	P	Marcina b.	Marcina	6 ⁵⁰	16 ⁰⁷		19 ²⁷	10 ¹⁶
12	W	5 Braci Polaków	Jonasza	6 ⁵²	16 ⁰⁶		20 ³⁴	11 ⁰⁰
13	Ś	Dydaka w.	Homobona	6 ⁵⁴	16 ⁰⁴		21 ⁴⁶	11 ³⁸
14	Cz	Hipacego ☾	Serafiona ☾	6 ⁵⁵	16 ⁰³		23 ⁵⁹	12 ¹¹
15	P	Stanisława K.	Leopolda	6 ⁵⁷	16 ⁰²		—	12 ⁴⁰
16	S	Edmunda	Edmunda	6 ⁵⁹	16 ⁰¹		0 ¹⁵	13 ⁰⁸
17	N	23 po Z. Św. M. Dz. S.	22 po Tr. Św. M. Dz. S.	7 ⁰⁰	15 ⁵⁹		1 ³²	13 ³⁶
18	P	Romana m.	Grzegorza	7 ⁰²	15 ⁵⁸		2 ⁴⁹	14 ⁰⁶
19	W	Elżbiety kr.	Elżbiety kr.	7 ⁰³	15 ⁵⁷		4 ⁰⁷	14 ³⁷
20	Ś	Feliksa de V.	Feliksa	7 ⁰⁵	15 ⁵⁶		5 ²⁴	15 ¹³
21	Cz	Ofiar. N. M. P. ☾	Marii ☾	7 ⁰⁷	15 ⁵⁵		6 ³⁸	15 ⁵⁶
22	P	Cecylii p.	Cecylii	7 ⁰⁸	15 ⁵⁴		7 ⁴⁵	16 ⁴⁵
23	S	Urodz. Kl. Gottwalda	Urodz. Kl. Gottwalda	7 ⁰⁹	15 ⁵³		8 ⁴⁴	17 ⁴⁰
24	N	24 po Z. Św. J.	23 po Tr. Św. E.	7 ¹¹	15 ⁵²		9 ³⁴	18 ⁴¹
25	P	Katarzyny p.	Katarzyny	7 ¹³	15 ⁵¹		10 ¹⁵	19 ⁴⁵
26	W	Konrada	Konrada	7 ¹⁴	15 ⁵⁰		10 ¹⁹	20 ⁴⁹
27	Ś	Waleriana	Waleriana	7 ¹⁵	15 ⁴⁹		11 ¹⁷	21 ⁵³
28	Cz	Zdzisława	Zdzisława	7 ¹⁷	15 ⁴⁹		11 ⁴³	22 ⁵⁵
29	P	Saturnina ☾	Bogdana ☾	7 ¹⁸	15 ⁴⁸		12 ⁰⁵	23 ⁵⁸
30	S	Andrzeja ap.	Andrzeja	7 ²⁰	15 ⁴⁷		12 ²⁸	—

FAZY KSIĘŻYCY:

Pelnia ☾ dnia 7-go o godz. 15, min. 32. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 14-go o godz. 22, min. 59. — Now ☼ dnia 21-go o godz. 17, min. 19.
— Pierwsza kwadra ☾ dnia 29-go o godz. 7, min. 57.

Dnia ubywa o 1 godzinę 22 minuty.





W roku 1956 dawna drukarnia Prochaski, dzisiaj przedsiębiorstwo 08 „Ostravských tiskáren” w Czeskim Cieszynie obchodziła 150-lecie swej działalności drukarskiej

-
- 7 listopada 40 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (1917) — Pa-
miętny dzień CzSR
 - 10 listopada 13 rocznica śmierci bohatera narodowego Jana Švermy (1944)
 - 17 listopada Międzynarodowy Dzień Studentów
 - 28 listopada 137 rocznica urodzin Fryderyka Engelsa (1820)
 - 29 listopada Święto państwowe Albańskiej Republiki Ludowej



Dnia		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nle.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	N	1 Adw. E.	1 Adw. D.	7 ²¹	15 ⁴⁷		12 ⁵⁰	1 ⁰⁰
2	P	Aurelii	Aurelii	7 ²²	15 ⁴⁶		13 ⁴³	2 ⁰³
3	W	Franciszka K.	Kasjana	7 ²⁴	15 ⁴⁵		13 ³⁹	3 ⁰⁶
4	Ś	Barbary p. m.	Barbary	7 ²⁵	15 ⁴⁵		14 ²⁹	4 ¹⁰
5	Cz	Saby op.	Saby	7 ²⁶	15 ⁴⁵		14 ⁴⁴	5 ¹⁵
6	P	Mikołaja b.	Mikołaja	7 ²⁷	15 ⁴⁴		15 ²⁶	6 ¹⁸
7	S	Ambrożego	Agaty	7 ²⁹	15 ⁴⁴		16 ¹⁷	7 ¹⁸
8	N	2 Adw. N. P. N. M. P.	2 Adw. Dz. P.	7 ³⁰	15 ⁴³		17 ¹⁶	8 ¹²
9	P	Leokadii	Joachima	7 ³¹	15 ⁴³		18 ²³	8 ⁵⁹
10	W	N. M. P. Loret.	Judyty	7 ³²	15 ⁴³		19 ³⁵	9 ²⁹
11	Ś	Damazego pap.	Danuty	7 ³³	15 ⁴³		20 ⁴⁸	10 ²⁴
12	Cz	Zenona m.	Epimacha	7 ³⁴	15 ⁴³		22 ⁰⁵	10 ⁴⁵
13	P	Łucji p.	Łucji	7 ³⁵	15 ⁴³		23 ²⁰	11 ¹³
14	S	Spiridiona	Nikazego	7 ³⁶	15 ⁴³		—	11 ⁴⁰
15	N	3 Adw. W.	3 Adw. I.	7 ³⁷	15 ⁴³		0 ³⁸	12 ⁰⁸
16	P	Albina	Ananiasza	7 ³⁷	15 ⁴³		1 ⁵²	12 ³⁷
17	W	Łazarza b.	Łazarza	7 ³⁸	15 ⁴⁴		3 ⁰⁷	13 ¹¹
18	Ś	Gracjana	Olimpii	7 ³⁹	15 ⁴⁴		4 ²⁰	13 ⁴⁹
19	Cz	Uroczyny Prezydenta CzSR Ant. Zapotockiego	Teofila	7 ⁴⁰	15 ⁴⁴		5 ²⁸	14 ³⁴
20	P	Teofila m.	Teofila	7 ⁴⁰	15 ⁴⁵		6 ³⁰	15 ²⁶
21	S	Ur. J. W. Stalina	Ur. J. W. Stalina	7 ⁴¹	15 ⁴⁵		7 ²⁴	16 ²⁴
22	N	4 Adw. A.	4 Adw. B.	7 ⁴¹	15 ⁴⁶		8 ⁰⁹	17 ²⁷
23	P	Wiktorii kr.	Wiktorii	7 ⁴²	15 ⁴⁶		8 ⁴⁷	18 ²¹
24	W	Adama i Ewy	Adama i Ewy	7 ⁴²	15 ⁴⁷		9 ¹⁸	19 ³⁶
25	Ś	Boże Narodzenie	Narodz. Chr. P.	7 ⁴³	15 ⁴⁸		9 ⁴⁵	20 ⁴⁰
26	Cz	Szczepana	Szczepana	7 ⁴³	15 ⁴⁸		10 ⁰⁹	21 ⁴³
27	P	Jana ew.	Jana ew.	7 ⁴³	15 ⁴⁹		10 ³²	22 ⁴⁶
28	S	Młodzianków	Młodzianków	7 ⁴³	15 ⁵⁰		10 ⁵⁴	23 ⁴⁸
29	N	N. po B. N. T.	N. po B. N. J.	7 ⁴⁴	15 ⁵¹		11 ¹⁶	—
30	P	Dawida kr.	Dawida	7 ⁴⁴	15 ⁵¹		11 ⁴¹	0 ⁵⁰
31	W	Sylwestra pap.	Boguchwała	7 ⁴⁴	15 ⁵²		12 ⁰⁸	1 ⁵⁴
 FAZY KSIĘŻYCY: Pełnia ☾ dnia 7-go o godz. 7, min. 16. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 14-go o godz. 6, min. 45. — Nów ☾ dnia 21-go o godz. 7, min. 22. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 29-go o godz. 5, minut 52. Do 21 grudnia ubywa dnia o 22 minuty, następnie zaś do końca grudnia przybywa dnia o 4 minuty.								



Klub Zakładowy Huty w Trzyńcu posiada także swe Kółko Myśliwskie, które troszczy się o chów zwierzyny w lasach okalających Trzyniec. Na zdjęciu fragment lasu w Końskiej

-
- 12 grudnia 14 rocznica zawarcia umowy o sojuszu, przyjaźni i wzajemnej pomocy między Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim (1943)
- 19 grudnia 73 rocznica urodzin prezydenta republiki Antonína Zápotockého (1884)
- 21 grudnia 78 rocznica urodzin Mao-Tse-Tunga, prezesa Centralnej Ludowej Rady Rządowej Chińskiej Republiki Ludowej i przewodniczącego KP Chin (1893)

Jeśli wypowiesz słowo Pokój...



— Jeśli wypowiesz słowo Pokój,
Słowo miłe i ciepłe —
wtedy zapachem kwiatów wokół
roztaje serce skrzeple...

młodością wszędzie dzień radosny,
na rusztowania wkroczy,
śladem traktorów znajdzie wiosnę,
blaskiem nakarmi oczy...

z parą kochanków pójdzie w pole
z zachwytów dom budować,
do ławy siądzie z dziećmi w szkole,
nauczy pisać słowa...

proste jak życie słowo — Pokój,
Praca — pełna poświęceń,
wielkość — wzniesiona ponad cokolwiek
i pracowite Ręce...

a wykładnikiem słów tych będzie
najprostsze ludzkie szczęście,
z którym się człowiek pracy wszędzie
spotyka coraz częściej...

GUSTAW PRZECZEK



Górnicza czołówka im. Związku Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej z kopalni Fučík w Pietwałdzie

JAROSLAV KOZEL, poseł do ZN, przewodniczący OK FN w Ostrawie

O trwałą i dalszy sukces budownictwa socjalistycznego na Śląsku Cieszyńskim

Z każdym nowym rokiem nasza perspektywa przyszłości nabiera coraz bardziej realnych kształtów. Dzieje się tak dlatego, że każdy miniony rok, od chwili wyzwolenia naszego kraju przez armię radziecką w maju 1945, potwierdza nam właściwy wybór naszej drogi, dokumentuje, że robotnicy wspólnie z rolnikami i pracującą inteligencją potrafią pod kierownictwem KPCz dokonywać cudów.

Wspominając o wynikach naszych osiągnięć w Czechosłowacji, możemy z coraz większą dumą dokonać przeglądu dzieła, które zostało wykonane w naszym kraju, szczególnie zaś na tym terenie, gdzie wspólnie żyją i pracują Czesi i Polacy. Trzyniecka huta, karwiń-

skie kopalnie, bogumińskie huty i szereg innych przedsięwzięć, spółdzielnie produkcyjne i wieś, są potwierdzeniem tych wszystkich patriotycznych czynów zrealizowanych w dziedzinie rozbudowy kraju, co jest wielką zasługą czeskich i polskich górników, hutników, spółdzielców czy indywidualnie gospodarujących rolników. Dlatego też dziś echo dawnej nędzy i troski odzywa się jedynie w formie smutnych wspomnień w opowiadaniach starych ludzi lub w pieśniach zespołów, które kultywując bogatą tradycję dawnej twórczości ludowej, wskrzeszają ją poprzez pieśń i taniec, w których lud nasz wypowiadał swe najgłębsze przeżycia.

Dużo zmieniło się w przeciągu ostat-

nich jedenastu lat na Śląsku Cieszyńskim. Nastąpiła zmiana na lepsze. Połączając od Hrczawy, która jest ostatnią wsią w powiecie, gdzie lampa naftowa została zastąpiona przez elektryczną żarówkę, aż poza Bogumin — żyją i pracują Czesi i Polacy w braterskiej zgodzie, wykazując wielką troskę o to, aby ich wspólna ludowo-demokratyczna Republika Czechosłowacka dalej umacniała swą siłę, pomnażając rozkwit kraju.

Dlaczego tak jest obecnie i dlaczego tak być nie mogło w okresie republiki burżuazyjnej, czy za czasów Polski Becka lub okupacji niemieckiej? Odpowiedź dla każdego brzmi dzisiaj jasno. Dlatego, że od chwili wyzwolenia, władzę w naszym kraju sprawuje pod kierownictwem KPCz lud pracujący — robotnicy, w ścisłym sojuszu z rolnikami i pracującą inteligencją. W takim zaś ustroju nie może być miejsca dla stosowania socjalnego czy narodowościowego ucisku. KPCz jako kierownicza siła kraju ściśle przestrzega tego, aby stworzyć odpowiednie warunki, znamionujące wszechstronny rozwój wszystkich narodów i grup narodowościowych.

Następstwa tego są widoczne. Tarcia narodowościowe, służące burżuazji jako płaszczyk dla potęgowania socjalnego ucisku, należą do czasów niepowrotnej przeszłości. Zasada równouprawnienia stała się kamieniem probierczym wszelkiego życia na Śląsku Cieszyńskim i służy pracującym obydwóm narodowości, wzmacniając nasz ludowo-demokratyczny ustrój i stając się źródłem stale zwiększającej się inicjatywy pracujących.

W parze z wzrostem materialnego dobrobytu, o którym możemy się przekonać na każdym kroku, patrząc na nowo powstające dzielnice mieszkaniowe i domki rodzinne, na wysoką kulturę mieszkaniową, na dostatni przyrost dzieci i dorosłych — postępuje rozwój nauki, kultury i politycznego uświadamienia.

Jak bardzo wzmaga się troska o wykształcenie, świadczy o tym rozwój szkolnictwa. Jeśli w roku szkolnym 1946-47 notowaliśmy w kraju ostrawskim 74 polskich szkół z 7195 uczniów, to w bieżącym roku szkolnym do 153 polskich szkół i 4 paralelek przy szko-

łach fachowych, uczęszcza 10.750 uczniów. Podczas kiedy na wyższych szkołach studiowało w roku 1946 tylko 15 uczniów polskiej narodowości, obecnie podniosła się ich liczba o przeszło 200.

Podobne piękne wyniki można także zanotować na odcinku kultury. Dzięki trosce Partii i Rządu o twórczość ludową, odżywają w programach zespołów przepiękne pieśni ludowe i tańce, których dopełnieniem są nowe pieśni, sławiące bohaterstwo pracy naszego ludu. Wielkie zadanie wychowawcze posiada również Tešinské divadlo — obydwie jego sceny — czeska i polska. Na ogół można powiedzieć, że czescy i polscy pracujący na Śląsku Cieszyńskim wykonali w czasie ubiegłych lat dużo dobrej pracy.

W czasie tej owocnej pracy umacniały się więzy braterskiego współzycia, wspieranego codziennym wychowaniem internacjonalistycznym, inspirowanym i organizowanym przez KPCz, co jest mocną gwarancją, że w nowym roku, w drugim roku 5LP, potrafimy na tych terenach, gdzie tętno rozbudowy staje się specjalnie doniosłe, poprowadzić sprawę naszego zwycięstwa wytrwale i pomyślnie naprzód.

Posiadać właściwą perspektywę dni przyszłych, zabezpieczyć drogę naszego dalszego marszu, oto nasze wspólne i naczelne zadanie.

Nie chodzi tutaj o rzecz małą. Jeżeli chcemy podnieść w drugim 5LP produkcję przemysłową co najmniej o 50 proc., oznacza to, że w hutach i kopalniach naszego kraju będzie trzeba przy pomocy dalszego rozwoju techniki podnieść od podstaw produktywność pracy i tak zagwarantować podniesienie produkcji przy równoczesnym ograniczaniu wysiłków pracujących i obniżaniu kosztów. W okręgu ostrawskim zostanie otwartych sześć nowych kopalń, powiększona zostanie także Nowa Huta im. Klementa Gottwalda, zakończone zostaną prace związane z budowaniem zapor wodnych i przystąpimy do budowy nowych zapor. W związku z tymi poczynaniami trzeba wybudować dziesiątki tysięcy mieszkań włącznie z niezbędnymi urządzeniami, które służyć będą celom socjalnym i sprawom kultury. Nie

mniejsza, lecz prawdę mówiąc, trudniejsza praca czeka nas na naszej wsi. Trzeba podnieść produkcję rolniczą o $\frac{1}{3}$ aby w ten sposób zabezpieczyć dostatek żywności i zarazem polepszyć sytuację naszych rolników. A tego nie będzie można inaczej osiągnąć, jak tylko poprzez ugruntowanie i poszerzenie bazy dotychczasowych i przez zakładanie nowych spółdzielni rolnych. W tym względzie na Śląsku Cieszyńskim mamy dużo do odrobienia.

Na ogólny wymiar ziemi ornej — w powiecie karwińskim przypada tylko 3,7 proc., w powiecie czesko-cieszyńskim 7,5 proc., którą obgospodarowywują spółdzielnie rolne. Tak przedstawia się sprawa w powiatach karwińskim i czesko-cieszyńskim, aczkolwiek w ogólnokrajowej skali 17,5 proc. ziemi ornej przypada na spółdzielnie. Ale i na Śląsku Cieszyńskim dobrze prosperujące spółdzielnie produkcyjne, takie jak w Kojkowicach, Końskiej czy Wędryni dobitnie wskazują, że jedynie ta forma gospodarki rolnej jest szczęśliwą przyszłością wsi cieszyńskiej. Na tych przykładach chcemy uczyć średnio- i mało-rolnych chłopów tak, aby z roku na rok powstawało u nas coraz więcej spółdzielni rolnych, aby zupełnie zwyciężyła u nas idea spółdzielcza.

Nasze wysiłki o rozwój przemysłu i rolnictwa zmierzają do tego, aby na podstawie rozwoju produkcji było można dalej podnosić materialny i kulturalny poziom obywateli. Komunistyczna Partia naszej Republiki, która stoi na czele wielkiego rozmachu socjalistycznej rozbudowy, nie posiada i nie miała innego celu, jak tylko dążyć do tego, aby lud pracujący żył w coraz większym dobrobycie, coraz lepiej i radośniej.

Nasze zadania wielkiej rozbudowy socjalistycznej zawarte w drugim 5LP posiadają wprost historyczne znaczenie gdy przypomnimy naszą walkę o pokój i nasz wysiłek zmierzający do dorównania pod każdym względem i prześcignięcia przodujących krajów kapitalistycznych, co zarazem będzie decydującym momentem dla osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa świata socjalistycznego na obecnym etapie pokojowego współżycia między socjalizmem i kapitalizmem.

Nie wątpimy o tym, że w walce o wykonanie śmiałych planów drugiego 5LP będzie się stale zacieśniało braterskie współżycie pracujących obydwóch narodowości. Podstawą takiego nierozzerwalnego współżycia jest i będzie świadomość z jak szlachetnych i sprawiedliwych pobudek wpływa nasz wysiłek o rozbudowę socjalistycznej Republiki Czechosłowackiej, a także wspólne poczucie odpowiedzialności, aby trudne lecz korzystne dla ludu zadania drugiego 5LP zostały wykonane bez reszty. Bądźmy sobie świadomi odpowiedzialności za codzienne umacnianie obozu pokoju i pogłębianie współpracy między narodami na zasadzie równouprawnienia i pokojowego współżycia. Nasz wkład w to dzieło może i musi być znaczny. Od naszej pracy, pracy w kraju węgla i stali — będzie przede wszystkim zależało, jak prędko dojdziemy do zwycięskiej mety socjalizmu. W minionych latach nie pracowaliśmy źle. Ale chcemy i będziemy pracować jeszcze lepiej.

Czeski i polski robotnik, technik, spółdzielca, rolnik i nauczyciel nie będą oszczędzali sił, aby nasza ojczyzna — ludowo-demokratyczna Czechosłowacja była coraz mocniejszym ogniwem wielkiej rodziny krajów obozu pokoju i socjalizmu, szczęśliwą i wierną ostoją ludu pracującego.

JAROSLAV KOZEL



Pracownicy drukarni w Cz. Cieszyźnie zostali odznaczni Czerwonym Sztandarem Rządu

ZIEMIA CIESZYŃSKA

najbogatszy i najpiękniejszy kraj



Zapora wodna w Cz. Cieszyźnie stała się letowiskiem wielu jego mieszkańców

Jakże przepiękna i opływająca w bogactwa jest nasza Ziemia Cieszyńska. Szukając gdziekolwiek indziej w Republice podobnego kraju, wierz mi, że go nie znajdziesz. Dlatego też bezgranicznie kochasz swój kraj rodzinny i podziwiasz wszystko to, co tutaj się znajduje. Już tyle razy idąc od Cieszyna popod góry, przemierzałeś „wzdłuż i wszecz” dolinę Olzy, okoloną przymilnymi szczytami Jaworowego, Ostrego, Kozubowej, Girowej — wędrowałeś po rozkwitłych stokach Czantorii i Wielkiego Połomu — spędzałeś chwile odpoczynku w szalasach — śledziłeś migotliwe ruchy pstrągów w Łomniance, Tyrce, Stonawce i Ropiczance. Wielokroć zdążyłeś w przeciwnym kierunku, udając się z Cieszyna wokół karwińskich kopalń w stronę Bogumina... Jednakże nigdy

dotąd Ziemia Cieszyńska cię tak nie urzekła, jak właśnie obecnie, kiedy wzrasta jej piękno, kiedy w stopniującym się rozmachu gospodarczym staje się najdonioślejszym zakątkiem Republiki. Nie jest to określenie przeholowane w słowach, lecz wyraz prawdziwej rzeczywistości, którego potwierdzeniem jest nasza wędrowka po tym wspaniałym zakątku kraju, zwanym Śląskiem Cieszyńskim.

* * *

Rozpocznijmy swą wędrowkę od podgórskich okolic, dla których stolicą jest starodawne miasteczko Jabłonków.

Z czym się tutaj spotykamy? Miasto dawniej zaniedbywane, przystraja się w nowoczesną szatę, jest upiększane. Niskie, mroczne sklepiki na rynku, z

niezwykłymi, przeciwnymi bocznymi bramami, zastąpiły nowoczesne ośrodki handlowe, wystawy których znamionuje czystość i bogaty zasób towarów rozmieszczonych z gustem i smakiem. W mieście jeden dom po drugim otrzymuje nową fasadę bez naruszania dotychczasowego stylu zabudowań. Powstają nowe domy i zwiększa się ilość mieszkańców, którzy posiadając dostatek pracy, żyją lepiej i lepiej się ubierają niż temu było dawniej.

Gdzie oni pracują? W miejscowym tartaku, w lasach, dojeżdżają do hut i kopalń, a przede wszystkim zarobkują w miejscowych fabryczkach. Umieją dobrze pracować! Na przykład w takim przedsiębiorstwie jakim jest Koh-i-Noor, gdzie sporządzane są przepiękne tabakierki, zapalniczki, kasety, puderniczki, które w wielkiej mierze przeznaczone są na eksport zagraniczny, przede

wszystkim zaś do Iranu, Egiptu, Izraela, Kanady. Za te produkty otrzymujemy cenne dewizy, których będzie stale przybywało, jeśli dodamy, że produkcja Koh-i-Noorki wzrasta, a zarazem podnosi się jakość fabrykatów. W przedsiębiorstwie tym sporządzono kilka produkcyjnych automatów, które przyspieszają proces wytwórczy, prócz tego, w okresie letnim udało się konstruktorom tego samego przedsiębiorstwa, Michałkowi i Konderli, skonstruować specjalne automaty, produkujące kółka do zapalniczek, które dotąd importowano do nas ze Szwajcarii. W taki sposób jesteśmy niezależni od dostaw z kraju precyzyjnej mechaniki. Tak potrafili sobie „gorole” dopomóc.

Na peryferii Jabłonkowa znajduje się inne przedsiębiorstwo o wielkim znaczeniu, które także jest chyba więcej znane za granicą niż u nas. Przedsię-



W jabłonkowskiej Koh-i-Noorce produkowane są towary eksportowe, wywożone za granicę

biorstwo to znane jest pod nazwą „Pilana”. Już sama nazwa wskazuje na to, że produkuje ono piły. Te piły znane są prawie na całym świecie. Największą ilość tych pił odwożą jednak pociągi z Jabłonkowa do Argentyny, Turcji, Związku Radzieckiego, Bułgarii i Rumunii. Produkty tej fabryki są poszukiwane, obojętne czy chodzi o ręczne piły, czy tak zwane piły obłąkowe, gątrowe, okrągłe, taśmowe lub noże tekstylne. W ubiegłym roku do wspomnianych fabrykatów przybył nowy ich gatunek: noże — siekacze. Przeszło 500 tysięcy sztuk wyprodukowali w ubiegłym roku jabłonkowscy pilarze takich noży-siekaczy z najdoskonalszej stali trzynieckiej, a dzisiaj nożami tymi posługują się indyjskie fabryki cukru w procesach przetwarzania trzciny cukrowej. Tak jest! W dalekich Indiach znane są nasze produkty z fabryki, która jest mało znana u nas, aczkolwiek posiada ona większą wartość niż przeciętna kopalnia węgla...

Z okolicą Jabłonkowa związany jest także przemysł drzewny. Ile przejeżdża dziennie jabłonkowskim traktem furmanek, aut ciężarowych i traktorów, wiozących drzewo na pilę w Nawsiu, lub okrągłaki na dworzec kolejowy, na które czekają kopalnie, fabryki mebli, wszystek przemysł, trudno byłoby policzyć. Beskidy nieprzerwanie dostarczają swego bogactwa, wartość którego zwracana jest im w postaci milionów sadzonek. W samym tylko rewirze najstarszego gajowego w Beskidach, Adama Kalety z Łomnej, który już 50 lat poświęca się leśnictwu, robotnicy leśni wraz z młodzieżą zasadzili przeszło pół miliona świerków, jodeł, buków, jaworów, modrzewi i dębów. Pół miliona drzewek tylko w okresie ubiegłego roku! Zaiste piękny szpaler! Lecz będzie trzeba czekać dosyć długo zanim sadzonki, już jako drzewa, zostaną załadowane na pojazdy, które wyruszą w kierunku Jabłonkowa.

Tam w górach, a nie inaczej i w dolinach, życie zaczyna się zmieniać. Zmienia się nieustannie na lepsze życie, bo w drewnianych chatkach jest coraz więcej książek, radiodbiornik — to już nie jakaś rzadkość — ba, nawet anteny tele-

wizorów dostrzec już można w górskich osiedlach. W najbardziej zapadłej wiosce, jaką jest Hrczawa — w której przed dwoma laty marzyli jej mieszkańcy o świetle elektrycznym, dzisiaj wyświetlane są systematycznie filmy, wioska posiada nawet swój wodociąg. Na najpiękniejszych terenach naszych gór beskidzkich wyrastają domki weekendowe, których nie budują tylko górnicy i hutnicy z okręgu ostrawskiego i karwińskiego, ale także wiele ludzi z różnych okolic Bogumina, Orłowej, Cieszyna i Trzyńca, pragnących pobywać w zdrowym środowisku wspaniałych lasów beskidzkich. Naprawdę, znajdując tam idealny wypoczynek po pracy.

Opuszczając pagórki okolic Jabłonkowa, warto przewędrować przez Nawsie, Bystrzycę, Wędrynię, Kojkowice, Końską, Śmiłowice, Mistrzowice, Dąbrowę, Rychwałd, Zawadę, i wiele innych wiosek, w których dzisiaj istnieją spółdzielnie, będzie to dla każdego przyjemną i radosną emocją. Na miejscu dawniejszych wąskich poletek, na których mozolnie pracowali przez stulecia nasi przodkowie, dostrzegasz dzisiaj wielkie łany pola. Zamiast koników i krówek, ciągnących pługi, orze dzisiaj pole i sprzęta urodzaj — traktor. Maleje harówka na polach wzdłuż Olzy, przybawa urodzaju. Przeciennie o 3 q zboża z każdego ha zebrali w roku 1956 spółdzielcy więcej w stosunku do roku 1955. Lepszy był urodzaj rzepaku, ziemniaków i kukurydzy w kraju ostrawskim. Stało się tak na skutek sprzyjającej pogody? Nie, jest to zarazem wynik starszanniej uprawy gleby, dbałej pracy traktorzystów i ośrodków maszynowych. Trudno byłoby dzisiaj znaleźć na Śląsku Cieszyńskim takiego spółdzielcę, któremu by się źle powodziło. A to są dopiero początki socjalizacji wsi cieszyńskiej. Ileż spółdzielców dzisiaj nabywa takie wartości, o których dawniej nawet nikomu się nie śniło. Wielu z nich jeździ we własnych samochodach, posiada nowe meble, elektryczne pralki, radio-gramofony, obrazy na ścianach swego mieszkania; dobrobyt na naszej wsi cieszyńskiej ciągle wzrasta.

Radość ogarnia człowieka, kiedy śledzi przeobrażenia społeczne na wsi cie-



Dzisiaj traktory usuwają harówkę na wsi cieszyńskiej

szyńskiej. Na przykład taka Sibica. — „Do spółdzielni nas nikt nie zwerbuję. Nigdy nas nie zwerbuję!” W taki sposób wypowiadało się wielu rolników w roku 1955, kiedy miejscowa organizacja partyjna wraz z miejscową radą narodową rozpoczęły agitację w celu założenia spółdzielni. A po upływie kilku mie-

sięcy, dnia 16 lutego 1956 rolnicy z Sibicy sami powiadomili Powiatową Radę Narodową w Cz. Cieszynie, że założyli JSR, zgłaszając na razie komasację 60 ha gleby!

Rozpoczęli pracę, w ich wysiłkach pomagali im członkowie MRN oraz pracownicy przedsiębiorstwa Wracimow-



Fragment z walcowni A w Trzyniecu

skich Zakładów Papierniczych. Posiali zboża, zasadzili ziemniaki, dokonali remontu obory i zbudowali tuczarnię wieprzy. A niedługo potem sibicka spółdzielnia jako pierwsza w powiecie czesko-cieszyńskim zgłosiła swe zakończenie zniw, jako pierwsza odprowadziła państwu dostawę zboża w 120%. Gdzie tutaj szukać przyczyn tej nagłej zmiany? Rolnicy z Sibicy odwiedzili najpierw spółdzielnię w Końskiej, Kojkowicach i spółdzielnię na Słowaczynie, zapoznali się z ich gospodarką i doszli do wniosku, że jednakże gospodarka spółdzielcza, w której maszyny mogą być lepiej wykorzystane, daje w porównaniu z gospodarką indywidualną zyskowniejsze wyniki. A na potwierdzenie, że zespołowa produkcja spółdzielców jest znacznie korzystniejsza, Sibica w bieżącym roku będzie posiadała największą stawkę dniówki obrachunkowej w powiecie. Tak samo gospodarkę spółdzielczą oceniają pozytywnie spółdzielcy z Wędryni, którzy zbudowali obszerną oborę dla stu krów, albo spółdzielcy z Mistrzowic, którzy na odmianę rozpoczęli budowę wielkiej tuczarni wieprzy. Trudno byłoby znaleźć na Śląsku Cie-

żyńskim taką spółdzielnię, która by nie unowocześniała swego gospodarstwa, która by nie budowała nowych urządzeń i zabudowań, służących do lepszego zmechanizowania pracy, tak aby wyeliminować harówkę tak dobrze znaną z dawniejszych czasów.

W swej wędrówce poprzez Śląsk Cieszyński nie można pominąć hut imienia Mołotowa w Trzyniecu, które są największym zakładem hutniczym w Republice Czechosłowackiej. Wielkie piece huty trzynieckiej produkują największy procent żelaza w skali ogólnopanstwowej produkcji innych naszych hut. Trzynieckie piece martenowskie wytapiają największą ilość gorącej, żółto-żółtej stali. Hutniczy Trzynec to nie tylko wielkie piece i stalownie, ale zarazem rozległe walcownie, szamotownie, warsztaty mechaniczne, hale produkujące szyny kolejowe, odlewnie i dziesiątki najróżniejszych warsztatów, będących fundamentem dobrej gospodarki Republiki. — „Trzynieccy hutnicy są wzorem dla wszystkich pracujących w Republice, jak świadczy o tym ich entuzjazm w pracy i ich gospodarcze wyniki.” Tak oświadczył w sierpniu 1956 roku dyrektor Centralnego Zarządu Hut Czechosłowackich tow. Kodeś, kiedy wręczał hutnikom trzynieckim wysokie odznaczenia - trzy Czerwone Sztandary Ministerstwa Hut i Kopalń Rudy. Odznaczenia te otrzymały: załoga wielkich pieców, walcownia i elektrownia. Ale nie tylko te odznaczenia zostały przyznane trzynieckim hutnikom. W ogóle po raz pierwszy był im przyznany tytuł „Wzorowe przedsiębiorstwo eksportowe” za rzeczywiste wzorowe dotrzymywanie terminów i dobrej jakości wykonanych zamówień najróżniejszych gatunków towarów hutniczych, które dzisiaj bezustannie dostarczane są do Finlandii, Indii, Holandii, Argentyny, Polski, Węgier, Związku Radzieckiego i wielu innych krajów. Miał więc chyba dostateczny powód indyjski ekspert, inżynier Ritty Datta, który w ubiegłym roku przebywał trzy miesiące w Trzyniecu, aby tak powiedzieć: — „z wami dobrze prowadzić handel. Nie musimy długo czekać na zamówiony towar, nie musimy tego towaru zbyt długo

kontrolować przy odbiorze, ponieważ jego jakość cieszy się na całym świecie dobrą opinią, tak samo jak wasza huta."

I jest to prawdą; dociekliwie mózgi trzynieckich robotników i techników i ich zręczne ręce potrafią stwarzać wartościowe produkty, które wzbogacają nasz kraj. Trudno sobie wyobrazić Śląsk Cieszyński bez Trzyńca, bez jego nowoczesnych hut, które w naszej drugiej pięciolatce poszerzą się o nowe warsztaty, o nową koksownię, o specyficzną, jedyną swego rodzaju fabrykę niklu, która jako pierwsza będzie posiadała najbardziej nowoczesne urządzenia w Europie. Stop... będzie dostatek pracy dla wszystkich ludzi z okolic Cieszyna, Trzyńca, Jabłonkowa. Zadowoleni będą również hutnicy, obywatele miasta, które dawniej zabudowywane było typowymi domkami kolonii robotniczych; miasta, architektura którego staje się dzisiaj coraz bardziej nowoczesna. To miasto zmieniało swój wygląd urbanistyczny już w okresie pierwszej pięciolatki. Do niepoznania zmieniło swój wygląd w okresie drugiej pięciolatki. Osiedle Łyżbice zostanie rozbudowane, na peryferiach miasta powstanie nowy wielki szpital, nowy budynek poczty, kino, dom kultury, teatr w przyrodzie. Już w roku 1962 będzie posiadał Trzyniec 36.000 mieszkańców, co najlepiej świadczy o jego wielkim rozwoju.

Podobnie jak Trzyniec, staje się coraz piękniejszym powiatowe miasto Czeski Cieszyn, gdzie prawie w każdej ulicy natrafić można na świeżo wznoszone budowle. Co w szczególności trzeba podkreślić, to fakt, że bloki domów budowane są w śródmieściu i na miejscach, gdzie dawniej stały niskie, zapadłe domki, które bez „sentymentu” ulegają „rozbiórce”. W taki sposób zniknęły stare domeczki Farugi na rynku, ten sam los spotkał „Walkowice” obok budowy Powiatowej Rady Narodowej a także wiele innych ruder, nie licujących z krajobrazem dni dzisiejszych. Dzisiaj na wielu ulicach, które stały się ulicami miasta dopiero od chwili wybudowania tam nowych domów, zamieszkują liczne rodziny górników i hutników. Nasilenie akcji budowania domów w Cz. Cieszynie osiągnie swój punkt kulminacyjny

niebawem, jeśli przypomnieć, że Zarząd Ostrawsko-karwińskich Kopalń przystąpił do realizacji swego planu wybudowania trzech tysięcy mieszkań w Cz. Cieszynie! Trzy tysiące mieszkań, które przeznaczone zostaną wyłącznie dla budowniczych i pracowników nowych kopalń, powstających niedaleko miasta. Równocześnie z tym rozwojem miasta trzeba przypomnieć, że w Czeskim Cieszynie powstaje wspaniały stadion sportowy, który zmieści 20.000 ludzi oraz Dom Kultury. Ten Dom Kultury, będzie posiadał wiele obszernych sal, takich, jak koncertową, odczytową, będą tutaj różne pomieszczenia klubowe, a także prócz innych będzie tu także obserwatorium astronomiczne, wyposażone w najnowocześniejsze instrumenty, lepsze i dokładniejsze od tych, które posiada obserwatorium astronomiczne w Trzyńcu, własność tamtejszego Klubu Zakładowego huty.

Jeżeli mamy być dokładni w swych relacjach na temat Czeskiego Cieszyna, to nie sposób nie wspomnieć nam również także o słynnej tradycji cieszyńskiej, jaką jest produkcja książek tutaj drukowanych. Właśnie w ubiegłym ro-



Budujemy nowe warsztaty pracy



*Czesko-cieszyński rarytas
Ogrodnik Paweł Baron hodzi figowce. Jego uro-
dzaj wynosi w r. 1956 30 kg fig.*

ku obchodziła tutejsza, bywała nadworna cesarsko-królewska drukarnia Prochaski, dzisiaj przedsiębiorstwo narodowe pod nazwą „Ostravské tiskárny” swój 150-letni jubileusz pracy drukarskiej. Ta właśnie cieszyńska drukarnia, znana daleko i szeroko na całą Europę, przynosi zaszczyt Republice. Za swe osiągnięcia i sukcesy w dziedzinie drukarskiej a także za piękne oprawy książek, otrzymała już po raz drugi wybitne odznaczenia, jakimi są Czerwony Sztandar Rządu i Czerwony Sztandar Ministerstwa.

Niemniej pięknymi sukcesami może się poszczycić cieszyńskie przedsiębiorstwo znane pod nazwą Wracimowskich Zakładów Papierniczych, największy producent zeszytów szkolnych w Republice. Przedsiębiorstwo to rozpoczęło produkcję także na eksport. Jego pierwszym wielkim zamówieniem, które wy-

konane zostało w ubiegłym roku, to wielkie kolumny książek handlowych zamówionych przez Abisynię. Nawet tam do Afryki wędrują owoce pracy cieszyńskich robotników. Jak widzimy owoce tej pracy znowu zdobywają rynki światowe, zyskując tak cenne dewizy dla Republiki.

Niedaleko Czeskiego Cieszyna we wsi Gnojnik spotkamy także bardzo zręcznych ludzi. Ludzie ci dokonują obróbki drzewa z beskidzkich lasów i produkują z tego drzewa różne rozmiary beczek od 35 do 40 litrów, a zarazem także wyrabiają skopki o pojemności do 100 litrów. Dwieście tysięcy takich skopków i beczek produkuje Gnojnik w przeciągu roku dla potrzeb naszego chemicznego i żywnościowego przemysłu. Beczki te wywożone są aż na daleką Islandię. Stamtąd otrzymujemy w tych beczkach znane śledzie. Jeśli z Gnojnika udamy się na niedalekie szczyty Beskidów, na Godulę czy Kotarz, to wszędzie na tamtejszych polanach dostrzegamy stada pasących się owiec. Tych właśnie owiec przybyło w Beskidach za rok ostatni przeszło 1000 sztuk. A teraz zawróćmy w przeciwną stronę na szczyt Jaworowego, aby stwierdzić, że z Odrzychowic na Jaworowy prowadzi kolejka linowa. Jest to pierwsza kolejka linowa zbudowana w przeciągu niespełna roku w cieszyńskim zakątku Beskidów.

A teraz rzucmy wzrokiem trochę dalej — na wieś cieszyńską. Ot, na przykład do wsi Cierlicko. Gotów ktoś odpowiedzieć, zwykła sobie wieś, jak każda inna. Pola, chałupy, kawałek lasu i to wszystko. Ale tak nie jest. Dzisiaj Cierlicko dumne jest z tego, że posiada pierwszą na Śląsku czechosłowackim zaporę wodną. Budowniczowie Ingstavu z Berna od dwóch lat budują potężną zaporę wodną, która spiętrzy wody rwącej Stonawki. Woda ta zostanie wykorzystana m. in. przez kopalnie karwińskie oraz huty trzynieckie, dokąd zostanie doprowadzona specjalnym wodociągiem. W taki to sposób drapieżna Stonawka nie będzie zagrażała swymi powodziami plonom wsi cieszyńskich, jak się to często dotąd zdarzało. Niedaleko zapory wodnej na przepięknym

wzgórzu zostanie pobudowane dla Cierlicka rozległe osiedle. Budowanie tego osiedla już jest w pełnym toku.

Udając się z Cierlicka w jakimkolwiek kierunku naszego kraju, wszędzie natrafimy na ślady geologów, pracowników Czechosłowackich Przedsiębiorstw Naftowych z Hodonina, którzy w ostatnim czasie odkryli na Śląsku czechosłowackim tyle bogactw, że przekraczają one najśmielsze marzenia fachowców. Zainteresujemy się bliżej dokonanymi wierceniami, które często sięgają do głębokości tysiąca metrów a odkryjemy bogate pokłady węgla, łożyska gazu ziemnego, które wykorzystuje już dla swoich potrzeb miasto Czeski Cieszyń a także huty trzynieckie — co więcej, znajdziemy tutaj także bogate źródło nafty, która bez pomocy inżynierów, maszyn i robotników, sama utorowała sobie drogę na powierzchnię ziemi, natrafimy nawet na stróżkę tej nafty w miejscowym potoku w Koniakowie.

Jaką wartość przedstawia nowoodkryta nafta dla naszego kraju, zdajemy sobie wszyscy sprawę. Oznacza to, że zbudujemy dalsze przedsiębiorstwa, że powstaną nowe kopalnie-giganty. A te kopalnie-giganty budujemy już w Suchej, Stonawie, Olbrachcicach, i innych wsiach wokół Czeskiego Cieszyńa. W taki sposób kopalnie rozprzestrzeniają się coraz bliżej podnóża Beskidów...

Jest jeszcze jeden cenny produkt, który wydobywamy z głębi cieszyńskiej ziemi. Jest nią sól jodo-bromowa, i jej odpowiednik woda lecznicza w okolicach Darkowa, która w darkowskich kąpieliskach przywraca ludziom zdrowie, a także dostarczana jest do wszystkich aptek w Republice. A co znajduje się tam dalej, w okręgu karwińskim? Tam jest czarne złoto — węgiel — krew naszego organizmu gospodarczego. Bez tego węgla trudno byłoby sobie dzisiaj wyobrazić życie ludzi i fabryk. Tysiące górników codziennie wydobywa to czarne złoto, ale nie już przy pomocy kilofów jak dawniej, lecz przy pomocy różnych maszyn, nie wyłączając i kombajnów, a także posługując się metodą hydromechanizacji, którą zastosowaliśmy u nas na wzór kopalni „Czeladź” w Polsce, gdzie uzyskano dzięki tej metodzie



Na Śląsku Cieszyńskim powstają nowe osiedla. Oto nowe miasto Hawierzów widziane z lotu ptaka

świetne rezultaty. Przy pomocy wody pod ciśnieniem niezliczonej ilości atmosfery, rozbijamy w kopalniach węgiel i dzięki wodzie przeprowadzamy jego załadówkę. Dzisiaj w kopalni nie ma już tej harówki co dawniej. O tym wiadomo każdemu górnikowi, który stał się pierwszym budowniczym Republiki, i dlatego też jest według zasług honorowany. Dlatego także w ubiegłym roku w okręgu Ostrawsko-karwińskim otrzymało 3800 górników honorowe odznaczenia, dlatego setki górników posiada swe własne motocykle i samochody, buduje domki rodzinne, weekendy. Bo górnicy jako pierwsza forpocztą budowniczych socjalizmu, wydobywają spod ziemi wielkie bogactwo dla Republiki i stają się przeto ludźmi zamożnymi...

A w okręgu bogumińskim, który na zawsze zostanie częścią Śląska Cieszyńskiego, chociaż administracyjnie podlega Ostrawie? Tam na tle oblicza kraju widzimy wielkie huty i znane na całym świecie druciarnie, w których produkowane są najsilniejsze liny stalowe. Liny te zostaną rozwieszone na przesłach kolejek linowych w Brazylii i Afganistanie. Oblicza bogumińskiego okręgu do-



Roczna produkcja bogumińskiej druciarni to miliony kilometrów drutu i lin stalowych.

pełniają sylwetki fabryki chemicznej, cegielni, fabryk prefabrykatów czy widok stawów pełnych karpia, wielkie

farmy hodowli żywca i produkcji roślinnej.

Któż z nas widząc to piękno i bogactwo, które jest tak olbrzymie, nie umiował by naszego Śląska Cieszyńskiego? Zapewne wszyscy kochamy ten kraj!

Nie będzie to czczym frazesem, jeśli dodamy, że za kilka lat i to jeszcze w okresie drugiej pięciolatki, panoramę rodzinnego kraju upstrzy dalszy rozmach pracy ludzkiej, dalszych budowli, zapor, osiedli, szkół, domów kultury, stadionów, rodzinnych domków czy wielkie szachownice spółdzielczych pól. Wtedy kraj nasz będzie coraz piękniejszy i życie stanie się odzwierciedleniem jego piękna i szczęścia. Życie to będzie tym piękniejsze i doskonalsze, ludzie będą go przeobrażać. A na pewno czeszy i polscy obywatele Śląska czechosłowackiego tak jak nie zawiedli pokładanych w nich nadziei w okresie dwulatki i pierwszej pięciolatki — tak i w okresie drugiej naszej pięciolatki okażą się zdobywcami nowych sukcesów.

Będą to osiągnięcia i sukcesy przedsiębrane przez każdego z nas dla sprawy piękna kraju, dla wzmocnienia siły Republiki i sławy ukochanej Ziemi Cieszyńskiej.

VLASTIMIL ČUDEK



Rozbudowa huty im. Kl. Gottwalda w Witkowicach

Bilans naszych spraw i naszego czasu

Charakterystyczną cechą naszych czasów jest niesłychanie szybkie tempo życia. Pulsuje ono gorączkowym rytmem, każdy dzień, każda godzina przynosi zmiany, które przekształcają oblicze społeczne świata. Szybko zapelniają się karty historii, twórcą której jest człowiek pracy, niedawno jeszcze prześladowany i poniżany, traktowany przez kapitalistę jako coś niższego, mniej wartościowego, stworzonego jedynie po to, by służyć możnym i bogatym w myśl idei tamtych dni przez nich samych stworzonej i służącej tylko interesom tych, którzy w rękach swoich trzymali władzę.

Człowiek pracy jest twórcą historii. Czy zdajemy sobie sprawę ze znaczenia tych słów, które po raz pierwszy w dziejach świata stały się realne, stały się faktem dokonanym? Czy zdajemy sobie w ogóle sprawę z wielkości i znaczenia tych dni, które przeżywa nasze pokolenie? Odpowiedź nie może być pozytywna. Dużo wody jeszcze upłynie zanim ta wielka i znamienna prawda dotrze do świadomości wszystkich ludzi pracy i obudzi w ich sercach słusne poczucie dumy oraz odpowiedzialności, która w tym okresie przemian i budowania nowego ładu społecznego cechować powinna każdy nasz krok, każde pociągnięcia i poczynania. Wiele jest jeszcze między nami ludzi płynących z falą, miotających się od brzegu do brzegu, ponieważ nie poznali dotychczas prawdy nowej rzeczywistości, zasklepiając się w skorupce obojętności wobec nowych prądów i zmian społecznych. Błędne jest stanowisko tych ludzi. Prawdy dni dzisiejszych nie można szukać gdzieś nad obłokami. Należy jej szukać na ziemi, w samym sobie, w wielkiej idei, która przewodzi wszystkim naszym poczynaniom. Przede wszystkim zaś człowiek musi poznać wartość samego siebie, stanąć świadomie na tym szczeblu, na którym go postawiła rewolucja społeczna, otwierając przed nim

perspektywę człowieka wolnego, człowieka-twórcę lepszego jutra. Trzeba sobie jasno uświadomić, że człowiek pracy to potęga milionów rąk roboczych, które są dźwignią świata, podstawą bytu ludzkiego na ziemi. Trzeba sobie uświadomić, że człowiek pracy — to siła i wola kolektywu, który decydować będzie w walce o wzniosłe cele nowej idei. Jeśli zaś kolektyw ten cechować będzie jedność i braterstwo, wtedy żadna siła w świecie nie jest w stanie jego woli się przeciwstawić. Uświadomić sobie powyższe — znaczy zwyciężyć. A o to nam przecież chodzi. Powrotu starych czasów życzyć sobie może tylko człowiek głupi, względnie ten, któremu się bardzo dobrze powiodło. Tych ludzi dobrze znamy i nie oni będą decydować. Postawieni są poza nawias naszych spraw, naszej walki o nowy świat, o pokój między narodami.

Budujemy socjalizm. To jest sprawa nader poważna, której nie można traktować powierzchownie i lekceważąco. Każdy człowiek, każdy obywatel naszego kraju powinien głęboko zastanowić się nad tym problemem, powinien zanalizować swój stosunek do pracy i w ogóle do wszystkiego co u nas się dzieje. Z pewnością wielu ludzi przyjdzie do przekonania, że trzeba zmienić swoje stanowisko wobec dzisiejszej rzeczywistości, że trzeba ruszyć znowu naprzód, żywiej zainteresować się codziennymi sprawami naszego życia.

O tym, czy nasza droga jest słuszną nie może być dyskusji. Jej słusność potwierdziły lata walki z przeciwnościami i wrogą propagandą, które wszelkimi środkami starały się zasieć wśród mniej uświadomionych ziarno nieufności do ustroju. W ich ujadaniu i demagogii słychać wyraźnie obawę i strach przed przyszłością, przed tym co powoli, ale nieuchronnie przyjdzie. To wszystko co robi przeciwny nam obóz na czele z miliardami amerykańskimi, te wszelkie machinacje i propaganda, fałsz i krę-

tactwo, zakulisowe obrady, których ostrze skierowane jest przeciw nam, jak najdobitniej mówią o tym, że nasza linia jest słuszna i właściwa.

Wszystkie nasze poczynania mają jeden wielki cel — utrzymanie pokoju. W tych dwóch słowach mieści się cała prawda, cały sens naszych usiłowań. Bez pokoju w świecie nie będzie wzrostu dobrobytu, zadowolenia i radości z życia. Dlatego też wszystkie nasze dążenia, wszystek nasz wysiłek skupiony został wokół naczelnego zagadnienia, którym jest utrzymanie pokoju. Nie brakło nam nigdy szczerości i uczciwości w podchodzeniu do tak poważnej sprawy. A chociaż druga strona nie odwzajemniła się tym samym, chociaż naszej szczerości przeciwstawiała różne pakt, remilitaryzację Niemiec Zachodnich, zbrojenia na wielką skalę — to mimo wszystko sytuacja międzynarodowa pod naciskiem opinii światowej ulega powoli, ale stale odprężeniu.

I rok ubiegły zanotował dalsze sukcesy naszej polityki pokojowej. Bogaty rejestr wydarzeń, które w tym okresie miały miejsce, mocno zaważył na polityce światowej, zyskując nam i naszym usiłowaniom nowych przyjaciół i zwolenników. Najważniejszym, wprost historycznym wydarzeniem był bezspornie XX Zjazd KPZR. Jego przebieg oraz uchwały stały się podstawą wielkich i zasadniczych zmian w życiu politycznym Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej. XX Zjazd KPZR rozprawił się bezwzględnie po bolszewicku z kultem jednostki, który spowodował wiele niedobrego. Atmosfera wytworzona w tym okresie, kiedy kult jednostki zapuścił swe korzenie wszędzie tam, gdzie znalazł podatny grunt, nie sprzyjała rozwojowi demokracji życia, podważała zaufanie mas do Partii i czynników rządowych, krępowała wolność słowa i krytyki. Szczerość i bezpośredniość krytyki kultu jednostki, który i u nas poczynął zapuszczać korzenie, zadziwiła i zaskoczyła cały świat. Okazało się jednak, że krok KPZR był właściwy i konieczny, ponieważ przyczynił się nie tylko do ujawnienia różnych ludzi nadużywających dobrego imienia Partii, ale spowo-

dował zarazem odprężenie w pracy społecznej i życiu politycznym. Zacieśnił się kontakt Partii z masami, który był częściowo narażony na szwank, ludzie w większym niż dotychczas stopniu zaczęli się interesować sprawami politycznymi.

XX Zjazd zapoczątkował nowy okres w polityce Związku Radzieckiego. Dotychczasowa izolacja ustąpiła miejsca szerokim i żywym stosunkom międzynarodowym. Odwiedziny premiera Bułganina i sekretarza KC KPZR Chruszczowa w Anglii, Indiach, Jugosławii i w szeregu innych państw, przyczyniły się niewątpliwie do nawiązywania bliższych i szczerzych stosunków, do wzajemnego poznania się i wymiany zdań na różne ważne tematy.

Bramy Związku Radzieckiego otworzyły się szeroko dla ruchu turystycznego, który dotychczas jakby nie istniał. Dziś wycieczka za wycieczką jedzie do Związku Radzieckiego, ludzie bowiem ciekawi są na osiągnięcia tego państwa, o którym się dużo pisało i mówiło; chcą poznać człowieka radzieckiego, jego pracę, życie, chcą poznać kraj, który przed kilkudziesięciu laty rozpoczął budować po prostu z niczego swe zręby pierwszego socjalistycznego państwa na świecie, a dziś przedstawia potęgę, z którą muszą się liczyć także jego wrogowie. W ten sposób wszyscy mogą się przekonać, że nie było kłamstwa w słowach, opisujących człowieka radzieckiego, jego pracę i wspaniałe osiągnięcia. Wszyscy, którzy poznali ten kraj nieograniczonych możliwości, przekonali się i stwierdzili niezawodnie, że człowiek radziecki nie żywi nienawiści do innych narodów, ale pragnie zgody i przyjaźni między narodami, pragnie pokoju, by móc budować swą wspaniałą ojczyznę, cieszyć się z życia i perspektywy przyszłych pięknych dni, które widzi w komunizmie — celu swych usiłowań.

Przeglądamy kartę po karcie w księdze, której tytuł brzmi „Rok 1956”. Z dumą i zadowoleniem przekonujemy się o sukcesach, które rok ten wpiisał na koncie obozu postępu. Zwycięstwo sił lewicowych w wyborach do parlamentu we Francji, które by mogło

oznaczając definitywną porażkę kapitalizm w tym kraju, gdyby socjaliści francuscy, a raczej ich przywódcy tak daleko nie odbiegli od zasad marksistowskiej nauki. Czytamy dalej... — Maroko, Tunis, Sudan — walka o wolność i niezawisłość, Islandia, która domaga się kategorycznie odejścia wojsk amerykańskich, będących ciężarem dla tego małego, ale dzielnego narodu; umowa pokojowa z Austrią i ogłoszenie neutralności tego kraju, wypadki na Krecie, które mocno zdyskredytowały Anglię w oczach światowej opinii. I wreszcie Egipt... państwo, które zadało potężny cios zarozumiałości angielskich kolonistów. Cichaczem ze wstydem opuszczają wojska brytyjskie ostatnie bazy egipskie, po dziesiątkach lat okupacji, samowoli i bezprawia. Naród egipski tak bardzo kochający wolność i niezawisłość swego kraju stanął na własnych nogach, by odtąd żyć tak, jak tego wymagają jego interesy.

Jeszcze nie przetrwali przywódcy brytyjscy jednej porażki, kiedy premier Nasser zadaje drugi, jeszcze bardziej dotkliwy cios — ogłaszając unarodowienie Suez, ważnej arterii komunikacyjnej. Fakt unarodowienia Suezu wywołał niesłychany popłoch w kołach rządowych Anglii i Francji. Czyn Egiptu znalazł jednak w świecie ogólną aprobatę, ponieważ Suez należy do narodu egipskiego i nikt nie ma prawa wtrącać się w tę sprawę, tym bardziej, że rząd egipski zobowiązał się spłacić akcjonariuszy oraz zapewnił wolny i bezpieczny przejazd kanałem. Anglia i Francja nie mogąc przeboleć tego ciosu, zdecydowały się, wbrew opinii całego świata, na krok, który zdyskredytował ich w zupełności. Początkiem listopada siły zbrojne tych mocarstw łącznie z agresją Izraela napadły na Egipt, mordując niewinnych ludzi, kobiety i dzieci. Ten brutalny czyn wywołał ostry sprzeciw w całym świecie, otworzył oczy i tym, którzy dotychczas wierzyli w demokrację zachodnią. I jakkolwiek zakończy się sprawa Egiptu, nie potrafią imperialiści zachodni usprawiedliwić przed światem swego czynu, który jest w sprzeczności z interesami olbrzymiej większości ludzi, którzy dosyć już mają

wojen, którzy pragną żyć w pokoju i zgodzie. Imperialistom nie wystarcza już „zimna wojna”. Imają się miecza. Powiada jednak przysłowie, że „kto mieczem wojuje od miecza zginie”. Niech to mają na pamięci i ci, którzy na Węgrzech chcieli obalić rząd ludowy, chcieli zabrać ludowi pracującemu Węgier wszystkie osiągnięcia, które zdobył w ciągu 11 lat mroźczej pracy, czasem w trudnych warunkach. Nie udało im się ani tam. „Kto sieje wiatr — zbiera burzę” mówi drugie nasze przysłowie. Burzą tą był lud węgierski, który rozliczył się skrupulatnie z tymi, którzy przynieśli z zachodu mord, krew, nienawiść i zniszczenie.

Spalili na panewce i nadzieje połączone z wydarzeniami w Polsce. Polski rząd i PZPR dały imperialistom jasną i niedwuznaczną odpowiedź. Polska będzie kontynuowała budowanie socjalizmu w oparciu o wielki obóz pokoju i socjalizmu. A ci, którzy liczyli na coś innego, grubo się pomylili.

Cóż więc może w tym obrachunku przeciwstawić obóz przeciwny? Jego konto przedstawia się żałośnie. Niedoboru na koncie nie wyrówna remilitaryzacja Niemiec Zachodnich napotyka ją na coraz większy opór wśród samych Niemców, nie usuną go także baloniki wysyłane na Wschód. Ta polityka już dawno zkrachowała, ponieważ podstawą jej to kłamstwo, fałsz i demagogia. A to jest broń, która musi zawieść każdego, kto się nią posługuje.

* * *

- Ogólnopaństwowa Konferencja KPCz, która odbyła się w czerwcu ubiegłego roku, stanowi dla nas najważniejszy moment wewnętrzno-politycznego życia. Konferencja wytyczyła linię która obowiązywać będzie w najbliższych latach. Zasadniczo potwierdziła słuszność dotychczasowej polityki, niemniej jednak zaaprobowała pewne zmiany personalne i reorganizacje w niektórych instytucjach czy też na odcinku wychowania fizycznego lub innych. Niewątpliwie zmiany te przyczynią się do lepszej organizacji naszego życia społecznego.

Uchwały Konferencji, jeśli chodzi o sprawy kulturalno-oświatowe, dotyczą



PZKO posiada przeszło 50 chórów. Na zdjęciu chór PZKO w Gutach



Prócz chórów czynne są zespoły amatorskie. Na zdjęciu zespół PZKO w Skrzeczoniu w sztuce Lutowskiego „Korzenie sięgają głębiej”



W każdym roku urządza PZKO kursy szkoleniowe. Na zdjęciu kurs szkoleniowy SLA r. 1956.



W roku 1956 odbył się Centralny Kurs Świetlicowy w Oldrzychowicach

bezpośrednio i naszej pracy w PZKO. Oznacza to dla nas podniesienie poziomu naszej pracy, jak pod względem jakości tak masowości. Stara bolączka naszej działalności, masowość, czyli aktywny udział jak największej ilości naszych członków w pracy organizacyjnej nie została usunięta. Wciąż jeszcze pewna część naszych członków obojętnie zapatruje się na pracę kulturalną. Nie mówiąc już o obowiązkach wypływających z zadań na odcinku rolnictwa lub pracy masowo-politycznej. Stwierdzić należy, że nie potrafiliśmy osiągnąć takich wyników na jakie nas stać. Wprawdzie praca kulturalna utrzymała swój poziom, mimo wszystko jednak nie możemy być zadowoleni z osiągnięć zarejestrowanych w roku ubiegłym. Można powiedzieć, że praca kulturalna ustabilizowała się i biegła jakoby wyzłobionym korytem, siłą nabytego rozmachu, naprzód. Nie można jednakże mówić o jakichś nadzwyczajnych sukcesach. Przeciwnie nawet. Dał się zauważyć pewien brak dyscypliny w konkursie twórczości ludowej, zwłaszcza na odcinku śpiewactwa, konkretnie w udziale naszych chórów w wspomnianym konkursie. Braku połowy chórów nie da się niczym usprawiedliwić. Na przyszłość trzeba zrozumieć, że brak dyscypliny i odpowiedzialności wobec tak poważnych spraw odbija się niekorzystnie tylko na nas samych. Do dodatknych momentów naszej pracy należy zaliczyć pierwsze koncerty Chóru Nauczycielskiego, które wszakże nie spotkały się w terenie z takim przyjęciem, jakby tego należało oczekiwać. Również pierwszy całowieczorowy program zespołu tanecznego ZP w Cz. Cieszyńskie stanął na odpowiednim poziomie, był sumiennie opracowany i przygotowany. Zespół ten godnie reprezentował naszą organizację na występach w Katowicach i Pradze. Poza tym do udanych urządzeń należy zaliczyć pierwsze szkolenia przewodniczących Kół PZKO w Oldrzychowicach, które według wypowiedzi uczestników stało na wysokim poziomie i zadowoliło wszystkich obecnych. Zarządowi Głównemu udało się również ożywić i zreorganizować pracę SLA.

Tych kilka konkretnych uwag o pracy

naszego Związku nie wyczerpuje jej całokształtu w roku ubiegłym. Chciałbym tylko wskazać na niebezpieczeństwo zastoju, którego oznaki — chociaż minimalne — dały się zauważyć. Na podobne eksperymenty nie możemy sobie pozwolić. Wiemy ile trudu i wysiłku kosztowało nas naprawienie zła, spowodowanego stagnacją przed czterema laty. Nie pozwólmy więc, by doszło powtórnie do tego samego. Rok 1957 jest Rokiem Jubileuszowym PZKO. Obchodząc będziemy uroczystie dziesięciolecie istnienia naszego Związku. Trzeba więc podwoić wysiłki, by godnie uczcić ten jubileusz. Dziesięć lat pracy na niwie działalności oświatowej i kultury narodowej, dziesięć lat pracy w nowych warunkach — w okresie budowania socjalizmu nie upłynęło na darmo. Dały nam te lata wiele nowych osiągnięć, nowych sukcesów, były zarazem wyrazem naszego stanowiska wobec nowych czasów, wobec nowej idei w imię której wspólnie z naszymi współobywatelami narodowości czeskiej rozpoczęliśmy i kontynuujemy budowanie lepszej przyszłości. Staliśmy zawsze po stronie postępu, stać będziemy i w przyszłości. Dziś zaś, kiedy upływa dziesięć lat istnienia naszego Związku, musimy wykazać, że lata te upłynęły wśród twórczej i radosnej pracy, że nie brakło nas nigdy tam, gdzie chodziło o sprawę postępu i pokoju.

Niechże więc w tym okresie świętowania Dziesięciolecia PZKO rozśpiewają się nasze świetlice od Bogumina aż po Mosty. Niech żyją nasze Koła przez twórczy wysiłek wszystkich naszych członków. Winniśmy to tradycji naszej pracy, winniśmy to tym dziesięciu latom, które wypełnione były sumienną i ofiarną pracą tych, którzy sercem i duszą oddali się sprawie społecznej. Nie musimy się wstydzić tego, cośmy wykonali. Dorobek naszej pracy jest bogaty i obfity. Ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku wobec państwa i narodu zakończymy pierwszy okres naszej działalności. Z tą świadomością pójdziemy do przyszłych dni, do pracy i obowiązków, które nas czekają.

JÓZEF MRÓZEK

Józef Ignacy Kraszewski a Czechy

Józef Ignacy Kraszewski, którego nazwisko związane jest z pierwszym przekładem „Babičky” na język polski, należy do dziś do najbardziej ulubionych w Czechach pisarzy polskich.

Jak drogim stał się autor „Starej baśni” naszym pobratymcom wynika ze słów Józefa Kajetana Tyla: „Kraszewskiego nie należy uważać za pisarza obcego, lecz za swojskiego, bo duch ożywiający pisma jego czeskim czytelnikom zrozumiałszym jest, niż któregośkolwiek pisarza innego narodu.” Kraszewskiego tłumaczono na język czeski już w latach czterdziestych ub. stulecia. Były to początkowo przekłady drobniejszych utworów, ogłoszone na łamach czasopism Vlastimil, Květy, Poutník. Pierwsze przekłady w formie książkowej ukazały się w roku 1852. Były to „Poeta i świat” oraz „Latania czarnoksiężka”. Następny przekład w postaci książkowej ukazał się w roku 1861. Był to „Kordecki”, który po raz drugi ogłoszony został w roku 1864. W tym roku ukazały się w Czechach jeszcze trzy dalsze powieści Kraszewskiego jako druki zwarte.

W latach 1878—1880, gdy naród czeski aktywnie włączył się do obchodów jubileuszowych, nasilenie tłumaczeń utworów Kraszewskiego osiągnęło swój szczyt. Aż 22 pozycje dzieł polskiego pisarza przełożono i ogłoszono w tym okresie w czasopismach i w formie książkowej.

Wiele przekładów książek autora „Starej baśni” wydawano szczególnie w latach osiemdziesiątych aż po pięć w latach 1882 i 1884, po cztery w latach 1883 i 1886 i po jednym w latach 1881 i 1885, 1887 i 1889.”

W roku 1952 wydano w przekładach czeskich w formie książkowej aż 52 pozycje Kraszewskiego. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się w Czechach historyczne jego powieści, a wśród nich najbardziej poczytna była „Stara baśń”. Powieść ta ukazała się po raz pierwszy

w roku 1886, następnie w roku 1903, trzecie wydanie pochodzi z 1929 roku. Nowy przekład uroczej tej powieści ukazał się w Pradze w roku 1952.

Kraszewskiego tłumaczyło na język czeski ponad 40 tłumaczy. Przekładano również jego wiersze, prace publicystyczne i utwory dramatyczne. Sztuk Kraszewskiego na większych scenach czeskich jednak nie wystawiono. Twórczością Kraszewskiego zaś zajmowali się wybitni czescy literaci, krytycy i historycy literatury jak Edward Jelínek, F. A. Hora, O. Mokry, Fr. L. Hovorka, Svítal-Kárník, prof. K. Krejčí oraz prof. J. Horák. Tu zaznaczymy jeszcze, że już w czasopiśmie Vlastimil z roku 1840 ukazała się obszerna krytyka powieści „Poeta i świat”, a że pierwszy w prasie czeskiej bodaj obszerny artykuł, poświęcony życiu i działalności polskiego pisarza ukazał się w Lumíře 1854 r. p. t. „Josef Ignác Kraszevský”, pióra autora, kryjącego się pod literami V-ek.

Twórczość Kraszewskiego nie pozostała bez wpływu na rozwój czeskiej powieści historycznej. Uwydatnia się to szczególnie na młodzieńczych utworach Alojzego Jiráska, który jako redaktor „Laciné knihovny národní” wydał również przekłady Kraszewskiego. Warto tu wspomnieć, że w poemacie o „Twardowskim” Jarosława Vrchlickiego odbija się lektura powieści Kraszewskiego „Mistrz Twardowski”. Ponadto zachował się fascykuł z napisem „Přispěvky k polské anthologii” pióra F. L. Čelakovského. Są tam różne notatki — „Personennamen” — pruskie i litewskie, z powoływaniem się na Kraszewskiego jako na źródło. Česi wysoko ceniłi pisarza bratniego narodu. W uznaniu zasług, położonych w dziedzinie literatury i kulturalnego zbliżenia polsko-czeskiego, stowarzyszenie czeskich literatów, muzyków i plastyków Umělecká beseda mianowała Kraszewskiego w roku 1872 honorowym członkiem. W roku 1881 zaś, Kraszewski został człon-

kiem Koła Polskiego w Pradze. Ponadto był on honorowym członkiem praskiego stowarzyszenia literackiego Slavia.

W latach 1878-79 uroczyscie obchodzone w Pradze, w całych Czechach i na Morawach jubileusz pisarza bratniego narodu. Słusznie napisał Edward Jelínek w opisie obchodów jubileuszowych w Czechach w „Księdze pamiątkowej jubileuszu J. I. Kraszewskiego” (Kraków, 1881): „Jubileuszowa uroczystość pięćdziesięcioletniej działalności polskiego nestora przenikła prawie wszystkie warstwy czeskiego społeczeństwa i powiedzieć można, że dotąd nie uczczono w Czechach żadnego duchowego pracownika pobratymczych ludów słowiańskich sposobem tak szczerym i serdecznym, jak właśnie Kraszewskiego.”

Była to spontaniczna manifestacja przyjaźni czesko-polskiej, którą zgottał naród czeski w czasie ucisku i niewoli przedstawicielowi walczącej Polski. Lud czeski poznał, że wspólne interesy łączą nasze narody, że wolne Czechy powstaną tylko wtedy, gdy i Polska zrzuca zaborców imperialistycznych. Lud czeski widział w Józefie Ignacym Kraszewskim bojownika o sprawiedliwość społeczną, o niepodległość, o wolność „naszą i waszą”. To właśnie znajduje swój wyraz w owych 102 adresach, listach i życzeniach od Czechów, które pisarz polski otrzymał w roku 1879.

Ci, którzy kierowali swe życzenia pod adresem Kraszewskiego, reprezentowali cały naród. Wszystkie warstwy, jak mało kiedy przed tym, wyraziły swe szczerze uczucia dla wielkiego Słowianina. Jan Neruda chwycił za pióro, by złożyć hołd jubilatowi, dalej znani polonofile Edward Jelínek, Franciszek Alojzy Hora, naukowcy i robotnicy, studenci i uczniowie, tłumacze i literaci, dziennikarze i księgarze, „Sokol” i stowarzyszenia literackie, stowarzyszenia społeczne i kulturalne, stronnictwa polityczne i rady miejskie w Pradze, miastach i miasteczkach czeskich i morawskich wyraziły głęboką wiarę w szczęśliwą przyszłość wiarą, którą swym dziełem literackim krzepił Józef Ignacy Kraszewski. Centralna uroczystość ju-

bileuszowa w Czechach, urządzona przez stowarzyszenie Slavia odbyła się w Pradze, w dniu 11 grudnia 1878 roku. Obchód ten rozpoczęto odczytem o życiu i twórczości jubilata. Odczyt, kończący się słowami „Za wszystko, cokolwiek J. I. Kraszewski zrobił dla narodu swojego, niech Mu będzie i w pobratymczej ziemi Czechów nieginąca sława”, przyjęty został przez licznie zebraną publiczność „grzmiącymi oklaskami i gorącym wołaniem: Sława Kraszewskiemu, A! żyje Kraszewski.”

Na uroczystość praską przybyli ze strony polskiej Adam Asnyk, oraz autor „Listów Czeskich” A. Smorczewski.

Niesposób wymienić tu wszystkich uroczystości, które odbyły się w miastach i wsiach czeskich ku czci polskiego jubilata. Wspomnijmy więc tylko o najważniejszych. Szczególnie udany był wieczór w Pilźnie, w dniu 3 marca 1879 roku, urządzony przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Literatury Czeskiej, na którym F. A. Hora, tłumacz licznych dzieł Kraszewskiego wygłosił odczyt o życiu i twórczości polskiego pisarza. Na uroczystości w północno-czeskim mieście Roudnice przemawiał poseł Emanuel Tonner. Tam deklamowano „Witoloraudum” w przekładzie Franciszka Kvapila.

Kilka słów jeszcze o udziale Czechów w uroczystościach w Krakowie. W dniu 3 października Czesi, jako jedyna delegacja z ziem słowiańskich w Krakowie, wyrazili osobiście życzenia i wdzięczność narodu czeskiego dla jubilata. Jako pierwszy w imieniu Czechów zabrał głos znany działacz na polu zbliżenia czesko-polskiego wyżej wspomniany E. Tonner. W krótkim swym przemówieniu wygłoszonym w języku polskim, mówca podkreślił znaczenie dzieła jubilata dla obu pokrewnych i pod każdym względem tak sobie bliskich narodów. W imieniu posłów czeskich przemawiał po czesku Jaromír Čelakovský, a w imieniu posłów morawskich J. Fanderlík. Życzenia studentów czeskich przekazał jubilatowi M. Čihálik, prezes Czytelní Akademickéj w Pradze.

J. I. Kraszewski żywo interesował się sprawami słowiańskimi, w szczególności czeskimi. Już w Tygodniku Petersbur-

skim w 1837 roku opublikował „Myśli o gramatyce historyczno-porównawczej języków słowiańskich”. W roku 1841, w artykule „Literackie wieści”, ogłoszonym w Tygodniku Petersburskim, podkreślił on konieczność współpracy wszystkich narodów słowiańskich. Pisarz polski interesował się szczególnie sprawami czeskimi. Z żywym zainteresowaniem śledził on pracę czeskich „budzicieli” i związane z nią przemiany, zachodzące w społeczeństwie czeskim. Dobrze znał historię i literaturę bratniego narodu.

W pracy p. t. „Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej” częstokroć wspomina on także o zabytkach czeskich, a na łamach pism polskich pisze on o literaturze i ruchu wydawniczym czeskim. Już w Athenaeum z 1841 roku przedrukował on „Nowsze dzieła i pisma periodyczne czeskie” spis, przesłany przez W. Hanke poznańskiemu Ogródnikowi Naukowemu i ogłoszony tamże w numerze 9 z 1841 roku. Spis ten opatrzył Kraszewski krótkim, ale treściwym komentarzem, w którym trafnie ocenił prace Palackiego i Šafaříka: „Dziś prace historyczne Szafarzyka i Palackiego są najważniejszymi w literaturze czeskiej i nie tylko Czechów, lecz całą Słowiańszczyznę obchodzą.”

Dalej omawiał on obszernie w 1845 roku „Zrcadlo života na východní Evropě” K. V. Zapa, książkę, którą ostro atakował m. in. Rościszewski, żądając, by wycofana została ona ze sprzedaży. „Zrcadlo” Zapa Kraszewski nazywa „kawałeczkami sklejonemi potłuczonego zwierciadła.” W tymże roku, w artykule p. t. „Krystyna Poniatowska” czerpie autor z książki Jana Amosa Komenskiego „Lux e tenebris”, podając równocześnie ciekawe szczegóły pobytu twórcy nowoczesnej pedagogiki w Lesznie.

Broszurkę polonofila czeskiego E. Tonnera „Češi a Poláci” wita Kraszewski gorącymi słowami, określając ją jako rozprawę „natchnioną najzacniejszą chęcią zbliżenia dwóch narodów bratnich i w przeszłości już z sobą wspomnieniem niejednym związanych”! Podkreślając przy tym, że Czesi tłumaczą



Józef Ignacy Kraszewski

wiele z polskiego, wita on w Przeglądzie Krajowym przekład sławnej powieści Bożeny Němcowej „Babička”.

W niezmiernie bogatym dorobku twórczym Kraszewskiego znajdujemy liczne utwory, w których występują postacie czeskie, przedstawione na ogół z dużą sympatią. Mowa o Czechach, rzecz jasna, jest przede wszystkim w jego powieściach historycznych, lecz także w powieściach obyczajowych oraz utworach dramatycznych sporo miejsca poświęca naszym pobratymcom. Poniżej kilka przykładów.

W „Starej baśni”, najbardziej ulubionej powieści Kraszewskiego w Czechach czyli w powieści, gdzie przedstawienie wydarzeń z wczesnej historii plemion, zajmujących tereny obecnego państwa polskiego wymagało od Kraszewskiego gruntownej znajomości nie tylko dostępnych źródeł historycznych, lecz także wspólnych Polakom i Czechom legend i podań, znajdujemy pewną ilość

wzmianek o naszych południowych sąsiadach. Są tam przypadkowe wzmianki, jak np. „My Polanie rozmówić się możemy i z tymi co u Odry i co nad Łabą siedzą... i Morawiany, i aż do Dunaju... i dalej.” „Plemiona z nad Wełtawy i Łaby bliższe Niemców już od nich wiele zapożyczyły” oraz w dopisku „Z dziejów legendy”, „Krak panuje zarazem Polakom i Czechom”. „Życie całe skupia się w tym mieście polsko-czeskim (Krakowie)”, „Dlaczego jedna z trzech córek pozostałych po Kraku panuje potem w Czechach podanie nie tłumaczy”. „Z trzech córek Kraką widzimy tylko dwie występujące w podaniu: Libuszę i Wandę”. Dłuższy fragment o Czechach i Morawianach spotykamy czytając rozmowę Piasta z przybyszami, biorącymi udział w postrzyżynach.

W książce pt. „Lubonie”, która nawiązuje do „Starej baśni”, autor opisuje pobyt Mieszka na dworze Bolesława II w Pradze i plastycznie przedstawia Dąbrówkę, córkę Bolesława, która wyszła za mąż za polskiego księcia i szerzyła w Polsce chrześcijaństwo. Wytracono tym samym broń z rąk niemieckich margrów, którzy pod płaszczykiem nawracania podbijali plemiona słowiańskie.

Akcja powieści pt. „Bracia Zmarłychwstańcy” rozgrywa się w ostatnich latach panowania Bolesława Chrobrego, który wykorzystując skłócone stosunki w Czechach, po śmierci swego stryja Bolesława, wyzwolił wszystkie ziemie polskie spod panowania czeskiego. Zdobył on Słowację i Morawy a w roku 1003 pobił Czechy i zdetronizował swego bratanka Bolesława III. W powieści tej występuje przy opisie koronacji Bolesława brat św. Wojciecha, Sławik Radim Gaudentius (Radzym), pierwszy arcybiskup polski. Dzięki założeniu arcybiskupstwa w Gnieźnie, nastąpiło całkowite uniezależnienie się polskiej hierarchii kościelnej od metropolii magdeburskiej i tym samym od kleru niemieckiego. W krótkim „Epilogu” przedstawia Kraszewski w skrócie wydarzenia po śmierci Bolesława Chrobrego, gdy Brétisław I Czeski sięgał po ziemie polskie i w roku 1039 natarł na

swego sąsiada i przesiedlił wielu Polaków do Czech.

W czwartej z kolei powieści z cyklu 29 utworów, które w formie beletrystycznej podają obraz historii Polski „Masław” — Kraszewski przedstawia okres powrotu Kazimierza Odnowiciela z Niemiec do Polski, gdy obejmuje on tron piastowski po zupełnej anarchii, która nastąpiła gdy wybuchł bunt feudałów przeciwko scentralizowaniu władzy królewskiej oraz po najeździe czeskim. Widzimy też tam walkę Kazimierza z księciem plockim. O Czechach mamy tu liczne wzmianki, lecz bezpośrednio postacie Czechów nie występują.

Temat powieści pt. „Królęwscy synowie” — to dzieje panowania Władysława Hermana i spór o królestwo, jaki się toczył pomiędzy Zbigniewem i jego bratem Bolesławem Krzywoustym, synem Judyty, córki księcia czeskiego Wratysława, drugiej żony Władysława Hermana. Pomimo, że Bolesław był wnukiem Wratysława, pomogli Zbigniewowi Czesi, wspólnie z Pomorzanami i Rusinami. Bolesława zaś popierali Węgrzy oraz jego teść Światopelk, wielki książę kijowski. Typowy obraz dynastycznej polityki feudałów, prowadzonej bez wszelkiej myśli o zjednoczeniu, lecz tylko zgodnie z chwilowymi interesami dla osobistego zysku i ugruntowania władzy, przedstawiony jest przez Kraszewskiego w ten sposób, że ogranicza się głównie do pokazania zatargu w łonie panującej dynastii. Brak prawie zupełnie szerszego tła epoki.

W utworze pt. „Kraków za Łokietka” występują liczne postacie żołnierzy czeskich, stacjonowanych w Krakowie, będącym wówczas pod rządami Wacława III. Wacław ożenił się w roku 1303 z Rykszą Piastówną i utworzył jednolite państwo zachodnio-słowiańskie, którego kres nadszedł jednak wraz ze śmiercią jego twórcy w roku 1305.

W powieści pt. „Król chłopów” występuje król czeski, Jan Luksemburski, jego córka Margareta, narzeczona Kazimierza, oraz liczni dworzanie czescy. W książce tej znajdujemy również piękny opis „Złotej Pragi”, za czasów Jana Luksemburczyka, „świeżej i wspaniałej... z którą niewiele miast w Europie

mogło się równać." O stolicy Czech Kazimierz wyraża się w książce Kraszewskiego następująco: „Takim bym ja, z pomocą Bożą chciał mój Kraków uczynić... Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silne obronne miasto... Tam się nam uczyć rządzić, budować i ład zaprowadzić.”

Do Pragi, na dwór cesarza Zygmunta jedzie z poselstwem królowej Sonki do cesarzowej Barbary Grzegorz z Sanoka (w powieści pt. „Strzemięczak”). Prowadzi go Czech, Bedrzyk, któremu Kraszewski wkłada w usta następujące słowa: „Wy Polacy z nami Czechami powinniście się połączyć i podać nam ręce; nie obcy jesteście sobie, boć język tego dowodzi... Królowie nas rozłączyli, król jeden powinien złączyć. Z Niemcami my nigdy nie przyjdziemy do ładu... Wszystkim się o to starać potrzeba... Jest nas dosyć, aby się ostać i obronić.”

Mimochoodem tylko wspomina Kraszewski w „Krzyżakach”, o czeskim i morawskim wojsku, które ramię przy ramieniu z Polakami walczyło pod Grunwaldem przeciwko Zakonowi. Wiadomo, że w tej bitwie brał udział również i Jan żiżka, słynny późniejszy wódz wojska husyckiego. Jedynie postać Jana Sokola „Czecha, ulubieńca królewskiego, rycerza prawego i czelaka wyborne-go”, który „w polu i harcu zimy męstwem celował a wielką i sławną zręcznością” rysuje się nieco wyraźniej.

Czechem jest ojciec bohaterki tytułowej powieści pt. „Bezimienna”. Wacław Swoboda nie występuje bezpośrednio, lecz tylko we wspomnieniach jego córki Heleny Ksawerowej, jej opiekunki oraz Kościuszki. We wspomnieniach tych jednak postać muzykanta czeskiego, przybyłego do Polski przedstawiona jest nader plastycznie, ujmująco i z dużą dozą sympatii. Oto jak Ksawerową charakteryzuje Swoboda: „Był to człowiek rzadkiej dobroci i potulności, mało znany i nie pragnący sławy i rozgłosu, rozmikowany w muzyce aż do śmieszności. Przed kilku laty przywędrował do Warszawy z małym tłumocznikiem na plecach, w którym więcej było nut niż bielizny, z wesołością młodą i nadzieją. Prędko dał się poznać ze swego pięknego talentu, bo grał na klawikordzie i

na skrzypcach a śpiewał jeszcze cudownie.” O tym, że Swobodę łączyło z Kościuszką nie tylko umiłowanie sztuki ale i wspólność idei, której służył zawsze wódz powstania, o tym, świadczy jedno zdanie: „... to był mój serdeczny najlepszy niegdyś przyjaciel”! Należy przypuszczać, że tymi słowami właśnie Kraszewski chciał podkreślić jedność celu ruchów wyzwolenczych polskich i czeskich.

Pewnego rodzaju bohemicum jest „Historia prawdziwa o Petru Właście”. Opowiadanie historyczne z XII wieku, w którym autor pokazał formowanie się stosunków feudalnych, przedstawiając proces pogłębiania poddaństwa ludności wiejskiej. O pochodzeniu bohatera powieści pisze Kraszewski: „Jeszcze starzy ludzie pamiętają, gdy od czeskiej granicy w kilka pono koni tu przybył, ofiarując się na służbę królowi, zwano go naówczas rycerzem z Donina.”

Również i w innych powieściach autora „Starej baśni” napotykalmy na wzmianki o naszym południowym sąsiedzie, a ściśle czeską tematykę ma „Pierwszy akt dramatu Jan z Nepomuk”, napisany już w roku 1838. Akcja fragmentu tego toczy się na zamku praskim w roku 1383, odbiega jednak znacznie od prawdy historycznej.

Ponadto akcja trzeciego aktu dramatu „Halszka” rozgrywa się w Czechach w miasteczku pogranicznym Jarowierz. Bohater dramatu, przesładowany przez króla książę Dimitrius Sienguszka tam właśnie znalazł azyl. Jemu autor włożył w usta zdanie: „Lepsi są ludzie w Czechach niż u nas.”

Zaznaczyć należy, że Kraszewski wprowadził w swych powieściach historycznych do języka polskiego dużą ilość rzekomych archaizmów, które często zdają się być wzorowane na innych językach słowiańskich a więc także na języku czeskim. Najwięcej takich słów spotykamy w „Starej baśni”. Tu przytoczymy jako przykład tylko słowa kneź (kněz), witeż (vítěz) oraz kmet.

Na początku listopada 1863 roku przebywał Kraszewski kilka dni w stolicy Czech, gdzie jego czescy przyjaciele wydali na jego cześć w dniu 11 tegoż miesiąca uroczysty bankiet w salach Meš-

t'anskiej besedy. Obecni byli tam ze strony czeskiej liczni poeci, pisarze i działacze społeczni, m. in. Jan Neruda, Vítězslav Hálek, Sabina, Tonner, Karol i Wacław Frič i liczni inni. Pobyt Kraszewskiego, chociaż trwał zaledwie kilka dni — wzmocnił jeszcze bardziej więzi jego z pobratymcami. Pozwolił mu bowiem przypatrzeć się z bliska czeskiemu życiu społecznemu i kulturalnemu i zapoznać się osobiście z licznymi zasłużonymi działaczami, poetami i pisarzami czeskimi.

Z licznymi Czechami Kraszewski utrzymywał również kontakt listowy, m. in. z W. Hanką, E. Jelínkiem, F. A. Horą, J. W. Fričem, A. W. Šemberą i wielu innymi.

Wdzięczność Czechów, okazana w dniach jubileuszowych była szczera. Wdzięczność ta potęgowała w ciężkim dla pisarza polskiego okresie, gdy przebywał on w więzieniu w Magdeburgu. Głęboko wzruszyła Czechów wieść o śmierci wielkiego ich przyjaciela w dniu 19 marca 1887 roku. W Pismach czeskich pojawiły się liczne nekrologi, omawiające życie i twórczość zmarłego oraz jego stosunek do bratniego narodu czeskiego. Akademia żałobna ku czci wielkiego zmarłego odbyła się w Pradze

dnia 1 kwietnia 1887 roku. Wówczas to, po śmierci Kraszewskiego powstał wiersz Augusta Eugeniusza Mužika, który tu przytoczymy w przekładzie Witolda Bunikiewicza w całości:

Za Ignacem Kraszewskim

*Zginąłeś jak żołnierz, Lodowatą dłonią
zdartą chorągiew Polski dźwigasz jeszcze
w górę
a usta twe w śmiertelną osłonięte chmurę,
okrzyki jeno wzgardy biednym wrogom
ronią.
„Umilknąć muszą kiedyś boju wielkie
gwały,
choć wróg dziś stawia trupa mego u prę-
gierzy
i w czyste moje piersi bagnietem uderzy!”
Ktoś inny znowu porwie i dźwignie sztan-
dary,
Usnął — zapłacze Polska — po zmarłych
sierota
a za królem ostatnim Wawel swoje wrota
na zawsze dzisiaj zawarł... rada chóru czerń
opita.
Jej władców blask przy tobie cieniem się
wydaje,
z twych kajdan pokruszonych korona uwita
a łachmany skazańcą — to twe gronostaje.*

JERZY SLIZINSKI



Polski chór mieszany „Hutnik” przy Klubie Zakładowym huty trzynieckiej

PROSTE ZWROTKI



W porannych gwiazd seledyn
Wplótł się słowik sam jeden,
Więc jegom spisał pieśni.
Myślę, iżem już nie snił.

Z porannych mgieł jak liście,
Tak krąg dnia rósł ogniście
I słowik zmilkł i stałem
Dniem naszym wielkim, całym!

Dniem węgla, stali, łomu,
Dniem atomowych gromów,
Dniem co otwiera ręce
Do szczęścia coraz więcej...



Ciężkie padają kłosa,
Dzwonią kosiarki, kosa —
To nasza armia, nasz bój!

Górnik autem przybywa
Do młócki i do żniwa —
To nasza radość, nasz trud!

Chleby się słodkie pieką,
Wioska śpiewa nad rzeką —
To nasze jutro, nasz dzień!

Miasta jak grzyby rosną,
Jak prawdziwe pod sosną —
To nasza дума, nasz pot!

Dzieci z elementarzem
To nasza przyszłość, nasz wzrost!

W księżycu drżą opłotki,
Nad nimi całus słodki —
To nasze szczęście, nasz ród!

Sercu ciepło i wokół
Nic nad gwiazdy i Pokój —
To nasza siła, nasz głos!



Gwiazdy ponad czarną ciszą
Jak piasek wieczności wiszą
I miesiąc w ich prochu leży
Jako bochen w pełnej dzieży.

Nad gwiazdami, nad miesiącem
Stoję ze swym sercem drżącym,
W poprzek pyłu mlecznej drogi
Sypie czerwień kolor głogu.

Na południe od księżycy
Zmigotała błyskawica,
Zmigotała się i zgasła,
Nie zagrzmiała i nie trzaśła.

A na północ od miesiący
Twarz jak zorza jaśniejąca.
Ukochanej ciche oczy.
Chodź! Ku szczęściu w dzień wykroczyć!

JÓZEF KRZYWOŃ

Edmund Chojecki a Czechy

Pod koniec lipca ubiegłego roku obchodziliśmy setną rocznicę śmierci wybitnego czeskiego pisarza, publicysty i polityka, Karola Hawliczka Borowskiego (1821—1856). Hawliczek zasłużył sobie na trwałą pozycję w historii kultury czeskiej, wyróżniając się jako prekursor nowoczesnego dziennikarstwa czeskiego oraz jako cięty i bezlitosny krytyk feudalizmu i wstecznego centralizmu. Tyśiące czytelników podziwiają do dnia dzisiejszego jego nieśmiertelny utwór satyryczny „Chrzest św. Włodzimierza”, tak genialnie wyszydzający wszystkie absolutystyczne rzędy świata. Do dziś dnia czytamy z niesłabnącym zainteresowaniem jego cięte epigramy, w których jak w krzywym zwierciadle uwidaczniają się wszystkie błędy i wady społeczeństwa.

Hawliczek należał już do trzeciej generacji „budzicieli” narodowych pozostających pod wpływem polskiego powstania listopadowego. Wprawdzie, w odróżnieniu od starszego Karola Hynka Machy lub poety rewolucyjnego Józefa Wacława Fricza, polonofilstwo Hawliczka nie było zupełnie bez zastrzeżeń. Nie zaliczał się jednak również do utopijnych panslawistów pokroju Kollara, oczekujących pomocy ze strony carskiej Rosji i patrzących na nią jako na jedyną wyzwoliciełkę pozbawionych wolności narodów słowiańskich. Wielką zasługą Hawliczka polega właśnie w tym, iż on jako pierwszy w Czechach, przedstawił krytyczny obraz feudalnej Rosji carskiej, takiej, jaką z własnych doświadczeń poznał w czasie swego pobytu w Moskwie.

Sympatia Hawliczka do Polski datuje się od lat wczesnych. Wiemy, że uwielbiał on bohatera narodowego Kościuszkę, że rozczytywał się w utworach Mickiewicza, że tłumaczył je, że między innymi przełożył również ów wyjątek z „Dziadów” (Przegląd wojska), będący tak druzgocącą krytyką carskiego samodziśawia.

Węzły przyjaźni osobistej łączyły Hawliczka z Edmundem Chojeckim.¹⁾ Chojecki przyjechał do Pragi w marcu 1845 roku. Przywiozł ze sobą list polecający Michała Wiszniewskiego, polskiego historyka literatury i wypróbowanego przyjaciela znanego praskiego polonofila, Wacława Hanki. Chojecki miał już w tym czasie za sobą kilka artykułów opublikowanych w różnych czasopismach oraz ciekawy dziennik z podróży po Krymie. W liście z dnia 15 marca 1845 roku Wiszniewski poleca go Hance tymi słowami: „Polecam szczególniejszej opiece i względom szanownego P. oddawcę niniejszego listu P. Chojeckiego, znakomitego naszego literata, znawcę i miłośnika waszej literatury czeskiej; raczcie mu tam ułatwić zaznajomienie się z Panami Szafarzykiem i Palackim, wskażcie, gdzie mieszka ksiądz Stulce, i pokażcie mu Wasze Muzeum.”

Nie wiemy, czy Hanka sam zaznałomił polskiego gościa z wszystkimi wymienionymi pisarzami. Pewną natomiast rzeczą jest, iż Chojecki wszystkich osóbście poznał, a również i innych, jak Riegra, Winarzyckiego, Tomka oraz Hawliczka. Najbardziej zaprzyjaźnił się z Hawliczkim. Wiekiem równi przypadli sobie nawzajem zarówno poglądami jak i młodzieńczym temperamentem do gustu. Hawliczek został głównym towarzyszem Chojeckiego w Pradze, udzielał mu informacji w sprawach literatury czeskiej, a nawet był jego płatnym nauczycielem języka czeskiego. Chojecki traktował niezmiernie poważnie swój naukowy pobyt w Czechach. Z korespondencji Hawliczka dowiadujemy się, że płacił mu za lekcje stosunkowo dużo, był jednak według informacji Hawliczka niezwykle wymagający i wiele chciał się dowiedzieć, toteż Hawliczek musiał się do tych lekcji sumiennie przygotowywać.

Właśnie niedawno Hawliczek powrócił z Rosji, gdzie wyleczył się ze swych urożeń panslawistycznych. Na problem

słowiański patrzy więc bardzo realistycznie i zdecydowany jest poświęcić się pozytywnej pracy dla narodu.

Jak ściśle Chojecki zaprzyjaźnił się z Hawliczkim, dowodzi fakt, iż korespondował z nim nawet w czasach późniejszych, kiedy przebywał w Teplicach. W jednym z listów skarży się na niemieckie towarzystwo, które go w tej miejscowości kąpielowej otacza, a z którym nie może i nie chce się spotykać. Żałuje, że nie zaprenumerował sobie w Pradze czasopisma „Včela”, i nie może doczekać się odwiedzin Hawliczka, którego przyjaciół przyrzekł, ale jakoś nie kwapi się przyjeżdżać. Wyraża również życzenie, aby Hawliczek przysyłał mu wszystkie ostatnie praskie nowości literackie.

Wzmianka o niemieckim charakterze miejsc kąpielowych oraz oburzenie, iż tak piękny kraj jest zupełnie zniemczony, dowodzą, jak bardzo Chojecki żył się w czasie swego pobytu w Czechach z patriotycznymi dążeniami pisarzy czeskich. W innym liście do Hawliczka oznajmia, iż przygotowuje zbiór wierszy, który wyjdzie w Lipsku. Między innymi ma się również ukazać ballada „Śmierć Jižki”. Według słów własnych autor wlał w nią całą miłość, jaką żywił do narodu czeskiego.

Chojecki nie powrócił już z Teplic do Pragi. Wyjechał do Drezna, stamtąd zaś do Paryża.

W latach 1846 i 1847 Chojecki opublikował dwutomowe dzieło „Czechja i Czechowie przy końcu 1-ej połowy XIX stulecia”. Wydał je w Berlinie jako owoc swego pobytu naukowego w Czechach, kontaktów z czeskimi pisarzami i uczonymi oraz uważnego śledzenia życia kulturalnego, politycznego i gospodarczego w Czechach. Z całego dzieła przebija miłość do Czechów i zupełnie otwarta nienawiść do wszystkich ciemnych i wrogów tego narodu. Lecz miłość ta i podziw nie są bez zastrzeżeń — wprost przeciwnie, w niektórych partiach swego dzieła Chojecki jest aż za bardzo krytyczny, lecz zawsze otwarty i szczerzy.

Najciekawsze w tej książce są poglądy autora na czeskie odrodzenie narodowe, które w tym właśnie czasie dochodzi

niemal do pełni rozkwitu. Ciekawy jest również rozdział o Palackim i Szafarzyku, ocena niektórych współczesnych pisarzy czeskich oraz wnikliwe spostrzeżenia na tematy socjalne i narodowo-gospodarcze. Najmniej wartościowe są partie historyczne, zależne w większości od informacji Palackiego, a niekiedy i Tomka, źle jednak zrozumianych przez autora, który w następstwie tego, popełnia szereg pomyłek.

Na wstępie Chojecki wyraża swój podziw dla dziejów kraju, który dotychczas oznaczany był przez cudzoziemców jako „stos popiołu” bez jakiegokolwiek iskry życia narodowego i dążności do samodzielności. Dopiero w ostatnich czasach naród ten budzi się i wzywa niemieckiego olbrzyma do walki. Chojecki charakteryzuje to jako walkę duchową, pełną tragicznych i poetycznych momentów. Literatura czeska, mówi dalej Chojecki, nie jest tak wspaniała, jak dzieje narodu czeskiego, inne też ma posłannictwo. W rozwoju literatury czeskiej obserwator dostrzega zmartwychwstanie ducha czeskiego, które poprzedza jego zmartwychwstanie polityczne. Chojecki jest zaskoczony, iż naród, który tak długo uważany był za martwy, naraz budzi się i przejawia silną działalność narodową. Pogląd na czeskie odrodzenie narodowe jako na „zmartwychwstanie” wytworzył się u autora prawdopodobnie pod silnym wpływem czeskich działaczy odrodzeniowych, którzy sami patrzyli na to jako na cud, jako na coś nadprzyrodzonego. Dziś wiemy, iż był to proces zupełnie naturalny i w ówczesnej Europie nie stanowił specjalnego wyjątku. Zupełnie analogicznie do niego notujemy ten sam proces w związku z wzrostem kapitalizmu i u innych narodów.

Chojecki śledzi dzieje literatury czeskiej chronologicznie, biorąc również pod uwagę dzieje polityczne. Była to metoda w owym czasie powszechna, według niej pracował np. Jungmann, ówczesnym w ramach o wiele skromniejszych. Pod tym względem dzieło Chojeckiego jest bardziej nowoczesne, niż wydana przez Jungmanna w roku 1825 „Historia literatury czeskiej”. Lecz Chojecki nie podaje ideowych dziejów literatury

czeskiej. Nie pozwalała mu na to nikła znajomość jej starszego okresu, brak zapoznania się ze starymi pamiątkami literackimi oraz niedostateczne wiadomości z czeskiej przeszłości. Lecz jeśli zważymy, że większą część dzieła wytworzył polski pisarz tylko w oparciu o informacje z drugiej ręki, i to w terminie tak krótkim, musimy jego próbę przedstawienia historii literatury czeskiej ocenić jako bardzo udaną.

Chojecki podkreśla niezwykle dobitnie znaczenie husytyzmu. Możemy powiedzieć, iż w swoim czasie był jedynym polskim publicystą, nie wyłączając samego Mickiewicza, który w pełni rozumiał znaczenie humanizmu jako ruchu rewolucyjnego. Śmiało możemy powiedzieć, iż nawet wśród Czechów nie było poza Palackim człowieka, który by z takim zrozumieniem potrafił dokonać oceny rewolucji husyckiej.

Chojecki jako typowy liberał 19 wieku nie interesuje się religijnymi przesłankami husytyzmu. Tym bardziej więc podkreśla jego znaczenie narodowe. Za główną dźwignię wojen husyckich i późniejszych dziejów czeskich Chojecki uważa stosunek wzajemny Czechów i Niemców. I tu odczuć się daje wyraźny wpływ budzicieli czeskich, którzy traktowali husytyzm jako ruch zmierzający do ratowania języka czeskiego.

Godny uwagi jest fakt, iż Chojecki zdaje sobie w pełni sprawę z socjalnej treści husytyzmu. W kilku miejscach swej książki podkreśla, iż wyrazicielem hasła husyckich były szerokie warstwy ludu. Przyczyn upadku idei rewolucji dopatruje się w zdradzie wysokiej arystokracji.

W poglądach Chojeckiego na husytyzm zauważamy, podobnie jak i w innych miejscach jego dzieła, wpływ myśli Mickiewicza, wypowiedziane w jego wykładach paryskich o literaturach słowiańskich w Collège de France. Właśnie w okresie przygotowań Chojeckiego do wydania swej książki ukazały się drukiem wykłady Mickiewicza. Chojecki znał je i jest zupełnie zrozumiałe, iż uległ niektórym jego poglądom. I tak np. Chojecki zgodnie z Mickiewiczem uważa husytyzm za ruch, który wyprzedził swój okres, a przyczyną jego miał być

niezmiernie szybki rozwój kultury czeskiej za panowania Karola IV.

Najcenniejsze uwagi książki „Czechja i Czechowie” dotyczą odrodzenia narodowego. Są tym wartościowsze, iż pochodzą z pióra bezstronnego obserwatora, z pióra Nie-czecha, który mógł wypowiedzieć sąd bardziej obiektywny, niż by to potrafił zrobić autor czeski.

Chojecki podkreśla ludowy charakter odrodzenia narodowego. Mówi, i to znów zgodnie z Mickiewiczem, o „proletariuszach nauki”, którzy w zaczadzonej izdebce, gdzieś na poddaszu, podjęli śmiałą myśl zbudzenia swych rodaków z gnuśnego snu, ożywienia ich ducha przez pamięć sławnych czynów ich przodków i przywrócenia językowi czeskiemu jego dawnej świetności. Mężowie ci wyszli z ludu, nie byli więc agitatorami ani repealistami. Wzmianka o repealistach jest szczególnie ważna, gdyż świadczy o tym, jak dobrze Chojecki orientował się w stosunkach czeskich. Przecież tajny związek polityczny Repeal, który publicznie wystąpił w roku 1848, w czasie pobytu Chojeckiego w Czechach dopiero co zaczął działać.

Przy omawianiu początków odrodzenia narodowego, Chojecki słusznie zauważył, iż twórczość literacką wyprzedza działalność naukowa. Jej zadaniem było odkrywać przeszłość czeską oraz formować nowy język literacki. Chojecki jako demokratą widzi główną siłę czeskiego ruchu odrodzeniowego w szerokich warstwach ludowych. Pogląd ten słusznie podkreślił ludowy i demokratyczny charakter czeskiego odrodzenia. W tym punkcie zbliżył się bardzo do charakterystyki ludu czeskiego, dokonanej przez Mickiewicza, tego ludu, który pomimo najstraszniejszego ucisku potrafił zachować swą odrębność narodową, i w którym pisarze pokładają wielkie nadzieje.

Chojecki wyraźnie sympatyzuje z ludem, za to nieprzejednane stanowisko jakiego zajmuje wobec wysokiej arystokracji. Nie żałuje wcale, iż zniemczona szlachta nie włączyła się w nurt życia narodowego. Uważa ją już za suchą i obumarłą gałąź narodu. Podobnie nieprzychylnie odnosi się Chojecki do mieszczaństwa, którego styl życia nie różni się

jakoby wiele od manier arystokracji. Pogląd dotyczący mieszczaństwa czeskiego nie jest zupełnie słuszny. Czeska klasa mieszczańska rekrutowała się z drobnych rzemieślników i małych przedsiębiorców, i nie zatarała jeszcze swego ludowego charakteru. To nie była bogata burżuazja zrywająca wszystkie więzy z ludem. Mieszczaństwo czeskie tego okresu było jeszcze klasą zdrową i właśnie ono stanowiło główną siłę odrodzenia narodowego.

Ogólnie jednak biorąc, Chojecki trafnie ocenia klasowy charakter odrodzenia narodowego. Pod tym względem polski autor znacznie wyprzedził współczesnych. Nawet czescy historycy literatury dopiero znacznie później zwrócili uwagę na klasowe rozwarstwienie ruchu odrodzenia.

Uwadze Chojeckiego nie uszedł również wyłącznie literacki charakter odrodzenia narodowego. Nie znajdował w nim nigdzie działalności politycznej. Wprawdzie wiedział o niezmiernych trudnościach, na jakie natrafiał rozwój czeskiej literatury i polityczne odrodzenie narodu, lecz pomimo tego wydawało mu się niekiedy, że uświadomienie polityczne postępuje bardzo powoli. Miał wrażenie, jakoby Czesi sami rezygnowali ze swych żądań politycznych, sądząc, iż w pierwszym rzędzie trzeba naród uświadomić pod względem językowym i kulturalnym. Chojecki mniemał, iż do wyrobienia uświadomienia politycznego Czesi potrzebują przede wszystkim wielkiego poety, który by wypowiedział pragnienia całego narodu. Prawdopodobnie Chojecki miał tu na myśli przykłady wielkich wieszczów romantycznych, Mickiewicza i Słowackiego. Autor odnosi się jednak dość pesymistycznie do możliwości wyłonienia się podobnego geniusza w Czechach. Mówi, iż literatura czeska nie wytworzy wielkiego dzieła poetyckiego, ponieważ pisarze zbyt lubują się w zagadnieniach filologicznych i w jałowych sporach o prozodii. Jest to znowu zarzut, który Chojecki powtarza za przykładem Mickiewicza. Ze współczesnych mu poetów czeskich ceni sobie Kollara, szczególnie dźwięczność jego sonetów w „Slávy dceři”. Zarzuca mu, iż pod



Edmund Chojecki

względem artystycznym poeta zmarł jeszcze za swego życia i to na dwie choroby, na które cierpią wszyscy czescy poeci: na starożytność (archeologizowanie) oraz na filologię. Zgodnie z Mickiewiczem i prawdopodobnie pod jego wpływem Chojecki wysuwa poważne zastrzeżenia pod adresem dwóch ostatnich pieśni „Slávy dceři”. Krytyka ta jest zupełnie na miejscu i nawet współcześni Czesi dobrze uprzytamniaли sobie, jak głęboko podupadł artyzm Kollara w jego ostatnich sonetach. Pomimo tego Chojecki uważa Kollara za wielkiego poetę, według którego można podobno odgadnąć, jak wysoko sięgają polityczne nadzieje całego narodu. Lecz właśnie owe myśli polityczne, wypowiedziane w dziele Kollara, Chojecki niechętnie krytykuje. Kollar zamiast śnić o pięknej przyszłości płacze nad przeszłością i marzy o jakimś urojonym państwie słowiańskim pod protektorem Rosji.³⁾

Najwięcej zastanawia nas niedoceniecie przez Chojeckiego poety czeskiego Máchy. Jeszcze mniej jest to zrozumiałe, kiedy uprzytomnimy sobie, iż wśród

informatorów Chojeckiego przeważali ludzie młodzi, entuzjastyczni zwolennicy poezji Máchy. Chojecki przyznaje, iż krytycy prasy stawiają na pierwszym miejscu w czeskiej poezji Máchę. On jednak nie podziela tego zdania. Z dalszego tekstu wynika, iż Chojecki nie dysponował zbyt dokładnymi danymi życiorys Máchy. Dowodzi tego mylny szczegół dotyczący śmierci poety. Chojecki nie zgadza się więc z swymi czeskimi przyjaciółmi w poglądach na temat wielkich zdolności Máchy: „Trudno nam powiedzieć, o ile przeczucia te były słusznymi, poemat bowiem po nim pozostały lubo nie jest bez niejakich zalet, wszelako brakiem pomysłu i organiczności w układzie bynajmniej nie zapowiada wielkiego poety. Macha zaczyna go śpiewając uroczosć przyrody w rozkwicie jej wiosennym i spokoju, dalej, aby postawić obraz zupełnie przeciwny pierwszemu, umieszcza opis zbrodniarza, który wywleczony z więzienia w obliczu tej pięknej natury bity jest kołem. Kto ten zbrodniarz? Za co go tak męczą? — tego wcale nie wiemy. Napróżno szukalibyśmy celu lub ukrytej myśli tendencyjnej. Są to tylko dwa oderwane od siebie obrazy, żadnym węzłem organicznym nie połączone. Prawda, że opis krajobrazu skrzy się zapałem silnie zachwyconej wyobraźni, język jest dźwięczny i poprawny, ale w tem wszystkim nie widać żadnej myśli oryginalnej lub nawet zastosowanej do położenia Czechii.” (Str. 197.)

Zarzuty Chojeckiego pod adresem Máchy i jego poematu „Maj”, mianowicie niejasność akcji, niedostatecznie zarysowane postacie, zbliżają się bardzo do zarzutów niektórych innych krytyków Máchy. Jeśli Chojecki zupełnie słusznie zarzucał literaturze czeskiej, a zwłaszcza poezji, małe i wąskie horyzonty, jeśli domagał się poezji wielkiej i prawdziwej, tym bardziej zadziwia nas fakt, dlaczego nie dostrzegł tych cech w „Maju”, dlaczego nie odkrył Máchę jako rewolucyjnego poetę, śmiałego nowatora i burzyciela starych konwencjonalnych szablonów poetyckich. Może Chojecki słyszał coś od niektórych młodych pisarzy czeskich o ukrytej tendencji tego poematu. Może szukał w nim

tendencji politycznej — i nie znalazł jej. O tym świadcząby ostatnie słowa wyżej cytowanego fragmentu, z których można wyczuć, iż Chojecki miał na myśli poezję patriotyczną, wzywającą naród do walki. W tym połączeniu zarzut Chojeckiego zbliża się bardzo do zarzutów niektórych krytyków polskich wysuwanych pod adresem „Pana Tadeusza” Mickiewicza. Spodziewali się oni albo wielkiego utworu historycznego, albo płomiennego protestu rewolucyjnego w rodzaju Improwizacji z „Dziadów”. Zaskoczeni byli „prostotą” i „niepozornością” młodego bohatera Tadeusza.

Pośród pisarzy-prozaików poświęcił Chojecki najwięcej uwagi w swym dziele Tyłowi. Szeroko i krytycznie omówił jego nowelę „Ostatni Czech” (Poslední Čech), będąc wyraźnie pod wpływem i wrażeniem niedawno wydanej ostrej i potępiającej krytyki Hawliczka. Śmiała ocena i bezlitosne potępienie noweli Tyla przez Hawliczka były dla Chojeckiego dowodem, iż krytyka czeska zaczyna rozumieć swoje prawdziwe posłannictwo artystycznego sędziego a nie tylko przyjacielskiego pochlebcy.

Chojecki zamknął rozdział o współczesnej twórczości literackiej ogólną charakterystyką, w której zarzucił piśmiennictwu czeskiemu prowincjonalizm i poziom gorszy od przeciętnego. Czeskie życie duchowe porównywał z życiem małego ośpałego miasteczka. Zasadnicze wady literatury czeskiej widzi w braku krytyki i przyziemności literatury. Był to sąd zbyt surowy, ferowany z europejskiego punktu widzenia, z którego autor patrzył i oceniał powstającą kulturę czeską. Z przeciętnego na ogół literackiego i kulturalnego życia czeskiego, Chojecki wyróżniał tylko dwóch uczonych, tytanów myśli, mianowicie: — Palackiego i Szafarzyka, mężów o naprawdę europejskim formacie.

Pośród rozdziałów książki, w których Chojecki nie omawia spraw literackich, ważne dla nas znaczenie posiadają jego bystre spostrzeżenia, dotyczące społecznych stosunków w Czechach, szczególnie zaś poziomu gospodarczego rolnika czeskiego, dalek są to uwagi na temat przemysłu czeskiego oraz rozważania

o wkładzie poszczególnych warstw społecznych w procesie odrodzenia. Chojecki chwali poziom kulturalny czeskiego ludu wiejskiego, jego pracowitość, postępowość i uświadomienie narodowe.

Dzieło Chojeckiego „Czechja i Czechowie” było dla Polaków, obok wykładów Mickiewicza o literaturach słowiańskich, głównym źródłem poznania stosunków czeskich przed rokiem 1848. Było wszechstronnym i wyczerpującym wglądem w te stosunki. Pomimo pewnych zastrzeżeń, pomimo zbytniego krytycyzmu, który nie zawsze był właściwy, całe omawiane dzieło z sympatią i życzliwością śledziło proces czeskiego odrodzenia narodowego. Była to kulminacyjna faza zainteresowania się Polaków Czechami w pierwszej połowie 19 wieku. Nawet po więcej niż stu latach, książka Chojeckiego zadziwia nas masą informacji, stosunkową obiektywnością i trafnością spostrzeżeń.

Odzew Czechów na książkę Chojeckiego był bardzo błahy, a właściwie w czasie, kiedy się ona ukazała, żaden. Jedynym może wytłumaczeniem tego dziwnego faktu mógłby być rewolucyjny rok 1848, który odwrócił uwagę pisarzy czeskich w stronę innych zagadnień. Może podzielał tutaj również metternichowska cenzura przedmarcowa na pewno nie pozwalająca pisać o książce, w której autor uważał husytyzm za szczytową fazę historii czeskiej, gdzie ostro potępiał jezuitów i gwałtowną germanizację, zaś rządy dynastii habsburskiej oceniał słowami bardzo mało pochlebnymi. Lecz jeszcze bardziej zadziwia, że ani w korespondencji współczesnych pisarzy czeskich nie znajdujemy żadnej wzmianki o omawianej książce, chociaż jest chyba więcej niż prawdopodobne, że niektórzy z nich, np. Hawliczek, Czelakowski i Szafarzyk, ją czytali. Jest rzeczą zrozumiałą, iż po roku 1848 nie było wiele czasu ani chęci zajmować się sprawami już przedawnionymi. Dopiero w roku 1862 Józef Wacław Fricz ocenił dzieło Chojeckiego. Stało się to w artykule „Pogląd Polaka Chojeckiego na Czechy do roku 1847”, ogłoszonym w czasopiśmie „Obrazy života”. Fricz podkreślił zasługi Chojeckiego i przypomniał, iż od cza-

su „Historii literatury czeskiej” Jungmanna, Czesi nie mieli bardziej treściwego dzieła omawiającego ich piśmiennictwo. Fricz zgadza się z krytycznym spojrzeniem Chojeckiego na przedmarcowe stosunki w Czechach, przyznaje mu właściwie rację, lecz nie podoba mu się potępienie Máchy i niektórych innych pisarzy.

Druga wzmianka o Chojeckim pochodzi z jeszcze późniejszych czasów, ukazała się pod sam koniec stulecia w roku 1899. Wtedy to z okazji śmierci pisarza, znany polonofil Adolf Czerny przypomniał w „Slovanském přehledu” wybitne dzieło Chojeckiego.

Wydanie dzieła „Czechja i Czechowie” nie zakończyło bynajmniej kontaktów Chojeckiego z Czechami. Rewolucyjny rok 1848 zapędził go znów do Pragi. Tym razem występował tu jako delegat sekcji polskiej na Zjazd Słowiański. Chojecki był rozczerowany wynikami tego zjazdu. Jako radykalny demokrat i rewolucjonista, osobiście biorący udział w walkach na barykadach praskich w czasie zaburzeń zielonoświątecznych, spodziewał się czegoś więcej od zjazdu. Oczekiwał, iż pod naporem sił rewolucyjnych runie monarchia austriacka i przywrócona zostanie wolność Polse. Nie był zadowolony z konserwatywnego stanowiska polityków czeskich, z ich posunięć zmierzających do utrzymania monarchii austriackiej. Nawet program Zjazdu Słowiańskiego uważał Chojecki za „mdły i w szczegółach bezbarwny”. Politykom czeskim wytykał, że nie usiłowali o rewolucyjne rozwiązanie swego położenia narodowego. Poglądy te wypowiedział w ciekawym, okolicznościowym dziełku „Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne w r. 1848”. Najbardziej godny uwagi jest zarzut, iż manifest opracowany przez Zjazd Słowiański i wystosowany do narodów europejskich, powinien był zająć stanowisko rewolucji socjalnej oraz że Słowianie powinni byli przedstawić swój pogląd na lepsze ułożenie stosunków społecznych ludzkości.

Jest rzeczą niemal pewną, chociaż nie posiadamy o tym żadnego pisemnego świadectwa, że w czasie Zjazdu Słowiańskiego, Chojecki znów spotkał się

z Hawliczkim. Naturalnie w tym okresie obaj mężowie nie byli już sobie tak bliscy, jak przed trzema laty. Dzieliły ich różnice poglądów na politykę słowiańską.

Ostatni ślad kontaktu Chojeckiego z Hawliczkim pochodzi z roku 1849, z czasów, kiedy Chojecki jest członkiem redakcji postępowego czasopisma „Trybuny Ludów”. W tym właśnie czasie Chojecki w liście pisanym po francusku i zaopatrzonym w nagłówek czasopisma zwrócił się do Hawliczka, najbardziej znanego dziennikarza czeskiego, redaktora „Národních novin”, z propozycją współpracy. Nie wiemy, czy Hawliczek odpowiedział na ten list. Jest natomiast rzeczą pewną, że do czasopisma paryskiego nie posłał ani jednego artykułu. Może stało się tak z braku czasu, może też nie odpowiadała mu ideowa tendencja czasopisma, które na pewno znał. W ten sposób drogi obu mężów rozeszły się.

Polonistyka czeska nie dokonała jeszcze pełnej oceny dzieła Chojeckiego. Jego książka o Czechach zasługuje na skrupulatne i wszechstronne badanie, gdyż stanowi wybitny etap w rozwoju czesko-polskich stosunków kulturalnych.

¹⁾ Karol Edmund Chojecki (1822—1899) — polski pisarz i publicysta, później, kiedy pozostał na dobrowolnej emigracji w Francji, piszący również po francusku pod pseudoni-

mem Charles Edmond. Od roku 1841 był współpracownikiem „Gazety Warszawskiej” i „Biblioteki Warszawskiej”. Od roku 1844 umieszczał swe artykuły w francuskiej „Revue Indépendante”. Był zręcznym stylistą, ciętym publicystą, interesującym się głównie zagadnieniami politycznymi. W r. 1845 powrócił na krótki czas do Polski, stamtąd zaś wyjechał na pobyt naukowy do Czech. Po raz drugi przyjechał do Czech w r. 1848 jako uczestnik Zjazdu Słowiańskiego. Po r. 1848 zamierzał osiedlić się na stałe w Galicji, lecz nieprzychylnie stosunki polityczne zmusiły go do wyjazdu do Paryża. Tam współpracował z socjalistycznym czasopiśmie Proudhona „Le Peuple” oraz był członkiem redakcji czasopisma Mickiewicza „Trybuny Ludów”. Przed procesem, jaki wytoczono niektórym członkom redakcji tego czasopisma, Chojecki wyjechał do Egiptu. Później odbył podróż po Włoszech i Szwajcarii, a do Paryża powrócił dopiero w r. 1851. W r. 1867 został mianowany komisarzem egipskim na paryską wystawę światową.

Z jego licznych dzieł beletrystycznych wyróżniają się opowiadania „Alkhadar” oraz „Prakseda”. W francuskim świecie literackim zasłynął jako autor lubianych utworów scenicznych. Jeden z nich, „La Florentine” został przełożony przez Franciszka Władysława Riegra na język czeski i był wystawiany również w Pradze pod tytułem „Vláda a láska”.

²⁾ Poemat ten rzeczywiście ukazał się w zbiorze poezji pt. „Gęśla”.

³⁾ Zarzut ten nie bardzo był celny. Kollar miał na myśli raczej kulturalną wspólnotę słowiańską, a nie polityczne złączenie.

BOHUŠ BALAJKA
Tłumaczył Dr J. M.



Koronka czepca cieszyńskiego

Liryki z podróży

WIECZÓR NA DONIE



Na zielonych falach Donu
Karminowe zorze płoną.
Nad stepami gorejący
Stacza się słonecznik słońca.

Pachnie wiatr zielem rozgrzanym,
Szałwią gorzką i burzanem.
Gra cichutko, gra harmoszka:
... Poczemu skuczna dziewczątka?

Step szeroki, step daleki,
Idą owce na brzeg rzeki.
Czarne owce na brzeg Donu,
Wnet przystaną, główki skłonią —
Słońce w Donie gaśnie smugą
Stoją owce... piją długo...

STEP PRZED BURZĄ



Po bezkresnym stepie nieba
Cwałują białe stada chmur.
Trawy się kłonią nisko.
Raz daleko, raz blisko
iskrami niebo błyska
spod kopyt tatarskich jeźdźców.
Huk grzmotu — drży ziemia
I pragnie deszczu.

W CIENIU CYPRYSÓW

O, cyprysy!
Antyczne słupy południa,
Kiedy się niebo wyludnia
z chmur białych turbanów,
w zatokach morza przeglądacie
swe smukłe linie,
jak mieszkanki haremu
w serajowym zwierciadle.

O, cyprysy!
Jak maszty
na błękitnym okręcie,
tylko przypiąć wam
bielutkie żagle
i popłynąć wysoko
tam, gdzie orzeł nie lata,
I popłynąć, daleko,
choćby gdzieś na kraj świata...



O, cyprysy!
Zamiast o deszcz modlić się
Do Allacha,
wysłuchajcie cykad
w burzanowych krzakach
o miłości i przemijaniu.

A ja usiądę nad zatoką
licząc na zboczach
pasące się owce,
i przypomnę sobie,
o cyprysy smukłe,
w mych rodzinnych stronach
beskidzkie jałowce.

HENRYK JASICZEK

Powstanie i rozwój miasta Cieszyna



Sercem ziemi, którą prastary, piastowski jeszcze gród obdarował swą nazwą — jest Cieszyn, jedno zarazem z najstarszych miast śląskich. Wyjątkową urodziwość nadała temu miastu ze skarbcza swego piękna w zamian za o-trzymaną nazwę ziemia, na której leży. Powstający i narastający w czasie kształt piękna tworzyła historia, decydujące zaś na tle całości obrazu subtelności wydobywały przyczynki kulturalne. Możnaż się tedy dziwić, że mieszkańcy Cieszyna całym sercem na mieście swym wiszą, przywiązani do niego przebogatą tradycją historyczno-kulturalną oraz rzadko spotykanym pięknem. Jest w tej miłości każdego z nas coś ze średniowiecznego przypisania do ziemi — jest coś i z romantyzmu. Przykłuwa myśl przywiązaniem przeszłość historyczno-kulturalna — zaś serce romantyczny widok uroczego miasta, które widziane oczyma wyobraźni i fantazji zdaje się być po części Rzymem, położonym na siedmiu wzgórzach, to znów Wenecją z domkami, moknącymi w wodzie, albo Krakowem, gdyż i tu każdy kamień zda się być żywym kamieniem historycznym, czy też krainą kwitnących wiśni,

jabłoni i magnolii. A wszystko to stąd wypływa, że miasto to zrodziło się z uczucia radości, jak mówi legenda. Dlatego też każdy będący tu, lub przybywający musi darzyć je uczuciem kraju lat dziecinnych, który zawsze jest drogi, jasny i bliski, kraju, do którego wraca się zniewolonym, bo serce w nim zostało. Tak chociażby rzecz miała się z nestorem historyków Śląska Cieszyńskiego — Franciszkiem Popiołkiem, do którego ziemia ta przemówiła z pożółkłych kart pergaminowych. Ziemia i miasto zlewają się w odruchu uczuciowym w jeden przedmiot o różnych tyłki, bardzo różnorodnych cechach. Zachwyt i urzeczenie spowodowały Gustawa Morcinka do napisania słów charakteryzujących w ogólności miasteczka śląskie, których bezosobowy wyraz można by przystawać i z powodzeniem przenieść do naszego Cieszyna:

„W miasteczkach śląskich drzemie historia Piastów. Oto stara wieża ratuszowa z herbem księżęcy pod kalenicą, tam znów stary kościół z wykuszami i z grubymi murami, z murów zaś patrzą srogie postacie rzezane w kamieniu, pobożne nagrobki dawnych Piastów i wielmożów śląskich. Czasem na rynku i w przyległych uliczkach wąskie kamienice trzyokienne, szczytami zwrócone do świata, czasem kamienne odrzewia w barokowe zdobniki u góry rzezane i w daty zdobione, by świadczyć o dawnych dziejach rodów mieszczańskich. W kamieniczkach sienie sklepione na sposób gotycki, podłogi drewniane, skrzypiące schody. Czasem ulice spadają zakosami z kępy wysokiej do rzeki, domy zaś wynoszą się w górę spiętrzoną, czasem tworzą się zaułki i ciasne uliczki, obcierać się trzeba o omszone szkarpy, schodzić wydeptanymi stopniami kamiennymi i znów oczy radować urokiem nowych zaułków i nowych uliczek”.

Nic zatym dziwnego, że ludzie tutejsi żywo interesują się historią tej prastarej

ziemi i miasta, często zapytaniem do niej nawracają, i ciągle nie mogą się dosyć tej gawędy nasłuchać. Ale dlatego też właśnie trudno jest mówić o przedmiocie ogólnego i osobliwego ukochania — bo widziany przez indywidualny pryzmat uczucia zyskuje tak różnorodny i odrębny obraz. Analiza ta jest tym trudniejsza, że miasto zazdrośnie strzeże tajemnicy swej przeszłości, której obraz zniszczyły pożary tak liczne w tym dość długo drewnianym prawie miasteczku; początkowe dzieje miasta przepadły w płomieniach pożarów zamku i już chyba nigdy z całą pewnością do nich nie dotrzemy; można tylko snuć przypuszczenia, podtrzymywać tradycję, przeprowadzać tęzę drogą porównawczą, czy też trzymać się skąpych, zdawkowych słów odczytanych z dokumentów starych albo puścić cugle fantazji, dając posłuch legendzie. Bo też zwykle u podstaw założenia miasta spoczywa legenda i prawda historyczna. Niejednokrotnie jedna drugą wyprzedza lub stoi w jawnej z nią rozbieżności. Jest trochę w przybliżeniu prawdy w legendach; lecz obiektywnie cecha ta przynależy się historii, która dowody swe dokumentami przejawia, gdzie zaś tych nie dostaje z uwagi na zbyt wczesny okres czasu, oddaje prymat prehistorii, która niepisanych wydarzeń szuka w ziemi. Odkrycia narastają w czasie. W ten sposób wzbogaca się łańcuch wydarzeń dziejowych o dalsze ogniwa albo też uzupełnia o brakujące.

Zaczątki Cieszyńska wysuwano w czasy przedpiastowskie. Przypuszczano dla Cieszyńska dosyć wczesne osadnictwo — poważniejszą zaś rolę grodu łączono z wiekiem XI, kiedy to Bolesław Chrobry umacniał granice swego państwa zamkami obronnymi. Przed wiekiem XII trudno było się uchwycić jakiejś daty czy faktu historycznego, odnoszącego się konkretnie do miasta Cieszyńska. Wysnuwano to czy owo na drodze wniosków i porównań. Dlatego też zdziwi nas dzisiaj legenda powstała dość wcześnie a zapisana przez kronikarza Schickfussa w XVII wieku, jeśli przyjmiemy, że ongiś średniowieczni kronikarze brakujący materiału uzupełniali domysłami i amplifikacjami. W tym wypadku legen-

da miała wypełnić dawną przestrzeń czasową, nadać początek miastu i nawet nazwę. Dziś jeszcze zabytek, z jakim związana jest legenda — Studnia Trzech Braci, o której dokumenty wzmiankują już w wieku XV, położona przy starej, średniowiecznej uliczce opodal góry zamkowej przypomina owo legendarne wydarzenie, które uroczystie obchodzono w domniemane tysiąclecie powstania miasta w roku 1810.

Są jeszcze kamienie historyczne, które badane mogą ożyć i przemówić. Na Przykopie widnieją resztki starych murów obronnych z początku XIII wieku pochodzących — ale przecież znacznie więcej posiadać ich winna Góra Zamkowa jako miejsce usytuowania się grodu i późniejszej kasztelanii.

Powierzchniowe prace poszukiwawcze prowadzili już Niemcy na Górze Zamkowej w r. 1941. Nie znalazłszy tam jednak szukanych śladów, mających stanowić dowód niemieckości, przerwali swe prace.

Podjęto je w latach powojennych w roku 1947. Do roku 1952 trwały poszu-



kiwania, w wyniku których odkryto 15 warstw wykopaliskowych. Tajemnica wydarta ziemi pozwoliła rzucić snop światła na dawne, nieznane dzieje, początki zaś cofnąć na ustalony bliżej do wodami znaleziskowymi grunt.

Przeszło dwa tysiące lat temu, to jest w drugiej połowie ostatniego tysiąclecia przed n. e. powstała na Górze Zamkowej, będącej najdawniejszym założeniem ukształtowanego w wieku XIII miasta, stała osada ludności o charakterze prasłowiańskim. Ludność kultury łużyckiej posiadała w ostatnich dwóch wiekach przed n. e. kontakty z Celtami, zamieszkującymi pobliskie tereny czeskie — na co wskazują znaleziska złotej monety celtyckiej, czy paciorka szklanego. Góra Zamkowa była dogodnym terenem dla osadnictwa z uwagi na swe położenie — już z natury rzeczy obronne. Oblana z dwóch stron rzekami — Olzą i jej dopływem Bobrówką, zabezpieczała nadto samym swym wzniesieniem. Prócz wpływów celtyckich można również do IV wieku naszej już ery zanotować wpływy rzymskie. Z wzrostem cesarstwa rzymskiego złączona jest ekspansja i eksploatacja terenów leżących na północ od Dunaju. Szlak dróg handlowych kupców rzymskich prowadził przez Bramę Morawską na Śląsku Cieszyński przełęczą, szczególnie jabłonkowską — szlak zaś bursztynowy wiódł handlujących przez te ziemie na północ do Bałtyku. Niemale zatem znaczenie posiadała cieszyńska osada, leżąca od dawnych czasów u skrzyżowania wielkich szlaków i ważnych, uczęszczanych dróg handlowych.

Z chwilą niszczenia warstwy kulturowej zrównywano teren z ziemią, przekopywano i wznoszono nowe zabudowania. Powstałe stąd zniszczenia nie pozwalają nie tylko na bliższe określenie charakteru i wyglądu pierwotnej osady, lecz w dalszej konsekwencji stwarzają niepewność co do osadnictwa w ogóle na przestrzeni od wieku IV do IX.

Być może, że w tym czasie, względnie też w okresach późniejszych popożarowych chwilowo i przejściowo mieściła się osada grodowa w położonej na północ o 5 kilometrów Podoborze, zwanej przez lud Starym Cieszyniskiem, przez

Popiołka zaś domniemanym pierwotnym miejscem dzisiejszego Cieszyna.

Od IX natomiast do XII wieku Góra Zamkowa staje się obronnym, ufortyfikowanym potężnymi wałami grodem. Na skutek polityki Bolesława Chrobrego, jego zdobyczy terytorialnych w Słowacji, nabrał gród cieszyński większego znaczenia. W drewnianym grodzie, posiadającym potężne mury i wały obronne przebywali jego władcy, jak wynika ze znalezisk złotych przedmiotów.

Wraz z wiekiem XIII, który przyniósł założenie miasta i utworzenie księstwa cieszyńskiego, zmienił się charakter Góry Zamkowej. — Pierwotna osada mieszkalna przekształciła się w gród warowno-obronny, który w czasie istnienia kasztelanii cieszyńskiej stał się siedzibą władcy, na przełomie zaś wieku XII i XIV rezydencją księcia i jego dworu.

Tyle wykopaliska.

Pierwsza historyczna i minimalna wzmianka o Cieszynie pochodzi z dnia 23 kwietnia 1155 roku. Zawarta jest ona w dokumencie papieża Hadriana IV, w którym tenże potwierdza biskupowi wrocławskiemu posiadłości należące do jego diecezji. Wśród wymienionych w spisie dóbr figuruje kasztelania cieszyńska. Kasztelan podległy był królowi polskiemu, bezpośrednio zaś dowodził licniejszą załogą, składającą się ze służby, rolników i rzemieślników wykonujących potrzebne świadczenia. W ten sposób zaczęła się wytwarzać przy grodzie kasztelana osada miejska a nawet przedmieście, skupiające osadników. Kasztelan, rezydujący na Górze Zamkowej zamieszkiwał niewątpliwie w jakimś bardziej od reszty odróżniającym się zabudowaniem, które określali historycy i badacze mianem zamku. Była to przypuszczalnie budowa drewniana, odpowiednio obwarowana i umocniona.

Trudno bliżej określić czas powstania najcenniejszego i najciekawszego zarazem obiektu na terenie Góry Zamkowej, jakim jest **kaplica zamkowa**, rotunda, znana jako kościółek pod wezwaniem św. Mikołaja. Jest to jeden z najstarszych zabytków na terenie Śląska Cieszyńskiego, jeden z nielicznych w Polsce, przedstawiający wartość na skalę

środkowo-europejską, gdyż w tym paśmie spotyka się rotundy, których geneza jest bizantyjska. Różnie twierdzą historycy, zdania ich są podzielone; czas tedy powstania rotundy waha się w granicach od XI do XIII wieku. Przypuszczalnie wiąże się powstanie kaplicy z kasztelaną cieszyńską — a zatem byłby to zabytek XII wieku. Przy tego rodzaju skupiskach ludności powstał zwykle kościół i to często na miejscu dawnego pogańskiego. Góra Zamkowa prócz punktu osiedleńczego była również w dawnych czasach miejscem kultu pogańskiego, który koncentrował się w chrampie bogini Marzanny, na którego miejscu stać miała rotunda. Dokumentami potwierdzono jest istnienie kaplicy dopiero w wieku XIII — w roku 1223.

W latach 1210—1211 mieli przybyć do Cieszyna, sprowadzeni przez Kazimierza Opolskiego Benedyktyni z Tyńca, których działalność poprzedzała i przygotowywała kolonizację. Z pobytom ich w Cieszynie ma się wiązać nazwa pobliskiego wzgórza Winograd, gdzie uprawiali winną latorośl; przy ulicy Li-

burnii rozciągały się pola zagospodarowane kulturą rolną, której poziom podnosili wśród osadników Benedyktyni.

Osadnicy, na których składała się ludność miejska i przybysze ze Śląska oraz z Niemiec, zamieszkiwali pod grodem kasztelana w północnej części powstającego miasta, na obszarze dzisiejszego **Przedmieścia Fryszackiego**. Orientacja urbanistyczna przekształcającej się w miasto osady zaznaczała się wybitnie w kierunku południowo-wschodnim, wychodzącym od centralnego punktu, jakim była Góra Zamkowa.

Ekspansja ta, nie natrafiająca w tej części na przeszkody, uwarunkowana była ponadto naturalnym stanem rzeczy — granicami wód, jakie w części zachodniej i północnej tworzyła Olza z Bobrówką, do których miasto zasięgiem swym podeszło dopiero w czasach późniejszych. Przekształcanie się osady w miasto, zorganizowane na wzór zachodni, dokonało się w początkach XIII wieku. Dokładnej daty podać tutaj nie podobna, gdyż brak jest szczegółowego





materiału źródłowego, który dla czasów średniowiecznego Cieszyna jest bardzo znikomy. Fakt ten nastąpił w każdym bądź razie po roku 1217, gdyż wtedy osadzony został na prawie niemieckim Lwówek, na którym się Cieszyn wzorował. Z dokumentów wynikałoby, że w roku 1223 miasto już istniało, jako że w tymże roku przychodzą pewne nadania dla kościoła św. Mikołaja w Cieszynie. Być może nastąpił proces organizacyjny później, kiedy w latach 1236—1240 miało miasto otaczać i umacniać obwarowaniem przeciw ewentualnemu napadowi tatarskiemu.

Brak źródła nie pozwala bliżej określić czas powstania murów obronnych. Ponieważ jednakże towarzyszyły one średniowiecznym miastom, należy przypuszczać, że powstały one wkrótce po założeniu i zorganizowaniu miasta. Mury obwodowy pierścień obronny, grubości dwóch sążni, który otaczał miasto do końca XVIII wieku, powstał stopniowo i dopiero w wieku XVI tworzył zwarty, jednolity krąg. Dostęp do miasta umożliwiały wówczas trzy bramy: w południowoschodniej części Wyższa Brama, znajdująca się u wylotu dzisiejszej ulicy Szersznika, Brama Fryszacka, umiejscowiona na Przedmieściu

Fryszackim w stronie północnej oraz Brama Wodna, leżąca w południowozachodniej części miasta w pobliżu mostu na Olzie. W czasach późniejszych dodano w murach jeszcze dalsze bramy, ponadto w kilku miejscach mur był przerywany furtkami, tworzącymi wyjścia.

Bramy posiadały wieże wartownicze, pomieszczenia dla wartowników oraz do przechowywania towarów; służyły później raczej dla kontroli ruchu handlowego aniżeli dla obrony, jak pierwotnie. Rozrost miasta z uwagi na okrzęzne mury był bardzo utrudniony. Oblicze miasta nie odbiegało od typowych, średniowiecznych założeń — wąskie, kręte uliczki, przeważnie drewniane domy o gontowych dachach wyposażone w podsienia i kramiki, skupiające się przy ówczesnym rynku oraz wzdłuż ulicy Głębokiej, stanowiącej jedyną do przejazdu drogę — do XVIII wieku tak wąską, że dwa wozy nie mogły się wyminać.

Średniowieczny Cieszyn, rozprzestrzeniający się od Góry Zamkowej w kierunku południowo-wschodnim sięgał pierwotnie nieco za dzisiejszy Stary Targ, który wówczas stanowił punkt centralny miasta, będąc jedynym większym planem, tworzącym zarazem rynek.

„Na środku Starego Rynku — pisze Popiołek w *Dziejach Cieszyna* (str. 234) — stał pierwotny ratusz i obok niego budy, względnie ławy do sprzedaży wyrobów rzemieślniczych. Otoczony on był domami drewnianymi z podsieniami, w których także urządzone były kramiki. Towarzyszyły one zresztą całej drodze głównej, począwszy od Bramy Wodnej aż po Wyższą.”

Kiedy w XIII wieku — prawdopodobnie w roku 1272 powstał kościół i klasztor dominikanów, stojący na miejscu dzisiejszego kościoła farnego, mieścił się on pierwotnie poza miastem i dopiero później, gdy otaczano je murami, został wciągnięty w ich obręb. Obszar, jaki zajmował, najlepiej zobrazuje fakt, że na terytorium jego dóbr powstała w XVI wieku nowa dzielnica miasta — tak zwane Nowe Miasto. Dokumentami stwierdzone jest jego istnienie dopiero od roku 1332 (klasztor od r. 1301). Wia-

domą natomiast jest rzeczą, że kościół ten obrali sobie Piastowie cieszyńscy za miejsce swego spoczynku — stąd też pochodzi rozległość jego dóbr (np. Mnisztwo) i okazałość pierwotnej gotyckiej świątyni. Po dziś dzień zachował się jeszcze w tym kościele przebudowanym w XVIII, kamienny nagrobek księcia Przemysława, jednego z najpotężniejszych cieszyńskich książąt piastowskich.

Źródłowo trudno powiedzieć cośkolwiek na temat początków prawie że wszystkich kościołów w Cieszynie. Pod koniec XIII wieku po roku 1290 powstał w miejscu, gdzie dziś stoi teatr, pierwotny kościół farny pod wezwaniem Marii Magdaleny. Kościół, położony w pobliżu ówczesnego rynku, był początkowo drewniany, jako murowana świątynia znany jest dopiero w dwa wieki później.

Miasto rosło powoli — nie cały obszar w mieście był zabudowany, jak również poza murami. Stopniowe narastanie nowych elementów, kompleksów czy poszczególnych obiektów urbanistycznych powodowało zanikanie pól, ogrodów oraz zapełnianie stojących dotąd pustką miejsc.

Większego znaczenia nabiera miasto od decydującego momentu historycznego, stanowiącego przełom nie tylko w dziejach Ziemi, ale i miasta Cieszyna. Nastąpiło to w roku 1290. W części księstwa opolsko-raciborskiego, któremu dotąd podlegała ziemia cieszyńska po oderwaniu się w r. 1163 Śląska od Polski, powstało odrębne Księstwo Cieszyńskie. Na stolicę i siedzibę książęcą wyznaczono Cieszyn, do którego przybył jeden z synów Władysława Opolskiego — Mieszko I, dając początek linii Piastów cieszyńskich. Istniejące zabudowania na Górze Zamkowej wystarczały księciu na tymczasowe mieszkanie. Następca jego — Kazimierz, lecz raczej może dopiero Przemysław (gdyż był to najzamożniejszy i najpotężniejszy wśród Piastów cieszyńskich) wystawił sobie za rezydencję wspinały zamek murowany na Górze Zamkowej, zwany zamkiem górnym. Była to wówczas pierwsza budowla murowana w mieście. Później dopiero pojawiają się kościoły murowane, ratusz i inne obiekty. Okazałość bu-

dowli kazała wносить nie tylko o zamożności jej fundatora, ale w ogóle całego miasta i księstwa. Zamek ten przyczynił się wydatnie do wyglądu miasta na twierdzą — zresztą do końca XVIII wieku uchodził Cieszyn za bardzo warowne miasto. Odzwierciedleniem tego poglądu był herb, wykazujący na błękitnym tle biały zamek z dwoma szpiczastymi cynowymi wieżyczkami z boku, w środku otwartą bramę, pod nią płynącą Olzę a nad całością w górze złotego orła.

Nad zbiorowiskiem zabudowań zamkowych wystrzelała wydatnie 39 m wzwyż XIV—wieczna, jako zabytek gotyku, reprezentacyjna **wieża piastowska**, zdająca się posiadać charakter obserwacyjno-obronny. Odnaleziony opodal kaplicy zamkowej kafel z napisem PRIMISLAUS DUX TESSINENSIS każe przypuszczać, że i wieża jest pomnikiem świetności wspomnianego już Przemysława.

W wieku XIV warto przypomnieć o dwóch wydarzeniach, które obfitowały w następstwa — w roku 1327 przyjął Kazimierz Księstwo Cieszyńskie jako lenno z rąk króla czeskiego, stając się jego wasalem; za Przemysława zaś w roku 1374 nadano miastu, z wzoru Wrocławia zacerpnięte, prawo magdeburskie. Po dokumentach pisanych pierwotnie po łacinie (pierwszy z roku 1290, podające za granice księstwa Ostrawicę i Białkę), nielicznych w języku niemieckim, panującym językiem archiwaliów na długi czas stanie się język czeski.

Zasadnicze przywileje nadane zostały miastu w wieku XV. Rok 1416 przynosi z rąk Bolesława sformułowanie praw osobistych, nadanie prawa milowego, stanowiącego określenie działalności handlowej i rzemieślniczej. Za jego następcy Przemka w roku 1468 wydzierżawione zostało miastu prawo warzenia piwa, które stało się podobnie, jak prawo wyszynku wina, potwierdzone w roku 1521, podstawą ekonomiczną gospodarki miejskiej. Prócz ważnego źródła dochodów, jaką stanowiła propinacja, czerpało miasto korzyści z pewnych opłat — w tym sądowych, z myt i cła. Od księcia uzyskało pastwiska, znajdujące się poza miastem, które w roku

1496 sięgały aż po granicę kalembicką. Drzewo z lasów książęcych potrzebne do budowy domów spławiano rzekami, na polach książęcych, które w XVI wieku mieściły się już po lewym brzegu Olzy, bielono płótno. Od XV wieku (1438) do XVI w. posiadało miasto prawo bicia monet. Mennica, którą zamknięto ostatecznie w r. 1655 znajdowała się w jednym z domów przy ulicy noszącej po dziś dzień nazwę Menniczej. Pierwotna osada o charakterze rolniczym zaczęła coraz bardziej przemieniać się w rzemieślniczą; powstają liczne cechy, dla których zasadnicze przywileje i nadania statutowe pochodzą z XV i XVI wieku. Struktura demograficzna wykazuje w XVII wieku wśród mieszkańców 93% rzemieślników.

Gdyby obserwować miasto na przestrzeni wieków, należałoby stwierdzić, że decydującym i najbardziej korzystnym dla rozwoju urbanistycznego miasta jest okres od XIII do XVI wieku, szczególnie zaś wiek XV i XVI. Liczne przywileje i nadania książęce gwarantowały wówczas dobrobyt mieszkańców oraz powodowały rozwój miasta, które nie zapominało przy tym i o oświecie — już bowiem od wieku XIV istniała w mieście szkoła. Ponadto dosyć wcześnie pojawia się fundacja opieki społecznej, potwierdzona w wieku XV, a znajdująca się przy Przedmieściu Fryszackim z bardzo dawnym kościółkiem św. Jerzego. W latach 1470—1475 za Przemka II powstał pomiędzy Bobrówką a murami

miasta kościół i klasztor Bernardynów. Obiekt ten, znajdujący się poza miastem, opustoszał w czasie reformacji, przechowując się jedynie w tradycji i podaniach ludowych. Przypominała go również do niedawna ulice o nazwie Bosak.

Kroniki notują pożar zamku w roku 1484 oraz wzniesienie w r. 1496 przez Kazimierza II murowanego kościoła farnego w miejsce pierwotnie drewnianego, znajdującego się obok dawnego rynku — Starego Targu. Tenże sam książę wydał w dokumencie z wtorku przed św. Wacławem w r. 1496 rozkaz rozebrania starego ratusza i pozostawienia obszaru rynku po wsze czasy wolnym. Dla pomieszczenia nowego ratusza murowanego, który miał stanąć przy rynku dzisiejszym, odsprzedał książę miastu dwa swoje domy, przylegające do muru klasztoru dominikańskiego. Ratusz, zbudowany z kamienia posiadał drewnianą wieżę. Przeniesienie rynku na miejsce obecnego, łączyło się z ekspansją terytorialną miasta w kierunku południowym, gdzie zresztą w wieku XVI powstaje przedmieście t. z. Górne. Dzisiejszy rynek górny wytworzył się w miejscu, gdzie odbywały się targi pomiędzy ludnością donoszącą żywność do miasta a mieszkańcami.

Prąd reformacji, który przyczynił się do ukształcenia i spopularyzowania języka narodowego i powstania pierwszych polskich druków na Śląsku, które pisane piękną staropolszczyzną tak znamienne zaważyły na mowie ludu śląskiego, wywarł również wpływ na rozwój urbanistyczny miasta. Pozostałości dóbr kościelnych i klasztornych bernardynów, oszczędzone przez zamęty i rozruchy religijne, przekazane zostały szpitalowi, na obszarze zaś klasztoru dominikańskiego powstała w latach 1556 i 1540 nowa część i dzielnica miasta.

Rozrastające się w obrębie murów i poza murami na przedmieściach miasto uległo w roku 1552 dnia 1 sierpnia katastrofie ogromnego pożaru, który jednakże stał się przyczyną jednej z głównych faz rozwojowych miasta. Dalszą fazę stanowić będzie podobna przypadłość mająca miejsce w r. 1789.



„Po pożarze (z r. 1552),” pisze Popiołek w Dniach Cieszyńska, str. 235, „który zostawił tylko ulicę Srebrną t. z. zabudowania w sąsiedztwie ratusza, odbudowano Cieszyn na nowo z tą zmianą, że na rynku stanęły zamiast ław podcienia i to murowane (1563). Zresztą jednak Cieszyn pozostał w zasadzie miastem drewnianym. Domy mieszczkańskie były prawie wszystkie z drzewa, murowane były tylko budynki publiczne. Wygląd miasta ogólny zresztą zmienił się w tym okresie, którego trwanie należy oznaczyć na czas do r. 1789, dosyć znacznie. Miasto powiększyło się nieco, miejsca wolne jako też i ogrody zostały zabudowane i zaczęły powstawać coraz nowe domki poza murami, już nie tylko od strony południowej, ale także indziej nad Olzą i Bobrówką, nie przekraczając oczywiście tych rzek. W samym mieście przybywało coraz więcej domów murowanych. Wprawdzie mieszczanie stawiali w dalszym ciągu domy drewniane, małutkie, o jednej lub najwyżej dwóch izbach, ale natomiast szlachta budowała już z kamienia, a domy jej zresztą również parterowe przedstawiały się w porównaniu do mieszczkańskich całkiem okazałe.”

Obraz tego miasta pochodzący z roku 1640, przedstawiony jest na sztychu w topografii Meriana. Szczególnie wybijają się na pierwszy plan zamek (odbudowany ze zgliszcz pożarowych w roku 1570 i 1603). Wiek XVII źle zapowiadał się dla przyszłego rozwoju urbanistycznego. Miasto było mocno wyludnione przez reformację i zarazę. Gospodarczy dobrobyt podcinały pożary, zadłużenia się panujących przez zaciąganie od miasta pożyczek, wreszcie wydarzenia wojenne, związane z tym oblężenia, kwatery, przemarsze obcych wojsk. Szczególnie po wojnie 30-letniej miasto tak podupało, że dopiero w dwa wieki później udało się podnieść. Najwięcej ucierpiał broniony i zdobywany zamek, którego górna część legła prawie że w gruzach. Nie było komu zadbać o zamek, brakło ręki opiekuńczej dla miasta, gdyż w roku 1653 wymarli Piastowie cieszyńscy. Śląsk przypadł Habsburgom.

Niedbałe rządy pełnomocników, jakimi byli zarządcy dóbr habsburskich, da-

wały się miastu niekorzystnie we znaki, idąc w parze z dalszymi klęskami pożarów, pomorów i wojen. Co prawda uwalniano pogorzelców od podatków, ściągano rzemieślników, którym jedynie można było sprzedawać domy związane z korzystnym prawem propinacji, czy też restaurowano poszczególne obiekty, jak np. ratusz w r. 1660, 1670, ale na ogół były to przysłowiowe krople w morzu. Powstawały nowe obiekty poza murami, jak np. kościół św. Trójcy w r. 1595 łącznie z cmentarzem — smutną koniecznością zarazy, która pochłonęła wiele ofiar — albo też w jego sąsiedztwie kościół i klasztor Bonifratrów w r. 1700, posiadający również urządzenia szpitalne, czy też na podstawie ugody altransztackiej w r. 1709 zbudowany kościół ewangelicki, lub koszary wzniesione przy ulicy Menniczej w r. 1751 zaś w rynku, miejscu dzisiejszej poczty w r. 1754 kościół i klasztor Elżbietanek. Ale znacznie więcej było klęsk. Wybuchła w roku 1715 zaraza, wygnała mieszkańców do namiotów na Małą Łąkę, dziesiątkując ludność. Górne Przedmieście zniszczył w roku 1718 pożar, który w dwa lata później w r. 1720 spustoszył większą część miasta, w którym zostało się tylko 29 domów z 286 znajdujących się w obrębie murów. Miasto znów odbudowano, ponownie odrestaurowano, ratusz nawet jeszcze w rok przed ostatnim wielkim pożarem (1788). Wydarzenia te powodowały obniżanie się liczby domów, lichych i stawianych po części jeszcze z drzewa. Wojny pruskie nie pozostawały bez echa dla miasta i też dorzuciły zniszczeń. Tok tych klęsk doszedł do szczytu z uwagi na rodzaj i częstotliwość w latach 1785 i 1789. Trzykrotne trzęsienie ziemi — 1785, 1786 i 1788 sprawiły, że bramy miasta runęły a podniszczone i nie odnawiane mury zarysowały się i popękały w kilku miejscach. Pożar wybuchł w r. 1785 na Przedmieściu Frysztaćkim zniszczył tamże 13 domów. Decydującym jednak i bardzo znamienym w następstwa dla miasta stał się pożar, jaki wybuchł w dniu 6 maja roku 1789 w jednym z domów na strychu wypełnionym słomą. Spaleniu uległy wszystkie budynki publiczne i 276 domów prywatnych w sa-

mym mieście i na przedmieściach. Szko-
da wynosiła 500.000 guldenów. Na sku-
tek ogromnych zniszczeń całe miasto
musiało ulec gruntownej przebudowie.
Zniesiono mury i bramy, dzięki czemu
miasto zyskało szerszy oddech prze-
strzenny i nie krępowane murowanym
pierścieniem zaczęło się rozrastać i
przybierać zarys dzisiejszy. Niektóre z
obiektów zbyt zniszczonych nie odbudo-
wywano więcej, jak np. kościół farny,
stojący na placu dzisiejszego teatru, na
miejscu starego stanęły koszary.

Na ogół jednakże starano się odtwa-
rzać dawne obiekty zabytkowe. Plan
odbudowy miasta dostarczył rząd, który
dbał równocześnie o uwolnienie od po-
datków. Przeprowadzono regulację i po-
szerzenie ulic, stwarzając z ulicy Głę-
bokiej główną arterię ruchu; wydano
rozkaz stawiania budynków murowa-
nych, by raz na zawsze zmniejszyć nie-
bezpieczeństwo pożarów. Zasadniczy
wygląd dzisiejszego miasta począł się
tworzyć około roku 1800, kiedy na ryn-
ku powstawały kamieniczki z podsie-
niami i stanął nowy ratusz o klasycys-
tycznej fasadzie. Cieszym znajdował się
wtedy w rozkwicie, który doszedł do

szczytu w drugiej połowie XIX wieku,
stanowiącej bardzo ważny okres rozwo-
jowy dla dzisiejszej urbanistyki miasta.
Ogólna liczba domów w mieście spadła
z 232 na 227, ale za to wzrosła na przed-
mieściach, samo Górne około roku 1805
liczyło 114 domów. Prócz tego po-
wstawały inne przedmieścia, miasto
przekroczyło Olzę i zaczęło się rozpo-
ścierać po obu brzegach.

Stare miasto nie zmieniło się grun-
townie, aczkolwiek przybyło kilka przy-
budówek i nowych budowli — chociaż-
by wokół rynku. Za to w byłych przed-
mieściach powstała spora liczba nowych
obiektów urbanistycznych, szczególnie
publicznych, które decydująco zmieniły
oblicze miasta. Rozbudowujący się prze-
mysł oraz powstająca sieć kolei żelaznej
ożywiły miasto, które jednak nigdy nie
stało się ważniejszym ośrodkiem han-
dlowym.

Zyskało ono natomiast inny zupełnie
wygląd i charakter — stając się mias-
tem szkół, ogrodów, kwiatów i zieleni,
w której toną, świadczące o jego prze-
szłości historycznej, zabytki dawnych
dni.

Mgr MARIA KOCYCH



Przyczynek do historii rewolucji burżuazyjno-demokratycznej 1848-49 na Śląsku Cieszyńskim

Wiosna ludów w Bielsku-Białej

W pierwszej połowie ub. w. włókiennictwo ziemi cieszyńskiej osiąga pod wieloma względami swój szczytowy etap rozkwitu, stanowiąc najważniejszą podówczas gałąź wytwórczości przemysłowej Śląska Cieszyńskiego. Rozkład feudalnego ustroju cechowego przybierający szczególne natężenie począwszy już od drugiej połowy XVIII w., wprowadza zasadnicze korektury w dalszym kierunku rozwojowym oraz w lokalizacji przemysłu. Sukiennictwo, zajmujące pierwsze miejsce wśród branż cieszyńskiego przemysłu włókienniczego, zaczyna się coraz wyraźniej koncentrować w Bielsku oraz jego najbliższej okolicy, zarówno po stronie śląskiej jak również i galicyjskiej (Białka). Po pokonaniu znacznych początkowo przeszkód, wynikających z utraty kontaktów gospodarczych z Śląskiem Pruskim po wojnach śląskich (w latach 40 do 50-tych XVIII w.) i nawiązaniu nowych stosunków z krajami węgierskimi a po I rozbiórce Polski (w r. 1772) z Galicją, otwierają się przed bielskim sukiennictwem rozległe perspektywy rozwojowe. W przeciągu krótkiego stosunkowo okresu czasu okręg Bielska-Białej staje się jednym z najważniejszych ośrodków sukiennictwa na obszarze Monarchii Habsburskiej. Początkiem ub. w. roczna produkcja bielskiego przemysłu wełnianego wynosi 24 tys. szt. znajdując zbyt w Galicji, na Węgrzech i Bałkanach. Kupcy bielscy utrzymują już wtedy ożywione kontakty handlowe z Konstantynopolem.¹⁾ Blokada kontynentalna w latach wojen napoleońskich wraz z ogólnym ożywieniem gospodarczym zabezpiecza Bielsku-Białej szereg lat gospodarczej prosperity. Większe jednakże znaczenie dla dalszego rozwoju kapitalistycznego przemysłu na terenie Bielska-Białej po-

siada następujący w drugim dziesięcioleciu XIX w. okres głębokiej depresji ekonomicznej, powodującej ruinę miejscowego cechowego rzemiosła. Na jego gruzach odradza się w szybkim tempie nowoczesny przemysł sukienniczy, wchodzący stopniowo na drogę produkcji maszynowej oraz kapitalistycznych metod organizacji pracy. W latach 20-tych uruchomiona zostaje w Bielsku pierwsza maszyna parowa, w następnych latach przewrót przemysłowy w przemyśle Bielska-Białej zaczyna czynić coraz to szybsze postępy. Kolejne dziesięciolecie przynosią bielskiemu sukiennictwu pomimo niesprzyjających warunków politycznych, dalszy, niespotykany dotychczas rozwój, przerywany tylko kilkuletnim okresem zastoju pod koniec lat 30-tych. Roczna produkcja Bielska wzrasta średnio z 15 tys. szt. sukna rocznie w r. 1820 do około 50 tys. w r. 1831, osiągając początkiem lat 40-tych 62 tys. szt. sukna, wartość którego stanowi niespełna 12% produkcji sukienniczej całej gubernii morawsko-śląskiej oraz przeszło 50% wytwórczości przemysłu wełnianego Monarchii.²⁾ Dane te dosadnie charakteryzują wagę i znaczenie bielskiego ośrodka przemysłowego w całokształcie przemysłu gubernii morawsko-śląskiej, jednego z przodujących w tej dziedzinie krajów Monarchii, a nawet w granicach całego państwa Habsburgów w połowie ub. w. Na terenie Bielska-Białej jest czynnych w tym czasie 13 przędzalń, dysponujących 400 maszynami przędzalniczymi oraz 34 tys. wrzecion. O stopniu zaawansowania przemysłu kapitalistycznego na interesującym nas obszarze, świadczy dalej ten fakt, że 5 bielskich fabryk sukiennych posiada podówczas łącznie 129 krosien tkackich, zaś 210 majstrów pracuje na 790 krosnach. Średnio na jeden zakład fabryczny przypada więc 26 krosien, podczas kie-

dy na 1 warsztat rzemieślniczy zaledwie niespełna 4 krosna. Liczba zatrudnionych tkaczy i przedzarzy wynosi około dwa tysiące osób.

Rozkwit włókiennictwa w okręgu bielskim stwarza przesłanki powstania i rozwoju na miejscu przemysłu budowy maszyn włókienniczych. W połowie lat 40-tych rozpoczyna w Bielsku swą działalność fabryka maszyn włókienniczych Gülchera. Na większą skalę podejmuje produkcję począwszy od roku 1849 fabryka maszyn włókienniczych i odlewnia G. Josephy, zaopatrująca okolicznych producentów w pierwsze, wytworzone w samym Bielsku, maszyny przędzalnice, postrzygarki i inne maszyny do wykańczania sukna.³⁾

Tak poważnemu rozwojowi sił wytwórczych w przemyśle Bielska-Białej w pierwszej połowie ub. w. towarzyszą odpowiednie przeobrażenia w układzie stosunków społecznych na obszarze obydwu miast oraz ich najbliższej okolicy. Potężnieje klasa kapitalistycznych przedsiębiorców, zaangażowanych bezpośrednio w sukiennictwie, w szeroko rozwiniętym w Bielsku-Białej handlu wełną i wełnianymi wyrobami gotowymi, handlu tranzytowym oraz w licznie reprezentowanych i rozbudowanych gałęziach usługowych. Podobnie jednakże jak i w całej Monarchii, klasa ta napotyka na daleko idące ograniczenia i dotkliwie dające się we znaki trudności w działalności gospodarczej, wypływającej z istniejących warunków strukturalnych i politycznych. Wszakże dla ziemianstwa i kół rządowych metternichowskiej Austrii, jednego z głównych mocarstw europejskiego Świętego Przymierza, bloku międzynarodowej, legitymistycznej reakcji, stojącego na straży starego, feudalnego porządku społecznego, bezwzględnie zwalczającego wszelkie ruchy rewolucyjne i narodowo-wyzwolenicze, jedynym skutecznym, długofalowym środkiem w walce z zewnętrznymi elementami wywrotowymi i rewolucyjnymi jest wstrzymywanie rozwoju przemysłowego, hamowanie jakiegokolwiek postępu ekonomicznego. Odpowiednia polityka celna i fiskalna, szereg ograniczeń policyjno-administracyjnych, galwanizowanie ustroju cecho-

wego, — wszystko to stanowi poważną przeszkodę w dalszym rozwoju przemysłu na terenie Monarchii, godzi również w interesy bogacącej się burżuazji Bielska-Białej. Interesy te są nie do pogardzenia z dalszym podtrzymywaniem przez panujący reżim, ustroju feudalno-pańszczyźnianego; przecież zachowanie feudalnych stosunków produkcji w ekonomice kraju paraliżuje wykształtowanie się wewnętrznego rynku zbytu, intensyfikację i racjonalizację produkcji rolnej, przeobrażenie się istniejącej na wsi potencjonalnej armii rąk roboczych w proletariat przemysłowy i gwarantuje utrzymanie pełni władzy politycznej w rękach feudalnego ziemianstwa z wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami.

W grę wchodzi dalej również i inne momenty, które pogłębiają jeszcze bardziej opozycję burżuazji przemysłowej w stosunku do istniejącego ustroju i reżimu. Centralizacyjno-unifikacyjna polityka Wiednia, zwalczająca zaciekle wszelkie ruchy narodowo-wyzwolenicze krystalizujących się w tym czasie w miarę rozwoju kapitalistycznych stosunków produkcji, burżuazyjnych narodów węgierskiego, czeskiego, słowackiego i innych, ustosunkowana jest również zdecydowanie negatywnie do wszelkich wysiłków i przejawów walki niemieckiej radykalnej burżuazji o demokratyczne zjednoczenie Niemiec. Poważny odsetek ludności niemieckiej w Bielsku-Białej i w najbliższym sąsiedztwie, spośród której rekrutuje się prawie wyłącznie miejscowa burżuazja i inteligencja, powoduje, że i ten aspekt ówczesnych stosunków austriackich znajduje tu swe pełne odzwierciedlenie. Tymczasem bezwzględny terror policji politycznej, szeroko rozgałęziony system donosicielstwa, izolacja od zagranicy, podtrzymywana w obawie przed infiltracją idei rewolucyjnych, sroga cenzura w odniesieniu do prasy i literatury — wszystko to dławi w zarodku każdą myśl postępową, paraliżuje najmniej przejaw opozycji politycznej i światopoglądowej. Szczególną uwagę, jaką poświęca reżim uniwersytetom — wyłęgarniom wywrotowych idei i zasad, skupiskom szczególnie opozycyjnie na-

strojonych mas studenckich i inteligentkich, daje się zauważyć również w Bielsku-Białej, i na całym zresztą terenie ziemi cieszyńskiej, z uwagi na liczny stosunkowo zastęp młodzieży uniwersyteckiej tego regionu, studiującej w Wiedniu, względnie miejscowej inteligencji, pozostającej i po ukończeniu studiów w stałym kontakcie z intelektualnymi ośrodkami naddunajskiej stolicy i całej Monarchii.

Z drugiej strony rozwój kapitalistycznego przemysłu i hadlu prowadzi do wyodrębnienia się i liczebnego wzrostu szeregów miejscowego proletariatu, rekrutującego się z zdeklasowanych i proletaryzujących się rzemieślników oraz z napływającej do miasta ludności wiejskiej. Charakterystyczne dla wczesnego kapitalizmu przemysłowego szczególne nasilenie ekstensywnego wyzysku, nader ciężkie warunki egzystencji w latach wojen napoleońskich i częstych klęsk żywiołowych prowadzą do okresowych zrywów proletariatu Bielska-Białej przeciw prawdziwym czy domniemanym winowajcom istniejącego stanu rzeczy. Tego rodzaju okresem gwałtownej radykalizacji nastrojów bielskich robotników i chłopów są lata kryzysu gospodarczego i niespotykanej w swych rozmiarach na Śląsku Cieszyńskim klęski ułdowej w drugiej połowie lat 40-tych ub. w. wywołanej pojawieniem się zaraźliwej choroby bydłowej oraz t. zw. moru ziemniaczanego, powodującego masowe gnicie kartofli, podstawowego środka żywności najszerzszych mas ludności. Zaistniała w tych okolicznościach nędza, spotęgowana dodatkowym splotem szeregu klęsk żywiołowych, prowadzi do gwałtownego zaostrzenia się rewolucyjnych nastrojów nie tylko zresztą wśród proletariatu Bielska-Białej, lecz wśród ciężko doświadczonych i dziesiątkowanych szalejącą epidemią chorób infekcyjnych, mas chłopskich całego Śląska Cieszyńskiego.

II.

Nic więc dziwnego, że rewolucyjne wydarzenia z marca 1848 r. spotykają się na Śląsku Cieszyńskim z donośnym echem, stają się sygnałem do poważ-

nych zaburzeń zarówno po wsiach, jak również w ośrodkach miejskich. Wśród tych ostatnich na pierwsze miejsce wysuwa się właśnie okręg przemysłowy Bielska-Białej, gdzie pozycje radykalnej burżuazji są najmocniejsze.

Imponująco wypadła już sama pierwsza reakcja Cieszyna na wieść o rewolucji w Wiedniu w marcu 1848 r. jak to wynika z relacji Tygodnika Cieszyńskiego, nie pozbawionej zresztą akcentów charakterystycznego dla czasopisma, lojalizmu w stosunku do tronu i dynastii.

„Z Cieszyna. Dnia 16 Marca. Dowiedzieliśmy się przez pocztę... że Cesarz pozwolił konstytucję swoim krajom. Zaraz był ten patent na rynku odczytany i liczne wiwaty... dały się od zgromadzonych słyszeć. W godzinie pół miasta przypięło białe kokardy na znak, że się cieszą nad tą konstytucją... (wieczorem) ruszyli strzelcy miejscy na rynek z muzyką i odśpiewano pieśń narodową: Boże zachowaj Cesarza. Wiwaty się nie przerywały. Zaraz potem oświecono całe miasto, a w każdym oknie paliły się świece i biada temu, które nie były oświecone — takowe potrzaskali szubrawcy mali. Po całym mieście chodzono z muzyką i „niech żyje Cesarz Ferdynand, studenci Wiedeńscy, Konstytucya, wolność druku” itd. się nie przerywały. O 8 g. zrobiono cug pochodniowy... pochodników było bardzo wiele... do koła tysiące ludzi z miasta ze wsi... Dnia 3-go Marca odbyło się nabożeństwo żałobne za tych co polegli w Wiedniu za naszą wolność. Dnia 1-go Kwietnia... była nam nadana konstytucja z balkonu... publicznie w niemieckim i polskim języku odczytana. Uzbrojona Gwardya Narodowa stała na rynku to samo i cechy z chorągwiakami...”⁴⁾

Niezwłocznie bowiem w ślad za Wiedniem i innymi rewolucyjnymi ośrodkami Monarchii, dochodzi do zakładania po miastach Śląska Cieszyńskiego a z kolei również w niektórych wsiach, gwardii narodowej. W Bielsku oddział miejscowej gwardii narodowej osiąga wkrótce stan liczący 780 ochotników.⁵⁾ Tytularnym komendantem bielskiej gwardii zostaje znany ze swych liberal-

nych, profrancuskich przekonań ks. L. Sułkowski, ówczesny właściciel księstwa bielskiego.

Przyznanie swobód politycznych znacznie wzmacnia zainteresowanie sprawami politycznymi, społecznymi i narodowościowymi, tym bardziej, że kontakty z rewolucyjnym Wiedniem, do którego prowadzi świeżo co zbudowana Kolej Pn. były bardzo żywe. „Niebawem zaczęły nadchodzić z Wiednia najrozmaitsze listy ulotne, opisujące rewolucję wiedeńską i walkę o wolność w prozie i poezji, pisma wyjaśniające i pouczające lud, co to jest konstytucja i jakie prawa w sobie zawiera” czytamy w odnoszących się do tego okresu wspomnieniach jednego z najstarszych cieszyńskich działaczy narodowych.⁶⁾ W Cieszynie, posiadającym stare tradycje intelektualnego i kulturalnego ośrodka ziemi cieszyńskiej, pojawiają się aż dwa periodyki w języku polskim, wspomniany już „Tygodnik Cieszyński” oraz „Nowiny dla ludu wiejskiego”, pojawiają się dalej pierwsze polskie broszury polityczne na tym terenie.

Aktywność miejscowej burżuazji, inteligencji i zamożnego chłopstwa wzmacnia się wybitnie w miesiącach maj — czerwiec, okresie kampanii wyborczych do sejmiku frankfurckiego, parlamentu austriackiego i konwentu śląskiego w Opawie. W Bielsku i w ogóle w ośrodkach miejskich, z uwagi na przewagę elementów niemieckich względnie proniemieckich, cieszy się szczególną popularnością, prowadzona nota bene w dużej mierze w języku polskim, kampania przedwyborcza do ogólnoniemieckiego Zgromadzenia Narodowego w Frankfurcie, rozpisana reskryptami gubernium morawsko-śląskiego z 20 kwietnia oraz 2 maja. Cały Śląsk Cieszyński podzielony zostaje w związku z tym na trzy równe co do ludności okręgi wyborcze: cieszyński, liczący 71.013 mieszkańców, bielski — 71.297 osób oraz polsko-ostrowski z 70.984 mieszkańcami.⁷⁾ W agitacji przedwyborczej aktywny udział biorą m. in. studenci wiedeńscy, zrzeszeni w działającym od kwietnia w Wiedniu Związku Austriackich Ślązaków, którzy od samego początku opowiada się za udziałem w wy-

borach do Frankfurtu.⁸⁾ W Cieszynie powstaje niebawem specjalny komitet wyborczy na czele z Adolfem Kolaczkiem, profesorem miejscowego gimnazjum ewangelickiego. W skład Komitetu wchodzi czołowi przedstawiciele okolicznej burżuazji i inteligencji orientacji niemieckiej; sześciu spośród nich wybranych zostaje w dniu 13 maja na posłów i zastępców posłów. Okręg bielski wysłał do Frankfurtu adwokata dr van der Strassa, zastępcą jego zostaje pastor ustronński Karol Koczy. Kolaczka wybiera okręg polsko-ostrowski, zastępcą desygnowany zostaje bogumiński burmistrz Jan Warosz. W okręgu cieszyńskim przechodzi kandydatura dyrektora dóbr Komory J. v. Kalchberga; Kolaczek, wybrany tu na zastępcę posła, rezygnuje z mandatu na rzecz dr Fryd. Kaufmanna, notariusza w Wiedniu.

Zarówno okres kampanii przedwyborczej jak również późniejszy pobyt posłów w Frankfurcie staje się okazją do rozwinięcia ożywionej agitacji politycznej, skierowanej głównie przeciw obrońcom starego porządku metternichowskiej ery, nie pozbawionej jednakże już również pewnych akcentów walki narodowościowej, skierowanej przeciw krystalizującemu się wokół Tygodnika Cieszyńskiego nurtowi słowiańskiemu, który w międzyczasie zgłasza akces do programu Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, zwołanego niejako dla przeciwstawienia się imprezie frankfurckiej. Platforma polityczna i światopoglądowa cieszyńskich frankfurczyków jest zresztą bardzo zróżnicowana. Dla ziemianina i „patrioty austriackiego” v. Kalchberga parlament w Frankfurcie staje się wkrótce zbyt radykalny i nieprawomyślny. „Najpierw jestem patriotą, miłującym monarchię, a następnie urzędnikiem, pełniącym w interesie swego pana służbę w dobrach kameralnych”, tak oto charakteryzuje sam Kalchberg w swych pamiętnikach własną postawę wobec wypadków rewolucyjnych 1848-49 roku.⁹⁾ Nic więc dziwnego, że wkrótce (w sierpniu 1848) rezygnuje ze swego mandatu. W wyborach uzupełniających w wrześniu przechodzi dr J. Demel, świeżo upieczony prawnik, człowiek o poglądach już wte-

Steckbrief

zur Verfolgung des mit Erkenntniß des k. k. m. fch. Appellations-
gerichts vom 19. Februar 1850 Z. 1879 wegen Verbrechen des
Hochverraths zur kriminalgerichtlichen Untersuchung mit Verhaft
für geeignet erkannten Adolf, Friedrich, Gustav Kolaczek.

Adolf Friedrich Gustav Kolaczek zu Bielitz in österrei-
chischen Schlesien gebürtig, 29 Jahre alt, christlicher Religion,
evangelischen Glaubensbekenntnisses, verheirathet, Dr. der Philo-
sophie und ehemals Professor an dem evangelischen Gymnasium
zu Teschen; ist großer schlanker Statur, hat ein läng-
liches blaßes Gesicht, lichtbraune Haare, derlei Schnur- und
Bart; spricht deutsch und etwas polnisch, hat einen auf-
rechten etwas gezielten Gang, ruhiges gelassenes Benehmen, und
pfl egt elegant gekleidet zu gehen.

Alle Sicherheitsbehörden werden ersucht, denselben in Be-
tretungsfälle anzuhalten, festzunehmen, und hieher oder an die
nächste k. k. Bezirkshauptmannschaft einzuliefern.

Kriminalgericht Brünn den 10. Mai 1850.



Woytowicki m. p.

Beltmann m. p.

Sehmer.

dy wyraźnie nacjonalistycznych, występujący w Frankfurcie przede wszystkim jako zwolennik orientacji pruskiej. Dodajmy równocześnie, że wybory uzupełniające przeprowadzone zostają również w okręgu bielskim, gdzie na miejsce rezygnującego z mandatu poselskiego dr van der Strassa, wyborcy wybierają pastora Koczego.

Czołową osobistością radykalnego, rewolucyjnego nurtu w obozie frankfurckim jest natomiast Adolf Kolaczek. Jego poglądy społeczne, początkowo bardzo umiarkowane, stopniowo ewoluować będą coraz bardziej na lewo. W swym politycznym credo, sformułowanym w broszurze do wyborców okręgu polsko-ostrowskiego, stoi Kolaczek jeszcze na stanowisku konstytucyjnej monarchii. Agitację za „porządkiem republikańskim” uważa za intrygę reakcji. „Jako ale porządku republikańskiego nie chcemy, tak też na reakcję niepozwoлимy”. Zdecydowany liberał, precyzuje jednakże granice wolności politycznej „bo wolność już teraz nie zależy w tym abyśmy, co chcemy czynili, ale w tym, abyśmy co jest dobrego szukali i chcieli”. Dlatego też, przytacza w innym miejscu fragment rozmowy z jednym z „przywilejowanych” wyborców „na to nie pozwolimy, aby Metternich się wrócił”. Opowiada się zjednoczeniem Niemiec, nie mniej samowładność i całość Cesarstwa naszego tym przyłączeniem (zjednoczeniem — Chl.) nie śmie być naruszona” chociaż „samowładność tylko tak dalece określona, jak się to koniecznie stać musi ku temu końcu, aby ten związek był trwały, skuteczny a dla obu stron błogosławiony”.¹⁰⁾

W Frankfurcie, dokąd przybywa początkiem czerwca wraz z pozostałymi posłami ziemi cieszyńskiej, dostaje się Kolaczek w orbitę wpływów skrajnej lewicy, której poglądy wpływają z kolei na dalszą radykalizację jego przekonań politycznych. Stanowisko konsekwentnego demokraty, wyznającego zasadę pełnej suwerenności ludu oraz zwolennika demokratycznego zjednoczenia Niemiec reprezentuje już Kolaczek wraz z grupą republikańskiej lewicy, prowadzonej przez A. Ruge’go, R.

Bluma, w zaprzatającej całą uwagę Zgromadzenia pod koniec czerwca, sprawie władzy centralnej zjednoczonych Niemiec. W głosowaniu na regenta Rzeszy, którym wybrany zostaje arcyks. Jan Habsburg, skrajna lewica a wraz z nią Kolaczek, wstrzymuje się od udziału w wyborach, motywując swe stanowisko niemożliwością oddania głosu na nieodpowiedzialnego przed nikim regenta, który nie byłby zobowiązany do przestrzegania i wykonywania uchwał Zgromadzenia Narodowego.¹¹⁾ Zdeklarowanie republikańską pozycję zajmuje Kolaczek w t. zw. sprawie hannowerskiej, kiedy to w połowie lipca grupa 9 posłów skrajnej republikańskiej lewicy, a wśród nich Kolaczek, zgłasza rezolucję, domagającą się od króla Hannoveru odmawiającego respektowania suwerennych spraw Zgromadzenia Narodowego, natychmiastowego przekazania władzy w ręce tegoż Zgromadzenia.¹²⁾ O rewolucyjnym wprost w ówczesnych niemieckich warunkach, charakterze powyższego wniosku, godzącego bezpośrednio w sprzeciwiające się demokratycznemu zjednoczeniu Niemiec, domy panujące świadczy choćby to, że przyjęty zostaje on w samym Zgromadzeniu ze śmiechem.

Pobyty cieszyńskich posłów w Frankfurcie trwa do sierpnia. Trudno powiedzieć czy to względy natury rodzinno-prywatnej czy też innej skłoniły ich, a szczególnie Kolaczka, do tak wczesnego przerwania udziału w obradach parlamentu. „Według przeświadczenia naszego, oświadczaają Nowiny w marcu 1849 r. przybycie jego (Kolaczka — Ch. J.) miało tą przyczynę: że żona jego chorowała, a nauka szkolna na początku września zacząć się miała.”¹³⁾ Tłumaczenie to podaje organ cieszyńskich frankfurteńczyków w związku z badaniami komisji śledczej, badającej wywrotową działalność ściganego już podówczas przez władze austriackie, posła. Zapytanie komisji, skierowane pod adresem dyrektora cieszyńskiego gimnazjum o motywach powrotu profesora „do Białej albo do Cieszyń” nie było przypadkowe. Powrót Kolaczka wiąże

się bowiem z poważną aktywizacją elementów demokratycznych ziemi cieszyńskiej.

III.

Po przyjeździe z Frankfurtu staje się Kolaczek spiritus movens założonego właśnie w tym czasie w Bielsku Towarzystwa Demokratycznego. Stwierdza to niedwuznacznie raport policji bielskiej, w którym m. in. czytamy: „Na kształtowanie się politycznej opinii publicznej w Bielsku i częściowo po wsiach wpłynął zasadniczo prof. A. Kolaczek, aktywizując miejscowe elementy niemiecko-republikańskie poprzez utworzenie bielskiego Tow. Demokratycznego.”¹⁴⁾ Nowopowstałe Towarzystwo spotyka się na terenie miasta i jego najbliższej okolicy z powszechnym poparciem ludności, nie szczędzącej, jak to wynika z powyższego raportu, poparcia finansowego. Z Towarzystwem solidaryzuje się a nawet je firmuje ks. Sułkowski, co zapewnia zrzeszeniu bielskich demokratów nie tylko dalsze wsparcie materialne, lecz również wielki autorytet. Nie bez znaczenia zresztą dla charakterystyki liberalno-demokratycznych przekonań bielskiej linii Sułkowski jest fakt, że brat ks. Ludwika, ordynata bielskiego, ks. Maksymilian ginie na barykadach Wiednia przy zdobywaniu arsenału 6 października.¹⁵⁾

Założenie Towarzystwa Demokratycznego prowadzi do ostatecznego wykrystalizowania się w cieszyńskim nurcie frankfurckim jego trzonu demokratyczno-republikańskiego. Elementy prawicowe, prohabsburskie odżegnują się ostatecznie od dalszego udziału w radykalizującym się coraz to bardziej ruchu.

Aktywność świeżo założonego Towarzystwa, nawiązującego do działającego już od marca w Bielsku narodowego klubu niemieckiego,¹⁷⁾ wzmacnia się gwałtownie z chwilą wybuchu w Wiedniu powstania październikowego. „W owym czasie powiązali ślascy malkotenci wszystkie swoje plany z korzystnym dla nich zwrotem rzeczy w stolicy i rezydencji cesarskiej”, czytamy w cytowanym powyżej sprawozdaniu bielskiej policji. Rzeczywiście, reakcja demokra-

tycznej burżuazji ziemi cieszyńskiej a zwłaszcza Bielska-Białej, na wypadki wiedeńskie przyjęła nieoczekiwany obrót. Poparcie dla powstańców Wiednia nie ogranicza się jedynie do głosowanych deklaracji. W Starym Bielsku na zebraniu mieszkańców gminy, zapada przedłożona przez fabrykanta Bartelmusa i wójta Krajsa uchwała wzajemnego opodatkowania się na rzecz walczących na barykadach wiedeńskich studentów. „Jednomyślnie i z wielką ochotą ustanowiono ten wszelkiej pochwały i naśladowania godny znak wdzięczności takim dać sposobem, że każdy obywatel do Starobielskiej obcy należący, jednomiesięczną wartość pańszczyzny w dzisiejszy dzień wójtowi złoży ku odesłaniu do Wiednia.”¹⁸⁾ Wysokość dobrowolnej daniny wahała się do 30 krajcarów dla małych chałupników do 5 „reńskich dobrych”, uiszczanych przez wielkich siedlaków. „Chwalebna też gorliwość wdzięczności ku legii akademickiej, która już od Marca wszystką siłą ciała i ducha i krwią pracuje, aby wolność ludu na wieki utwierdzić”, komentują powyższą uchwałę Nowiny dla ludu wiejskiego.¹⁹⁾ Przykład Starego Bielska nie pozostaje bynajmniej odosobniony. Na „pomoc dla Wiedniaków” przeprowadzane są zbiórki w wielu innych gromadach koło Bielska, odnotowuje Tygodnik Cieszyński w numerze z 21 października.

W dniu 15 października dochodzi w Bielsku do centralnej manifestacji, zorganizowanej przez Towarzystwo Demokratyczne na rzecz „walczącego Wiednia”, bierze w niej udział, jak podaje współczesna prasa, około 6 tys. osób. Do zebranych „na blejchu” żołnierzy gwardii narodowej oraz tłumów z miasta i okolicznych wiosek, przemówili w językach polskim i niemieckim, czołowi działacze Towarzystwa: A. Kolaczek, G. Fritsche oraz van der Strass. W wystąpieniu swym Kolaczek całkowicie solidaryzuje się i stawia obecnym za wzór dwu wiedeńskich batalionów grenadierów, które sprzeciwiły się skierowaniu ich na świeżo co powstały front węgierski, co stało się bezpośrednią przyczyną wiedeńskiej rewolucji październikowej, wzywa dalej obywateli bielskich do pój-

ścia w ślady wiedeńskich powstańców i do zorganizowania pospolitego ruszenia.¹⁹⁾ Z podobnymi akcentami spotykamy się w przemówieniach pozostałych mówców. Z trybuny raz po raz padają słowa stwierdzające, że właściwymi inicjatorami wypadków wiedeńskich jest reakcja, dążąca do wywołania wojny domowej, piętnujące koncentrację wojsk cesarskich w okolicy Wiednia, godzącą w prawo i wolność, domagającą się wreszcie od parlamentu skłonienia cesarza do jak najszybszego powrotu z opuszczonej przezeń stolicy, usunięcia z jego otoczenia niepowołanych doradców i wypowiedzenia ich bez względu na pozycję z kraju.²⁰⁾

Z demonstracji wysłany zostaje szereg adresów. „Adres do gwardyi narodowej i mieszkańców wiedeńskich tak brzmi, relacjonują Nowiny: „Bracia! Patriotycznym was obłapiamy zachwytem. Dni 6 i 7 października są dniami czci i chwały, dniami powstania wolności zdrażonej. Wyście ją wzbudzili, a my się z niej weselimy. — Mężowie Wiedeńscy! Zwycięzcy Marcowi i Majowi nie będą podłemi lęklivcami we dni Października. Wybawienie ludu woła was... My z Wami!... My za wami idziemy.” W takowym duchu wolności i opierania się przeciw reakcyi, kontynuują dalej Nowiny, spisane były adresy do sejmu i do sztuudentów, chwalaące ich postęпки.”²¹⁾

Nie brak zresztą i realnych czynów. Pod koniec manifestacji urządzona zostaje zbiórka pieniężna na rzecz „zranionych we Wiedniu gwardzystów i sztuudentów”. Pada wreszcie decyzja sformowania ochotniczego oddziału miejscowej gwardii narodowej, który ma wyruszyć z pomocą obłożonemu przez wojska marszałka Windischgrätza, Wiedniowi.

W trzy dni później, w dniu 18 października, zorganizowana zostaje podobna demonstracja przez świeżo co założone Towarzystwo Demokratyczne w Cieszynie. W przeciwieństwie jednakże do niemiecko-polskiej manifestacji w Bielsku, demonstracja w Cieszynie, o okolicy jednolitej etnicznie, posiada charakter czysto polski. Stąd też wygłoszone w języku niemieckim „wyzywające”, jak wspomina Stalmach w swych

pamiętnikach — przemówienia Kolaczka i Fritsche'go, spotykają się ze względów czysto językowych wśród 5 tys. zebranych mieszczan i chłopów z mniejszym wzięciem. Ważne są w obydwu przemówieniach akcenty, wskazujące na konieczność jednolitego frontu mieszkańców ziemi cieszyńskiej przeciw wspólnemu wrogowi. „Frycz chciał pokazać, czytamy w Tygodniku, że terazniejsza rewolucja w Wiedniu nie jest bojem przeciw której narodowości, ale przeciw reakcyi. Podobnie mówił Kolaczek...²²⁾ Z podobnymi hasłami nawiązującymi do wzajemnego zgodnego współżycia mieszkańców obydwu narodowości spotykamy się również i na zebraniu manifestacyjnym w Bielsku, gdzie nie brak transparentów z napisami w rodzaju „Równe prawa wszystkim narodowościom”. O nastroju panującym na tej ostatniej manifestacji piszą Nowiny: „Ku wieczoru się zgromadzenie w pokoju rozeszło w sercu czując związek miłości i braterstwa, nie rozsądzając między Niemcem a między Polakiem, ale dobrze wiedząc, że tylko w jednocie i w równej sprawiedliwości zwyciężyć mogą i ojczyznę ratować.” Podkreślmy, że wszystko to miało miejsce w warunkach ostrych już kontrwersji między stojącym już na pozycjach austro-slawizmu stalmachowskim Tygodnikiem Cieszyńskim oraz Nowinami dla ludu wiejskiego, reprezentującymi obydwą cieszyńskie nurty polityczne i narodowe, w warunkach negatywnego ustosunkowania się Tygodnika do frankfurczyków i Zgromadzenia Narodowego w Frankfurcie w ogóle, a obliczu nacjonalistycznych wystąpień poszczególnych przedstawicieli prawicy miejscowych frankfurczyków, jak np. Dr Demla.

Nie znaczy to, żeby w polskim obozie narodowym stali wszyscy jak Stalmach i redagowany przezeń Tygodnik, na pozycjach lojalizmu w stosunku do Habsburgów, austro-slawizmu, usiłującego przekształcić Austrię w słowiańską monarchię habsburską. Po umiarkowanym wystąpieniu Stalmacha głos zabiera Oszelda. „Pierwsze moje słowa były, czytamy w pamiętniku Stalmacha, że nie będzie mówił jako ksiądz, jak jego poprzednik, mniemając moją osobę.

Mówił on porywająco, wzywając do czynu, do pomocy Wiedniowi, wspominał nawet o kosach" ... „Wspomnienie o kosach zdziwiło mnie nawet, kontynuuje dalej Stalmach, nie przypuszczałem bowiem takiej pochopności u ludu śląskiego.”²³⁾ Owa „pochopność” zebranych tłumów była rzeczywiście wielka; na retoryczne zapytanie Oszeldy, czy należy pomóc walczącemu Wiedniowi w postaci srebra czy żelaza, odpowiadają podnieceni zebrani spontanicznie „w żelazie”.²⁴⁾ Również i Oszelda kładzie nacisk w swym przemówieniu na konieczność przeciwstawienia się rozpętywaniu waśni narodowych i zachowaniu jedności w walce przeciw wspólnemu wrogowi. Mówca stwierdził, relacjonuje Tygodnik Cieszyński, „że Wiedeń jest matką wszystkich naszych wolności, któreśmy latoś dostali, a że się też osobiście Wiednia i sejmu trzymać mamy, bo tam są deputowani nasi, do których mamy zaufanie. Że Wiedeń nie bojuje za wolność niemiecką, a przeciw słowiańskiej..., że sejm, który większą częścią ze Słowian obstoi, ma cały lud wiedeński za sobą, że Polacy też są na stronie sejmu i zrobili własną legię polską na obronę jego i Wiednia; że nam trzeba pomagać sejmowi, że się nam bronić trzeba w domu a to w jedności, w zgodzie tak narodowej, religijnej, politycznej, jak zbrojnej i że przeto każdemu zbroić się trzeba” żeby żaden z własnej mocy czego nie zaczynał, lecz żeby do demokratycznego zgromadzenia przyszedł się poradzić, a raczej w cichości swego celu dosięgał.” Po wystąpieniu dr Kozła wybrano na jego wniosek delegację „coby się zwiędziła co mamy czynić i coby oddała adresy do sejmu, jako też do onych grenadierów, którzy przeszli na stronę ludu”.²⁵⁾ W skład delegacji weszli Kolaczek, Oszelda oraz miejscowy lekarz dr Nikiel.

Próby przyjsia z pomocą Wiedniowi zostają jednakże przez maszerujące na stolicę wojska marszałka Windischgráta sparaliżowane. Sama wyprawa spotyka się w Bielsku z zrozumieniem i poparciem. Ochotników nie brak, tak samo jak i datków pieniężnych. Jeden z starobielskich obywateli ofiaruje sam olbrzymią, jak na owe czasy, kwotę 200

reńskich.²⁶⁾ Liczący około 130 ochotników oddział zostaje w Cieszynie bardzo uroczystie powitany, nie napotykając poprzednio w Skoczowie, ze strony stacjonującej tam niewielkiej grupy wojska, na żaden opór. Z Cieszyna, gdzie do oddziału dołącza się szereg dalszych osób, głównie studentów, prowadzi droga do Ostrawy i do najbliższej położonej stacji kolejowej. Wyprawa kończy się jednakże w Przerowie; na specjalny rozkaz Windischgráta rozbraja tu ochotników batalion wojsk cesarskich, skierowując ich z powrotem do Ostrawy. Do Wiednia dociera nieliczna zaledwie grupa 25 osób, którzy zdołali ukryć się w pociągu, wśród nich przebrany za palacza, dowódca całej wyprawy ks. Sułkowski.

Los bielskiej wyprawy dzieli również podążający w tym samym kierunku i celu oddział gwardii narodowej z Bogumina, zatrzymany przez wojska Windischgráta w Lipniku.^{26a)} Z identycznych względów nie dociera do Wiednia również delegacja cieszyńska. Jak stwierdzają Nowiny dla ludu wiejskiego „deputacja wieceu cieszyńskiego do Wiednia nie dojechała, gdyż wojsko Wiedeń otaczające jej nie przepuściło. Przetoż adresów do sejmu i do gwardii wiedeńskiej przedłożyć nie mogła, lecz tylko tam odesłała.” Kordon wojsk cesarskich zaciska się bowiem w drugiej połowie października wokół walczącej bohatersko stolicy coraz bardziej, hermetycznie izolując ją od pozostałego świata.

IV.

Działalność bielskich radykałów nie ogranicza się tylko do ośrodków miejskich, lecz obejmuje również i wieś, przyczyniając się do dalszego zaostrzenia panującego tu fermentu. Istniejące po wsiach okręgu bielskiego wrzenie datuje się już od okresu wcześniejszego, sięga odgłosów rabacji galicyjskiej w r. 1846 oraz lat nędzy i epidemii głodowych „głodnych roków” lat 1846-48. Wiosna Ludów daje buntującym się bielskim chłopom poczucie własnej wagi, przyspiesza proces dojrzewania politycznego i klasowego pokornych dotychczas i lekceważonych poddanych.

Dostrzec to można choćby w zachowaniu się i postawie chłopów w okresie wyborów do parlamentu Monarchii.

„Nastąpiła nagle radykalna zmiana w nastrojach raczej ludności wiejskiej”, opisuje pastor Schneider, poseł do parlamentu wiedeńskiego z okręgu bielskiego, usposobienie i stosunki panujące wśród chłopów w czasie wyborów w maju, „od czasu kiedy rzucono hasło: Nie wybierać urzędnika ani duchownego, głosować na chłopą, na swego! Przybywszy na miejsce (wyborów — Ch. J.) zaobserwowałem rzeczywiście u wiejskich wyborców, w większym stopniu u Polaków niż u Niemców, rzucającą się do tego stopnia w oczy zmianę w ich postawie i zachowaniu się, że zrazu zaniemówiłem. Nawet chłopci-ewangelicy, zwykli całować rękę swym duchownym, spoglądali na mnie z dumnym, pełnym dumnego samopoczucia: dzisiaj my będziemy decydować, w naszych rękach spoczywa sprawa.”²⁷⁾

Nieufność chłopów w stosunku do kandydatów, rekrutujących się z burżuazji lub z szeregów inteligencji a równocześnie wiara we własne siły wyrażała się w postulatach, skierowanych do nie-chłopów, ubiegających się o mandat, domagających się utrzymywania na własny koszt chłopskiego kontrolera, cieszącego się pełnym zaufaniem wyborców, który by nadzorował działalność wybranego posła w Wiedniu. Natrudził się Schneider nie mało zanim udało mu się zwolnić od tego kosztownego i uciążliwego obowiązku. Z pomocą przyszedł mu autorytet duchownego; tym tylko można wytłumaczyć fakt, że pozostali kandydaci „z miasta” a wśród nich znany nam F. Fritsche, odchodzą z niczym.

Nowopowstałe Towarzystwo Demokratyczne nie zaniedbuje agitacji wśród mas chłopskich. Z jego ramienia, brat przewodniczącego Zgromadzenia, Erwin Kolaczek, jeden z wybitnych działaczy demokratycznych, prowadzi jesienią po wsiach pogranicza cieszyńsko-galicyjskiego akcję propagandową i werbunkową na rzecz Wiednia, docierając aż do Żywca.²⁸⁾ Wyniki akcji Towarzystwa nie dają długo na się czekać. Po wsiach dochodzi do znacznych zaburzeń, skie-

rowanych przeciw dworom, od których domagają się chłopci m. in. ekwiwalentu pieniężnego za wykonaną pańszczyznę od r. 1821 (sic! — Ch. J.), powstają również chałupnicy przeciw siedlakom, rzecz charakterystyczna, z tymi samymi żadaniami. „Na Śląsku Cieszyńskim, na granicy galicyjskiej wybuchły niepokoje, relacjonują praskie *Národní Noviny* w numerze z listopada. „Chałupnicy powstali przeciw siedlakom... Zaburzenia rozpoczęły się w wiosce Laryszów (przysiółek koło Rudzicy — Ch. J.) i są mianowicie po większej części dziełem bielskiego Towarzystwa Demokratycznego, którego kierunek jest identyczny z orientacją demokratów wiedeńskich. Towarzystwo to aprobeuje wiedeńskie powstanie, nie cofa się nawet przed sprzeciwianiem się dekretem prezydium krajowego.”²⁹⁾

V.

Rewolucja w Wiedniu zostaje przez księcia Windischgrätza, tego samego, który pacyfikował Pragę w czerwcu — w okresie Zjazdu Słowiańskiego, ostatecznie stłumiona; wojska cesarskie krwawo rozprawiają się z powstańcami. Po przywróceniu w stolicy „ładu i porządku” zapanowuje na obszarze Monarchii niepodzielnie dyktatura wojskowa; stroży się terror w stosunku do wszystkich podejrzanych o bezpośrednie czy pośrednie zaangażowanie się w poprzednich miesiącach po stronie obozu postępu. Sądy doraźne ferują wyroki śmierci i długoletniego więzienia, twierdzy. Straszne kazamaty Kufsteinu, Spielbergu otwierają na nowo swe podwoje. Zwycięstwo reakcji nie jest jednakże zupełne. Walczą jeszcze Węgry Kossutha; upłyną trzy kwartały zaczętych, z zmienionym szczęściem prowadzonych zmagających militarnych, trzeba będzie pomocy 80-tysięcznej armii rosyjskiej, dowodzonej przez samego, skądinąd dobrze znanego, feldmarszałka Paskiewicza, zanim uda się stłumić rewolucję węgierską.

Losy rewolucji 1848-49 po upadku Wiednia wyciskają swe charakterystyczne piętno również i na rozwoju dalszych wydarzeń na Śląsku Cieszyńskim,

a tym samym i na interesującym nas obszarze Bielska-Białej i jego najbliższej okolicy. Aktywność Towarzystwa Demokratycznego słabnie, chociaż tu po zdobyciu stolicy daje jeszcze znać o sobie; w ślad za szeregiem miast Monarchii również i ośrodki miejskie i wsie ziemi cieszyńskiej protestują przeciw terrorowi i bezwzględny metodom pacyfikacyjnym Windischgrätza w stosunku do ludności pokonanego Wiednia. „Z podobnymi prośbami (chodzi o „listy protestacyjne” wystosowane do cesarza — Ch. J.) jako z Pragi i Berna, też deputacje z Cieszyna, z Bielska i od kilku wsi cyrkułu naszego do Ołomuńca się udały, proszące o uszanowanie Wiednia.” Nie mniej, są to już na razie ostatnie przejawy działalności Towarzystwa. Władze wszczynają po opanowaniu sytuacji śledztwo co do dotychczasowej jego czynności, w sprawie inspiratorów manifestacji październikowych oraz akcji pomocy wiedeńskim powstańcom, sypią się aresztowania. W tych warunkach nie pozostaje szczególnie zaangażowanym działaczom Towarzystwa nic innego jak tylko emigracja na teren sąsiedniego Śląska Pruskiego, względnie w ogóle poza granice Monarchii. Opuszcza więc już w listopadzie ziemię cieszyńską również i prof. Kolaczek, udając się do Frankfurtu, celem wzięcia udziału w dalszych pracach Zgromadzenia Narodowego. Na Śląsku Cieszyńskim bierze górę pro-habsburska „czarno-żółta” orientacja, odzyskując utracone pozycje. Już w pierwszej połowie listopada wyrusza do przebywającego w Ołomuńcu cesarza szereg delegacji z terenu cieszyńskiego z zapewnieniem lojalności w stosunku do dynastii. O jednej z nich, zorganizowanej z inicjatywy Tygodnika, złożonej z przedstawicieli Końskiej, Trzyńca, D. Lesznej, Nieborów, Ropicy i Zukowa wspomina Stalmach, że przybyła do Ołomuńca, by cesarzowi złożyć podziękowanie za uzyskane konstytucyjne prawa i swobody i zapewnienie przywiązania ludu śląskiego do tronu, oraz prosić o obronę i pomnażanie praw narodowych.” Równocześnie dochodzi do utworzenia w samym Cieszynie komitetu, który odcina się od dalszej działalności przebywają-

cych w Frankfurcie cieszyńskich posłów i w wystosowanym do obradującego w Kromierzyżu parlamentu austriackiego wyraża „życzenie zachowania całości i niepodległości Austrii i odwołania posłów z Frankfurtu.”³¹⁾

Nie znaczy to jednakże bynajmniej, że dochodzi do ostatecznego stłumienia działalności bielskich demokratów. Aktywizuje się ona na nowo poczynawszy od końca listopada, pomimo emigracji i aresztowania szeregu wybitnych jej członków. Nowym impulsem w tym kierunku stają się wypadki węgierskie. Pod koniec listopada dowództwo austriackie decyduje się na zaatakowanie przy użyciu mniejszych na razie sił, rewolucyjnych wojsk węgierskich przez Przełęcz Jabłonkowską w kierunku na Czaczę i Żylinę. W operacji tej poważną rolę odegrać ma formujący się właśnie w Cieszynie i w okolicy ochotniczy oddział słowacki, wspomagany również częściowo przez ochotników czeskich. Opowiedzenie się słowackiej Rady Narodowej po stronie habsburskiej Monarchii było logiczną konsekwencją panującego dotychczas w Słowacji (górnym Węgrzech) ucisku narodowościowego, ostrej madziaryzacji całego kraju, forsowanej nie tylko przez feudałów węgierskich, lecz również przez burżuazję oraz inteligencję. Wyprawa kończy się jednakże fiaskiem; po zajęciu prawie bez walki Czaczy, nacierające oddziały zostają przez wojska węgierskie przy próbie sforsowania Wagu w kierunku na Żylinę rozbite; niedobitki wycofują się z powrotem do Jabłonkowa, punktu wyjściowego. Wojska węgierskie odzyskują opuszczony dobrowolnie teren, zapuszczają się z kolei niejednokrotnie drobnymi oddziałami w głąb Śląska Cieszyńskiego, powodują tu ogólną dezorientację i popłoch. „W samym mieście Cieszynie... strach był wielki, bo wszystkie kassy miejskie spalane były, aby w razie potrzeby umknąć... do Opawy... mieszkańcy zaś... Cieszyna wszystkie kosztowniejsze swe ruchomości pokryli do piwnic.”³²⁾ Zmobilizowane oddziały gwardii narodowej z całego terenu ziemi cieszyńskiej oraz okolicznych powiatów Moraw zostają rzucone na obronę Przełęczy Jabłon-

kowskiej i granicznych stoków górskich. Granicę śląsko-węgierską wzmacniają dodatkowo nawet oddziały górników i hutników z ostrawsko-karwińskiego zagłębia węglowego. Bezpośrednie zagrożenie Śląska Cieszyńskiego zażegnane zostaje dopiero początkiem stycznia 1849 r., kiedy to znacznie większym siłom wojsk austriackich udaje się po zajęciu Żyliny, poczynić dalsze postępy w kierunku pld. wschodnim.

Nie wpływa to jednakże wcale na spadek zainteresowania się sprawą węgierską na Śląsku Cieszyńskim. Wprost

przeciwnie, odgłosy rewolucji węgierskiej prowadzą zimą 1848-49, oraz wiosną 1849 do ponownego potężnego wzniesienia się fali rewolucyjnej na Śląsku Cieszyńskim; jeszcze na przeciąg kilku miesięcy inicjatywa przejdzie w ręce miejscowych, głównie bielsko-bialskich elementów burżuazyjno-radykalnych. Ramy niniejszej rozprawki nie pozwalają jednakże na prześledzenie do końca losów demokratyczno-burżuazyjnej rewolucji 1848-49 na terenie Bielska-Białej i najbliższej okolicy.

JÓZEF CHLEBOWCZYK

- 1) Kneifel R.: Topographie des k. k. Antheiles von Schlesien. II. Theil, I. Band, Brünn 1804, s. 145-146.
- 2) Haase Th.: Die Bielitz-Bialaer Schafwollwaren-Industrie in ihrer historischen Entwicklung. Teschen 1873, s. 117-8. Ch. D'Elvert: Zur Cultur-Geschichte Mährens und Oesterr. Schlesiens. Th. III, Brünn 1870, s. 174.
- 3) Haase: Die Bielitz-Bialaer ... I. c. s. 123 do 124.
- 4) Tygodnik Cieszyński, r. I, nr 2, 13. V. 1848.
- 5) Konderla L.: Die Bielitzer Garde 1848. Unsere Heimat, Beilage zur Neuen Evang. Kirchenzeitung, nr 16, maj 1927, s. 91.
- 6) Pamiętnik Dra Andrzeja Cincialy. Katowice, MCMXXXI, s. 50.
- 7) Radimský J.: Frankfurtský sněm r. 1848 a Slezsko. Slezský sborník, Opava, r. 46 - 1948, s. 148.
- 8) Grim E.: Paweł Stalmach, Cieszyn 1910, s. 40-41.
- 9) Kalchberg J. v.: Mein politisches Glaubensbekenntniss... Leipzig 1848, cyt. za Kurzelowski J.: Rewolucyjny podmuch wiosny ludów na Śląsku Cieszyńskim. Zwrot, r. 4, 1952, nr 10, s. 4.
- 10) „Pierwszy dzień odbiorczy w Polskiej Ostrawie 13-go Maja 1848. Obraz polityczny przez Adolfa Kolaczka, Deputowanego powiatu ostrawskiego do sejmu Frankobrodzkiego. Cieszyn 1848. Streszczenie broszury znajduje się w Muzeum Państwowym w Cieszynie. Por. również: Kurzelowski J.: Sprawa frankfurcka na Śląsku Cieszyńskim. Zwrot nr 5, nr 8-9, 21. VIII. 1953, s. 12.
- 11) Stenographischer Bericht über die Verhandlungen der deutschen constituirenden Nationalversammlung zu Frankfurt am Main. Hrsgg. V. Prof. F. Wigard, Frankfurt a/M 1848, B. I, nr 28, 30. VI. 1848, XXVII, Sitzung z dn. 29. VI. 1848.
- 12) Ibidem. nr 39, 15. VII. 1848, XXXVIII, Sitzung z dn. 14. VII. 1848.
- 13) Nowiny dla ludu wiejskiego. Cieszyn, r. I, nr 36, 7. III. 1849, s. 287.
- 14) Raport komisarza policji w Bielsku Gabriela z dn. 20. IV. 1849. Z 96 Akta prezydialne morawsko-śląskiego gubernium lp. 501-49. Státní archiv v Brně (SAB).
- 15) Ibidem.
- 17) Kurzelowski J.: Rewolucyjny podmuch... I. c. s. 5.
- 18) Nowiny dla ludu... I. c. r. I, nr 16, 18. X. 1848, s. 125.
- 19) Akt oskarżenia prokuratury berneńskiej z 17. IX. 1853, N-20 7085 SAB.
- 20) Národní noviny, Praha, 9. XI. 1848, nr 181, s. 712-3.
- 21) Nowiny dla ludu wiejskiego, r. I, nr 16, 18. X. 1848, s. 125-6.
- 22) Tygodnik Cieszyński, nr 25, 21. X. 1848.
- 23) Grim E.: Paweł Stalmach, Cieszyn 1910, Pamiętniki Pawła Stalmacha, s. 241.
- 24) Kurzelowski J.: Rewolucyjny podmuch, I. c. s. 6.
- 25) Tygodnik Cieszyński, nr 25, 21. X. 1848.
- 26) Raport komisarza policji... z dn. 20. IV. 1849, Z 96 SAB.
- 26a) Dostal F. Leitfaden u. Beiträge zur Geschichte der Herrschaft u. der Stadt Oderberg... Bogumín 1913, s. 26.
- 27) Schneider C S. Erzählung eines alten Pastors aus seinem Leben. Bielitz 1880, s. 55.
- 28) Raport komisarza policji... z dn. 20. IV. 1849, Z 96 SAB.
- 29) Národní Noviny, nr. 185, 14. XI. 1848, s. 728.
- 30) Nowiny dla ludu wiejskiego, nr 19, 8. XI. 1848, s. 154 Jutrzenka, Kraków, Dodatek do nr 179, 2. XI. 1848.
- 31) Grim E.: Paweł Stalmach... I. c., s. 243, 245.
- 32) Jutrzenka, Kraków nr 224, 28. XII. 1848, s. 2-3.

Z WIZYTĄ W KOŁCHOZIE

— Jutro wyjeżdżamy do kołchozu — zapowiedział kierownik naszej grupy, kiedy po sutej i smacznej kolacji w restauracji „Dynamo”, pierwszego dnia pobytu w Kijowie, reasumowaliśmy wrażenia, jakie wywarła na nas piękna stolica Ukrainy. Jeszcze długo wieczór, w wygodnym i świetnie wyposażonym pokoju hotelu „Ukraina” gwarzyliśmy o naszych spostrzeżeniach poczynionych w czasie zwiedzania miasta. Uśmiech i zadowolenie malujące się na twarzach moich współtowarzyszy świadczył wyraźnie o tym, że Kijów nie sprawił nam zawodu. Oczarował i zachwycił nas wspaniałym obrazem zieleni, kwiatów, czystości i porządku, gustownością architektury i bogactwem kolorów. Dodajmy do tego uprzejmość i grzeczność obywateli miasta, przystojne i zgrabne, ładnie ubrane Ukrainki a obraz będzie zupełny. Z obrazem wspaniałych parków, zieleni i kwiatów zasypialiśmy zmęczeni, ale niezmiernie zadowoleni z tego, co po raz pierwszy mogliśmy oglądać własnymi oczami.

... Ranek. Przed hotelem „Ukraina” gwarno i rojno. Jest godzina dziewiąta. Wsiadamy do autobusów i jazda na śniadanie. Spożywamy ze smakiem kolejne dania, racząc się szczególnie razowym chlebem z masłem i zapijając wodą mineralną. Szybko opróżniają się talerze... jeszcze filiżanka wybornej herbaty... i już ruch koło stołów. Wyjeżdżamy. Przed nami sunie drugi autobus, jadący razem z nami. Pierwsza informacja: jedziemy do kołchozu im. Stalina, jakieś 50 km od Kijowa. I to wszystko, nie podano żadnych bliższych szczegółów. Ciekawość ogarnia wszystkich. Jaki będzie kołchoz, jakie urządzenia, wysiłki, urodzaje, ludzie itd. Na to wszystko znajdziemy odpowiedź na miejscu.

Autobus pędzi szerokimi i pełnymi zieleni ulicami Kijowa, zjeżdża z górki na szosę biegnącą równolegle do Dniepru. Rozkoszujemy się pięknem tej po-

tężnej arterii wodnej, widokiem plaży na przeciwnym brzegu. Autobus skręca na most Pattona, długi 1500 m, kilka minut jazdy i już jesteśmy na prawym brzegu rzeki. Jazda gładką, asfaltową szosą wcale przyjemna. Jakies 15 km od Kijowa wpadamy do miasteczka Bromary, w którego rejonie leży kołchoz, do którego zdążamy. Kawaleczek za miastem przejeżdżamy przez tor kolejowy i zbaczamy na drogę wiejską. Tędy jazda staje się mniej przyjemna, ponieważ droga jest mocno — jak się u nas mówi „dziurawa”. Autobus pokonuje przeszkodę za przeszkodą, które w postaci ogromnych bajorów stawiają się nam w drogę. Spod kół tryskają fontanny błota, motor rzezi z wysiłku, ale „ciągnie jak cholera”. Trzeba przyznać, że nasz „Zis” wywiązał się z zadania na celujaco.

Nastroj w autobusie jest żywy i pogodny. Brzmi piosenka, to znów okna



„Robotnik i Kołchoźnica”

trzęsą się od śmiechu po jakimś udanym dowcipie. Słowem wesoło. Nic nie jest w stanie zamącić poczucia radości. Ani zła droga, ani monotony krajobraz — równina, której końca okiem nie dosięgniesz. Mijamy jakąś większą wioskę. Ludzie krzątają się koło domków, ciekawie spoglądając za nami. Tu i ówdzie podnosi się ręka przysyłająca nam pozdrowienie. Ostatni domek przy drodze i znów droga, pola, łąny bez końca. Wreszcie po 2 godzinach jazdy wyłoniła się przed nami wioska Rusonil — cel naszej wycieczki, w której znajduje się kolchoz Stalina. Autobusy zatrzymują się przed ładnym i schludnym domem, pomieszczającym biura zarządu kolchozu. Wsiadamy, prostując z zadowoleniem zdrętwiałe nogi. Każdy z nas ciekawie się rozgląda, penetruje okolicę, chłonny na wrażenia. Posiadacze aparatów fotograficznych mają pełne ręce pracy. Przed domem zarządu szereg tablic. Zbliżamy się zaintrygowani i przekonujemy się, że każda tablica reprezentuje jakieś zobowiązanie całego kolchozu, brygady lub poszczególnych członków kolchozu. Towarzysz Karol ogromnie zainteresowany odczytuje z tablic — tylko cyfry, które niczym nie różnią się od naszych. Tekst podano azbuką. A ciekawość nie daje spokoju. Ciągnie mnie więc za rękaw do tablic i rozkazuje — „przeczytaj mi to, tamto i owo”. Ulegam presji i czytam: — dochód w roku 1956 — 5,580.000 rubli, od jednej krowy przeciętnie 3000 l mleka, 24 prosiąt od maciory itd. Towarzysz Karol kręci głową i z cicha mruczy. Jakoś nie dowierza temu wszystkiemu. Normy za wysokie. Uwierzył jednak, kiedy później sam przewodniczący kolchozu zaręczył, że wszystkie zobowiązania zostaną wykonane.

Proszą nas dalej. Wchodzimy do salki posiedzeń, gustownie urządzonej, rozsiadamy się na krzesłach i czekamy co będzie dalej. Na podium wchodzi przewodniczący kolchozu, wysoki, sympatyczny mężczyzna koło pięćdziesiątki (nazwiska niestety nie zapamiętałem) i serdecznie nas wita. Następnie w prostych słowach przedstawia nam historię kolchozu, osiągnięcia, plany na przyszłość itd. Opowiada ciekawie, ze swadą,

widać chłop czytany i obity. A oto kilka danych z jego referatu. Kolchoz Stalina powstał w roku 1950. Widzę zdziwienie na twarzach czytelników, ale tak rzeczywiście jest. Przed rokiem 1950 w wiosce istniały cztery kolchozy, które nie wykazywały nadzwyczajnych wyników gospodarki. W r. 1950 wszystkie cztery kolchozy połączono w jeden. Połączenie okazało się korzystne jak wykazują cyfry. I tak: w r. 1950 osiągnęto 9 q zboża z 1 ha, w r. 1955 — 17 q, kartofli 80 q w r. 1950, w r. 1955 — 150 q z ha. Dniówka obrachunkowa w r. 1950 wynosiła 1 rubel — dzisiaj 6,50 rubli.

Kolchoz posiada 2560 ha ziemi ornej. Oprócz tego 900 ha łąk, 100 ha sadów, 160 ha lasu oraz 235 ha nieużytków. Razem coś około 4000 ha. Obszar więc ogromny, który zmusza do rozmachu na wielką skalę. Na polach, w warsztatach, administracji, stajniach itd. pracuje 1200 kolchoźników w 8 brygadach roboczych. A więc nie lada przedsiębiorstwo, wymagające silnej ręki, sprawności organizacyjnej oraz należytego stosunku do pracy. Człowiek radziecki znany jest z karności i dyscypliny oraz pracowitości. Nic więc dziwnego, że przewodniczący z dumą wskazał na fakt, że od kilku lat nie było wypadku bułmelantwa lub innego rodzaju przewinień, które by zmuszały zarząd kolchozu do zastosowania kary. Niewątpliwie jest to wielki sukces moralny i wychowawczy, który przypisać trzeba komunistom oraz komsomolcom, będącym — jak się wyraził przewodniczący — jego prawą ręką, najlepszymi pomocnikami.

Podstawą produkcji kolchozu to zboże, głównie pszenica, hodowla żywca, warzywnictwo oraz sadownictwo. Pszenicy zasiano na obszarze 850 ha. Piękny szmat pola. Różne warzywa, jak pomidory, cebula, ogórki i inne hodowane są na 150 ha. Proszę sobie wyobrazić łąn cebuli, którego człowiek nie przejrzy okiem! Sądów jest 100 ha. Na rozległych pastwiskach kolchozu wypasa się przeszło 1000 sztuk bydła rogatego, w tym przeszło 300 dojnic, dalej 700 owiec oraz 200 koni. Do tych bogactw należy doliczyć 3000 kur oraz kilka set prosiąt i wieprzów.

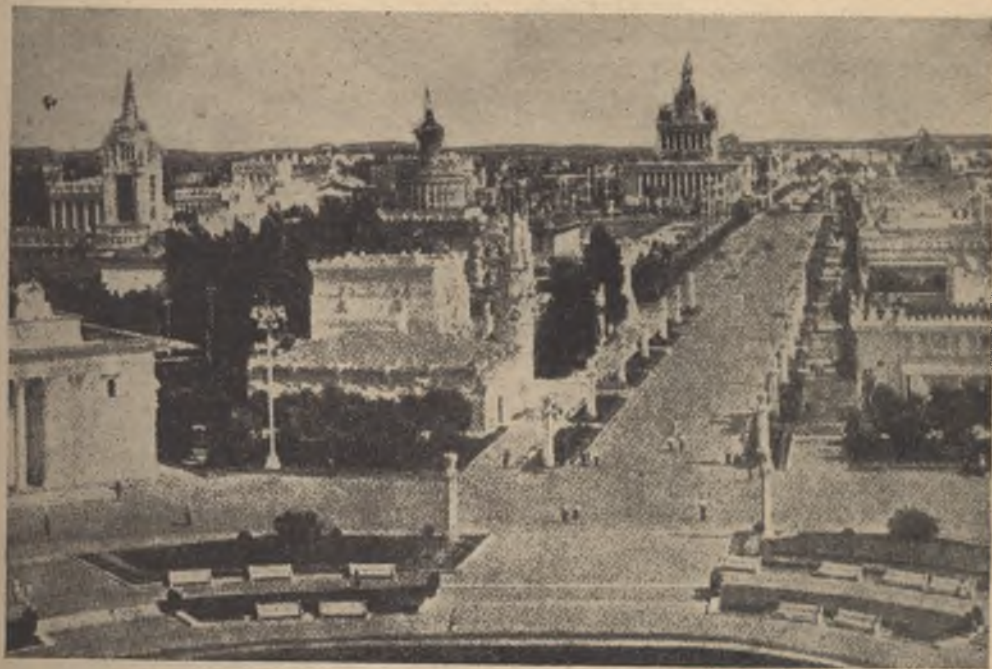
Wyposażenie kolchozu, który tworzy

sam dla siebie jednostkę gospodarczą, jest również bogate.

Do dyspozycji stoi 16 samochodów ciężarowych oraz 2 samochody osobowe. W warsztatach mechanicznych pracują różne maszyny, tokarki, tartaki i różne inne, potrzebne w tak wielkim gospodarstwie urządzenia mechaniczne. Prace polne wykonuje POM na podstawie umowy z kołchozem. Urządzenia gospodarcze odpowiadają już w 80% wymaganiom nowoczesnej gospodarki rolnej — wyjaśnia przewodniczący. Obecnie swoje wysiłki skoncentrowali kołchoźnicy w kierunku podniesienia poziomu kulturalnego obywateli. Pierwszym krokiem w tym przypadku było otwarcie szkoły dziesięcioletniej, które odbyło się przed rokiem, obecnie zaś wznoszony jest tutaj dom kultury, by umożliwić obywatelom własne wyżycie kulturalne oraz stworzyć warunki dla imprez różnych zespołów kulturalnych, amatorskich i zawodowych z innych miast, szczególnie z Kijowa. Przewodniczący kończy swój wstępny referat, w

którym przedstawił nam historię i osiągnięcia kołchozu. Zwraca się do nas z propozycją zwiedzenia kołchozu. Przedtem jednak chciałby odpowiedzieć na nasze ewentualne pytania, celem objaśnienia pewnych nieuwzględnionych w referacie spraw. Oczywiście jego propozycja została przyjęta z wielkim zadowoleniem. Posypały się pytania.

— Jak wygląda sprawa działek przyzagrodowych, jak wysokie są dostawy, zabezpieczenie niezdolnych do pracy, świadczenia socjalne itd. Przewodniczący nie został nam nic dłużen. Na każde pytanie odpowiada... rzeczowo i konkretnie. Dziwiliśmy się, kiedy nam powiedziano, że ubezpieczenie socjalne na starość dotychczas u nich nie istnieje. Przygotowuje się jednak ustawa — informuje przewodniczący, która i to niedomaganie usunie. Nie chcieliśmy wierzyć, kiedy dowiedzieliśmy się, że dostawy są bardzo niskie — 15 kg ziarna z ha, 25 l mleka z ha itd. W porównaniu z naszymi dostawami na Śląsku czechosłowackim naprawdę bardzo niskie. Ow-



Ogólny widok na Wystawę Rolniczą w Moskwie

szem, nie wolno zapominać, że warunków tamtejszych nie można porównywać z naszymi. Trzeba zrozumieć, że kołchozy tworzą samodzielną jednostkę gospodarczą i wszelkie inwestycje, jak dom kultury, zabudowania gospodarcze itd., pokrywa z własnych środków finansowych, nie otrzymując od państwa żadnej subwencji. Poza tym obowiązkowe dostawy z tak olbrzymich obszarów, jakimi dysponuje Związek Radziecki, tworzą rezerwy, które w zupełności zaspakajają potrzeby miasta i przemysłu. Dodać trzeba, że część produktów rolnych kołchozy sprzedają z wolnej ręki, dostarczając je wprost do miast, wprost do sklepów. Od przewodniczącego dowiadujemy się także, że z działek przyzagrodowych kołchoźnicy płacą najemne w wysokości 9 rubli z ara. Fakt ten jednak potwierdzili nam i inni pracownicy kołchozu, którzy wcale nie uważają tego za coś niewłaściwego... Siedzieliśmy tak do wieczora, ponieważ każdy chciał zaspokoić swą ciekawość. Ale czas nagli. Jeszcze trzeba zwiedzić kołchoz, popatrzeć na pola, więc trzeba naszą dyskusję zakończyć. Oklaskami dziękujemy naszemu sympatycznemu rozmówcy za jego wyczerpujące informacje i udajemy się wraz z nim w obojętność, aby na własne oczy zobaczyć gospodarkę kołchozu.

Wesołą, rozgadana gromadą kierujemy się w stronę warsztatów mechanicznych. Przewodniczący objaśnia poszczególne urządzenia i różne maszyny. Warsztaty są obszerne, dobrze wyposażone. Zwiedzamy dalej zabudowania, w których przygotowuje się karma dla bydła. Cały ten proces jest w zupełności zmechanizowany. Skomplikowany mechanizm obsługuje kilka kobiet. Przygotowana w ten sposób karma rozwożona jest na wagonikach wprost do chlewów. Kolejka biegnie nad powierzchnią ziemi, wagoniki posuwają się po szynach, umocowanych na drewnianych słupach. Oglądamy stację inseminacyjną, przechodzimy wreszcie do chlewów, które o tej porze są puste, ponieważ krowy są na pastwisku. Chlewy i stajnie są duże, obszerne, wszędzie czysto i porządkownie, w pokoiku dyżurnym — radio. W jednym chlewie widzimy kilka ma-

cior, pięknych okazów rasowych, wygodnie odpoczywających w kojcach.

Podchodzimy do chlewów dla świń, zbudowanych przez kołchoźników według ich własnego pomysłu. Jest to niska, przyziemna budowa, która pomieści raz tyle świń aniżeli normalny chlew, jaki oglądaliśmy przed chwilą. Koszta budowy takiego chlewu są 10 razy niższe od kosztów budowy normalnych chlewów. W ogrodzeniach umieszczonych przed chlewami napotykamy gromady ładnych i tłustych świń. Niedaleko chlewu jest mały placik ogrodzony żelaznymi rurkami. Przewodniczący objaśnia, do czego służy to urządzenie. Świnie — powiada — lubią się kąpać, lubią wylegiwać w bajorze. Dlatego sporządziliśmy dla świń łazienkę — oto stoi — wskazując na ogrodzenie. Zaraz zobaczycie ją w użyciu. Rzuca rozkaz dziewczynie; ta wpędza swoje stado do ogrodzenia, zamyka bramkę, podchodzi do kurka od wodociągu, odkręca i już z otworów wywieńconych w rurkach ogrodzenia tryska cieniutkimi strumieniami woda na zgromadzone wewnątrz świnie. Te nadstawiają swoje tłuste grzbiety, krzającą zadowolone, ocierają się nawzajem o siebie. Ciekawy widok. A urządzenie nie drogie i bardzo pomysłowe. Na tym skończyliśmy zwiedzanie zabudowań gospodarczych. Zobaczyliśmy na własne oczy to, o czym tylko czytaliśmy w gazetach. Konfrontując nasze spostrzeżenia poczynione na miejscu z tym, co nam przynosiła nasza prasa, stwierdzić należy, że nie było przesady w opisach. Kołchozowa gospodarka stoi rzeczywiście na wysokim poziomie. Wzmocniło się w nas przekonanie, że kolektywna gospodarka przewyższa gospodarkę prywatną, o ile ludzie znajdują właściwy stosunek do pracy kolektywnej, do wspólnej własności.

Niewiele już pozostało czasu. Śpieszymy jeszcze zwiedzić nowobudowany dom kultury i szkołę.

Dom kultury, którego budowa jest już na wykończeniu, stoi niedaleko zarządu kołchozu, przedstawia się rzeczywiście pięknie. Jest też dumą i pychą kołchozu. Wchodzimy do środka, wszędzie jeszcze pełno nieporządku, wapna, piasku i różnego materiału budowlanego, jednakże

główne prace są już wykonane. Trzeba jeszcze wymalować ściany, zawiesić kandelabry i dom kultury wkrótce będzie gotowy. Na obszernej scenie mogą występować najlepsze zespoły.

Zazdrościmy im tego pięknego przybytku kultury. Mimo woli nasuwa się pytanie, kiedy i w naszych wioskach staną podobne. Bo u nas na wsi, obojętne której, jest kilka gospód, których nie widzieliśmy u naszych gospodarzy.

Idziemy dalej, by popatrzeć się jeszcze na szkołę. Budynek szkolny jest ładny i schludny, otoczony ogrodem. Zwiedzamy poszczególne klasy. Wszędzie czysto, podłogi napokostowane, urządzenia w klasach skromne, zwłaszcza tablice dosyć prymitywne. Korytarze bogato przyozdobione, wszędzie portrety czolowych przedstawicieli radzieckich, portrety pisarzy radzieckich i rosyjskich. Nauka w szkole odbywa się widocznie również na zmianę, jak to zdarza się i u nas, ponieważ naliczyłem tylko 7 lokali a dziesięcioklasówka potrzebuje ich co najmniej dziesięć. Rzecz to zrozumiała, ponieważ budynek szkoły był budowany jako szkoła 7-klasowa, zaś dziesięciolatka istnieje dopiero od roku.

Na tym należałoby zakończyć. Trzeba jednak kilka słów poświęcić sprawie człowieka, jego sposobu życia. Nie myślę o człowieku samym, o jego pracy, charakterze itd. Bo człowiek radziecki, to człowiek zgoda innego pokroju aniżeli nasz. Cechuje go wielka skromność, dyscyplina, właściwy stosunek do pracy i własności społecznej. Pod tym względem nie doznaliśmy zawodu. Człowiek radziecki jest takim, jakim go sobie wyobrażaliśmy. Prosty, skromny, kochający swoją socjalistyczną ojczyznę.

Związek Radziecki rozpoczął budować nowe życie na gruzach starego. Rosja carska zostawiła mu w spadku człowieka, żyjącego w strasznych warunkach. Śmiało można powiedzieć, że był to niewolnik feudalny, którego uważano za rzecz, własność pana trzymającego swych poddanych w ryzach i posłuszeństwie, wymagając od niego pracy ponad siły i nic w zamian nie dając. Lata rewolucji a później interwencji zniszczyły do szczytu i to, co jeszcze jaką wartość przedstawiało. Zważywszy te

wszystkie okoliczności, trzeba podziwiać wielkość dzieła dokonanego w tak krótkim stosunkowo czasie przez Związek Radziecki. Do takiego wysiłku mało który naród byłby zdolny. Sytuacja wymagała, by budować najpierw potężne państwo robotnicze, zdolne do obrony owoców rewolucji. Dlatego często w cień ustąpić musiały sprawy osobiste, wygoda i luksus człowieka, kiedy chodziło o sprawy ważniejsze. Druga wojna światowa potwierdziła słuszność linii politycznej Związku Radzieckiego. Jest rzeczą jasną, że przyczyniła się ona do pewnego zahamowania rozwoju życia kulturalnego. Zostawiła po sobie nowe rany na żywym ciele narodu, który stał się awangardą nowego prądu społecznego, przedstawicielem nowego ładu społecznego.

Wziąwszy pod uwagę te wszystkie okoliczności, dojdziemy do przekonania, że wieś radziecka, chociaż pozornie może wydawać się inaczej, uczyniła olbrzymi krok naprzód. Nam jednak w żadnym wypadku nie wolno mierzyć życia człowieka radzieckiego własnymi kategoriami. Zresztą, mimo wszelkich pozorów zewnętrznych, porównanie wypadnie na naszą niekorzyść. Bo człowiek radziecki jest zadowolony ze swego życia i osiągnąć, — wie, że tak musi być i chętnie rezygnuje z wygod, kiedy chodzi o sprawy wspólne. Nam zaś tego zadowolenia i zrozumienia często brakuje, chociaż nie istnieje po temu żaden powód. W tym właśnie tkwi różnica między naszym i radzieckim człowiekiem. O człowieku nie decydują piękne meble, komfort i zbytek w mieszkaniu. O człowieku, jego wartości decydują cechy charakteru, wyrobienie polityczne i ideologiczne, patriotyzm i przywiązanie do kraju rodzinnego. Pod tym względem mamy się od człowieka radzieckiego czego uczyć.

Nadeszła godzina odjazdu. Żegnamy naszych miłych gospodarzy. Mocno ściskamy ich pracowite dłonie, życząc wiele sukcesów i powodzenia w pracy. Nie wątpimy, że tak będzie. Wsiadamy do autobusów odprowadzani uprzejmym i serdecznym uśmiechem kołchoźników. Ruszamy. Ręce podnoszą się w ostatnim pozdrowieniu... JÓZEF MRÓZEK

historia jodowej soli soleckiej

Solca, to dzielnica miasta Karwiny na Śląsku czechosłowackim. Nazwa tej dzielnicy wywodzi się od nazwy źródła, które służyło pierwotnie do wydobywania soli. Z czasem źródło to uległo jednakże zupełnemu zapomnieniu...

Posłuchajmy więc ciekawej opowieści o soleckim źródle i jego soli.

Już w XIII stuleciu wydobywano w Solcy sól, przypuszczając, że jest to sól kuchenna (chlornatrium). Czyniono to przez proste wyparowywanie wody. Procent soli w wodzie soleckiej musiał być minimalny, kiedy w czasach sprawowania władzy przez księcia Władysława Opolskiego w roku 1268, przeniesiono prawo eksploatacji na Opactwo Benedyktynskie w Orłowej. Jak potwierdzają stare kroniki, benedyktyni wydobywali również przez pewien czas w Solcy sól, lecz z powodu nieopłacalności wydobywania i małego popytu na tę sól, zaprzestali jej wydobywania. Nie wiadomo jeszcze wtenczas, że sól solecka to nie sól kuchenna, lecz że jest to gatunek soli leczniczej, jodowo-bromowej. Ponieważ benedyktynom, którzy przybyli na Śląsk Cieszyński z Tyńca pod Krakowem, znana była dobrze kopalnia soli w Wieliczce, rychło zaczęli stamtąd sprowadzać sól kuchenną na swoje potrzeby. Opat orłowski pozostawał właścicielem Solcy przez 335 lat, to jest od 1229 do 1564 roku — a więc do czasu, kiedy klasztor orłowski, siedziba benedyktynów, wskutek zaburzeń w czasie reformacji protestanckiej, ulega zagładzie. Później, książę cieszyński Fryderyk Kazimierz (1579—1595, jako młody współrządca swego ojca Władysława II (1528—1579), oddaje Solcę nie-

jakiemu Jerzemu Schretrowi, bardzo przedsiębiorczemu mieszczaninowi z Nysy. Człowiek ten nabył tutaj prawo eksploatawania soli, założenia warzelni i sprzedawania tego minerału w całym Księstwie Cieszyńskim. Niestety i Schretter zwinął wkrótce swoje przedsiębiorstwo solne z tych samych powodów, jak to dawniej uczynili benedyktyni. W następnym okresie czasu brak nam konkretniejszych wiadomości o losach źródeł soleckich. Wydaje się jednak, że zapomniano o wszystkich niepowodzeniach, które przy wydobywaniu soli spotkały orłowskich benedyktynów a później sprytnego, lecz niedoświadczonego Schrettera. Dowodzi tego fakt, że sam cesarz Leopold podejmuje po pewnym czasie nowe próby eksploatacji soli soleckiej. Monarcha ten prawdopodobnie osobiście zwiedził Solcę, ponieważ w swym liście z dnia 21 sierpnia 1670 roku pisze, że przed półtora rokiem pokazano mu studnie solne w Księstwie Cieszyńskim. Zarazem zademonstrowano cesarzowi kilka prób solnych, które miały rokować jakoby poważne nadzieje zyskownego interesu.

Tak więc po myśli reskryptu cesarskiego z dnia 21 września 1678 roku, wybudowano w Solcy wielką warzelnię soli i zaraz też przystąpiono do jej produkcji. I tym razem wyniki okazały się niedostateczne i mocno nierentowne, tak że przedsiębiorstwo cesarskie również zbankrutowało. Z tego przedsięwzięcia cesarskiego przetrwały do dnia dzisiejszego fundamenty zbudowanej warzelni soli, opodal słonych studni, które można oglądać w dzisiejszym parku PZKO w Karwinie-Solcy.

Niedługo po likwidacji przedsiębiorstwa cesarskiego, Solca przechodzi na własność magnackiej rodziny karwińskich Larischów (w r. 1714) i zostaje włączona do obszaru gminy Karwiny. Zdawało się wtedy, że po trzech bankructwach, sprawa soli soleckiej przepadła raz na zawsze i że nikt więcej nie będzie się nią interesował. W odstępie kilkudziesięciu lat dowiadujemy się z listu urzędowego, wydanego pod datą 23 sierpnia 1823 roku, którego treść opublikowano w Karwinie-Solcy i okolicy dnia 24 lutego 1825 roku — „że źródła i studnie soleckie mają być zachowane”. Protokół dotyczący tej sprawy podpisał trzema krzyżykami ówczesny wójt karwiński Jerzy Michnik. Następną wiadomość o soli soleckiej odnajdujemy w liście urzędowym z dnia 21 października 1857 roku, w którym Rząd Krajowy w Opawie wzywa generalnego sekretarza dóbr karwińskich Marcina Stańka, aby przesłał pod jego adresem dokładne sprawozdanie o powstaniu solnych studni soleckich i obecnym stanie ich źródeł. Mniej więcej w tym samym czasie Ministerstwo Finansów w Wiedniu, skierowało podobne zapytanie do starosty powiatowego Filipa Rongego.

Po przeszło dwumiesięcznym zbieraniu potrzebnych informacji, Marcin Staniek odpowiedział listem z dnia 5 listopada 1857, że nazwa Solca pochodzi od dawno znanych tutaj źródeł solnych i studzien, otoczonych dwoma zrębami drewnianymi. Marcin Staniek dołączył do swojej relacji urzędowej wynik analizy wody soleckiej, którą przeprowadził ówczesny aptekarz frysztacki Józef Bayer. Z 24 uncji (uncja — 30 gr) wody soleckiej — po jej wyparowaniu — uzyskał aptekarz 126 gr wilgotnej substancji solnej, która jako **chlor-natrium** (sól kuchenna) była mocno zanieczyszczona chlorkiem wapnia. Sprawozdawca zaznaczył także w liście dodatkowo, że niedaleko solnych studni w Solcy nr kat. 10 znajduje się również studnia z czystą wodą źródłaną, której używa się do gotowania.

Od chwili podanych relacji Marcina Stańka upłynęło znowu kilkadziesiąt lat. Karwina-Solca zmieniła swoje oblicze do niepoznania. Zamieszkuje już tutaj

blisko 24.000 osób, powstały szyby węglowe, dymy wysokich kominów, niby czarna strzecha, pokryły dawniejszą wioskę starosłowińską, która stała się teraz bogatym miastem przemysłowym. O soli soleckiej mało kto wspominał, tym więcej, że w pobliskim Darkowie istniały bogate źródła słonej wody jodowo-bromowej, której używano do celów leczniczych. Interes ten przynosił duże zyski magnatom Larisch-Mönnichom, strzegącym pilnie swego monopolu. Każdego zwykłego śmiertelnika, który ośmieliłby się wystąpić z własną inicjatywą w tym względzie i konkurować kąpielom darkowskim natrafiał na olbrzymie trudności ze strony Larisch-Mönnichów i sprzyjających tym magnatom urzędów państwowych.

Znalazł się jednak — jak na owe czasy — śmiałek, który postanowił konkurować z magnacką rodziną i uaktywnić ponownie źródło soleckie, tymbardziej skoro połapano się na tym, że w Solcy znajduje się sól lecznicza jodowo-bromowa, z której słynie uzdrowisko w Darkowie. Zwiertrzył w tym swój interes Franciszek Füllbier, rodem z Jabłonkowa, który jako placmistrz pracował w Karwinie na szybie „Gabriela” (Pokój). Tutaj trzeba nam dodać, że Füllbier cierpiał od kilku lat na strumę (wole), i ta właśnie choroba pobudziła go do



Studnia solecka

chęci kupna soleckiego źródła wody leczniczej. Füllbier zaraz po powrocie ze służby wojskowej w r. 1910 zakupuje od obywatela soleckiego Józefa Wolnego w Solcy nr kat. 20 małą parcelkę pod lasem soleckim, za którą uiszcza kwotę 600 reńskich (guldenów austriackich). I na tej właśnie parceli soleckiej przeprowadzono w roku 1912 ponowne wiercenie źródła, zaś w roku 1926 źródło to gruntownie wyczyszczono i pogłębiono. Przy pomocy sztucznego sposobu głębokiego czerpania wody ustalono urzędowo, że wydajność źródła wynosi 28,5 litra wody na minutę.

Skład chemiczny 100 gr czystej soli jodowej w Solcy zawierał:

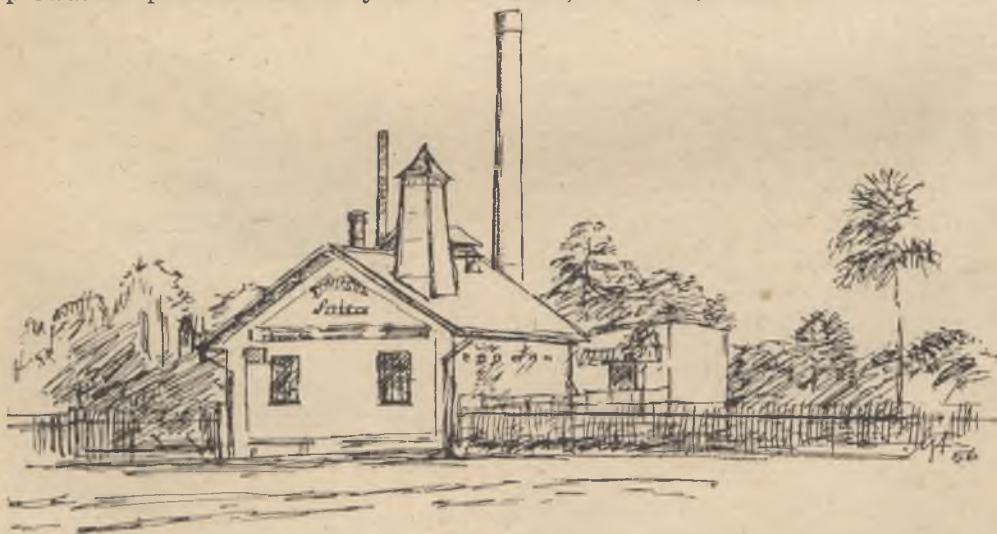
woda	1,9264 gr
chlorek litu	0,1601 "
chlorek sodu	89,1620 "
chlorek potasu	1,7264 "
chlorek magnezu	1,6431 "
chlorek wapnia	0,2432 "
bromek wapnia	0,1577 "
jodek wapnia	0,0683 "
węglan wapniowy	3,5464 "
tlenki żelaza	0,1027 "
tlenki glinu	0,1233 "
krzemionka	0,5219 "
amoniak ślady	

Analizę soleckiej soli jodowej przeprowadził profesor uniwersytetu im.

Karola w Pradze Dr Fr. Plzák i dnia 17 września 1927 roku wydał następujące orzeczenie:

„Zanalizowana sól jodowa ‚Solca‘ jest typową solą jodową, odznaczającą się wysoką zawartością halogenu ze znaczną domieszką jodu, wobec czego nadaje się najzupełniej do sporządzania kąpieeli. Swoją zawartością jodu nie tylko że dorównuje, lecz w pewnej mierze nawet prześciga obecnie już znajdujące się w sprzedaży podobne sole. Składem soli odpowiada odparowaniu wody, z której została uzyskana, i która została zanalizowana.”

Jodowo-bromowa sól w Solcy, sól z najstarszego źródła jodowego na Śląsku Cieszyńskim, jego czysty produkt naturalny okazał się najdogodniejszym środkiem dla lecznictwa domowego. Używało soli w różny sposób: w postaci kąpieeli, obkładów, płukania gardła, wdychania (inhalacja), płukania nosu, irygacji (przepłukiwania). Leczono nią głównie takie choroby jak: skrofuły gruczołowe każdego rodzaju (gruczoły, skóra, błony nosowe, śluzowe, oczy, uszy). Gruźlicę kości i stawów. Niedokrwistość — anemię. Rachitis (krzywicę). Syfilis wszelkiego rodzaju. Sklerozę arterii. Choroby skórne (egzemy, wrzody, Akne, Pruritus, Prurigo, Furunculosa, Psoriasis). Eksudaty błon surow-



Warzelnia soli jodowej w Karwinie-Solcy

wicznych (worek sercowy, błonę opłucną, błonę brzuszną, zapalenie małej miednicy). Reumatyzm mięśni i stawów. Katary błon śluzowych (nosu, gardła, szyi, dróg oddechowych, żołądka i kiszek). Choroby nerwowe (neurastenia, neuralgię, zapalenie nerwów, sklerozę specyficzną). Tabes. Srumę (zgrubienie szyi — wole).

Füllbier uzyskał koncesję na wygotowywanie soli jodowej jeszcze w czasach austriackich przed pierwszą wojną światową. Z powodu braku gotówki na rozbudowanie przedsiębiorstwa a także na skutek wybuchu pierwszej wojny światowej w roku 1914, zaprzestano — tym razem już po raz czwarty — produkcji soli jodowej.

Dopiero po normalizacji stosunków powojennych, już w Republice Czesosłowackiej, dzięki wpływom i zabiegom powiatowego lekarza we Frysztacie dr Nowotnego, ob. Füllbier „wznawia” swą koncesję i przystępuje do pogłębienia i wyczyszczenia otworu wiertniczego źródła, zarazem buduje także domek z urządzeniem warzelni soli i pod koniec 1926 roku rozpoczyna ponowną produkcję soli jodowej.

Zapotrzebowanie na tę sól stale wzrastało, tym bardziej, kiedy znany stał się fakt, że produkowana sól posiada dobre właściwości lecznicze. Mimo braku odpowiedniego kapitału oraz wzrastającej konkurencji kąpieli dąbrowskich, zdołał Füllbier w roku 1930 wybudować obok warzelni soli 7 łazienek dla kuracjuszy, których stale przybywało. Nie od rzeczy będzie podać na tym miejscu kilka wypowiedzi Augustyna Kołatka z Solcy nr 18, który pracował jako kąpielowy w przedsiębiorstwie solnym Füllbiera. Kołatek, który dotąd żyje, chętnie wspomina na te czasy, aczkolwiek u właściciela 7 łazienek pracował prawie bezinteresownie, ponieważ Füllbier tonął w długach i nie mógł go odpowiednio wynagradzać. Była to więc praca o charakte-

rze raczej społecznym dla dobra i zdrowia bliźnich, która wymagała ze strony Kołatka pewnych ofiar i poświęcenia.

W taki więc oto sposób producenci soli jodowej „Solca” firmy „Jodosol” w Karwinie-Solcy, tak bowiem nazywano to przedsiębiorstwo wraz z łazienkami kąpielowymi, prosperowali do wybuchu drugiej wojny światowej w roku 1939.

Druga wojna światowa nie podzielała ujemnie na „przedsiębiorstwo soleckie” a to dlatego, że jego właściciel był narodowości niemieckiej i cechowała go zbyt lojalność wobec okupanta. Jedynie wielkie zadłużenie oraz pogarszająca się stale choroba Füllbiera zmusiły go w r. 1941 do odstąpienia swego przedsiębiorstwa magnatowi Janowi Larischowi-Mönnichowi a to za długi, jakimi przedsiębiorstwo było obciążone. Niemiecki magnat Larisch, choremu Füllbierowi miał jedynie do jego śmierci wypłacać rentę miesięczną w wysokości 200 marek. Ale już w roku 1943 Füllbier umiera. Nowy właściciel Larisch pokładał wielkie nadzieje w zyskowności przedsiębiorstwa soleckiego. Marzył nawet o tym, że jeśli w źródle soleckim zabraknie wody, to tę samą wodę rurociągami będzie sprowadzał ze Stonawy do Solcy...

Po drugiej wojnie światowej przedsiębiorstwo soleckie zostało znacjonalizowane. Po różnych przetargach, ustalono, że majątkiem tym będzie zarządzała Miejskowa Rada Narodowa w Karwinie, zaś OÜNZ (Powiatowy Instytut Zdrowia Narodowego) będzie tu przekazywał chorych pacjentów. Tak się też działo aż do dnia 25 czerwca 1947 roku.

Od tego czasu „Jodosol” jest już nieczynny, a to z powodu podkopania terenu na skutek rozbudowy szybów węglowych OKD, w następstwie czego zostały poprzerywane żyły wodne, których nowe źródła pojawiły się na innych miejscach, lecz już nie w Solcy.

JAN BÖHM

O przeszłości Ligotki Kameralnej i jej byłym dziedzicznym wójcie



*Portret Rudolfa Żebroka
Najstarszy i najwybitniejszy historyk Śląska Cieszyńskiego Franciszek Popiołek.*

Ligotą nazywała się wieś, której osadnicy otrzymali od księcia na kilkanaście lat wolność od czynszu gruntowego na rzecz właściciela, którym był książę, stąd nazywa się Kameralną, dla odróżnienia od innych Ligot, których było na Śląsku sporo.

Ten, który sprowadził osadników, zostawał z reguły wójtem dziedzicznym wsi, nazywanym też sędzią dziedzicznym, ponieważ sprawował najniższe sądownictwo nad osadnikami, oddając część kar sądowych księciu. Godność tę piastował dożywotnio i przekazywał wraz z gruntem potomkom. Głównym jego obowiązkiem było pilnowanie chłopów przy wykonywaniu pańszczyzny, od której sam był wolny, ściąganie opłat od nich na rzecz księcia, a oprócz tego szynkował zwykle wódkę i piwo książęce.

Tym, który sprowadził osadników do Ligoty i stał się ich pierwszym wójtem, był prawdopodobnie Czadzidło. Nazwisko jego przychodzi w najstarszych zapisach, choć w nich nie jest nazwany wójtem. W r. 1684 przyszedł do posiadania wójtostwa i stanowiska wójta dziedzicznego w Ligotce Kameralnej Bartosz (Bartel) Wałach, który kupił grunt wójtowski, ożenił się z wdową po Jerzyku Czadzidle i córkę jego uznał za swoją. Odtąd wójtostwo „wolne, uprzywilejowane” należało do Wałachów. Później był także osobny wójt dla chałupników (Wałach był jednym z osadników Ligotki, wymieniony po raz pierwszy między nimi w r. 1646, jako wójt dziedziczny przychodzi po raz pierwszy w urbarzu, czyli spisie powinności chłopskich w roku 1692).

Na początku wieku XVII było w Ligotce Średniej, jako się Ligotka Kameralna z początku nazywała, 37 gospodarzy. W ciągu wieku XVII liczba ta podwoiła się przez to głównie, że po zajęciu wszystkich gruntów w dolinie rzeki Stonawki ci członkowie rodzin, którzy nie otrzymali gruntów lub przybysze nabywali łąki na stokach gór sąsiednich, Goduli, Kiczerze i w dolinach dopływów Stonawki. Za ich przykładem także i ligoczanie, którzy mieli grunty, starali się dojść do posiadania łąk, na których wypasali bydło, gdyż uprawa roli na gruntach mało urodzajnych, kamienistych, nie dawała im dostatecznego utrzymania.

Na tych łąkach paśli ligoczanie (według urbarza z r. 1647) 422 sztuk bydła rogatego i 279 „starych owiec”. Młodych owiec, pasionych w szałasach na górach, czyli gospodarstwa szałasniczego nie mieli. Wprowadził je zapewne ów Bartosz (lub Bartel), którego prodek może tego samego imienia, wymieniony jest w r. 1519 w księdze rachunkowej

miasta Cieszyna. (To jest najstarsza wzmianka o Wałachach na Śląsku.) On prawdopodobnie założył salasze na górach Praszywce i Małej Ropiczce, a po nabyciu wójtostwa zajął na długi czas wraz z potomkami swymi wybitne stanowisko tak w gminie jak i wśród wszystkich wójtów dziedzicznych Księstwa.

Rozwój pasterstwa oraz nieszcześćia trapiące mieszkańców nizin podczas wojny 30-letniej i po niej zwabiły do Ligotki nowych osadników. Zmienili się wskutek tego posiadacze gruntów, przybyło 38 nowych chałupników, dla których zarząd dóbr książęcych nazначzył osobnego wójta, lecz nie dziedzicznego. Powstały przez to nowe części gminy: Równia, Stonawka, Poręba, po wyrąbaniu lasu tamtejszego, Górzanie nad Rzeczką i Ligotka Górna (w obrębie Ligotki Kameralnej).

Powstały one mimo to, że do objęcia gruntów nie kwapili się zbyt nowi osadnicy. W r. 1689 wójt i przysiężni zajmowali się sprawą zadłużonego gruntu, na którym posiadacz jego (Buchta) źle gospodarował. Stwierdzili, że „ten zalega z podatkami cesarskimi, z pieniędzmi sierót (które pożyczył ze spadku sierót i nie zwracał) i kościelnymi w kwocie 32 tal., a prócz tego jego długi prywatne wynoszą 100 talarów, że obsiał tylko połowę swego pola a resztę wydzierżawił, że miał wszystkiego tylko jedną krowę i 3 konie liche.” Dlatego wójt ze starszyzną zwracali się kilkakrotnie do zarządu dóbr książęcych, ustnie i pisemnie, o obsadzenie gruntu innym gospodarzem, lecz nikt nie chciał go przyjąć i ten, który go wreszcie objął, dopiero więzieniem został do tego zmuszony. Gmina starała się o obsadzenie gruntu, bo z niego musiała płacić powinności na rzecz księcia.

Część posiadaczy gruntów, nie mogąc podołać ciężarom, porzuciła grunty i zbiegła do sąsiednich krajów. Takich było w Ligotce kilkanaście osób. Największe jednak spustoszenie w Ligotce i zmianę stanu posiadania spowodowała zaraza, która nawiedziła wieś w roku 1716. Całe rodziny wymierały, w niektórych domach nie pozostała ani jedna osoba. Wieś próbowała się bronić przed nią. Rejestra gruntowe przytaczają wy-

datki na ten cel łożone, jedna z chałup, w której wszyscy wyginęli, została spalona ze wszystkim, co się w niej znajdowało. Zmarłych pochowano na zachodnim stoku Goduli.

Wałachowie jako wójtowie dziedziczni, a gmina

Według urbarza z r. 1692 Wałachowie płacili czynsz gruntowy, jak inni chłopci, ale daniny w naturze, obowiązujące prócz czynszu chłopów względnie całą gminę, opłacali pieniędzmi, co było dla nich pewnego rodzaju przywilejem, więc zamiast 5 kur płacili 30 groszy, zamiast kopy jaj 10 gr., zamiast przędzenia obowiązkowego dla księcia dawali 12 gr.

Obowiązki ligoczan wzrosły w następnych latach. Na wójta nałożono rodzaj podatku spadkowego t. zw. laudemium, gmina była obowiązana według spisu powinności z r. 1755 dawać księciu na Wielkanoc i Boże Narodzenie po 1 jarząbku, które wraz z 4 jarząbkami, należnymi do gajowych, posyłało księciu do Wiednia; nadto nałożono na nią „uciążliwą powinność” naprawiania dyłami drogi jabłonkowskiej na przestrzeni 120 sążni oraz pobrania co roku od księcia 1 wiadra, 9 garnców i 1 kwarty wódki i zapłacenia za nią 27 fl 19 gr. (Było w tym czasie w Ligotce 71 chłopów posiadających grunta lub przynajmniej domy.)

Wałachowie byli gorliwymi wykonawcami swoich funkcji wójtowskich. Jeden z nich chwalił się nawet, że zawsze dbał o dobro i interes zarządu dóbr habsburskich, a władze też uznawały ich zasługi w tym względzie. Gdy w r. 1840 rząd wprowadził laski urzędowe jako odznaki dla wójtów dziedzicznych za wzorowe pełnienie obowiązków, pierwszym, którego uznano za zasługującego na nią, był wójt ligocki Jerzy Wałach, który otrzymał laskę z ozdobnym guzkiem; dyrektor Komory uznał go w piśmie do Kancelarii Nadwornej najdzielniejszym sędzią na Śląsku i dla Komory bardzo pożytecznym (1841).

Zarząd dóbr szedł mu też na rękę przy różnych okolicznościach i spełniał na ogół jego życzenia. Dał mu prawo warzenia piwa dla Ligotki i wydzierża-



Karol Piegza

Krajobraz górskiej okolicy Jabłonkowa

wił wyszynk tegóż we wsiach sąsiednich, Śmiłowicach, Gutach i Rzece. Gdy potem prosił o niżenie czynszu dzierżawczego, „gdyż wskutek picia wódki wyszynk piwa zmalał, bo w Rzece i Gutach przez cały rok prawie nic nie wypito”, przyznano mu tę zniżkę.

Komora wydzierżawiła mu też robociznę w Ligotce względnie dochód z niej. Ligoczanie wykupili się kiedyś od robocizny w naturze i płacili zamiast niej czynsz pieniężny, jednak dla zarządu dóbr habsburskich żadna umowa nie była świętą, jeżeli chodziło o powiększenie dochodów, nałożono więc ją na ligoczan ponownie, a wójt egzekwował ją bezwzględnie. Ponieważ nie mógł jej zużyć na miejscu, chciał kupić od Komory znaczną ilość drzewa, by ligoczanie musieli je zwieźć i zrąbać, na co mu pozwolono. Lecz gdy później z tego sa-

mego powodu prosił o sprzedanie mu lasku w dolinie Stonawki za cenę nie wysoką, zarząd Komory się na to nie zgodził.

Skrupulatne ściąganie opłat i wykonywanie wszelkich powinności, jakie praktykował Wałach jako wójt, pogarszały niedolę ligoczan i ucisk ze strony Komory. Piszą oni o tym w swej prośbie o zniżkę ceny drzewa, nieograniczone zbieranie chróstu w lesie i pozwolenie na poprawę swoich pastwisk. „Ze swoich kamienistych gruntów, często zalewanych, zaledwie mogą się wyżywić i byli zmuszeni od dawna szukać zarobku na obczyźnie, o który teraz bardzo trudno”, przez to i przez nowo nałożoną robociznę, którą przecież od niepamiętnych czasów wykupili za umiarkowaną cenę, bardzo zubożeli. Położenie ich stało się jeszcze bardziej bez-

nadziejne przez ostatnie zarządzenie Komory. Za drzewo muszą płacić dwa razy więcej niż poprzednio i tyle co obcy kupcy, choć w myśl rozporządzeń z r. 1771 i 1774 byli poddani górcy obowiązani płacić tylko połowę tej ceny co obcy. To drzewo muszą brać z miejsc niedogodnych w górach, do tego przychodzi zarządzenie, że drzewo w górach ma być sprzedawane przez licytację bez względu na poddanych.

Przedtem było wolno zbierać chróst i liście w lasach bez ograniczenia, teraz tylko w oznaczonym dniu raz w tygodniu za okazaniem pisemnego zezwolenia, po które trzeba się udawać 3 mile do Jabłonkowa, na co potrzeba 2 dni czasu, tak że pozwolenie jest kosztowniejsze niż ilość chróstu zebranego w jednym dniu. Według umowy z r. 1800 wolno było zbierać złom leśny bezpłatnie, teraz o tym myśleć nie można.

Gdyby tak jakiś urzędnik Komory wstąpił do jakiejś chaty naszej, widziałby w niej największe ubóstwo graniczące z rozpaczą, przekonałby się, że wielu z nas czeka kij żebraczy, jeżeli nie przyjdzie jakaś ulga" (1840).

Niekiedy tego dobrego stosunku z Komorą próbował Wałach użyć także na korzyść gminy, na jego prośbę przyznano szkole miejscowej na r. 1849/50 - 3 sągi drzewa opałowego, natomiast gdy potem prosił o drugie 3 sągi, powołując się na to, że „Ligotka jest pierwszą w wypełnianiu wszystkich powinności i że szkoły drewniane w Śmiłowicach i Rzece i Gutach dostały po 4 sągi, więc Li-

gotka, która ma szkołę murowaną, powinna dostać 6 sągów" otrzymał odpowiedź odmowną. Tak daleko nie sięgała troskliwość Komory o szkolnictwo poddanych.

Przez swą gorliwość w służbie Komory przysporzył sobie Wałach nieprzyjaciół; oskarżony był nawet o oszustwo i oszczerstwo, ale wobec tej przychylności Komory nie udało się przeciwnikom zaszkodzić mu, a główny oskarżyciel musiał odwołać swoje zarzuty, bo Wałach wykazał, że on to właśnie (Walica) podburzał chłopów w latach 1848/49 i zachęcał ich do zaprzestania robocizny (1855). Ale i on sam nie umiał się ustrzec od niesłusznych podejrzeń. Przeciwnik gajowemu Pawłowi Heczce z Bystrzycy, który zaczął ludzi Wałacha wiozących drzewo, wystąpił z licznymi, ciężkimi zarzutami, oskarżając go o wielkie nadużycia lasowe, których jednak nie zdołał udowodnić, choć, jak się okazało w śledztwie, zmuszał świadków do zeznań niekorzystnych dla Heczki a jednego z nich (Śmiłowskiego) z tego powodu trzymał skutego przez całą noc. Heczko udowodnił, że wszystkie swoje czynności załatwiał w porozumieniu z urzędnikami lasowymi, a spis zapasów drzewa nie wykazał żadnych braków (1845). To nie udane przedsięwzięcie nie zaszkodziło jednak Wałachowi, pozostał dalej na swoim stanowisku, a po nim jego potomkowie, aż do zmiany ustroju gminnego.

FRANCISZEK POPIOŁEK



Chór żeński „Hutnik” z Trzyńca

Mój świat w sanatorium jabłonkowskim

Kiedy samochód, którym przybyłem na miejsce zniknął na zakręcie alei parkowej, poczułem się niewyraźnie. Nigdy w życiu, poza małymi przeziębieniami nie chorowałem. Aż tu nagle badanie, rentgen. Stałem przed problemem paromiesięcznego leczenia w jabłonkowskim sanatorium dla chorób płucnych.

O gruźlicy płuc wiedziałem niewiele. Poza ogólnym pojęciem, że choroba ta wymaga leczenia długoterminowego i dzięki nowoczesnym środkom leczniczym przestała być plagą społeczeństwa. Szybko jednak — naturalnie dzięki pomocy współpacjentów zgłębiłem arkana poznania tej choroby.

Muszę tutaj zaznaczyć, iż każde takie sanatorium, to małe miasteczko samo

dla siebie, ma ono swój samorząd, w wielu wypadkach swój „język”, mieszkańcy zaś jego są nie byle jakimi fachowcami w dziedzinie leczenia gruźlicy. Każdy nowy pacjent, by zdobyć „ostrogę” mieszkańca sanatorium musi przejść swój specyficzny chrzest. Najpierw więc stare wygi sanatoryjne, a trzeba przyznać, że pod tym względem mają wyczucie, starają się wybadać takiego nowicjusza. Jeśli stwierdzą, że to dobry materiał na kompana, to jeszcze pół biedy, kiedy jednak spostrzegą się, że nowicjusz to strachajło — zaraz się zaczyna...

— Kolego, nie wiem, nie wiem, ale to mi się nie podoba. Na tym samym łóżku leżał właśnie jeden, którego „stary” cie-



Gmach sanatorium w Jabłonkowie

szył w ten sam sposób co i was. Bracie, później dostał d'éclive, następnie zrobili mu bronchoskopie, potem kaustykę, przedtem jeszcze frenig, na to małą pneumolizę; ta nie chwyciła, więc plastykę, w końcu resekcję na 2 laloki.

Nowy przybysz, słuchając takiej masy nieznanymi terminów lekarskich, z początku uśmiecha się z niedowierzaniem, później jednak, widząc poważne miny obecnych, błędnie i zaczyna się pocić. Po paru dniach jednak połapie się, że nabo to w butelkę i pociesza się tym, iż po jakimś czasie i on znajdzie swego naiwniaka, przybyłego z zewnątrz nowicjusza.

O tym wszystkim już wiedziałem, przychodząc do 3-osobowego pokoju nr 262, który na przeciąg paru miesięcy miał się stać moim mieszkaniem. Przygotowana pościel pachniała czystością, pokój zaś lizolem.

— To wasze łóżko, tu nocny stolik i tam szafka. Proszę się obecnie położyć, później zaś was zawołam — powiedziała uśmiechnięta siostra.

Obok leżał Jasiek z Dębicy, zwany tutaj Paganinem — na trzecim łóżku Ferddek z Dąbrowy z przydomkiem Cygan. Obaj jak się później przekonałem, byli morowymi kolegami, co jednak wcale nie przeszkadzało im kazać mi ubrać krawat, kiedy na drugi dzień szedłem na zdjęcie. Rentgenolog obrzucił mnie co prawda zdumionym spojrzeniem — a ja po niewczasie połapałem się, że to kawał, leżąc już nago na marmurowym stole pod soczewkami aparatu do zdjęć warstwicznych. Do takiego zdjęcia krawat był naprawdę niepotrzebny.

Po paru dniach, kiedy szeryf i stary, muszę tutaj dodać, iż pierwszy, to dyrektor sanatorium, drugi zaś lekarz oddziałowy, zorientowali się co do mojego stanu zdrowotnego, przydzielono mi lekarstwa no i grupę. Im niższa grupa, tym więcej leżenia. Otrzymałem dwójkę, no i objaśnienie — poza pójściem na obiad i kolację do jadalni — leżeć 25 godzin dziennie. Leżeć, to leżeć. Mimo tego czas się nie dłużył. Szybko minęło tych parę tygodni, nastąpiła zmiana grupy na trójkę z czym łączy się pozwolenie swobodnego poruszania się w obrębie zakładu. Pacjent taki może więc

już bez specjalnego pozwolenia uczęszczać do kina i na imprezy kulturalno-rozrywkowe. Imprezy takie odbywały się mniej więcej raz w miesiącu, film zaś w okresie letnim wyświetlano raz w tygodniu, w zimie dwa razy. Wszystko to odbywało się w jadalni. Ponieważ jednak seanse filmowe przypominały raczej pierwsze próby w dziedzinie kinematografii niż prawdziwe przedstawienie filmowe — pacjenci wykorzystując okazję, starali się w bardziej pociągający sposób — według ich mniemania, — uprzyjemnić płci słabszej dwie godziny nudy. Czy im się udawało — tego twierdzić nie mogę. Ze względu jednak na częstą fluktuację, nawiązanie obopólnych nici sympatii nigdy nie było niebezpieczne. Jeśli zaś czasem do tego dochodziło, to dzięki temu, że zakład miał charakter, że tak powiem — koedukacyjny.

Pacjenci, zależnie od swych upodobań i wspólnych zainteresowań, tworzyli w ramach swych oddziałów specjalne grupki. W godzinach więc wolnych od zajęć, w naszym wypadku leżenia — szkaciorze, którzy zajmowali swój stolik na przeciąg 3 godzin wieczornych, zapominali o świecie bożym. Skupione miny i zaciśnięte wargi, rzucane od czasu do czasu przytłumione słoweczka — „krawiec — na czarno, kominiarz — a czasem — ouvert”, nie przyciągało laików do tej interesującej podobno gry. Więcej już kibiców miały grupy mariaszników, brydżystów, zwolenników durnia i szachiści. Poza tymi „klubami” wybitnie męskimi, były jeszcze towarzystwa t. zw. mieszane, były one dwuosobowe, albo też więcej osobowe w tym ostatnim zaś wypadku nie zwracano specjalnej uwagi na parzystość.

Kolejną próbowałem swych sił, naturalnie poza przedostatnią grupą, we wszystkich poprzednich, by w końcu stać się aktywnym członkiem kilkuosobowego towarzystwa mieszanego, które miało swą siedzibę w czytelni sanatorium, albo też na „kozim placu”. (Kози placek, to przestrzeń pomiędzy oddziałem żeńskim a męskim.)

Warunkiem przyjęcia do towarzystwa tego było opowiedzenie jakiegoś cieka-



Na zdjęciu stare zabudowanie sanatorium jabłonkowskiego, które uruchomiono w 1926 roku

wego przeżycia, albo też kilku dobrych „wiców”.

Należeli tutaj: Odetka Přerovska, pupilek lekarzy i oddziału żeńskiego. Niewątpliwie dlatego, iż przeszła jedną z najcięższych operacji — amputację prawej połowy płuc. Ta 20-letnia panna, chociaż najmłodsza, była motorem całego towarzystwa. Ciekawa ta natura z jednej strony rozpieszczona i despotyczna, innym razem znowu uczynna jak mało kto, przypominała kapryśną pogodę podbeskidzką. Ze względu na jej wiek i ciężkie przeżycia lubiano ją powszechnie.

Przeciwstawieniem jej była p. Zdenka, z zawodu nauczycielka. I ją czekała operacja. Amputacja części płuc, t. zw. popularnie — resekcja. Kochała swój zawód i najwięcej martwiło ją to, że nie będzie mogła uczyć. Martwiła się jednak niepotrzebnie.

Typ kochliwej blondyneczki przedstawiała p. Eliszka z zawodu ekspedientka.

Dalej do towarzystwa należeli p. Amalia Słowacka, Stacho Cieszyński, Zdenek Bogumiński, Borzywoj Solny, Mirosław Mniejszy, MUDr Pospíšil, lekarz oddziałowy i moja osoba.

Lubiliśmy bardzo, kiedy do towarzystwa przychodził Dr Pospíšil, wtedy bowiem pogadanki nasze nabierały jakoby głębszego znaczenia. Naturalnie, temat zawsze jeden i ten sam — jak najprędzej wyleczyć gruźlicę i stać się znowu aktywnym członkiem społeczeństwa. Z wyglądu przypominaliśmy wszyscy dobrze odżywionych wczasowiczów. Te czasy bowiem, kiedy gruźlika poznało się na odległość, należą do przeszłości...

Był piękny słoneczny wieczór. Napęczniały zielenią park rozbrzmiewał ostatnimi odgłosami ptactwa szukającego miejsca na nocny odpoczynek. Z oddali dochodziły porykiwania krówek, którym jak na przekorę odpowiadały rozwrzeszczane pawie sanatoryjne. Koło

pawilonu oswojone wiewiórki szukały kawałków chleba. Nie poszczęściło im się widocznie, gdyż w pewnym momencie odwróciły się tyłem do budynku i sterując puszystymi kitami ogonów powędrowały w głąb parku.

W piękny ten wieczór „paczka” nasza chodziła smutna. Po kolacji zebrałiśmy się na „kozim placu”. Rozmowa jednak nie kleiła się. Mimo woli oczy nasze kierowały się na Stacha. W poniedziałek odjeżdżał bowiem do kliniki berneńskiej, gdzie poddać miał się operacji.

Odetka ratowała sytuację jak mogła.

— Cóż wy wszyscy macie takie pogrzebowe miny — mówi — ja przeszłam nie taką operację i proszę. Dzisiaj jestem zdrowa, i żałuję jedynie, iż nie zdecydowałam się przedzej pójść na operację, tak właśnie jak pan Staszek.

— Cielątko znowu machnęło ogonem — mruknął Mirek, który na każdym kroku lubiał przypominać „Małej”, jej smarkaty wiek. Ponieważ zaś ta ostatnia miała wyostrzony języczek, nie wiadomo czy nie doszłoby do jakiejś słownej potyczki.

Sytuację uratował Dr Pospisil.

— Wiedziałem, że was tutaj znajdę, — powiedział siadając obok nadąsanej jeszcze Pupilki. — Coś mi wygląda, jakby zanosilo się u was na burzę.

— Już po niej, panie doktorze! — odezwiała się Zdenka, kiwnąwszy głową w stronę Odetki i Mirka. — Martwimy się jednak, jak to będzie ze Stachem. Doktor, nawiasem mówiąc „byczy chłop”, uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— To pozostawcie już MUDr Brazdzie. Jest to fachowiec, którego imię wymawiane jest już z szacunkiem nawet za granicą. Ma już za sobą nie takie operacje. Zresztą, widziałem zdjęcia Stacha i słyszałem co mówił nasz dyrektor. Sami zaś wiecie, że MUDr Urbančík w dziedzinie gruźlicy zaliczany jest w naszej republice w poczet kilkunastu najlepszych. Na jego słowie można już chyba polegać — jak myślisz Odetko!?

Wyrwana z zadumy, mrugnęła tylko oczami. Doktor zaś ciągnął dalej.

— Wy nawet nie wiecie, jakie macie szczęście, że dopiero teraz zachorowa-

liście na gruźlicę. — Ale ma chłop poczucie humoru — szepnąłem.

— Dzisiejsza medycyna, chorobą tą nie wiele się już przejmuję. Dzisiaj wiemy już jak dać jej rady i śmiało powiedzieć można — gruźlica płuc jest chorobą całkowicie uleczalną. 66 lat minęło już od dnia, kiedy niemiecki lekarz Robert Koch zapoznał świat z bakteriami gruźlicy. Na jego cześć nazwano je też kochami.

Medycyna zrobiła wtedy duży krok naprzód, zawsze bowiem lepiej walczyć z wrogiem znanym niż nieznanym. Lekarze i naukowcy zaczęli interesować się przyczynami choroby. Nad chorem przestano już machać ręką i zaczęto stosować różne środki lecznicze, takie jak zastrzyki tuberkuliny, wyżywne jedzenie a przede wszystkim zaś spokojne leżenie — co zresztą do dnia dzisiejszego jest podstawą leczenia gruźlicy płuc.

— Panie doktorze — przerywa pani Malcza — dlaczego jednak tyle ludzi dawniej umierało na gruźlicę płuc, przecież i dawniej mogli leżeć?

— Pewno, że mogli — kiwa głową zagadnięty — tylko że nim dawniej stwierdzono u kogoś gruźlicę płuc, za zwyczaj było już za późno. Na usługi lekarzy nie było takich aparatów rentgenologicznych jak dzisiaj. Dzisiejsza opieka socjalna u nas w Republice stoi bodajże na najwyższym szczeblu w Europie. Po miastach i wsiach a tak samo i w zakładach pracy co pewien okres czasu przeprowadzane są badania rentgenologiczne, zdrowych szczerpi się mrówką przeciwgruźliczną, chorych zaś z miejsca kieruje się na leczenie.

— Słusznie pani mówi, iż w latach przedwojennych dużo ludzi umierało. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że ówczesny ustrój nie wiele troszczył się o zdrowie robotników, za każdego jednego było dziesięciu zdrowych. Dla siebie bogacze mieli parę zakładów, gdzie leczono za grube pieniądze. Robotnik, który zazwyczaj przychodził już późno, dogorywał powoli w ponurych szpitalach. Jeśli zaś komuś z chorych udało się dostać na przeciąg paru miesięcy do sanatorium na koszt Kasy Chorych, uważany był za szczęściarza. Dzisiaj jedynie w naszym sanatorium mamy ponad 300

takich szczęściarzy. Zaś w latach powojennych w samym tylko Jabłonkowie leczono się około 8 tys. ludzi. Dalej dzisiaj mamy już takie lekarstwa, jak pass, streptomecynę, rimifon, co zarazem z leczeniem metodą kolapsową, a więc zakładaniem odmy bocznej, brzusznej, albo też chirurgicznej, przynosi nadspodziewane wyniki. Jeśli zaś mam być szczery, to i te różne jak wy to nazywacie pneumolizy (odma chirurgiczna) i plastyki polegające na usuwaniu kilku żeber, zaczynają należeć do przeszłości. Aktualną staje się obecnie technika resekcyjna, polegająca na amputacji chorej części płuc.

— Tak, panie Stachu — zwraca się lekarz do naszego kandydata na operację — może pan spokojnie poddać się zabiegowi. Pobrał pan odpowiednią dawkę lekarstw, przygotowany jesteś dobrze, decyzja nasza zapadła zaś po dokładnym zastanowieniu — więc gło-

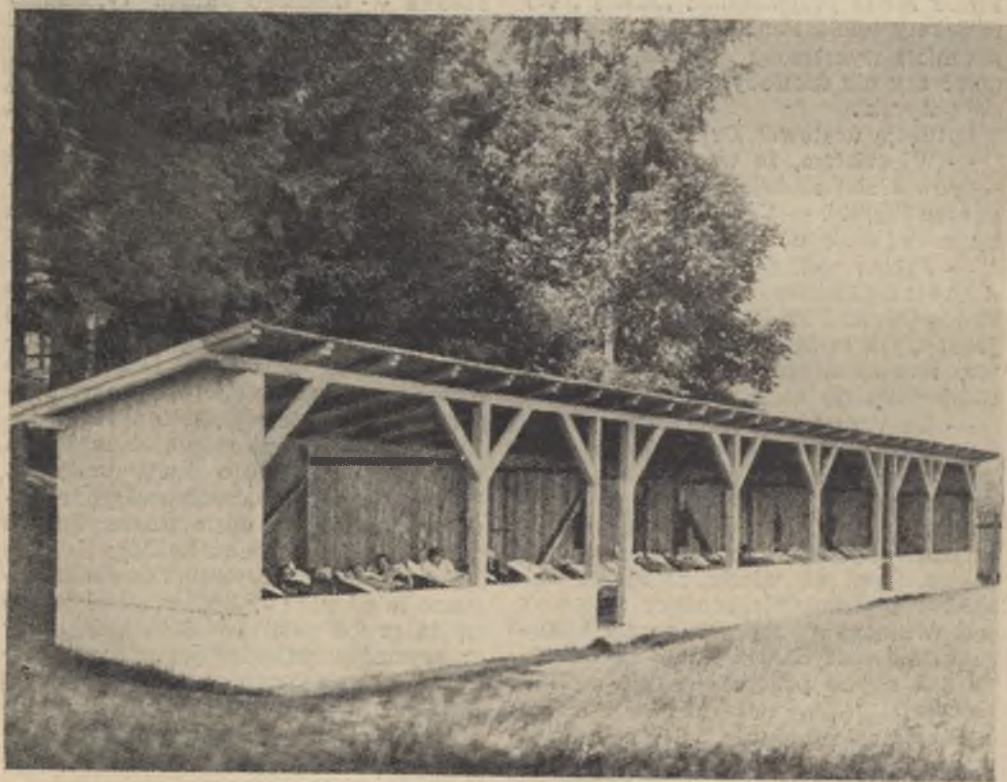
wa do góry. — Jeśli zaś chodzi ci o twój wygląd — Stach jest przystojnym mężczyzną, który nawiasem mówiąc, zdaje sobie z tego sprawę — to operacja ta na pewno nie zdeformuje twojej figury kawalerzysty.

— Mam nadzieję, że ty i wszyscy będziecie spokojnie spali — no a teraz „rebiata” do łóżek. Na dzisiaj dosyć!

Pałac jeszcze papierosa, niestety w ustępie, gdyż o specjalnej palarni budowniczkowie sanatorium zapomnieli, poważnie zastanawialiśmy się nad słowami naszego lekarza.

Wieczny opozycjonista Mirek, który zresztą był zdania, że najlepszym środkiem leczniczym to napoje wysokoprocentowe, w żaden sposób nie mógł przebaczyć lekarzowi, że zapomniał wspomnieć o leczeniu gruźlicy takimi właśnie środkami.

— Panowie — mówi — koło Pragi była felczerka, która leczyła gruźlicę



Stare pawilony do leżakowania



Pawilon do leżakowania w nowym sanatorium

ziołkami moczonymi w spirytusie. Po miesiącu takiej kuracji pacjent opuścił ową prywatną lecznicę.

— Tak, tak słyszałem o tym; opuścił lecznicę jako klient zakładu pogrzebowego — przerwałem mu.

— Po tobie nie bardzo widać, by metoda ta pomagała, — dodał Zdeniek.

Rzeczywiście, Mirek musiał głębiej zaglądnąć w „ziołka”, czuł się bowiem, jak sam twierdził, fatalnie. Uwagi nasze zignorował jednak milczeniem.

— Po co ta pusta gadanina — pano wie? — Ja czuję się lepiej — mówi Stach — niż przed dwoma godzinami. Mamy szansę i to wszyscy. Jak ja, tak i wy. Leon, ty masz rację, Mirek to wariat. Jeśli już tutaj jesteśmy i państwo płaci dziennie 45 Kčs na utrzymanie każdego pacjenta, to po to, byśmy się leczyli i wyleczyli.

Pożegnanie, jakie odbyło się w następnym dniu, nie miało już charakteru

stypy pogrzebowej. A mieliśmy rację, po paru bowiem tygodniach Stach wrócił jako rekonwalescent.

W międzyczasie życie weszło na normalne tory. Śniadanie, leżenie, obiad, leżenie, kolacja — 2 godziny wolne od „zajęć” i znowu spanie.

Urozmaicheniem było jedynie przyjście „bażanta” (nowy pacjent) i jego chrzest. Od pewnego bowiem czasu wprowadzono dla „bażantów” dodatkowy chrzest. Po otrzymaniu trzeciej grupy każdy pacjent spędzał dzień na leżakach w otwartych pawilonach. Tam zaś obowiązywał osobny regulamin.

Przychodzi taki „bażant” do pawilonu, kładzie koce na leżaku, w tym momencie zaś wita go potężny ryk kilkudziesięciu gardzieli. Zaskoczony ogląda się z niepokojem i widzi podchodzącego do siebie chłopca jak górę uzbrojonego w metrową deskę. Króciutkie objaśnienie, dwa potężne zetknięcia się deski z

siedzeniem i indiańskie okrzyki... nie katowanego — ale stojących wokół współkolegów. Bażanta przyjęto w poczet pawilonowych. Nim nadejdzie wizyta, wszyscy leżą już jak struny.

Po paru dniach — nowa bomba. Odetka gestykulując żywo rękami, aż zachłystuje się z wrażenia. — Wiecie Zdeniek ma „sponciak”.

— No i co, — pytam — nic strasznego przecież.

Widząc jednak pogardliwe spojrzenie, jakim obrzuciła mnie Mała i poważne miny stojącej obok p. Malczy, Zdenki i Borzywoja i ja posmutniałem. Przyznaję się szczerze, nie wiedziałem, co to właściwie jest ten cholerny „sponciak”. Później dopiero dowiedziałem się, że to powikłanie przy odmie, mogące spowodować nawet w razie nie udzielenia pomocy, zaduszenie. Tak źle naturalnie nie było, jeśli chodzi o Zdenka. „Stary” jednak parokrotnie odprowadzał nadmiar powietrza z płuc chłopaka i co godzinę prawie przychodził na oddział.

Zdeniek przeleżał parę dni, kiedy jednak poczuł chęć na papierosa, wiedzieliśmy, że już wszystko w porządku.

Swoją jednak drogą, zawsze żastana-

wiałem się, jak ta smarkula, zwana „Małą”, zbiera wszystkie wiadomości. Zdeniek leżał obok w pokoju, a ja nic nie wiedziałem. Jak ta wiadomość dotarła najprzód na oddział żeński, nigdy nie umiałem sobie wytłumaczyć. Co prawda wszyscy podejrzewaliśmy Borzywoja. Chłopak jednak zaklinał się — i tłukł w piersi, że on niby nic — że on nie baba itd. Nigdy mu jednak nie wierzyłem. Miękkł bowiem jak wosk, gdy na niego spojrzwały czarne oczy panny Eliszki, albo niebieskie Odetki. Poza tą słabością, która szczerze mówiąc, nikomu z nas nie przeszkadzała, był grzeczny, uczynny i nikomu się nie narzucający.

W połowie września pojechał do domu Jasek Paganini. Ferdek i ja zastanawialiśmy się, kogo sobie dobrać na trzeciego do pokoju. Na szczęście przyjechał mój znajomy Emil Suski. Był to już recydywista, więc żadnego chrztu nie było.

Z dniem przybycia Emila zmieniło się życie w pokoju. Chłop przytaskał z sobą całą masę staniolu, tektury, nici i sznury i z miejsca przystąpił do produkcji lampek nocnych. Ferdek Cygan jakimś cudem odkrył w sobie zdolności malarzkie, zorganizował gdzieś farby i pendzel i utworzył warsztat malarski. Wzorowy dotychczas pokój zamienił się w warsztat. Na stole, krzesłach i kaloryferach wały się filmy i kartki rysunkowe z namalowanymi różyczkami, stokrótkami, krasnoludkami, królowną śnieżką. Wszystko to powoli przemieniało się pod pracowitymi rękami Emila na lampy, kasety, jakieś stojany itp.

Z początku śmiałem się z tego zapału, a nawet burczałem troszkę na ten bałagan. Stopniowo jednak sam zabrałem się do pracy, co dało w wyniku dwie nowe lampy w formie biedronek nazwanych tutaj „beruszkami”.

Odjazd p. Zdenki i Odetki wypadł jakoś w tym samym tygodniu. Pierwsza udała się na operację i wróciła po paru tygodniach, by spędzić jeszcze wśród nas okres rekonwalescencji. „Mała” po 2 latach leczenia wracała do domu, gdzie miała absolwować jakiś kurs dla rentgenologów. Cieszyła się, jak dziecko.

Z ich odjazdem nasza grupka poszła



Najbliższa okolica Jabłonkowa to Górna Łomna

w rozsypkę. Wszystek wolny czas zajmowały mi obecnie książki, szachy, w piękne zaś wieczory spacer, podczas których dokarmialiśmy łanie, jelenie i sarenki, tworzące żywą ozdobę parku sanatoryjnego.

Park ten, założony przed trzydziestu laty, rozrósł się do dnia dzisiejszego do przeszło 40 ha, w których znajduje się około 300 gatunków różnorodnych drzew, krzewów, tworząc prawdziwą ozdobę jabłonkowskiego zakładu leczniczego. Park porznięty 14 km chodników, wchłonał w siebie i okrył zielenią i tych, którzy nie znosząc samotności, woleli spacerować w dwójkę, wyszukując w tym celu najbardziej osamotnione ścieżki.

Patrząc na skąpane w promieniach zachodzącego słońca mury dzisiejszego zakładu, mimo woli porównywałem je z ruderą będącą załącznikiem dzisiejszego zakładu. Nie od razu bowiem zbudowano taki nowoczesny zakład, jakim jest dzisiejsze sanatorium, zaliczane do jednych z najlepszych w Republice. Począwszy od roku 1924 do roku 1936 trwała jego rozbudowa. Dziś pomieścić może 300 pacjentów, początkowo zaś mogło się leczyć w zakładzie zaledwie 40—50 chorych, a to jeszcze w większości wypadków na koszt własny. Po okupacji, dzisiejsze kierownictwo zastało zakład zdewastowany i jedynie dzięki energicznemu wysiłkowi obecnego dyrektora MUDr Urbančika zakład stał się czynny już w roku 1946, przywracając czy też reperując zdrowie do dnia dzisiejszego około 8 tysiącom chorych.

Parę długich miesięcy ubiegło jak woda. Park obsypany kiściami puszystego śniegu pogrążony był w śnie zi-



Na jednej z ścieżek Sałajki

mowym. Stojąc przed budynkiem zobaczyłem podjeżdżający samochód — był to ten sam, którym parę miesięcy temu przyjechałem na leczenie. Obecnie wydawało mi się jednak, że jest on o wiele ładniejszy, zgrabniejszy — nie dziwne go, czułem się o całe nieco lepiej. Wracając na łono społeczeństwa, by znowu stanąć w szeregu wszystkich zdrowych pracowników lepszego jutra. Dobrze jednak, że zachorowałem w takim ustroju, który bezinteresownie przywraca zdrowie ludziom pracy.

LEON POPIELA

Nasze śląskie stroje ludowe

Twórczość ludowa na Śląsku Cieszyńskim wykazywała w przeszłości poważne wartości stylowe szczególnie w naszych strojach ludowych. Rzadko napotkać można na tak małym skrawku ziemi stroje tak różnorodne i tak stylowe, jak to jest właśnie u nas, na Śląsku Cieszyńskim. Odróżniamy tu przecież aż trzy grupy strojów, mianowicie strój laski, strój cieszyński oraz strój góralski. Osobną grupę stanowi strój Jacków jabłonkowskich, który ma charakter stroju mieszczańskiego.

Na rozwój strojów ludowych wpływały różne czynniki. Przede wszystkim były to warunki gospodarcze ludności — ubóstwo ludu powodowało skromniejsze formy strojów, z biegiem czasu nastaje rozkwit stroju ludowego.

Bardzo ważne były też różnice stanowe. Zamożne „siedloczki” ubierały się

bogato i paradnie, komornice zaś i czeladź skromnie i ubogo; nawet w wypadku, gdy komornica znalazła się w warunkach korzystniejszych, gdy np. sama zajmowała się wytwarzaniem bogatszego stroju, nie korzystała z niego, gdyż „nie wypadało” jej ubierać się bardziej bogato, niż nakazywał przesądny rygor zwyczaju.

Różnice językowe nie wpłynęły zasadniczo na różnicę w strojach ludowych, raczej różnice w wyznaniu religijnym. Lud frydecki podporządkowany wpływom kościoła katolickiego i morawszczyzny przedź porzucił swój strój, zaś Wałasi cieszyńscy w większości ewangelicy, a zarazem Wałaszkę zachowały sobie swój strój cieszyński wraz z językiem polskim.

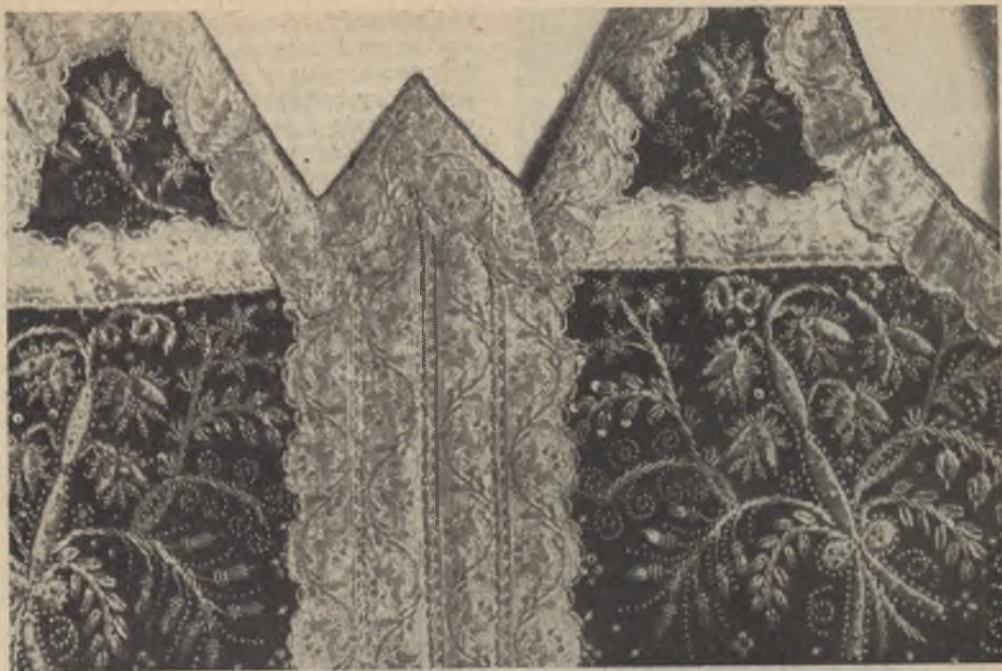
W ubiorach ludowych odbija się charakter ludu; strój ludowy w dawnej swej stylowej formie jest odbiciem kultury ludowej, jest obrazem zdolności twórczych ludu. Stąd bogactwo form stroju ludowego. W strojach dawniejszych panowała harmonia barw i równowaga elementów zdobniczych. Już najdawniejsze ubiory ludowe były zdobione, ale pierwotne ozdoby były skromne i proste a zarazem bardzo gustowne.

W miarę polepszania się warunków bytu lud wiejski zaczął naśladować stroje warstw wyższych, głównie mieszczań. Stąd w strojach zeszłego wieku niezwykła bujność i bogactwo form. Ale z drugiej strony tradycja i zasady moralności ludu zmuszały do skromności i prostoty, wprowadzały ustalone formy strojów i ich części.

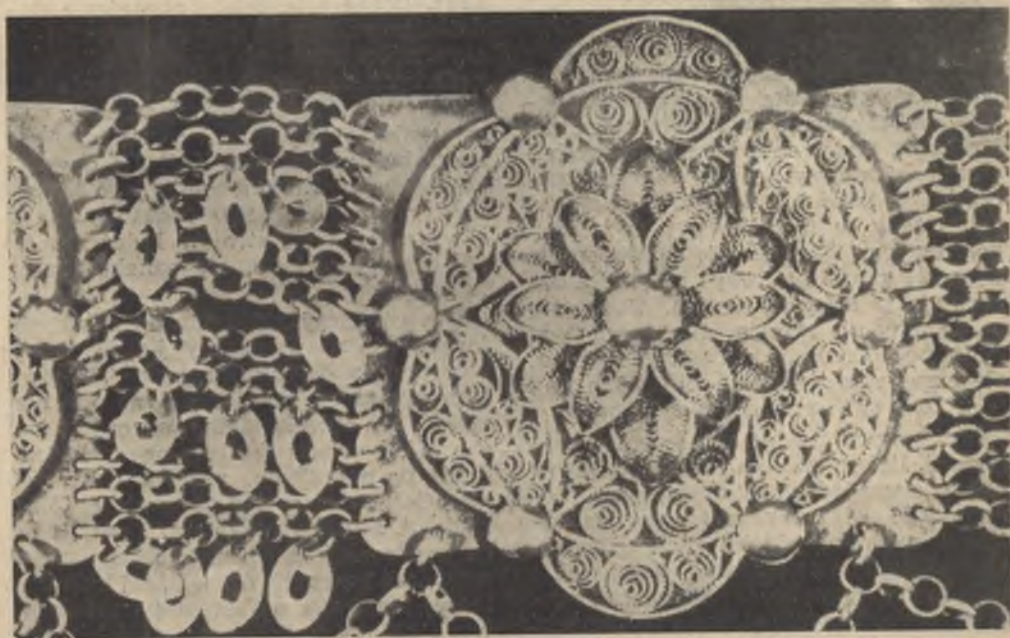
Wiele już pisano o pięknie strojów ludowych, o ich bogactwie i różnorodności form, o niezwykłym bogactwie motywów zdobniczych. Stroje ludowe są skarbem kultury narodowej. Podziwiamy ich krój stylowy, podziwiamy artyzm haftów, w strojach kobiecych bardzo pomysłowy i precyzyjny haft koszul i chustek na głowę, bogate wyszycia dużych chust, różne sposoby ich wiązania;



„Dyńko” czepca do kobiecego stroju laskiego
z Orłowej, haft biały na tiulu



Haft żywotka cieszyńskiego



Fragment srebrnego filigranowego pasa stroju cieszyńskiego



Haft żywotka cieszyńskiego

podziwiamy ozdoby koronkowe czepców, zachwycamy się żywotkami haftowanymi nicią złotą albo srebrną, podziwiamy inwencję hafciarek, która nakazywała stosowanie coraz nowszych i coraz piękniejszych motywów zdobniczych; podziwiamy bogactwo barw i materiałów w fartuchach i wstążkach kolorowych. Wszystko to są wspaniałe wytwory sztuki ludowej i rzemiosła domowego w dobrym smaku. Zasługują na to, aby nie zginęły, aby noszono je nadal po dokonaniu koniecznych zmian, ale z zachowaniem form stylowych i na podstawie dawnych, dobrych wzorów.

Weźmy pod uwagę np. żywotek cieszyński. Ileż to odmian i różnorodności typów w ciągu jednego stulecia, jakaż różnorodność ozdób. Aksamit, wyszycie złotem i srebrem, później nicią barwną. Ileż to różnych pomysłów w sposobie układu i w rysunku, w stosowaniu motywów zdobniczych, głównie roślinnych.

A obecnie cóż się dzieje? Bezmyślne

naśladownictwo mody „miejskiej” spowodowało bezstylowość i zupełny zanik dobrego smaku w strojach. Strój ludowy, który był dumą naszych przodków, wyradza się i ginie nieuchronnie. Szablony współczesnej „mody” dociera do najbardziej odległych wiosek górskich. Piękne nasze dawne stroje ludowe wyniszczono już tak dalece, że w niektórych miejscowościach nie ma po nich ani śladu.

Prawda, strój ludowy ze wszystkimi szczegółami związany jest z przeszłością. Minione stulecia wytworzyły owo niezwykle bogactwo form i ozdób. Ale elementy strojów ludowych rozwijane i przetwarzane racjonalnie i gustownie mogą wytworzyć nowe formy również piękne a przy tym przystosowane do nowych dzisiejszych naszych potrzeb.

Nasze śląskie stroje ludowe mogą i winny wrócić do nowego życia. Mogą one być wspaniałą oprawą dla uroczystości ludowych i imprez artystycznych jako stroje grup regionalnych. Festyny, popisy zespołów i zabawy ludowe nie obejdą się bez strojów ludowych.

Ale w obecnej swej formie nasze stroje ludowe przedstawiają smutny obraz. Różne przeróbki i niestylowe dodatki powodują gwałtowne wyradzanie się strojów ludowych u nas. Trzeba więc podtrzymywać dawne formy stroju ludowego. Trzeba przypominać, że z zamieraniem strojów ludowych zamiera nasza kultura ludowa. Kult dla dawnego stroju, podtrzymywanie jego stylowych wartości to cecha dodatnia. Zanik i wyradzanie się strojów ludowych to nie oznaka postępu, ale oznaka braku kultury.

Nie cofniemy już życia do dawnych form i nie spowodujemy już ogólnego powrotu do dawnych naszych strojów. Przyszły nowe czasy a dawne już nie wróca. Ale obowiązkiem naszym jest zachować wartości kulturalne odziedziczone po przodkach, naszym obowiązkiem jest nawiązywać do wartości form tradycji. Musimy podtrzymać wśród ludu wrodzone jego poczucie piękna stylu, wzbudzać szacunek dla własnej kultury, której jednym z najbardziej wartościowych objawów jest nasz strój ludowy i jego piękno.

Duże i poważne znaczenie dla naszej kultury ludowej mają urządzane u nas uroczystości i imprezy regionalne. Szczególnie okazale i malowniczo występują nasze stroje ludowe na festynach PZKO. Wielkie znaczenie mają również konkursy o najpiękniejsze nasze stroje ludowe. Dają one sposobność zobaczenia nie tylko pojedynczych strojów ludowych, ale również całych grup ludowych w dawnych naszych stylowych i pięknych strojach. Nie mniej ważne jest urządzanie co pewien czas wystaw etnograficznych z pokazami dawnych strojów w ich klasycznych formach.

Występy naszych zespołów tanecznych i śpiewaczych wywołały potrzebę zatroszczenia się o większą ilość strojów ludowych tej samej grupy. I co się stało? Zaczęto gromadzić szycie całe dziesiątki kostiumów dokładnie takich samych, zaczęto ubierać naszych śpiewaków i tancerzy w dokładnie takie same „uniformy”. To przecież nie ma nic wspólnego z zachowaniem stroju ludowego i jego stylowej formy. Charakterystyczna dla strojów ludowych była właśnie ich różnorodność kształtów a szczególnie różnorodność ozdób — przecież nie było dwu strojów jednakowych. Trzeba uświadamiać pod tym względem nasz lud i koła naszej organizacji kulturalno-oświatowej. Trzeba zachowywać w przyszłości to, co jest wartościowe i dostosować to do dzisiejszych potrzeb. Trzeba szerzej zorganizowanej akcji w kierunku utrwalenia stylowej



Jabłonkowska chustka t. zw. „drak”

mody ludowej, trzeba szerszego ruchu propagandowego za pośrednictwem naszego PZKO i jego świetlic. Nie wystarczy tu wysiłki jednostek, trzeba świadomej, szerokiej akcji ogółu.

A wtedy stroje ludowe zabłysną na nowo na naszych imprezach w całej okazałości i malowniczości form, ozdób i barw.

GUSTAW FIERLA

Dziecko w świetle powiarek ludu cieszyńskiego

Nasi ojcowie i matki wywodzili się z reguły z rodzin bardzo licznych. Starsi ludzie z dumą zazwyczaj mawiali: — „Było nas dóna jak apostołów.” Liczny przyrost naturalny uwieczniony został również w znanym powszechnie na Śląsku Cieszyńskim przysłowiu: — „Co rok to prorok, a co przestępny — to dwa.” Znana też jest u nas anegdota o ojcu licznej rodziny, który zawsze przed chrztem swego najmłodszego musiał dokładnie przestudiować kalendarz, żeby przez pomyłkę nie nadać dziecku po raz drugi tego samego imienia. Rodziny małodziejne lekceważone były przez rodziców hojnie pobłogosławionych dziećmi, a o takich, które miały tylko jednynaków, wyrażano się wręcz z przekąsem: — „Majóm też jyny jednóm kukuczke.” Jedyne dziecko było też nazywane wprost „straszokym”, bo wystarczyło tylko, żeby wiaterek nań dmuchnął i rozchorowało się, a już jego rodzice obawiali się o jego zdrowie czy nawet o życie. W rodzinach wielodzietnych było inaczej. „Czy tam mama mieli kiedy czas boć sie o nas? Dyć nas było tela, że sie nas nikiedy wieczór ni mógli dorachować. Gónilimy otargani, zmazani, jako dziecka! Ale zdrowi my byli jak ryby. Ciapciuszków my nie jedli, ale z głodu my nie umrzyli.”

Troskę o utrzymanie dzieci wyrażała również starodawna pieśń śląska:

„Lipeczka osiwiła,
a listek na dół leci.
Starajóm sie o mnie ludzie,
czy bydym chował dzieci.

Ej, dzieci, moi dzieci,
móm jo was jako śmieci.
Gdo was też chował bydzie,
jak mie tu już nie bydzie?”

Obawy były zazwyczaj płonne, bo „Jeśli doł Pónbóg owieczke, to doł i do ni troweczke”, a „dziołchy wyrosły jako jedle, a syncy jak buki w lesie”, choć w niejednej takiej „dzieciatej” rodzinie bieda była wiecznym gościem.

Rodzice swe dzieci traktowali jednako; nie było wśród nich „przychlastków”, czyli ulubieńców, chociaż zwykle ostatnie dziecko, zwane „poszkróbkym”, któremu zresztą „przoli” wszyscy w rodzinie, cieszyło się większymi przywilejami rodziców. Każde bez wyjątku małenstwo było u rodziców „chroboczkiem, biedronczkiem, rybeczkiem, kurczeczkiem, złotem, gwiozdeczkiem, słoneczkiem, kwiotuszkym, różyczką, odrobinkóm czy okruszynką”. Dopiero później każdy taki berbec, który ustąpić musiał swego pierwszeństwa w rodzinie swemu następcy, stawał się „gizdym, smorgolym, pocfóniym czy innym wybijkym”. Bardzo rzadko który z rodziców obrzucił swe dziecko wyzwiskiem „ty żabo”, bo według ogólnego wierzenia wyzwisko to powodowało, że dziecko przez 7 dni wcale nie rosło.

* * *

Przyjście na świat dziecka było w rodzinie ważnym wydarzeniem. Zaraz po obmyciu dawano noworodka do pocałowania ojcu a następnie wszystkim dzieciom po kolei, ażeby go wszyscy serdecznie pokochali. Gdy jednak któreś z dzieci nie mówiło jeszcze, nie wolno mu było dać noworodka pocałować, bo musiałoby wtedy „poczkać z rzeczóm” na tego młodszego. Syn był w rodzinie, szczególnie przez ojca, chętniej widziany od córki, bo niektórzy twierdzili, że kiedy pierwszym dzieckiem w rodzinie jest dziewczyna, to żywot w tej rodzinie będzie opłakany, a ojciec już nigdy nie zostanie „fojty”. Nie zawsze jednak to życzenie ojca spełniło się za pierwszym razem. Nieraz przez kilka lat było trzeba czekać takiemu nierozsądnemu ojcu na syna, a zdarzały się i takie wypadki, że było „gwóli jednego synka dziesięć dziołch na rodzie”. Niektórzy ojcowie takiej „fortuszkowej familije” twierdzili, że „jak sie jedna dziołcha urodzi, to tak jakby człowiek roz wygorzoł, albo se zrobił sto tysięcy dłógu”.

Przyszlą szczęśliwą dolę dziecka zapowiadały pewne okoliczności. Dziecko urodzone w niedzielę lub „na planecie” lwa czekało w życiu szczęście. Również dziecko urodzone w czepku było w życiu szczęśliwe. Natomiast piątek był dniem feralnym, bo kobiety takim piątkowym noworodkom przepowiadały rychłą śmierć lub w najlepszym wypadku ciężkie życie. Również planeta bliźniąt, panująca w dniu narodzenia się dziecka wróżyła mu ciężkie życie. Dziecko, które ujrzało świat o godzinie pierwszej po południu miało być nieśczęśliwe. Z miesięcy najbardziej nie lubianych był maj, ponieważ zdaniem kobiet wtedy właśnie urodzone dzieci były słabe i mało odporne na choroby. W Śmiłowicach natomiast twierdzono, że „mojowe” dziecko będzie długo młode i wcale się nie postarzeje. Kiedy dziecko urodziło się z płaczem, miało być zawsze zdrowe. Dostatek w życiu wróżyło dziecku bujne owłosienie, bo „każdy kudłaty bydzie bogaty”.

Nowonarodzoną córkę należało wziąć na prawą rękę a następnie owinać w męską koszulę, „aby była dycki zocno”. Gdyby przez nieuwagę wzięto ją najpierw na lewą rękę, nie miałyby w przyszłości wzięcia u chłopców. Na lewą rękę brano natomiast chłopców, „aby dziółchy za nimi nie goniły”, kiedy dorosną.

Dziecku urodzonemu w dzień wyrażały jasne włosy, a urodzonemu w nocy — ciemne włosy. Żeby zaś dziecko miało włosy kędzierzawe, było je trzeba zaraz po urodzeniu położyć na barani kocyk. Miał to być środek niezawodny.

* * *

Ważną czynnością w życiu noworodka była kąpiel. Dziecko kąpano w drewnianej wanience. Woda do kąpieli małego dziecka nie powinna być wrzeć, bo by „potem ludzie nóż wrel”. Temperaturę wody mierzono zwykle łokciem prawej ręki.

Przed pierwszą kąpielą należało dziewczynę przewlec przez męską koszulę, a po kąpieli wytrzeć ją tą samą koszulą, aby „dziółcha była zocno”. Po pierwszej kąpieli należało uważać, żeby wody nie wylać pod próg chlewa lub w samym

chlewie, bo by wszystko było wyginięło. Można to było uczynić tylko w wypadku, gdy się chciało poszkodzić sąsiadowi, ale i wówczas rzadko komu udało się podejść niepostrzeżenie do chlewa sąsiada i tam dokonać zgubnego dla cudzego bydła zabiegu. „Do waniynki dowało się dziółsze do kąpieli długi ścięblo, aby miała długi włosy.”

* * *

Matce noworodka nie wolno było aż do chrztu wychodzić z domu. Powinna była leżeć w łóżku lub przebywać w pokoju i pilnować swego maleństwa. Pozostawienie bowiem nieochrzczonego noworodka bez opieki mogło pociągnąć za sobą fatalne skutki. Na taką okazję mianowicie czyhał diabeł, który porywał nieochrzczone dziecko i zamiast niego podrzucał swego „podciepa”. Z takim podciepem mieli potem wszyscy w domu straszliwe utrapienie. Wiecznie „wrzeszczoł aż do potargania, żwandłoł, że mu tego żodyn nie rozumioł” i paszkodził pod siebie, a pozbyć się go i wyćmóc na dioble zwrot swego dziecka nie było sprawą tak łatwą. Również na ciemny strych nie wolno było iść matce przed ochrzczeniem dziecka, ponieważ później bałoby się ono przebywać samotnie po ciemku. Gdyby pomimo tych wszystkich przestróg matka przed chrztem wyszła z domu, mogłoby się jej przytrafić nieszczęście lub mogłyby ją postraszyć złe duchy. Wkroczenie położnicy w tym czasie na obce pole ściągłoby na nie zupełny nieurodzaj. Również zajmowanie się w domu szyciem było niewskazane, bo „jak matka przed krztym szyla, to dziecku szkodził potym glisty”.

* * *

Zazwyczaj po dwóch lub trzech tygodniach odbywał się w kościele chrzest noworodka. Tyłko dziecko na wpół żywe chrzcila w domu „hebama”, czyli akuszerka wodą trzykrólową, święconą w przeddzień Trzech Króli. Przed wyjazdem do kościoła przychodzili do domu rodzice chrzestni, czyli „potkowie”, którzy swemu chrześniakowi darowali „na wiazani” wartościowszą monetę złotą (za czasów austriackich) lub większy banknot.

Dziecko do chrztu ubierała akuszerka lub chrzestna matka. Przed wdzianiem dziecku chrzestnej koszulki było trzeba dziewczynkę przewlec naprzód przez nogawkę męskich spodni, „aby dziółcha była zocno”. Jeżeli rodzina posiadała już więcej dzieci, wtedy matka kazała ubierać wszystkim dzieciom do chrztu jedną i tę samą „krzcielnom koszulke”, ażeby dzieci zawsze żyły z sobą w zgodzie. Do koszulki wdziewano najpierw prawą rączkę dziecka; w przeciwnym razie dziecko byłoby „mańdokym”, czyli mańkutem. Podczas ubierania dziecka dawali mu pod główkę książkę i pieniądze, ażeby było mądre i bogate. Ubrane dziecko zawijano do ozdobnej pierzyneczki, którą opasywano haftowanym „powijokym”. Dziewczynie wtykano do powijoka jak największą ilość „szpyndliczków”, ażeby kiedyś miała „moc zoltychników”.

* * *

Ubrane i zawinięte w poduszce dziecko brała chrzestna matka na prawą rękę i niosła je do kolasy, którą wyruszano do kościoła. Chrzestnej matce nie wolno było oglądać się w stronę domu, bo dziecko tęskniłoby potem zawsze za rodzicami. Nie powinna była też mieć ona nic czerwonego na sobie, bo dziecko „dłogo by się odparzowało”. Kiedy się dziecko przed chrztem zmoczyło, było zawsze szczęśliwe.

W drodze do kościoła potkowie ostatecznie zdecydowali, jakie imię nadać dziecku przy chrzcie. Życzenia rodziców były w tym wypadku również uwzględniane. Na ogół jednak przestrzegano zasady, żeby pierwszemu dziecku nie nadawać imienia matki względnie ojca, ponieważ takie dziecko było jakoby w swym życiu nieszczęśliwe lub umierało w młodym wieku.

Które dziecko przy chrzcie dostało do ust dużo soli, było mądre. Płacz dziecka podczas ceremonii chrzestnej był dobrą wróżbą. Wierzono bowiem powszechnie, że takie płaczące lub krzyczące dziecko będzie później ładnie śpiewać, że będzie miało dobry głos i długie życie. Tylko w Markłowicach Dolnych twierdzono, że dziecko, które przy chrzcie płakało, „straciło nute”.

Po chrzcie szło się z dzieckiem „na ofiarę”. Chłopcu obowiązek ten spełniała matka chrzestna, ale z dziewczyną musiał iść koło ołtarza ojciec chrzestny, ponieważ to zapewniało jej wzięcie u chłopców. „Kole ołtarza było trzeba chutko lecieć”, aby też potem dziecko „chutko”, czyli wcześniej zaczęło mówić. Kiedy ochrzczono równocześnie chłopca i dziewczynę, było trzeba iść na ofiarę najpierw z dziewczyną, „żeby się piyr-szo wydała”. Jeżeli chrzczono więcej chłopców i dziewcząt równocześnie, wtedy dziewczyny z tych samych względów powinny mieć pierwszeństwo. Oczywiście, że za mąż wychodziły w takiej kolejności, w jakiej niesiono je na ofiarę. Nic dobrego nie wróżyło dziewczynom, jeżeli razem z nimi nie chrzczono żadnego chłopca; kobiety bowiem twierdziły, że „jak sóm przy krzcie same dziółchy, to wszystkie bydom głupi”. Nie należało również zapomnieć oświecić za ołtarzem twarzy dziecka, ażeby było białe po gębie, „a ni gniade jak cygón”.

Po zakończeniu ceremonii chrzestnej, kiedy ksiądz odszedł do kruchty, kładła dziećmi przed ołtarzem, żeby były „zocne” i szczęśliwe. Często kościelny zaskarbiał sobie przychyłność kobiet, kiedy po odejściu księdza wziął z ołtarza chustkę, którą ksiądz obcierał ręce po ofiarowaniu i obtarł nią twarzyczki nowo ochrzczonych dzieci. Zabieg ten miał im zapewnić wzięcie i urodę.

* * *

Po powrocie do domu matka chrzestna kładła zaraz dziecko na stole, rozwiązywała „powijok” i wydostawała dziecko z pieluch, ażeby jak najprędzej mówiło. Należało również rozwiązać „wiązani”, co miało mieć taki sam skutek. Zdjęte dziecku pieluszki i koszulkę zawieszano wysoko pod powalą, ażeby w życiu dożyło sławy i zdobyło wysokie stanowisko w świecie. Koszulkę należało również wystawić na słońce, ażeby dziecko było szczęśliwe.

Po rozwinięciu dziecka zebrana rodzina dokładnie mu się przyglądała i orzekła, do kogo z rodziców jest podobne. „Kiedy dziółcha była podano na ta-te, a synek na mame, wtedy ty dziecka



Zespół taneczny polskiego przedszkola w Sibiry

miały być szczęśliwe w życiu." Oprócz tego wierzono jeszcze, że „na kogo się piyrwsze dziecko podało, tyn z ojców piyrwszy umrze”.

Następnie matka chrzestna przynosiła kancjonał i otwierała go przy ochrzczonym dziecku w dowolnym miejscu. Gdy kancjonał otworzył się przypadkowo tam, gdzie znajdowały się pieśni pogrzebowe, wróżyło to dziecku krótkie życie; pieśń radosna wróżyła natomiast zdrowie i szczęście.

Za jakiś czas po chrzcie matka udawała się z dzieckiem do kościoła na tzw. „wywód”. Nie wolno się jej było zbyt szybko spieszyć za księdzem, „bo by miała hnedka drugi małe”. Matka dziewczyny musiała przed ołtarzem trzymać zapaloną świecę wysoko przy płomieniu, „aby dziółcha miała długi warkocz”. Za ołtarzem musiała oświecić twarzyczkę dziecka, ażeby było mądre.

* * *

Dziecko karmiła sobie sama matka. Karmiła je jak najdłużej piersią, ponieważ ogólnie mniemano, że „powiyl matka dowo dziecku pić, ni może mieć drugigo”. Często zdarzało się jednak inaczej. Wtedy matka musiała karmione dziecko odstawić, bo kobiety wierzyły, że albo matce stałoby się coś złego, albo jedno z tych dzieci musiałoby umrzeć, że jedno „zapiłoby” to drugie.

Okres karmienia piersią trwał kiedyś dosyć długo. Dziecko długo karmione mlekiem matki było zdrowe, miało mocne i długie zęby. Gdy dziecko piło przez dwa marce było jurne. Zdarzały się także wypadki, że kobiety wiejskie, nie chcąc mieć w krótkim czasie drugiego dziecka, karmiły nawet przez kilka lat. Znana jest przecież anegdota, w której duży już chłopak skarży się swym kolegom: — „Mamulka poszli do miasta, a jo bych pił jak hróm!”

„Odstawiani” dziecka odbywało się mniej więcej w ten sposób: „Matka usiadła na kónewce z troszkóm wody, a potym stanęła i kopła do tej kónewki, aż sie woda wylała”. Dziecko potem nie tęskniłopopokarmiematki. Niektóre matki nachylały jeszcze dziecko nad wodą, żeby skutek był zapewniony. Dziecko należało odstawić ku pełni księżyca, ażeby miało wszystkiego pełno. Gdy to uczyniono w piątek, to dziecko miało jeszcze na dodatek mocne i zdrowe zęby. Nie należało dziecka odstawiać na przednówku, „bo by było dycki głodne”. Było trzeba zaczekać, aż już było co „z nowego”, co zapewniało dziecku dostatek. Również podczas kwitnienia sadu nie należało odstawiać dziecka, bo by przedwcześnie siwiało.

Po odstawieniu chłopca matka kładła na stole biblię, pieniądz, grudkę ziemi

oraz kilka narzędzi gospodarskich lub rzemieślniczych. Chłopiec jeden z tych przedmiotów chwycił do rączki. Kiedy wyciągnął rączkę po biblię, miał się stać uczonym człowiekiem, kiedy po jakieś narzędzie, miał być rzemieślnikiem lub gospodarzem, kiedy chwycił grudkę ziemi, wróżył sobie rychłą śmierć. Praktyki tej z dziewczętami nie przeprowadzano.

Matka po odstawieniu przyrządzała dziecku „papinki” z mleka i grysiku. Pierwsze papinki trzeba było koniecznie mieszać nowym, grubym gwoździem, ażeby dziecko miało zdrowe i mocne zęby, a „ni rogulkóm, bo by zęby dziecka miały rosochate korzenie, jako ta rogulka”. Ugotowany pokarm musiał wystygnać, „prosto z waru nie śmiało dziecko jeść, bo by ludzie nóń wrelí”. Matce nie wolno było wyskrobywać z garnka resztek pokarmu i podać ich dziecku, bo by mu w dniu wesela lał deszcz.

* * *

Niemowlę sypiało zwykle w kolebce, którą w okolicach górskich zastępowała „bambyla”, czyli mocne zgrzebne przescieradło zawieszone na drągu; w nowszych czasach sypiało również w wózku lub dziecięcym łóżeczku. Nie wolno było dawać dziecku pod główkę poduszki wypełnionej kaczym pierzem, bo kiedy dziecko podrosło, to wszystkie domowe tajemnice „wykwakało” przed obcymi ludźmi. Jeżeli śpiące dziecko lubiło przewracać się na wznak, wtedy wróźono mu rychłe sieroctwo. Na dziecko nie wolno było patrzeć przez „zgłówek” kołyski, bo ono musiałoby się patrzeć „przez głowę” i zostałoby „świdrate”, czyli zezowate. Próżnej kolebki nie wolno było kołysać, ponieważ to odbierało dziecku sen. Na Kamienitym sądzono nawet, iż mogło to spowodować śmierć małego. Również w wózku nie należało „hórdać” dziecka, bo by się mu rozum odebrało. Siadanie na kołysce lub łóżeczku dziecięcym odpędzało sen. Kto spoza domowych wziął z kolebki lub wózka małe dziecko na ręce, ten mu potem musiał wsunąć pod poduszkę przynajmniej „strzympeczek”, czyli kawałek nitki ze swego ubrania, ażeby nie

zabierać spania. Również każdy, kto odchodził z obcego domu, w którym było niemowlę, musiał trzy razy dotknąć pieca, żeby dziecku „zostawić spani”. Brak snu u dziecka mogło też spowodować przejechanie kolasy zdążającej do chrztu przez ślady zajęczych skoków na drodze. Bezsenność odpędzano wtedy od niemowlęcia w ten sposób, że je obnoszono po izbie, pozbierano po kątach pajęczyny wymawiając kilkakrotnie następującą regułę: „Chładóm dziecku spanio, a zajęczkowi bieganio”. Niektóre kobiety stosowały i zalecały inny środek: Z czterech kątów izby należało zgarnąć z podłogi do pieluchy po trosze „śmietków”, zawinąć je i wsunąć dziecku pod głowę. Jeszcze inne kobiety kładły pod poduszkę suche makówki lub gotowały je, a wywar dawały do picia cierpiącemu na bezsenność. Sposób ten ponoć nie zawodził. W wypadkach bardzo ciężkich, gdy zawodziły wszystkie znane sposoby, kobiety przeciwko bezsenności zalecały przystawić dziecko do sutka „oproszonej maciury”. Zdarzyło się bowiem, iż pewna matka wyszła z domu i nie wróciła przed karmieniem dziecka. Starsza jej córka, opiekująca się niemowlęciem w jej nieobecności, nie mogła sobie dać rady z głodnym „wrzaszczym” i cała zdesperowana zaniósła go do chlewka i tam przystawiła do sutka świni karmiącej właśnie swe liczne prosiaki. Skutek tego niezwyklego karmienia był zadziwiający. Dziecko głód zaspokoilo i odtąd już zawsze spało „jak zabite”, chociaż przedtem matka ani jednej nocy nie miała spokojnej.

* * *

Od wczesnego rana do późnego wieczora, a często nawet i w nocy musiała się matka krzątać koło swego dziecka, żeby je nakarmić i utrzymać w czystości. Dzień w dzień trzeba było prać pieluchy, które i kiedyś były nieodzowną częścią niemowlęcej garderoby.

Po wypraniu i wymięciu pieluch nie wolno było nimi „strzyłać”, czyli wstrząsać z hukiem na wolnym powietrzu, ponieważ potem obcy ludzie pomawiali takie dziecko. Wypranych pieluch nie wolno było suszyć na wietrze, bo dziecku dokuczałyby wiatry lub byłoby chore. Suszenie pieluch po zachodzie słońca

sprawdzało na dziecko chorobę lub bezsenność. Pieluch nie wolno było używać do wycierania rąk, bo dziecko pociliby się i niepotrzebnie brudziło. Gdyby matka przez nieuwagę spaliła pieluchę, nie nastarczyła potem z łataniem pieluch. Ażeby dziecko, a zwłaszcza dziewczę, było „zocene”, należało pieluchy suszyć przed godziną ósmą rano, i to rozwieszane na śliwkach.

Młode dziecko zdzierało zazwyczaj koszulki swego poprzednika. Jeżeli dziewczątka ubierano koszulki noszone poprzednio przez chłopca, miała ona posiadać siłę męską. Kiedy się dziecku szyło koszulkę, nie wolno było odejść od roboty, bo by dziecko nie było dobrą gospodynią lub dobrym gospodarzem. Na koszulkach dziecięcych nie robiono węzłów, by przez to nie zawiązać rozumowi dziecka. Również nici nie ucinano nożyczkami, ale je przegryzano, ponieważ korzystanie w tym wypadku z nożyczek ściągało na dziecko głupotę. Do roku nie łątano dziecku ani koszulek, ani żadnej części ubranka, bo potem wszystko by na takim „gorało”. Używanie igły do łątania ubranka wprost na ciele było przez starsze kobiety potępiane; przez to bowiem według ich zdania zaszywano dziecku rozum.

* * *

Przełomowym okresem niemowlęctwa jest ząbkowanie. Zapowiada je spętęgowana czynność gruczołów ślinowych. „Kiere dziecko sie ślimce, tymu pójdóm zęby”. Z ząbkowaniem wiązało się kiedyś sporo ciekawych wierzeń. Przyjście na świat dziecka z jednym czy dwoma ząbkami uważane było za coś niezwykłego. Nasze prababki widziały w tym niekłamny dowód wpływu sił nieczystych na noworodka. „Jak się dziecko urodzi a mo dwa zęby na przodku, to bydzie moróm albo sotónóm. Trzeba mu też zaraz ty zęby wyrwać”. I tak też w większości wypadków rzeczywiście czyniono. Inni postępowali jednak inaczej. Lud mianowicie wierzył, że istnieją mory dwojakiego rodzaju: ludzkie i drzewne. Ludzkie chodzący dusić ludzi, drzewne zadowalały się samotnie rosnącymi drzewami. Jeżeli matka „takimu zębatymu” noworodkowi podała od razu pierś do ssania, to z

dziecka wyrosła mora ludzka; jeżeli przed pierwszym karmieniem podała dziecku kawałek drewnka, wtedy z dziecka stała się mora drzewna. Morami czy sotónami były najczęściej dziewczyny. Kiedy taka mora miała kilkanaście lat, co noc chodziła ssać upatrzone ofiary. Zamieniała się w kotkę, żabę, żdźbło, igłę lub nic, przedostawała się do swej ofiary, którą był najczęściej „szumny pacholek”, siadała mu na piersiach i ssała go do zupełnego zmęczenia. Mora drzewna wysysała natomiast sok z jakiegoś rosnącego drzewa. W dzisiejszych czasach nikt oczywiście nie wyrывa noworodkom zębów, z którymi się urodziły, bo też nikt nie wierzy w jakieś tam mory.

Rodzice stale obserwowali rozwój cięlesny swego dziecka, szczególnie uwagę zwracali na zęby, bo istniało takie tradycją uświęcone prawo, że „gdo małemu dziecku piyrszy uwidziół nowy ząbek, musioł dostać na nowe szaty” lub w ogóle coś nowego. Od wczesnego pojawienia się ząbków według wierzenia ludu zależało, czy dziecko będzie mądrym człowiekiem. „Jak dziecko dostanie ząbki do sześciu tygodni, to bydzie z niego geniusz; jak do trzech miesięcy, to sie bydzie dobrze uczyć”. Kiedy jednak ząbki pojawiły się z wielkim opóźnieniem, dziecko takie uczyło się bardzo źle. Rzadkie zęby były oznaką człowieka kłamiącego. Dziewczyna posiadająca rzadkie użębienie była zalotna i lubiła bałamucić chłopców. Kiedy dziecku wypadł pierwszy ząb, wbijano go do pnia słodkiej jabłoni, ażeby w ten sposób usunąć ból zębów. Niektóre matki po prostu ząb połknęły, co miało mieć taki sam skutek. Jeszcze inne rzucały ząb za piec, ażeby ten, który miał wyrósć na jego miejscu, był mocny i zdrowy. Rzucając ząb wypowiadały następujące zdanie: — „Tu mosz, myszko, ząb kościany, a dej za niego zieleźny.”

* * *

Kiedys ludzie na podstawie pewnych cech zewnętrznych ciała dziecka wnioskowali o przyszłej jego urodzie, charakterze, zdolnościach oraz powodzeniu w życiu i miłości. „Kiedy dziecko miało dziurkę w brodzie, to było strasznie zocene.” Któremu w policzkach podczas u-

śmiechu tworzyły się kokieterijne zagłębienia, miało szczęście w miłości. „Tako dziółcha, kierej sie w licach robiły dziurki, miała rada synków, a synek miał zaś rod dziółchy.” Kto miał wysokie czoło, był rozumny; niskie czoło świadczyło natomiast o pustej głowie chłopca lub dziewczyny. Nos „pyrkaty”, czyli zadarty w górę, cechował przyszego „spuroka”, człowieka pysznego, „kiery se mocka myślał o sobie”; nos „klupaty” posiadał człowiek dobry, którego dobroci nadużywali inni ludzie. Komu uszy odstawały od głowy, odchodził w daleki świat. Kiedy dziewczyna miała drugi palec u nóg dłuższy od pierwszego, na pewno rozkazywała swemu małżonkowi. Grube pięty u dziewczyny zapowiadały, że wyrośnie z niej dobra gosposia, cienkie pięty dziewczęce cechowały „paradnice albo wszeccznice”. Która dziewczyna miała „szpiczate” kolana, przepadała za chłopcami.

Na urodę dzieci, zwłaszcza dziewcząt, starano się wpływać w różny sposób i różnymi środkami. Ażeby dziewczyna była „szwarno”, trzeba ją było myć „szkrobankóm”, czyli wodą, w której maczały się obrane ziemniaki. Taki sam skutek miała woda po obmyciu świeżo upieczonych bochenków chleba. Woda ta była również doskonałym środkiem na porost włosów. Do roku nie wolno było dziecku strzyc włosów, bo by sie mu rozum odebrało. Pierwsze obcięte włoski chowano na pamiątkę. Ażeby włosy nie siwiały w młodym wieku, należało je dziecku strzyc w niedzielę po nowiu lub kiedy góry były czarne. Mycie twarzy marcowym śniegiem usuwało piegi i zapewniało świeżą cerę.

Matki nie pozwalały patrzeć małym dzieciom do zwierciadła. Miało to w nich wzbudzać plotkarstwo, pychę i zarozumiałość, dlatego też napominały je często: — „Nie dziwej sie do zdradła, bo sie ci tam dioból pokoże!” Dzieciom nie wolno było dać wódki, bo nie rosły, były głupie i leniwe. Do roku nie wolno było przekroczyć dziecka; gdy się tak stało, należało je odkroczyć z powrotem, ażeby nie powstrzymać jego rozwoju fizycznego. Kiedy w domu ktoś zmarł, matka pilnowała dzieci, żeby któreś nie

podlażło popod stojącą na krzesłach trumnę, bo takie dziecko by już w ogóle potem nie rosło. „Zustołby z niego taki krężel.”

* * *

Zakorzeniony był również powszechne zabobon, że dziecko, któremu do roku strzyżono paznokcie, stawało się strzygą. Strzyga posiadała na plecach znak nożyc, a po śmierci, jako duch pokutujący, napadała na ludzi i strzygła im szaty. Z tego powodu wiele zabobonnych matek nie strzygło dzieciom paznokci; ogryzały je raczej zębami.

* * *

Okres niemowlęcy oraz dzieciństwo obfitują również w różnego rodzaju powiarki.

Niemowlę musiało mieć mocno skrzybowane nóżki w pierzynie, żeby je miało proste i zgrabne. Matka nie śmiała wychodzić z dzieckiem przez sześć tygodni po urodzeniu na spacer, bo stałby się z niego „smyk”.

Rodzice z niecierpliwością oczekiwali chwili, kiedy dziecko zaczęło mówić. Z początku były to jakieś niezrozumiałe dźwięki, które z czasem poczęły się kształtować w pierwsze wyrazy mowy dziecięcej. Kiedy dziecko po raz pierwszy zawołało „mama”, przywołało sobie siostrzyczkę, kiedy zawołało „tata”, przywołało braciszka.

Mowa dziecka rozpoczęła się rozwijać jeszcze przed ukończeniem roku. Zdarały się jednak wypadki opóźnienia. Wówczas należało nad główką takiego „niemowy” rozłamać spieczone bochenki chleba. Niektóre kobiety radziły w tym wypadku stosować inny sposób rozwiązania dziecku języka. Matka miała pójść do spowiedzi. W drodze do kościoła nie wolno jej było z nikim przemówić. Po powrocie do domu miała pocałować dziecko, które w krótkim czasie powinno było zacząć mówić.

Dzieciom „usmarkanym” przepowiadano, że będą „zocene”; „dziółcha, kiero miywała świeczkę pod nosym, miała mieć kiejsi szwarne dzieci”.

„Szczyrkowke”, czyli grzechotkę, wolno było dać dziecku dopiero po przekroczeniu roku życia; wcześniejsze bawienie się tą zabawką powodowało u dziec-

ka gadulstwo. „Wszystko potym taki smorgol z chałupy wyszczyrkoł.”

W dniu pierwszych urodzin kładziono przed dziecku książkę, chleb, pieniądz, klucze i grudkę ziemi. Zależnie od tego, po co maleństwo wyciągało rączkę, wróżono mu przyszłość. Książka oznaczała człowieka uczonego, chleb rolnika, pieniądz bogacza, klucze złodzieja a grudka ziemi śmierć w młodym wieku.

Dziecku nie było wolno podnieść swej ręki na matkę lub ojca. Gdyby tak uczyniło, ręka na pewno by mu uszła.

„Kiere dziecko przy stole podpiyrało brode, źle sie potym uczyło” i nauczyciel miał z nim w szkole dużo kłopotu. Matki prowadzące kiedyś swe dzieci po raz pierwszy do szkoły dawały „rechtorowi” po ryńszczoku albo po koronie na „trzcinke”, aby na nie nie żałował kija.

Takich leniwych i złych dzieci było mało. Rzadko się zdarzało na przykład, żeby chłopcy wybierali ptaszkom młode. Możeby się i znalazły takie łobuzy, ale powstrzymała ich przed tym powiarka, że „gdo za młodu wybiyro ptoşzkóm młode, tyn na starość oślepnie”.

Dobrych dzieci natomiast było bardzo dużo. Rozumiały nędzę i kłopoty rodziców i nieraz starały się im pomóc w ciężkiej walce o byt. „Mamulka mieli biyde. Kiejsi ludzie mówili, że jak sie na granicy pola zasadzi szustke albo pięciok, albo jaki inszy piniądz, że urośnie z niego cały krzok takich piniędzy. I tóżech też zasadziła szustke, aby mi urosła, abych mógła pomóc mamulce. Ale nic mi nie urosło.” Realniejsza pomoc dzieci rodzicom przejawiała się w pójsciu na służbę. Często od szóstego roku życia pasał taki berbec krowy bogatszego gospodarza, otrzymując za to nic więcej tylko wyżywienie i tak zresztą bardzo skąpe. Ale i to była pomoc rodzicom, bo w ich trosce o liczną rodzinę ubył „aspoń jedyn jodok od miski”.

* * *

Dzieci śląskie w swym dzieciństwie nie obywały się również bez zabaw. Nie miały oczywiście drogiej zabawek przyniesionych z miasta; rodzicom nigdy nie nadbываło pieniędzy. Wyjątkiem była najczęściej „szczyrkowka”, czyli kau-

czukowa grzechotka, którą rodzice kupowali zwykle niemowlęciu na jarmarku. Niektóre kobiety twierdziły jednak, że kto z rodziców kupi dziecku do roku „szczyrkowkę”, na tego potem dziecko wszystko przed ludźmi „wyszczyrko”. Dziecku nie wolno było dać do zabawy noża, bo to wróżyło „na ostude”. Zabawa dzieci w „kierchów” wróżyła ich rodzicom rychłą śmierć. Starszym dzieciom służyły do zabawy prymitywne „bawidła”, którymi zazwyczaj były „kłopotki” drewna przyniesione z „szopki”, kilka białych, okrągłych kamyczków służących do gry „w koble”, albo całkiem zwyczajna „pucka” — piłka sporządzona ze szmat i starych pończoch. Dziewczynki najchętniej bawiły się w klasy lub na farby, a chłopcy „na lajde” lub „na kryczki”. Właściwą zabawę poprzedzało mętowanie, za pomocą którego dzieci wybierały jedno spośród siebie, które łapało te drugie lub „zamiyrało”. W różnych okolicach różne brzmiały teksty mętowania. W okolicach podgórskich mętowano w ten sposób:

„Szoł chłop do lasa
bez siykiyry bez pasa.
Uciõn se jedliczke,
postawił kapliczke,
przileciały wrõny,
powiesiły dzwõny,
przileciały kawki,
postawiły ławki,
przilecioł kos,
doł pinkawce w nos,
pinkawka sie rozgniwała,
wszystki ławki pobułała.”
W zagłębiu mętowano inaczej:
„Cebula i czosnek
skokały przez mostek,
cebula sie utopiła,
a czosnek sie śmioł.”

Ciekawy jest tekst mętowania sprzed pięćdziesięciu lat z Suchej Średniej:

„Ha tatulek ha mamulka ha skozali
ha cobyscie ha tak byli ha tak dobrzi ha
pojczali ha siykiyrki ha do lasa ha pnie
rõmbać.”

Podczas zabaw pomiędzy dziećmi łatwo dochodziło do nieporozumień i sprzeczek, które zwykle kończyły się wzajemnym wyzywaniem na siebie. Dziewczyny dokuczały chłopcom:



Dzieci z Hawierzowa...

„Synek, bymbynek,
ukroł matce pecynek,
wraził go do miecha,
prawił, że to błecha.”

Chłopcy zaś odkrzykiwali im krótko,
ale bardziej dosadnie:

„Dziółcha, pielucha,
najscała se do ucha!”

Nieporozumienia kończyły się niekiedy bójką i płaczem. Płaczącą dziewczynę pocieszali jednak chłopcy, że po płaczu „bydzie szwarniejszo”. Po płaczu następowała zwykle zgoda; dzieci same się rychło godziły, „bo między dziećmi ni ma fojta”.

* * *

Niekiedy przy zabawie dzieciśka nabrały tyle, że zgorzeleni rodzice byli zmuszeni użyć wobec łobuzów argumentu siły. „Wpoliło sie takimu i zbyte”. Uważali jednak, żeby dziecka nie bić po głowie, bo by było głupie i źle by się uczyło, albo też po plecach, bo by się jakało. Dziewczyny nie wolno było poza tym bić po gołym tyłku, bo by nie miała w przyszłości „galanów”,

albo by się jej „chłapcy nie darzili”. Bicie dziecka po grzbiecie dłonią wpływało szkodliwie na wzrok. Dziecko najczęściej karano „dutkami”, czyli dyscypliną o kilku rzemykach, bo uważano, że „pasym nie godzi sie bić dziecka; potym, choćby sie z takigo otlóczka i pasy drzyło, zawdy bydzie spórny”. Nie wolno było również bić dziecka miotłą, bo miałyby potem siedem, czy nawet dziesięć lat nieszczęścia.

* * *

Takie powiarki dotyczące dziecka miały kiedyś prawo obywatelstwa na wsi śląskiej. Kiedyś, bo czasy się zmieniają, życie idzie naprzód, a przesady i zabobony ludowe idą w zapomnienie. W najbliższej przyszłości nawet śladu z nich nie pozostanie. Pozostanie natomiast na zawsze przekazana nam przez tradycję wielka miłość rodziców do dzieci i promienne szczęście na tej miłości zbudowane. Tak, bo naprawdę szczęście ma twarz małego dziecka.

JÓZEF ONDRUSZ

PIĄTY SEZON

„Żądam od każdego teatru służby ideowej, aby teatr choćby w skromnym zakresie wiedział, czego chce i aby robił wszystkie wysiłki dla realizacji swych zamierzeń.“

Stefan Jaracz „Mój testament“

Z chwilą, kiedy niecierpliwe ręce czytelnika będą wertowały stronicę świeżo wydrukowanego kalendarza „Zwrotu“, minie pięć lat pracy pierwszego polskiego zawodowego zespołu teatralnego w Czechosłowacji — **Sceny Polskiej przy Tešinském divadle**. Mały, skromny jubileusz, bilans żmudnej, pełnej poszukiwań, klęsk, zawodów i sukcesów pracy artystycznej, trudnego okresu dojrzewania i kształtowania się. Pięć lat pracy dawnych, zapalonych pracowników zespołów amatorskich w „teatrze z prawdziwego zdarzenia“. Pięć lat nie gasnącego zapалу, poświęceń i gorzkich wyrzeczeń, dużo serca i miłości. Wszystkie dobre siły stały przy korycie Sceny Polskiej, zagrzewały i pieściły to niemowlę, towarzyszyły mu w czasie rośnięcia i dojrzewania, by w końcu podnieść bunt i zażądać od niego samodzielności, dojrzałości, wysiłków i rezultatów. Za okres pięciu lat szkoły zespół dojrzał. Ujął w mocne, młodzieńcze dłonie swój warsztat, wlał w niego swe gorące serce i pragnienia i zaczął przetapiać szlachetny kruszec swych zdolności i talentów w coraz to piękniejsze i szlachetniejsze dzieła.

Punktem zwrotnym w pięcioletniej pracy Sceny Polskiej było wystawienie „Grzeszników bez winy“ A. N. Ostrowskiego w reżyserii W. Wasiliewa w sezonie 1954-55. W dotychczasowej pracy Sceny Polskiej nastąpił przełom i zdawało się, że na wspaniałe rozpiętych skrzydłach nastąpi orli lot. Cały rok trwało wspinanie się wzwyż, uporczywe, uciążliwe, ale trwałe. Wszystkie przedstawienia poczynawszy od „Grzeszników“, kończąc na „Halo, tu międzymiastowa“

świadczyły o nieustannym wzroście poziomu przedstawień Sceny Polskiej.

Przyszłi piąty sezon i zabrakło tchu... Nastąpił zastój w pracy. Albo może też zastój dla zaczerpnięcia nowego tchu i świeżych sił.

Piąty sezon pracy teatralnej rozpoczął zespół Sceny Polskiej wystawieniem „Ballad i romansów“ A. Maliszewskiego. Sztuka została wybrana na Rok Mickiewiczowski. Budziła ona jednak szereg mniej czy więcej uzasadnionych zastrzeżeń praktyków teatralnych. Samo wprowadzenie tej sztuki w repertuar Sceny Polskiej poprzedziło szereg oficjalnych dyskusji na łamach naszej prasy oraz szereg nieoficjalnych dyskusji na progach hotelu Piast i ZG PZKO. Zastrzeżenia dotyczące samej sztuki okazały się po części słuszne. Specyficzna tematyka, wymagająca od widza pewnego zasobu wiadomości z zakresu



„Ballady i romanse“ Al. Maliszewskiego



„Lekkomyślna siostra” Włodzimierza Perzyńskiego

literatury i historii oraz wytrwałości teatralnej, nie przyczyniła się do zbyt-
niej komunikatywności i zupełnej zro-
zumiałości sztuki. A jednak w interpre-
tacji zespołu Sceny Polskiej, pod goś-
cinną reżyserią Stanisława Daczyńskiego,
stała się wielkim sukcesem Sceny
Polskiej. Przede wszystkim odpowied-
nio oddany klimat sztuki, wyrównana i
subtelna gra zespołu utrzymana w dys-
kretnym tonie, no i dykcja — wspania-
ły i jakżeż piękny język polski. Czyś-
tością oddania i wykonania, **nie dorów-
nało „Balladom” żadne inne przedsta-
wienie w sezonie.** I na ostatniej repri-
zie „Ballady i romanse” cechowały swój
premierowy i nieskazitelny kształt. Po-
byt i reżyseria gościa St. Daczyńskiego
przyniosła wielkie korzyści dla pracy
artystycznej aktorów. Specjalnie zaś
„Ballady i romanse” zasługują w dzie-
jach Sceny Polskiej na uwagę, gdyż sta-
ły się miernikiem dalszego krystalizo-
wania i kształtowania inwencji aktor-
skiej zespołu.

Pobyt reżysera Daczyńskiego w zespole
Sceny Polskiej uwieńczył jeszcze jeden
sukces, a mianowicie wystawienie kome-

dii Wł. Perzyńskiego „Lekkomyślna sio-
stra”. W sztuce tej aktor i widz spotkali
się z nowym środowiskiem na wskroś
warszawskim, mieszczańskim (boć
w Scenie Polskiej nie wystawiono je-
szcze żadnej polskiej komedii mieszczań-
skiej). Perzyński demaskuje w „Lek-
komyślniej siostrze” zakłamanie oby-
czajowości mieszczańskiej, wyrachowa-
nia mieszczan oraz ich śmieszne zasady,
które z prawdziwą moralnością nie po-
siadają nic wspólnego. Wszystko to czy-
ni Perzyński w sposób dyskretny, w sło-
wie zawierającym i rysunek postaci, z
cieniutką ironią i dowcip często bardzo
delikatny i bardzo ciekawy. Z powodu
dosyć znacznej obcości środowiska oraz
zbyt subtelnych niuansów, sztuka ra-
czej nieodpowiadająca naszemu tereno-
wi a pomimo tego jednak ciesząca się
powodzeniem. Przyczyna — gra aktor-
ska. Jeśli w „Balladach” poziom gry ak-
torskiej był wyrównany, to w „Lekko-
myślniej siostrze” można było zauważyć
indywidualne wysiłki twórcze i rozblýsk
nowych środków interpretacji i wyrazu
u szeregu aktorów.

Te dwa przedstawienia Sceny Pol-
skiej były konkretnym przykładem i do-
wodem tego, że każde przedstawienie w
decydującej mierze zależne jest od re-
żysera, zwłaszcza zaś w wypadku Sceny
Polskiej, gdzie fachowa pomoc i do-
świadczenie potrafią rozpalic fantazję,
rozbudzić drzemiące siły aktorów, ujarz-
mić je, opanować i wyposażyć w tech-
niczną doskonałość.

Repertuar czeskich sztuk klasycznych
na deskach Sceny Polskiej posiada już
swoje tradycje. W ubiegłych sezonach
wystawiono „Latarnię” A. Jiráska oraz
„Dudziarza ze Strakoniec” J. K. Tyla.
Sztuki te ze względu na swój ludowy
charakter cieszyły się powodzeniem na
naszym terenie. W ubiegłym sezonie zaś
wprowadzono do repertuaru Sceny Pol-
skiej dalszy klasyczny dramat czeski A.
i V. Mrštíkóv „Marysia”. Czyn bardzo
odważny i śmiały, zasługujący na po-
chwałę tym bardziej, że znalazła się na
naszym terenie młoda tłumaczka (Jani-
na Kowalska), która przyswoiła pol-
skiej literaturze dramatycznej to dzieło
klasyki czeskiej. Przedstawienie „Ma-
rysi” w reżyserii Wł. Niedoby było go-



Scena zbiorowa z III aktu czechkiej sztuki braci Mrštíkóv pt. „Marysia“

rącym protestem przeciwko takiemu ustrojowi społecznemu, który w imię pieniędzy i dla pieniędzy kaleczy dusze i wzajemne związki ludzi. Do bardzo mocnego wydźwięku ideowego i artystycznego przedstawienia przyczynili się przede wszystkim przedstawiciele głównych ról. Przedstawienie to było przejawem wielkiej żywiołowości zespołu chociaż zwłaszcza w scenach zbiorowych chaotyczne, niezcalone a poziom gry aktorskiej bardzo zróżnicowany. Tym niemniej jednak polska premiera Marysi, wprowadzenie tej sztuki do polskiej literatury dramatycznej, jej sukces na naszym terenie, pozostanie zasługą Sceny Polskiej.

Po tych szczytowych osiągnięciach piątego sezonu przyszła chwila krótkiego oddechu i odpoczynku, wesoła komedia muzyczna „Bosman z Bajki” R. Długosza i E. Maszewskiego. Sztuka o aktualnej tematyce dnia dzisiejszego, poruszająca ważne problemy gospodarcze

i społeczne w formie przystępnej, prostej i każdemu miłej. Reżyserowi sztuki Wł. Niedobie udało się utrzymać przedstawienie w tonie lapidarnej pogody, uroku, uśmiechów i miłości nie zapominając równocześnie o dwóch ważnych problemach tej sztuki: o współzawodnictwie i gospodarczym znaczeniu rzeki Odry oraz o współpracy dwóch bratnich narodów Czechów i Polaków. Ta współpraca właśnie! Po premierze padły pod adresem Sceny Polskiej zarzuty, że jakoby propaguje na naszym terenie asymilację, wynarodowianie itd. Nieprawda. Czyż, które z tych dwojga młodych ludzi Marysia i Tonda wyrzeka się z powodu wzajemnej miłości swej przynależności narodowej? Nie. Przeciwnie, chociaż łączy ich miłość i przyjaźń, to dzieli ich w sensie odrębności narodowości.

Zapewnione widownie i sale, widz reagujący przyjemnym uśmiechem i ci-chutko nuconą piosenką był najlepszym



Końcowa scena „Marysi” w V akcie

dowodem tego, że sztuka potrafiła właściwie przemówić do słuchacza.

Ostatnie przedstawienie Sceny Polskiej w piątym sezonie „Sługa dwóch panów” C. Goldoni’ego w reżyserii J. Janika nie wykazało już tyle cech dodatnich i osiągnąć jak poprzednie.

Może sztuka ta przyniosła wewnętrzne korzyści dla samego zespołu, gdyż po raz pierwszy zapoznał się bliżej z włoską komedią klasyczną i wzbogacił swoje techniczne umiejętności. Jednak końcowy wysiłek, ten który zobaczył widz na scenie nie był równie efektowny i piękny jak poprzednie. To wszystko nie zmniejsza wyników indywidualnych aktorów, którzy wykazali w poszczególnych wypadkach wysoką klasę gry i dużo technicznej sprawności.

Taki by był bilans piątego sezonu pracy Sceny Polskiej. Bilans poważny i różnorodny. Z chwilą, kiedy wyjdzie

Kalendarz „Zwrotu”, Scena Polska będzie miała za sobą dalszy poważny (w to mocno wierzę) krok, inscenizację „Zaczarowanego koła” L. Rydla z okazji pięcioletniego istnienia Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie.

Czwarty i piąty sezon wykazały, że zespół Sceny Polskiej dojrzał. Z godnością i chlubnie utrzymał swój poziom, chociaż po takich początkach jak „Grzesznicy”, „Intryga i miłość”, „Ballady i romanse” i „Lekkomyślna siostra” spodziewaliśmy się dalszych, lepszych wyników i czujemy trochę żalu. Zdaje mi się jednak, że walka o dalszy wzrost poziomu trwa gdzieś ukryta, w głębi. Walka o techniczną doskonałość, o poprawny, piękny i czysty język, walka o kształtowanie repertuaru, zespołu, teatru, walka o dobre rzemiosło.

WITOLD KOWALSKI

Kosztowny hałas

Pewien dowcipniś powiedział, że „muzyka jest hałasem, który bardzo dużo kosztuje”. Jeżeli pójdziemy po linii tego wypowiedzenia, to musimy stwierdzić, że do najkosztowniejszych jej rodzajów należy muzyka orkiestralna i to w postaci klasycznej, jako orkiestra symfoniczna albo filharmoniczna, która służy do wykonania muzyki poważnej. Z różnych składów orkiestr (orkiestry dęte, taneczne, jazzowe, salonowe, ludowe) najliczniejsza jest orkiestra symfoniczna, która stała się powiernikiem najgłębszych myśli kompozytorów i odtwórczynią największych dzieł. Liczba muzyków w orkiestrze symfonicznej waha się między 50 a 100 muzykami. Najliczniejszej orkiestry wymaga okrzyczana swego czasu opera Ryszarda Straussa „Salome”, w której winno brać udział 130 muzyków.

Orkiestra symfoniczna składa się z trzech grup instrumentalnych, z instrumentów smyczkowych (skrzypce, altówka, wiolenczela, bas), z instrumentów dętych drewnianych (flet, klarnet, oboj, fagot), dętych blaszanych (trąbka, waltornia, puzon) i z instrumentów perkusyjnych (pałki, bębny). Współczesna wiedza muzyczna dzieli wszelkie instrumenty muzyczne na sześć grup: idiofony (instrumenty o dźwięczącym korpusie), membranofony (dźwięczące skóry), chordofony (dźwięczące struny), aerofony (dźwięczące powietrze), eterofony (brzącający eter, np. muzyka elektryczna).

Skład wielkiej orkiestry symfonicznej może być następujący: **Instrumenty smyczkowe:** 18 pierwszych skrzypiec, 16 drugich skrzypiec, 14 altówek, 12 wiolenczel, 10 kontrabasów.

Instrumenty dęte drewniane: 2 flety, pikulina, 2 oboje, 1 róg angielski, 2 klarnety, 1 klarnet basowy, 2 fagoty i 1 kontrafagot.

Instrumenty dęte blaszane: 3 trąbki, 4 waltornie, 3 puzony i 1 tuba.

Instrumenty perkusyjne: para kot-

łów, mały, wielki bęben, ciznele, trianguły, celesta, dzwony itd. Do tego dochodzi harfa i fortepian.

Liczba ta może naturalnie zostać powiększona przez instrumenty nadprogramowe dla uzyskania specjalnych efektów (np. organy, mandoliny, oraz głos ludzki).

Nazwa orkiestra pochodzi od greckiego słowa „orchestron”, przy pomocy którego oznaczano miejsce przed sceną teatru greckiego, gdzie tańczył i deklamował chór w tragedii. Ponieważ w operze w tym miejscu siedzi zespół instrumentalny, dlatego przeniesiono nazwę miejsca na zespół instrumentalny tam siedzący. Nazwa „symfoniczny” pochodzi od greckiego słowa „symfonia”, co oznacza współbrzmienie, tak samo nazwa „filharmonia” oznacza miłośników harmonii, muzyki.

Jak już wyżej wspomnieliśmy orkiestra symfoniczna składa się z najróżnorodniejszych instrumentów, tworzących niejako jedną rodzinę, której panem i ojcem jest dyrygent. Każdy z instrumentów orkiestralnych posiada przeważnie długowiekową historię i było trzeba wkładu kulturalnego najróżnorodniejszych narodów (Włochów, Francuzów, Niemców a nawet Turków), aby wytworzyć ostateczny dobór instrumentów dziś używanych w zespole orkiestry symfonicznej.

Najliczniejszą grupą instrumentów zastąpionych w orkiestrze są tak zwane instrumenty smyczkowe, należące do instrumentów strunowych, w których struny są wprawiane w drganie przy pomocy smyczka (skrzypce, altówka, wiolenczela, kotrabas). Polska nazwa skrzypce (od skrzypiec, np. drzwi nie-naoliwione skrzypia) bardzo niedokładnie oddaje szlachetny i śpiewny głos tego królewskiego instrumentu. Ludowa nazwa instrumentu zbliżonego do skrzypiec a używanego na Podhalu „gęśle, gęśliczki” może lepiej nadawałaby się do tego. Głos instrumentów smyczko-

wych w porównaniu z innymi, np. trąbami, jest znacznie słabszy, dlatego w orkiestrze instrumenty smyczkowe, a przede wszystkim skrzypce są wielokrotnie obsadzone, aby zrównoważyć ich głos z innymi silniejszymi. Tak więc skrzypiec bywa do trzydziestu, tym więcej, że ten najważniejszy instrument orkiestralny występuje dwugłosowo, jako skrzypce pierwsze i drugie. Do pierwszych skrzypiec sadza się muzyków najzdolniejszych, ponieważ instrument ten jest prowadzącym w orkiestrze; pierwszy zaś skrzypek, siedzący przy pierwszym pulcie (koncertmistrz, wykonujący często partie solowe) jest po dyrygencie najważniejszym muzykiem orkiestry. Jest on niejako przedstawicielem zespołu, dlatego też jemu zazwyczaj w czasie oklasków ściska rękę dyrygent, dziękując orkiestrze za dobre wykonanie. Altówka (od alt — niższy głos wokalny, słowo altus oznaczało pierwotnie głos wyższy), wiolonczela (zdrobniła forma od violone) i kontrabas są skrzypcami o coraz to większych rozmiarach i dlatego te dwa ostatnie opierają muzyki o ziemię a nie o ramię, jak skrzypkowie. Skrzypce są europejskiego pochodzenia, jakkolwiek odpowiedniki spotykamy i w muzyce kultur pozaeuropejskich (np. rawanstrom w Indiach, rehab w Arabii). Skrzypce stały się instrumentem artystycznym ogólnie używanym dopiero w wieku 16 od czasów słynnych lutnistów Amatiego, Guarneriego, Stradivariusa, których instrumenty dla swych niedoścignionych walorów dźwiękowych (im starsze skrzypce tym lepsze) są więcej cenione od złota.

Instrumenty smyczkowe stanowią rdzeń orkiestry i mogą się obyć nawet bez innych instrumentów, tak że kompozytorowie piszą utwory na sam kwintet smyczkowy, np. słynna „Mała muzyka nocna” Mozarta. Instrumenty smyczkowe posiadają dźwięk zbliżony nieco do głosu ludzkiego (barwa, wibracja); skrzypce odpowiadają sopranowi, altówka altowi, wiolonczela tenorowi, kontrabas basowi, dlatego są one niezbędnym tłem dla palety orkiestralnej. Próby pisania utworów bez tych instrumentów należą do dziedziny eksperymentu, który wykazał tylko tym więcej

niezastąpioną wartość smyczków w orkiestrze.

Poza instrumentami smyczkowymi do rodziny orkiestralnej należą instrumenty dęte, t. zn. takie, z których dźwięk wydobywamy przez wtłaczanie powietrza ustami — „dęcie”, a które dzielą się zależnie od materiału, z którego są zbudowane, co wpływa decydująco na barwę głosu — na drewniane i blaszane. Do grupy drewnianej należą flet, klarnety, oboje i fagoty. Najstarszym chyba historycznym instrumentem tej grupy jest flet, ponieważ budowa jego jest najprostsza. Pochodzi on po prostu od piszczałki pasterskiej, która w Egipcie była obok harfy najwięcej znanym instrumentem. Dźwięk fletu jest przyjemny i delikatny, operujący wysokim rejestrem tonów. Stąd także Mickiewicz lubił grę fletu jako pobudkę do swych improwizacji. Mały flet nazywa się pikuliną (od piccolo — mały) i mimo, że jest najmniejszym z instrumentów, swym ostrym przenikliwym głosem przebija wszystkie inne.

Spośród instrumentów drewnianych może najwięcej rozpowszechnionym jest klarnet. W orkiestrach dętych klarnet, również wielokrotnie obsadzony, odgrywa tę samą prowadzącą rolę co skrzypce w symfonicznej.

Poza dętymi orkiestrami występuje on w małych zespołach ludowych wszystkich krajów europejskich; na Kujawach orkiestrę stanowi klarnet z bębniem. Nazwa klarnet (clarinetto) pochodzi od włoskiego słowa clarino — trąbka i oznacza małą trąbkę. Klarnet jest dość późnego pochodzenia i dopiero w 18 wieku wchodzi w skład orkiestry. Niski klarnet nazywa się klarnetem basowym.

Wcześniej od klarnetu do orkiestry weszły oboje i fagoty. Obój (nazwa pochodzenia francuskiego, hautbois — wysokie drzewo), którego ustnik składa się z dwóch płytek drewnianych, dla szlachetności i wyrazistości tonu jest najwięcej lubianym instrumentem solowym w orkiestrze. Kompozytorowie powierzą temu instrumentowi wykonanie najpiękniejszych melodyj np. Schubert na początku „Niedokończonej Symfonii”. Podobny do oboju, ale wykony-



Wielka orkiestra smyczkowa Klubu Zakładowego Huty w Trzyńcu wraz ze swym dyrygentem J. Raszką



Orkiestra Państwowej Filharmonii Śląskiej w Katowicach (grupa instrumentów smyczkowych – altówki, wiolonczele, kontrabasy)

wujący partie niższe jest rżek angielski, jak widać z nazwy pochodzenia angielskiego. O ile flet gra w najwyższym rejestrze, a klarnet i obój w rejestrze sopranu i altu, to fagot najniższy instrument z pomiędzy drewnianych (długa rura drewniana z metalowym ustnikiem; nazwa pochodzi z języka włoskiego od słowa fagotto — wiązka) odpowiada tenorowi i basowi z pomiędzy głosów ludzkich.

Najniższe tony wśród tych instrumentów wykonuje fagot basowy. Fagot posiada więcej charakterystyczny głos niż piękny, dlatego też chętnie jest używany do wywoływania komicznych efektów. Złośliwi mówią, że fagot przypomina chrząkanie świni.

Pomiędzy instrumentami drewnianymi a trąbami zajmuje pośrednie miejsce, dzięki swemu miękkiemu głosowi, waltornia (nazwa pochodzi z języka niemieckiego od słowa Waldhorn — róg leśny, trąba owalnego kształtu z bardzo rozszerzonym ujściem, na którym swego czasu koncertował Wojski z „Pana Tadeusza”), instrument służący do wypełniania harmonii w orkiestrze, ale i solowo wykonywujący najróżniejsze funkcje. Ponieważ waltornie wytrzymują bardzo często akordy, dlatego normalnie są obsadzone czterokrotnie, aby mogły wykonać w całości poszczególne akordy, ale czasami liczba ich jest zwiększona do 6 a nawet i 8. Waltornia posiada zdolność wydobywania dźwięków od najcichszych (dźwięki tłumione ręką lub tłumnikiem) do najsilniejszych, dlatego też wielkie nasilenia dźwiękowe (crescenda) i zciszenia (decrescenda) bez waltorni trudno sobie wyobrazić.

Największy blask i siła orkiestry leży jednak w trąbach i puzonach (trąba od włoskiego „tromba”, puzon od niemieckiego Posaune), instrumentów chyba tak dawnych jak flet, ponieważ ich używano od najdawniejszych czasów w wojsku, jako instrumentów sygnałowych i pobudzających do walki. Rzymianie używali długich trąb prostych (salpinx). Dziś trąbki i puzony są ze względów praktycznych zwinięte i zaopatrzone w klawisze. W orkiestrze jazzowej stała się trąbka instrumentem prowadzącym,

gdzie jest ona traktowana z mistrzowską wirtuozerią przy murzyńskich improwizacjach (Armstrong), podobnie jak skrzypce przez Cyganów w muzyce węgierskiej. Wśród puzonów coraz więcej używane są puzony suwakowe (Zugposaune), na których gra jest i dla widza efektowna. Najniższym instrumentem dętym blaszanym jest wielka tuba, wchodząca w skład orkiestry od czasów Wagnera.

W czasach romantycznych weszła do orkiestry także i harfa, jeden z najstarszych instrumentów, który dzięki swej budowie stał się ozdobą wizualną orkiestry a swym delikatnym eterycznym brzmieniem nadaje się do wyrażania delikatnych efektów.

Ostatnią grupą instrumentów orkiestralnych są tzw. instrumenty perkusyjne, czyli takie, z których dźwięk wydobywany jest przez uderzenie, a więc bębny, pałka albo kołty, które można nastroić na potrzebną wysokość, i które używane parami służą do podkreślania podstawowych tonów harmonii, toniki i dominanty. Berlioz, kompozytor francuski, użył w swym „Requiem” 16 kołtów dla odmalowania trzasku zapadających się w sędzie ostatecznym światów. Poza kołtami najróżniejsze inne instrumenty perkusyjne weszły do orkiestry europejskiej po inwazji tureckiej w czasie t. zw. mody tureckiej (patrz Mozart „Alla turca”), jak wielki i mały bęben, ciznele (talerze), dzwony i dzwonki (celestra) triangu i inne. Do nich w ostatnim czasie włącza się fortepian, traktowany jako instrument perkusji.

Jak każdy kolektyw i orkiestra jest żywym organizmem, na czele którego stoi dyrygent. Próby orkiestr bez dyrygenta zawiodły, tak że takie orkiestry prawie nie istnieją. Dyrygenci w ostatnich czasach stali się wirtuozami pałeczki dyrygenckiej, tak jak skrzypkowie i pianiści. Wystarczy wymienić takie nazwiska dyrygentów jak Toscanini, Stokowski, Furtwängler. Dyrygowanie z pamięci od niedługo czasu stało się takim samym obowiązującym prawidłem, jak gra solistów z pamięci, co naturalnie wymaga doskonałego opanowania partytury (partyturą nazywamy

zestawienie wszystkich głosów orkiestralnych jednego nad drugim). Kierowanie orkiestrą, to znaczy narzucanie kolektywowi swej woli, doskonale podporządkowanie go pod obraz artystyczny, jaki dyrygent ukształtował w swej wyobraźni, nie jest rzeczą łatwą i wymaga specjalnych zdolności. Już samo równoczesne zagranie jednego tonu w orkiestrze jest kunsztem, który nie wszyscy dyrygenci posiadają. Jedni łatwiej przekazują swą wolę i wyczucie aparatowi orkiestralnemu od innych. Samo zaś opanowanie dzieła muzycznego z jakimś zespołem, aby z tak wielkiego aparatu wykonawczego wydobyć jasno i plastycznie każdy szczegół, wymaga sporo czasu. Aczkolwiek do orkiestr przyjmuje się zasadniczo muzyków zaawansowanych, to jednak precyzyjne przygotowanie jakiegoś arcydzieła orkiestralnego, np. „Symfonii” Beethovena, albo „Poematu symfonicznego” Straussa czy jakiegoś skomplikowanego dzieła współczesnej muzyki, np. Strawińskiego, wymaga wiele godzin, a nawet dni pracy. Wykonanie utworu już znanego przez innego dyrygenta wymaga ponownie wielu wkładu pracy zanim muzycy zostaną wprowadzeni we wszystkie intencje interpretacyjne nowego dyrygenta. Są dyrygenci, którzy traktują orkiestrę jako całość, inni poświęcają więcej uwagi plastycznemu wydobyciu wszystkich szczegółów, dokładnie stosując gradację dźwiękową instrumentów i grup dźwiękowych.

Nie zawsze się też wszystkie występy orkiestr udawają. Są czasami momenty tragiczne, gdy dyrygent i muzycy „gubią się” wskutek fałszywego wejścia jakiegoś instrumentu (wszak niektórzy muzycy muszą wiele policzyć pauz zanim mogą zagrać jeden lub kilka tonów) innym razem wskutek nieuwagi dyrygenta występ orkiestry zostaje narażony na szwank artystyczny. Wtedy dyrygent ma trzy możliwości wyjścia z przykłej sytuacji: albo próbuje pozbierać rozsypanych żołnierzy w jakimś punkcie zbórnym, albo przynajmniej się otwarcie do niepowodzenia i zatrzymuje wykonanie przez „odpukanie” i zaczyna na nowo, albo symuluje atak sercowy i upada koło pulpitu, chcąc w ten sposób

wyjść z honorem z niemiłej sytuacji. To ostatnie wyjście jest mało pożyteczne, ponieważ coraz więcej przyjmuje się zwyczaj (dzięki wydawnictwu małych partytur w większych ośrodkach muzycznych) śledzenia wykonania przy pomocy nut. Nie ujdzie więc uwadze słuchaczy żadne niepowodzenie dyrygenta czy muzyków. Na jednym z koncertów Filharmonii Warszawskiej byłem swego czasu świadkiem, jak dyrygent Grzegorz Fitelberg, znany ze swej tremy w czasie występów, łapał się z orkiestrą od początku do końca przy wykonaniu poematu symfonicznego „Sowizdrzała” Straussa, tak że z tego pomysłowego utworu wyszła jakaś koszmarna karykatura. Kłaniając się jednak w odpowiedzi na zdawkowe okłaski po zakończeniu koncertu nie dał dyrygent ani drgnieniem muskułu twarzy poznać po sobie, jaki bigos z „Sowizdrzała” zgotował słuchaczom. Kto nie znał utworu, składał przewinę brzmienia na nowoczesny styl kompozycji, a kto widział co się dzieje w orkiestrze, musiał z uśmiechem kwitować następstwo braku należytego przygotowania utworu.

Rozpisywanie kompozycji na orkiestrę jest dziś przy tak wielkim aparacie orkiestralnym (około 30 różnych głosów) sztuką a zarazem wiedzą zwaną instrumentacją. Nie tylko właściwe nasilenie poszczególnych grup instrumentalnych, ale wyzyskanie barwy poszczególnych instrumentów dla uzyskania specjalnych efektów, należy do sztuki instrumentowania, w której niektórzy kompozytorowie są wirtuozami. Użycie np. niskich, mało używanych tonów fletu dla odmalowania zgrozy w wilczej jamie w operze „Wolny strzelec” Webera, użycie kilkunastu kontrabasów dla oddania przerażenia u skazańca kroczącego pod szubienicę — oto dwa przykłady wyjęte przypadkowo z pomiędzy tysięcy najróżniejszych możliwych pomysłów instrumentacyjnych.

Orkiestr symfonicznych, mimo znacznych kosztów związanych z utrzymaniem tak drogich zespołów jest coraz więcej na świecie, lecz liczba ich idzie w dziesiątki tysięcy. W samych Stanach Zjednoczonych jest około 1000 orkiestr symfonicznych.



Orkiestra Państwowej Filharmonii Śląskiej w Katowicach (grupa instrumentów dętych blaszanych)

W ostatnim czasie przewinęło się przez Czeski i Polski Cieszyn kilka dobrych orkiestr, które zapoznały nas z wielkimi dziełami muzyki. Najpierw orkiestra filharmoniczna z Ostrawy ze swym dyrygentem Waldhansem i radzieckim dyrygentem Natanem Rachlinem, który wykonał po mistrzowsku „Symfonię Patetyczną” Czajkowskiego, a następnie dwie orkiestry polskie, jedna z Zabrze, t. z. Filharmonia Górnicza oraz Filharmonia Śląska z Karolem Stryją jako dyrygentem. Pierwsza z nich jest typową dla usiłowań ostatnich czasów, aby dobrą muzykę orkiestralną krzewić masowo między robotnikami i

rolnikami. Okazuje się, że i najpoważniejsze utwory muzyczne w doskonałym wykonaniu przemawiają do każdego. Wspominając te zawodowe orkiestry, nie śmiemy pominąć milczeniem rodzimej orkiestry symfonicznej pod batutą Józefa Raszki z Trzyńca, której osiągnięcia naturalnie nie mogą się równać z poziomem wykonawczym orkiestr zawodowych, ale która dzięki ofiarnej pracy członków orkiestry i dyrygenta, często zmuszonych dla prób przekładać pracę w hucie, zdołała uzyskać kilka pięknych wykonań, pozostających trwale w pamięci.

KAROL HŁAWICZKA

Kim był Jan Sztwiertnia?

Twarde było życie Marianny Sztwiertni. Wyszedłszy z góralskiej biedoty, tułała się po posługach, walcząc ciężko o własny byt. Jeszcze ciężiej wypadło, gdy z prostej i szczerzej miłości do trzynieckiego robotnika, przyszedł w Ustroniu na świat ten, którego nazywała swoim jedynym szczęściem — Janek.

Był czerwiec 1911 roku. Pieniądz dyktował wtedy prawa do życia, do rodzinnego szczęścia, do awansu. Brak środków do życia zmusił Mariannę do oddania swego synka — ojciec już bowiem nie żył — pod opiekę wuja, Karola Sztwiertni, robotnika w Hermanicach. Ale i tam bieda garnęła się drzwiami i oknami, toteż po kilku latach chłopczyzna znalazł przytułek w domu sierot w Ustroniu.

W księdze przyjąć ustronńskiego sierocińca znajdujemy ciekawą charakterystykę 9-letniego przybysza. Nienawykła do pieśczęt ręka określiła chłódno: „Zdrowy. Ma dwa ubrania i butki. Matka nie wywiera nań dobrego wpływu, za bardzo go pieściła — trochę złachowany. Majątku nie posiada żadnego.”

Dziwne i bezwiednie urągliwe słowa, krzywdzące niewątpliwie matkę, która gorącym uczuciem macierzyńskiej miłości starała się osłodzić dziecku gorzki chleb sieroty i długie chwile rozłąki. Z wdzięczności za to syn zachował po matce najpiękniejsze wspomnienia, tym więcej, że utracił ją tak wcześnie, bo w czternastym roku życia.

I wreszcie uderzają nas dalsze słowa charakterystyki chłopca w księdze pamiątkowej: „Ma dwa ubrania i butki... Majątku nie posiada żadnego” — jakby ów majątek miał otwierać furtę nawet do domu sierot. Jan Sztwiertnia majątku nie posiadał, ale był bogaty w nadzwyczajne przymioty serca i umysłu. Wszyscy, którzy go znali, mówili o nim, że był skromny, cichy, uczciwy, szlachetny, koleżeński, nade wszystko zaś wytrwały, pracowity i utalentowany.

W szkole celował we wszystkich przedmiotach. Najwięcej jednak rwał się do muzyki, która była jego największą pasją, źródłem najpiękniejszych przeżyć.

Od najwcześniejszych lat zdradzał talent muzyczny. Rzadki dar rozpoznawania bezwzględnej wysokości dźwięków czyli t. zw. słuch absolutny, zgoła fantastyczna pamięć muzyczna, pozwalająca zapisać utwór muzyczny po jednorazowym usłyszeniu, wreszcie niezwykła inteligencja muzyczna, była wspaniałymi zapowiedziami drzemających w nim sił twórczych. Długo jednak nie mógł zrealizować swoich zamierzeń, aby podjąć systematyczne studia muzyczne.

Nauka w cieszyńskim Seminarium Nauczycielskim, do którego uczęszczał po ukończeniu szkoły powszechnej, zbliżyła go jednak do muzyki. Naturalnie skromny zakres nauczania tego przedmiotu w seminarium nie mógł mu w pełni wystarczyć, toteż w tym okresie ślęczy samodzielnie nad podręcznikami z teorii muzyki.

Jeszcze więcej czasu poświęcał muzyce na pierwszej swojej posadzie nauczycielskiej w osadzie góralskiej Równie, położonej na stokach góry Baraniej. W samotni budzi się powoli do życia płomienny talent. Czuje w sobie zdolność i potrzebę wypowiedzenia w muzyce swoich wielkich ideałów, porywów i tęsknot, miłości do ludzi i niewypowiedzianego piękna krajobrazu Śląskiego Beskidu. Działami swymi pragnie uszczęśliwiać, uszlachetniać, wywołać uśmiech radości na twarzach tych, co wrośli w tę kamienistą ziemię i z podziwu godnym mozolem wydzierają jej chleb.

Ale Sztwiertnia pragnął szerzej wykorzystać swoje uzdolnienia — rwał się bowiem do pracy społecznej w chórach amatorskich. Przenosi się do Wisły, gdzie istotnie prowadzi dwa chóry, gra na organach, ćwiczy zapamiętałe na fortepianie, który nazywał miłośnie



Jan Sztwiertnia

drugim swoim sercem, słucha nocami muzyki radiowej z partyturą w rękę, nade wszystko zaś komponuje. A wszystko co tworzy ma jakieś dziwne i wyrażne znamię ziemi, która go wydała. Po prostu cały swój twórczy świat muzyczny Sztwiertnia słyszy poprzez muzykę ludową cieszyńskiego regionu, nad którym górują Beskidy Śląskie ze swoją muzyką, urzekającą niewymownym, nieco surowym pięknem.

Rok nauki w cieszyńskiej szkole muzycznej upewnia go jeszcze mocniej w konieczności podjęcia gruntownych, systematycznych studiów muzycznych. Rozpoczyna je w 1937 roku w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach. Dwa następne lata są dla Sztwiertni okresem wytężonej pracy. Najwymowniej ilustrują ten okres własne słowa Sztwiertni, pisane w liście do przyjaciela Jerzego Drozda: „Komponowanie zajmuje mi każdą wolną chwilę... u mnie wieczna pisanina: 4—5 stron fortepianowej kompozycji, 2—3 polifonicznych (fugi, preludia), 3—6 stron

partytury orkiestry symfonicznej i tyleż samo dętej. Więc policz. Poza tym gram i tygodniowo trzeba także przeciwzyć kilkanaście stron. Poza tym sprawy szkolne, chóry itd., itd.” — Tę wielką próbę Sztwiertnia wytrzymuje zwycięsko. Po dwóch latach studiów otrzymuje dyplom wydziału nauczycielskiego. Więcej. W Konserwatorium Muzycznym w Katowicach zorganizowano mu pierwszy własny koncert kompozytorski. Pedagodzy są zachwyceni, mimo, że od dawna znają talent studenta. Koncert daje podsumowanie jego dotychczasowych osiągnięć. W gronie pedagogicznym pada opinia, wypowiedziana przez jednego z profesorów: „Ten się w Europie nie zmieści.” Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że Sztwiertni potrzebny jest szerszy oddech — potrzebne wielkie środowisko muzyczne, w którym obok najwybitniejszych pedagogów znalazłby najlepsze zespoły, solistów, kompozytorów, znalazłby atmosferę kulturalną potrzebną każdemu artyście do jego rozwoju. Takim środowiskiem był Paryż. Zapadła przeto decyzja, przyznająca Sztwiertni stypendium na studia w Paryżu.

Był czerwiec 1939 roku. Rozpętana wkrótce wojna udaremniła te piękne plany. Gorzej: w ponurym pochodzie pierwszych więźniów politycznych z Polski znalazł się także skromny nauczyciel z Wisły — Jan Sztwiertnia. Znalazł się w obozie koncentracyjnym w Guzen. Nieludzkie traktowanie, głód i praca ponad siły podcięły wątłe zdrowie więźnia. Reszty zbrodniczego dzieła dokonali kapowie i esesmani. Z śmiercią Sztwiertni straciliśmy bezsprzecznie największego kompozytora, jakiego ziemia śląska wydała, jednego z najoryginalniejszych twórców polskich XX stulecia. O nim to, zmarły już dziś kompozytor Jan Maklakiewicz napisał pamiętne słowa: „Przegrzynam kilka pieśni i poemat symfoniczny „Śpiący rycerze w Czantorii.” Co za bogactwo tematów w tym młodym utalentowanym muzyku. W jego utworach śpiewa cała ziemia Śląska Cieszyńskiego. Za tę miłość do rodzonej ziemi, do tych szumiących lasów zginął męczeńską śmiercią Jan Sztwiertnia, nieznaný kompo-

zytor, zamordowany przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Guzen 1940 roku."

W dorobku twórczym Sztwiertnia pozostawił ponad 40 utworów. Są pośród nich utwory na fortepian, skrzypce i organy, pieśni na chór męski, mieszany i głos solowy, kompozycje kameralne, symfoniczne i operowe. Większość z nich to drobne miniatury. Z dzieł wielkiego formatu należy wyliczyć dwuaktową operę ludową „Sałasznicy” z librettem Ferdynanda Dyrny, poemat symfoniczny „Śpiący rycerze w Czantorii”, balet

i tańce śląskie na orkiestrę symfoniczną. O niektórych, jak poemat symfoniczny i tańce śląskie, brak dokładniejszych wiadomości, ponieważ gdzieś się zawieruszyły i nie są dostępne dla badacza.

O Janie Sztwiertni podjąłem napisać pracę, omawiającą jego życie i twórczość. Będę wdzięczny wszystkim, którzy zechcą zasilić stojące do dyspozycji źródła, jakimikolwiek materiałami, dotyczącymi tej pięknej postaci.

ADOLF DYGACZ

ALEKSANDER WIDERA

Posłuchaj Śląsku!

Posłuchaj Śląsku! Wolny Śląsku:
Człowiek — to brzmi dumnie...
Do góry głowa — czoło w słońcu —
posąg na kolumnie?

Nie posąg, ale ludzka pewność,
nie żyje w poniewierce...
Nie kamień i nie suche drewno,
lecz żywe, jasne serce.

Nie patos sztuczny, nie koturny
i nie fałszywa buta,
Nie lęk wczorajszy, lęk poczwórny
przed pańską złością knuta.

I nie porządek odwrócony,
gdzie dumą jest pokora.
I nie policzek nadstawiony,
nie zlej przeszłości z mora.

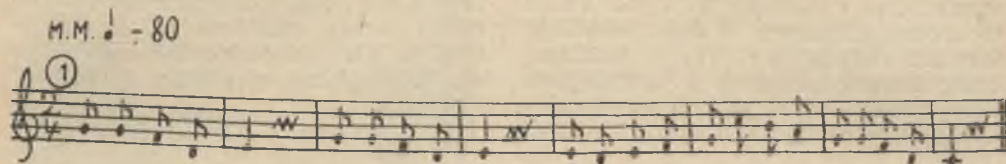
Nie ból, nie smutek, lecz pragnienie,
by zwykły śląski człowiek
swą dumę tak jak pozdrowienie
w codziennej głosił mowie.

By wypowiadał swą naturę,
swe przyrodzone piękno
o oswobodzonych słowach, które
do gwiazd na niebie sięgną.

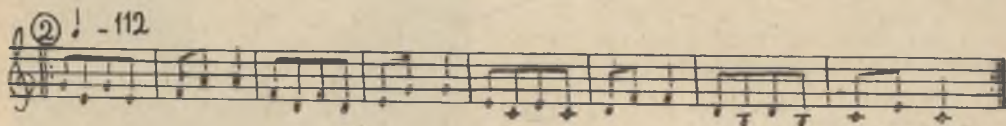
ALEKSANDER WIDERA

Tańce ludowe Śląska Cieszyńskiego

1



Jeśli mie ty chcesz, To ja ciebie też, Bo mi mama pozwoli A pón tata też.



Jeśli mie ty chcesz,
To ja ciebie też,
Bo mi mama pozwolili,
A pón tata też.

Tańczy jedna para. Tancerz zwrócony jest twarzą do kierunku, tancerka naprzeciw niego. Nie trzymają się.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki stojąc w miejscu wykonują dwukrotnie:

- 1 — uderzenie oburącz po własnych nogach,
- 2 — kłaśnięcie we własne dłonie,
- 3 — kłaśnięcie oburącz w dłonie przeciwne i
- 4 — zatrzymanie ruchu.

W drugim czterotakcie:

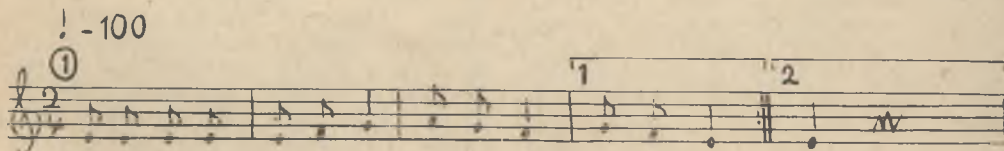
- 1 i 2 — to samo co powyżej,
- 3 — kłaśnięcie dłońmi prawymi i
- 4 — kłaśnięcie dłońmi lewymi.

W ostatnim dwutakcie na czwartą miarę zamiast kłaśnięcia dłońmi lewymi jest zatrzymanie ruchu.

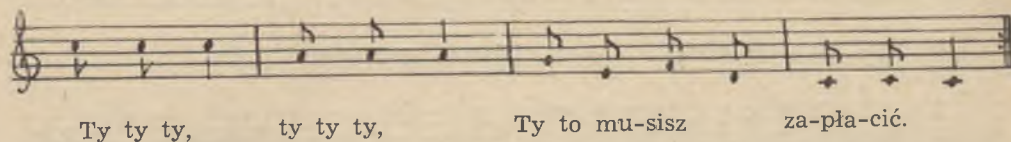
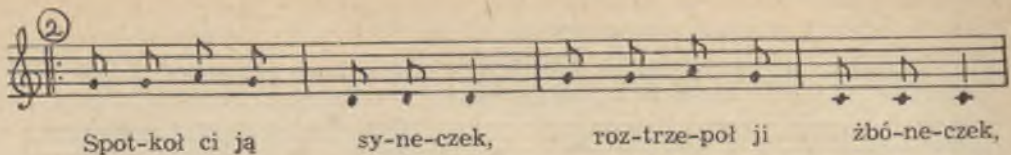
Fig. 2. Polka.

2

Grożony, grozik, straszak, straszok



Szła Ma-ry-sia na wo-de, na wo-de, na wo-de,
Miała przy tym przy-go-de, przy-go-de swą



a) Szła Marysia na wodę,
Miała przy tym przygodę.
Spotkoł ci ją syneczek,
Roztrzepoł ji żbónecek,
Ty ty ty, ty ty ty,
Ty to musisz zapłacić.

b) Poszło dziewczę na kwiaty,
Pozbierało bławaty,
Przyszedł do niej syneczek,
Odebrał jej koszycek,
Oj ty ty, oj ty ty,
Oddaj koszyk i kwiaty.

Odmiana I

Tańczy jedna para, trzymając się chwytem zwykłym.

Fig 1. Polka.

Fig. 2. Stoją naprzeciw siebie, nie trzymając się. W pierwszym takcie stoją nieruchomo. W drugim takcie trzykrotnie klaskają w dłonie własne. W trzecim takcie stoją nieruchomo. W czwartym takcie wykonują trzy tupnięcia nogami: prawa, lewa, prawa lub lewa, prawa lewa. W piątym takcie trzy razy grożą palcem wskazującym prawych rąk. W szóstym takcie trzy razy grożą palcem wskazującym lewych rąk. W siódmym takcie obracają się w miejscu pojedynczo. W ósmym takcie zatrzymują ruch.

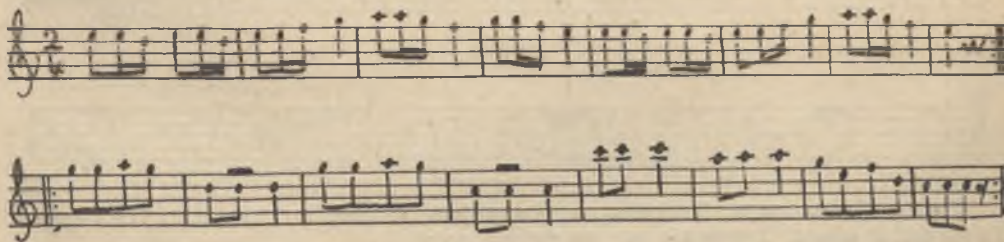
Odmiana II

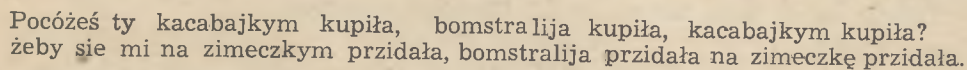
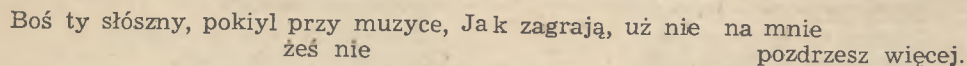
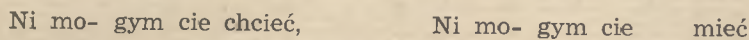
Tańczy jedna para. Stoją naprzeciw siebie, trzymając się za prawe ręce. Lewą rękę tancerka składa na biodro, a tancerz opuszcza swobodnie.

Fig. 1. Ruchem miarowym kroku chodzonego postępują do przodu (tancerka tyłem), wymachując uchwyconymi rękami w prawo i w lewo.

Fig. 2. Tancerka, składając ręce na biodrach, w dwu taktach wykonuje w miejscu krokiem zwykłym cały obrót w prawo (pierwszy takt), zakończony ukłonem (drugi takt). W drugim dwutakcie odbywa się to samo w lewo. Tancerz w czterech taktach stoi w miejscu, przytupując trzykrotnie (lewa, prawa, lewa) w takcie drugim i czwartym. Ostatni czterotakt wykonuje się tak samo jak w odmianie I.

Melodia instrumentalna

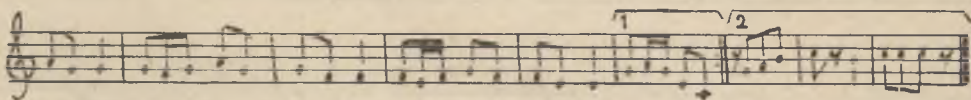




Ni mogym cie chcieć,
Ni mogym cie mieć,
Boś ty słoszny,
pokił żeś nie przy muzyce,
Jak zagrają,
uż nie pozdrzesh na mnie więcej.

Pocóżes ty kacabajkym kupiła,
 bomstralija kupiła,
 kacabajkym kupiła?
 Żeby sie mi na zimeczkym przidała,
 bomstralija przidała,
 na zimeczkym przidała.

Melodia instrumentalna



Tańczy jedna para. Tancerz zwrócony jest twarzą do kierunku, tancerka naprzeciw niego. Trzymają się za prawe ręce.

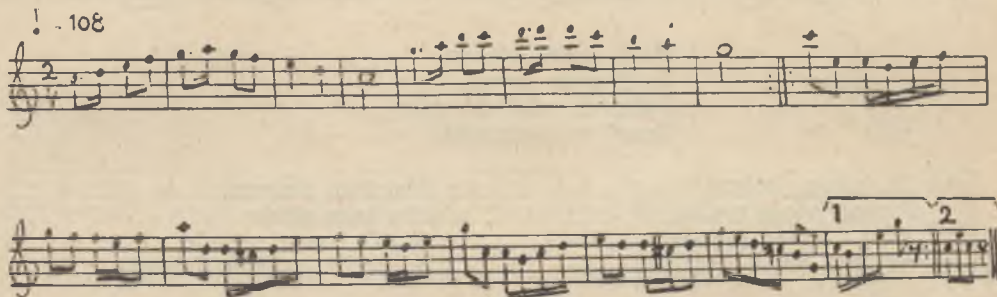
Fig. 1. W ośmiu taktach muzyki para posuwa się szesnastu krokami w przód (tancerka tyłem), nieco wymachując uchwyconymi rękami w prawo i w lewo.

Fig. 2. Posuwają się tym samym krokiem, na pierwszą miarę każdego taktu wykonują jedno kłaśnięcie we własne dłonie, a na drugą miarę każdego taktu w dłonie przeciwne (oburącz).

Fig. 3. Polka.

4

Fazol



Tańczy jedna para. Tancerz zwrócony jest twarzą do kierunku, tancerka naprzeciw niego. Trzymają się za prawe ręce.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki para posuwa się krokiem polkowym do tyłu (tancerka przodem).

Fig. 2. Po uwolnieniu chwytu ustawiają się prawymi bokami do siebie. W ośmiu taktach muzyki krokiem polkowym posuwają się po linii koła, przechodząc cały obwód koła. Nie zmienia się przy tym kierunku położenia twarzy.

W pierwszy ośmiotakcie posuwają się w prawo



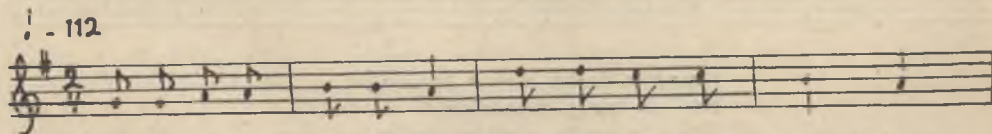
w drugim ośmiotakcie w lewo



Celem uzyskania zmiany kierunku ostatnim krokiem polkowym wykonuje się półobrót.

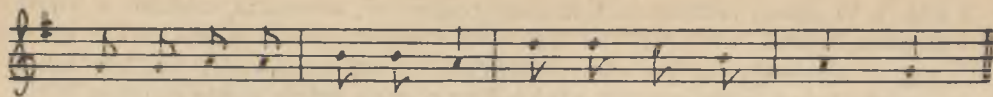
5

Hólan

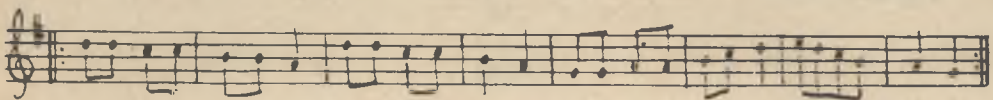


Mia-ła ba-ba hó-la-na,

Co ji ro-bił cwe - ki,



Je-den ji wbił do gę-by, Dru-gi do pa- szcze-ki.



a) Miała baba hólana,
Co ji robił cweki,
Jedyn ji wbił do gęby,
Drugi do paszczeki.

b) Ej, hólani, hólani,
Piekne konie mocie,
A jo z wami pojadę,
Kierego mi docie?

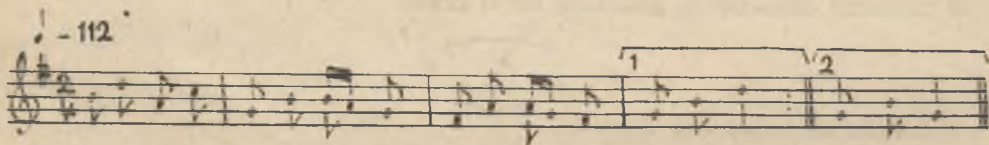
c) Abo tego biołego,
Abo tego siwka,
A jo z wami pojadę,
Bo żech szwarno dziywka.

Tańczy jedna para.

Tańczą polkę: przez dwa takty muzyki (cztery miary) bez obrotu, przez drugie dwa takty z obrotem. Przy polce bez obrotu nie trzymają się (obie ręce swobodnie zwisają). Przy polce z obrotem trzymają się chwytem zwykłym.

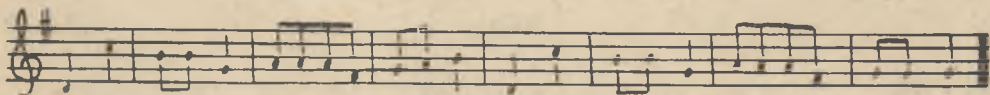
6

Polka spacerowa, szpacyr polka



Szpa-cyr pol-ka do-bry ta-niec, kto go u-mie tańcować,
Kto nie u-mie, niechaj sie-dzi, niech nie i-dzie

zawadzać.



Szpacyr polka dobry taniec,
Kto go umie tańcować,
Kto nie umie, niechaj siedzi,
Niech nie idzie zawadzać.

Tańczy jedna para, zwrócona twarzami do kierunku. Tancerz ujmuje tancerkę prawą ręką z tyłu, zewnętrzne ręce są swobodne, ewentualnie złożone na biodrach. Lewa ręka tancerki spoczywa na barkach tancerza.

W dwu taktach muzyki postępują krokiem chodzonym do przodu, w drugich dwu taktach wykonują polkę obrotową.

7

1 - 88

①



Pa-sła An-dzia pa-wy Mię-dzy do-li- na-mi,

②



Przy-szli ku niej trzy ka-wa-le-ro-wie, Jedź ty An-dzio z na-mi.

Paśla Andzia pawy
Między dolinami,
Przyszli ku niej trzej kawalerowie,
Jedź ty Andzio z nami.

Idzie ksiądz z kościoła,
Andzia chustki pierze,
Chowa nogi między rewerynde,
Do Andzi się bierze.

Ja jechać nie mogę,
Bo ja pasę pawy.
Rozpuść pawy między dolinami,
Pojedź, Andzio, z nami.

Poczkej, panie księżu,
Ja się spytam mamy.
Nie pytej sie, śliczna Andulinko,
Bom ja wyświęcany.

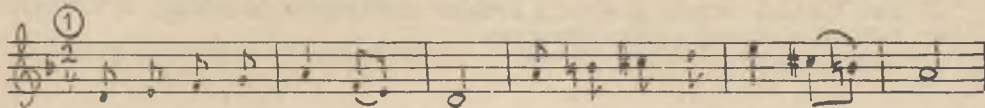
Kieś jest wyświęcany,
Idź se do kościoła,
A ja śliczna Andzia Andziulinka
Pójdę paść do gaja.

Tańczą pary ustawione jedna za drugą dokoła sali. Pary trzymają się za ręce.

Fig. 1. W dwu taktach muzyki postępują krokiem chodzonym do przodu, w drugich dwu taktach do tyłu.

Fig. 2. Krokiem z podskokiem postępują do przodu. W czasie podskoku druga noga unoszona jest w przodzie. Przed rozpoczęciem klaskają w dłonie.

♩ - 84



Coch ja się tam na-cho-dził Po Mo-ra-wie, O-stra- wie,

♩ - 112



Jeszcze też nie widział tak krasnej dziewczyny, Jak ta mo-ja mi-ła jest.

Coch ja się tam nachodził
Po Morawie, Ostrawie,
Jeszcze też nie widział
Tak krasnej dziewczyny,
Jak ta miła jest.

Poznałem ją po chodzie,
Jako rybkę we wodzie,
Czerwonego liczka,
Czarnego oczyczka,
Po wejrzeniu piękna jest.

Tańczy jedna para. Stojąc bokiem do kierunku i twarzami do siebie, trzymają się za obie ręce: prawa lewą, lewa prawą.

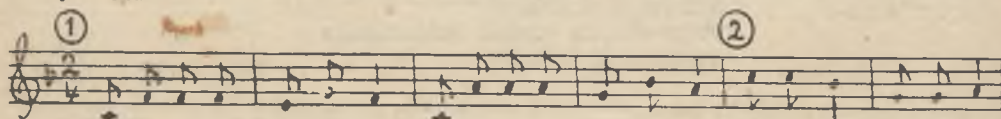
Fig. 1. Posuwają się krokiem bocznym z dosuwaniem nóg przeciwnych: w trzech taktach muzyki w lewo, w drugich trzech taktach w prawo. Krok z dosunięciem wykonuje się w jednej mierze.

Fig. 2. Pojedyncze obroty krokiem polki.

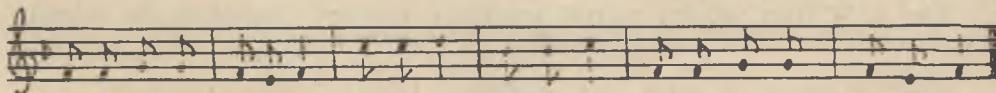
Fig. 3. Na cztery miary dwu taktów wykonuje się: trzy podskoki na jednej nodze z wysunięciem do przodu i dotykiem podłogi przeciwną nogą i zaznaczenie kroku nogą dotykającą. Na dwie miary ostatniego taktu: dosunięcie nogi i zatrzymanie ruchu.

Siedmiokroczek

♩ - 92



Jak jo chodził do szkoły, Uczyli me litery: jedna, dwie, trzy, cztery,

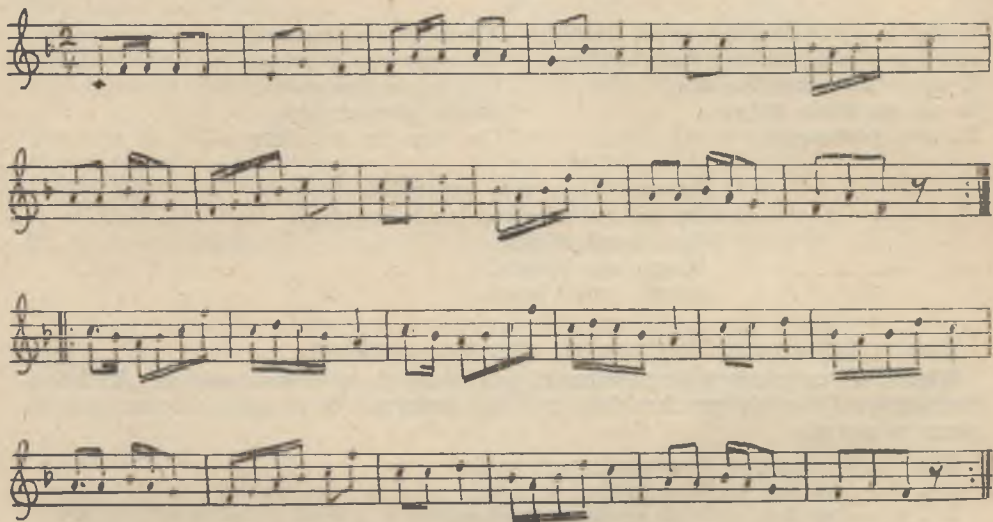


To są piękne litery, Jedna, dwie, trzy cztery, To są piękne litery.

a) Jak jo chodził do szkoły,
Uczyli mie litery;
Jedna, dwie, trzy, cztery,
To są piękne litery.

b) Skokoł Janek do góry,
Mioł galatki ze skóry,
Niech tam są, jaki chcą,
Kiej mie jyny dziywki chcą.

Melodia instrumentalna



Tańczy jedna para. Trzymają się chwytem zwykłym.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki wykonuje się:

- 1, 2 i 3 — trzykrotnie: krok w bok z dosunięciem nogi przeciwnej, wykonany w lewo,
- 4 — taki sam krok bez dosunięcia,
- 1, 2, 3 i 4 — to samo w prawo.

Fig. 2. W czterotakcie wykonuje się:

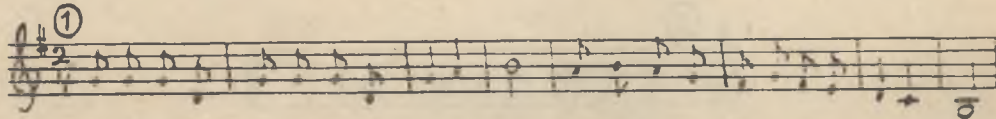
- 1 i 2 — boczna zmiana kroku w lewo,
- 3 i 4 — boczna zmiana kroku w prawo,
- 1, 2, 3 i 4 — dwukrotnie: obrót w dwu krokach.

Boczną zmianę kroku wykonuje się:

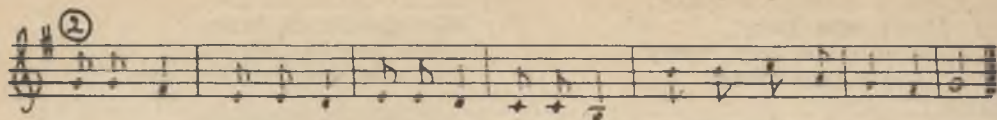
- 1 — krok w bok z dosunięciem nogi przeciwnej i
- 2 — krok w bok bez dosunięcia nogi przeciwnej.

10

! - 92



Kiedy jo szel przez tyn lasek bo-ro-wy, Jak i w zimie tak i w lecie zie-lo-ny,



A mie sie wszystko zdo, że sie na mnie gniwo To moi po-cie-szyni.

Kiedy jo szel przez tyn lasek borowy, Kiedy jo szel ku swej milej w polednie,
 Jak i w zimie, tak i w lecie zielony, Ona jeszcze z swego loza nie wstanie.
 A mnie sie wszystko zdo, Cóz to za panienka,
 że sie na mnie gniwo, żadna gospodyńka,
 To moi pocieszyni. Co leży do polednia.

Ej, cóz tobie, mój syneczku, do tego,
 Dy jo nic nie przeleżała twojego.
 Głowa mie bolała,
 Mama mi kosała,
 żebym sobie leżała.

Tańczy jedna para. Trzymają się chwytem zwykłym.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki posuwają się w lewo sześcioma krokami dosuwanymi i siódmym krokiem nie dosuwanym. W drugim czterotakcie to samo w prawo.

Fig. 2. W każdym dwutakcie wykonują:

1 i 2 — boczna zmiana kroku w lewo,

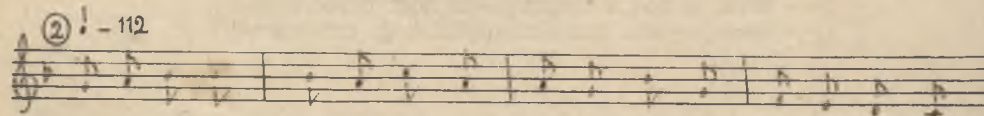
3 i 4 — boczna zmiana kroku w prawo.

Fig. 3. W dwu taktach wykonują dwa obroty w dwu krokach: jeden w prawo, drugi w lewo, a w ostatnim taktie — zatrzymanie ruchu.

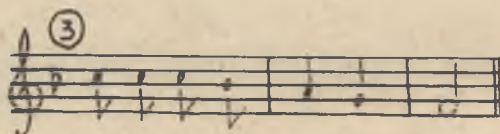
11



Od-pa-dła mi sza-blicz-ka Od bran-ne-go ko-nicz-ka,



Pódź ma mi-ła mi ją po-dać, Bo ja mu-szę ma-sze-ro-wać



Do szcze-re-go po-licz-ka.

Odpadła mi szabliczka
Od brannego koniczka,
Póddź ma miła mi ją podać,
Bo ja muszę maszerować
Do szczerego policzka.

Ja krowiczek nie przedam,
Ja krowiczki rada mam,
Krowiczki mlyko dowają,
Wołki ziemię poorają,
To ty dobrze o tym wiysz.

Ona mi ją podała,
Tak żałośnie płakała:
Ach, mój miły, cóż tu po mnie,
Dy jo dóna, ty na wojnie,
Tak żałośnie płakała.

Jesi mie ty rada masz,
Poprzedej ty co ty masz,
Poprzedej ty winohrady,
A wypłóć mie miła z wojny,
To ty dobrze udzielasz.

Jesi mie ty rada masz,
Poprzedej ty co ty masz,
Poprzedej ty krowy, woły,
A wypłóć mie miła z wojny,
To ty dobrze udzielasz.

Ja wineczka nie przedam,
Ja wineczko rada mam,
Ja wineczko rada piję,
Rozolinki nie wyleję,
To ty dobrze o tym wiysz.

Tańczy jedna para. Stoją naprzeciw siebie, trzymając się za prawe ręce.

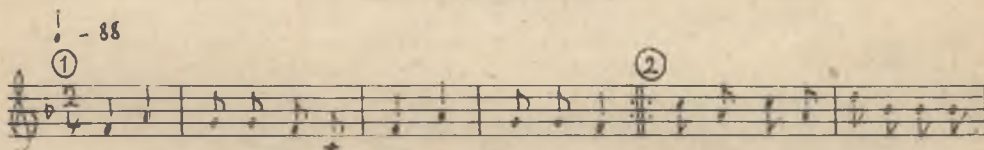
Fig. 1. W trzech taktach muzyki posuwają się w lewo czterema krokami dosuwanymi i piątym nie dosuniętym. W drugim trójtakcie to samo w prawo.

Fig. 2. Polka.

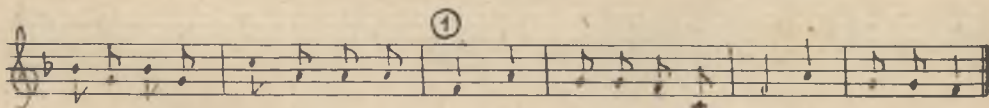
Fig. 3. Pojedyncze obroty w miejscu.

12

Kohótek

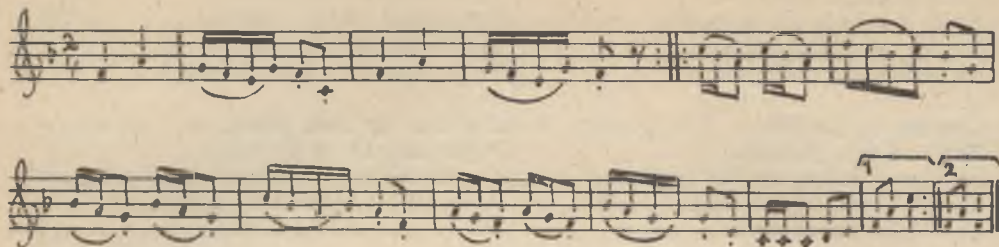


Po czym sta-ro ba-bo, Po czym waj-ca mosz? Po dwa, po trzy, po trojaku



sprzedaliśmy na jarmarku. Po czym sta-ro ba-bo, po czym wajca mosz?

Po czym staro babo,
Po czym wajca mosz?
Po dwa, po trzy, po trojaku
Sprzedaliśmy na jarmarku.



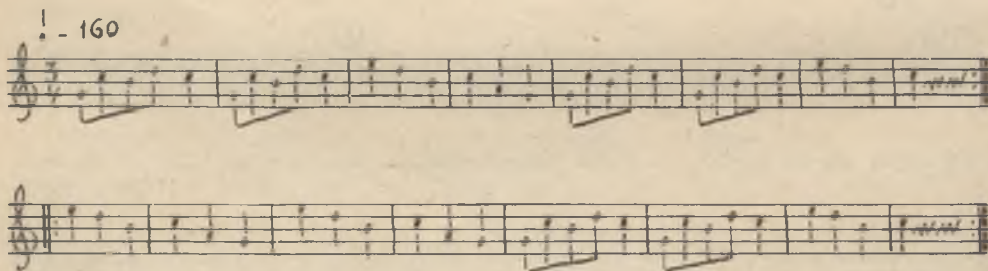
Tańczy jedna para. Stoją prawymi bokami do siebie. Ręce zakładają do tyłu.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki dwukrotnie wykonują chód w kółko, postępując krokiem chodzonym po linii koła (czterema krokami).

Fig. 2. W czterotakcie wykonuje się dwukrotnie:

- 1 i 2 — dwa kroki nożycowe. Krok nożycowy wykonuje się, wyrzucając z podskoku jedną nogę w przód, drugą w tył,
- 3 i 4 — zesunięcie nóg i dwa przytupy jedną i drugą nogą naprzemian.

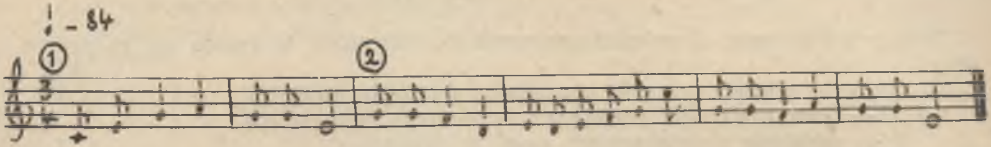
Oglądany, wojaczek



Tańczy jedna para. Oboje zwrócenii są twarzami do kierunku. Na początku tancerka, stojąca przed tancerzem, podaje ręce do tyłu do chwytu z tancerzem.

W ośmiu taktach muzyki postępują trójmiarowym krokiem posuwistym do przodu, przy czym odbywa się oglądanie: tancerka raz w lewo, raz w prawo zwraca głowę do tyłu i kieruje spojrzenie na swojego partnera, który również wykonuje odpowiednie gesty. W drugim ośmiotakcie odbywa się to samo z tą różnicą, że miejsce na przodzie (przed tancerką) zajmuje tancerz.

Stowano polka



Cztery konie we dworze, żodyn nimi nie orze, nie orze, żodyn nimi nie orze.

Cztery konie we dworze,
Żodyn nimi nie orze.

Ej, ma miła, pódź ku mnie,
Powiym jo ci co mi je.

Orze nimi syneczek,
Czerwony jak gwoździczek.

Ej, boli mie głowiczka,
Pobiła mie maciczka.

Jak zogónek ułoroł,
Na swą miłą zawołoł.

Pobiła mie skyrs ciebie,
Że jo chodził ku tobie.

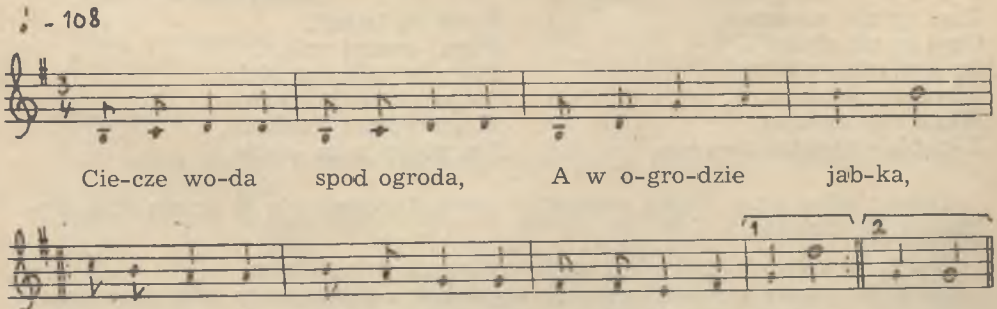
Tańczy jedna para, trzymając się chwytem zwykłym. Taniec rozpoczyna się po zaśpiewaniu jednej zwrotki. Pozostałe zwrotki śpiewane są w przerwach między tańcem.

Fig. 1. W każdym takcie muzyki wykonuje się trójmiarową zmianę kroku:

- 1 — krok nogi pierwszej z dosunięciem nogi drugiej,
- 2 — krok nogi pierwszej i
- 3 — krok nogi drugiej.

Fig. 2. W każdym dwutakcie wykonuje się sześciomiarowy obrót:

- 1 — krok (wykrok) nogi pierwszej z dosunięciem nogi drugiej,
- 2 — krok (wykrok) nogi pierwszej z ćwierćobrotem,
- 3 — krok (zakrok) nogi drugiej z ćwierćobrotem,
- 4 — krok (zakrok) nogi pierwszej z dosunięciem nogi drugiej,
- 5 — krok (zakrok) nogi pierwszej z ćwierćobrotem i
- 6 — krok (wykrok) nogi drugiej z ćwierćobrotem.



Cie-cze wo-da spod ogroda, A w o-gro-dzie jab-ka,

Nie mi-łuj mnie, nie całuj mnie, Bo mnie wi-dzi mat-ka, mat-ka.

Ciecze woda spod ogroda
A w ogrodzie jabłka,
Nie miłuj mnie, nie całuj mnie,
Bo mnie widzi matka.

A jakóż cie nie miłować,
Kiejs je bardzo szwarno,
Oczka czorne, liczka białe,
Jako malowano.

Tańczy jedna para. Zwrócenii twarzami do kierunku, trzymają się za prawe ręce.

W czterech taktach muzyki wykonuje się dwukrotnie:

1 i 2 — dwa kroki do przodu i

3 — podskok z uniesieniem nogi w przodzie,

a następnie:

1, 2 i 3 — pojedyncze obroty, wykonane w trzech krokach i

1, 2, i 3 — dwa przytupy jedną i drugą nogą a zatrzymanie ruchu.

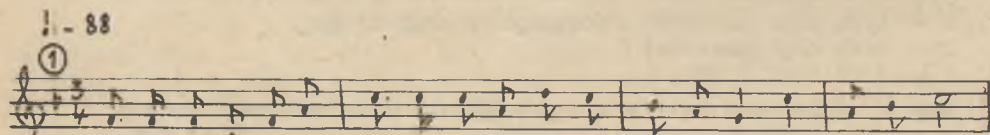
Uwaga: Są dwa sposoby wykonania tańca:

1) gdy w pojedynczych obrotach wykonuje się cały obrót,
każda całość czterotaktowa jest taka sama,

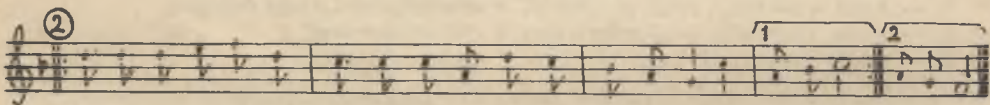
2) gdy wykonuje się półobrót, wtedy w drugiej części czterotaktowej posuwanie się ma kierunek przeciwny, tancerka znajduje się po lewicy i trzymają się za lewe ręce.

16

Cieszyniok



Czyś ty nie wiedziała, Czyś ty nie słyszała, że jest jutro niedziela?



Izbyś nie zamioła, Włosa nie zaplotła, Z ciebie dziwce niewiela, niewiela.

Czyś ty nie wiedziała,
Czyś ty nie słyszała,
że jest jutro niedziela?

Izbyś nie zamioła,
Włosa nie zaplotła,
Z ciebie dziwce niewiela.

A cóż cię to boli,
Pilnuj swojej roli,
Patrz ty tylko na siebie!
Do karczmiczki chodzisz,
A dziewczęta zwodzisz,
Nie pójdę ja za ciebie.

Tańczy jedna para. Stojąc naprzeciw siebie, trzymają się za prawe ręce. Posuwają się bokiem.

Fig. 1. W czterech taktach muzyki wykonują dwukrotnie:

1 i 2 — boczna zmiana kroku (krok w bok z dosunięciem nogi przeciwnej i jeszcze jeden krok) w lewą stronę tancerza,

3 — przenoszenie przodem nóg dosuwanych w kierunku posuwania się,

4, 5 i 6 — to samo w kierunku przeciwnym.

Fig. 2. W czterotakcie wykonuje się dwukrotnie:

1 — uderzenie rękami po własnych udach,

2 — uderzenie we własne dłonie i

3 — uderzenie w dłonie przeciwne,

a następnie:

1, 2, 3 i 4 — pojedyncze obroty w miejscu,

5 i 6 — zatrzymanie ruchu.

17

Owczorz, łowczorz

! - 76

Na zie- lo-nej łą- ce Pa-sie łow-czorz łow ce,

Harum barum tuć madziarum, Pa-sie łow-czorz łow-ce.

a) Na zielonej łące
Pasie łowczorz łowce.

Jak sie kiero ruszy,
To ją drap za uszy.

Owca sie ruszyła,
Owczorza świtnęła.

Poczkej mi ty myrcho,
Wyciągnę ci mleko.

Na zielonej łące
Pasie łowczorz łowce.

Wilcy przylecieli,
Cztery owce wzięli.

b) Gnało dziewczę krowy
Przez las jaworowy.

Krowy potraciło,
Samo poblądziło.

Przyszed ku ni Janek,
Nadobny galanek.

Cóż tu robisz Hanko,
Nadobna galanko?

Wiję sobie wianki
Z drobnej macierzanki.

Jak uwiję siedem,
Dam ci Janku jeden.

Odmiana I

Pary ustawiają się w dwu zwróconych do siebie szeregach. Pojedyncze pary trzymają się za ręce.

Fig. 1. W pierwszych trzech taktach muzyki szeregi posuwają się do środka i kłaniają się. W drugich trzech taktach wracają tyłem na swe poprzednie miejsca.

Fig. 2. Obroty kółkiem przy haczykowym chwycie ramion z tancerkami własnymi. Haczykowy chwyt ramion to zahaczenie tych samych ramion (prawego z prawym, lewego z lewym) zgiętych w łokciach.

Odmiana II

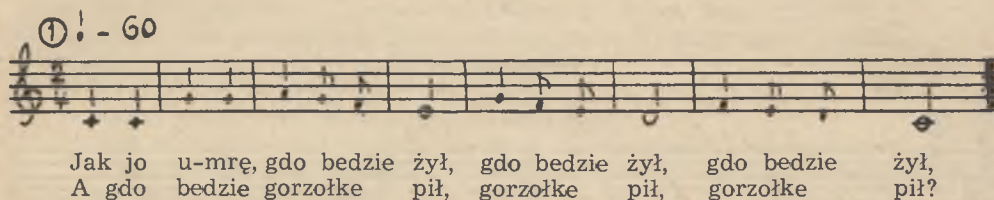
Tańczy jedna para. Stoją naprzeciw siebie, nie trzymając się. Ręce założone są w tyle.

Fig. 1. W trzech taktach muzyki krokiem bocznym dosuwany rozchodzą się bokiem na zewnątrz, w drugich trzech taktach wracają z powrotem do środka.

Fig. 2. Obroty dwumiarowe w dwu krokach.

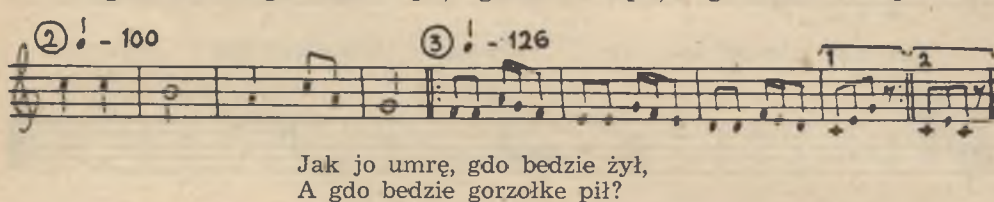
18

① ♩ - 60



Jak jo u-mrę, gdo bedzie żył, gdo bedzie żył, gdo bedzie żył,
A gdo bedzie gorzołke pił, gorzołke pił, gorzołke pił?

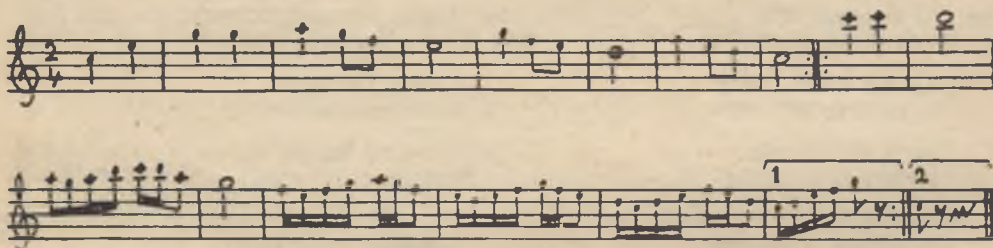
② ♩ - 100



③ ♩ - 126

Jak jo umrę, gdo bedzie żył,
A gdo bedzie gorzołke pił?

Melodia instrumentalna



Odmiana I

Wykonują pary ustawione w dwu zwróconych do siebie szeregach. Ręce zakładają w tyle.

Fig. 1. W sześciu taktach muzyki szeregi posuwają się w przód, w siódmym takcie kłaniają się, a w ósmym takcie zatrzymują ruch. Przy powtórce ośmiotaktu posuwają się w tył.

Fig. 2. Na każde dwa takty po trzy kroki nożycowe.

Fig. 3. Polka: przy pierwszej przygrywce w prawo, przy drugiej w lewo.

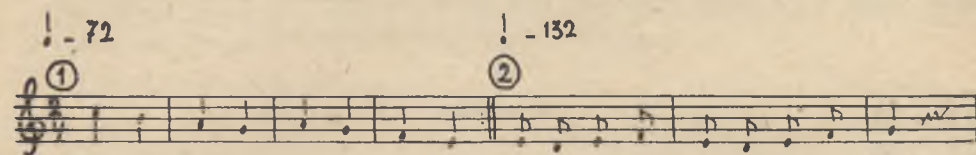
Odmiana II

Fig. 1. W ośmiu taktach muzyki szeregi posuwają się krokiem bocznym dosuwany w lewo, przy potwórce ośmiotaktu w prawo.

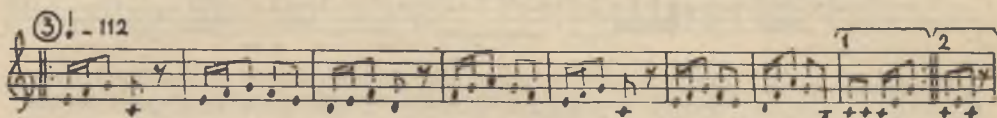
Fig. 2. jak odm. 1.

Fig. 3. Parami obroty w miejscu przy haczykowym chwycie ramion.

Manszester



Jedzie Polok, za nim Słowiok, Sypią sie mu wielki krupy, cup.



Jedzie Polok, za nim Słowiok,
Sypią sie mu wielki krupy, cup.

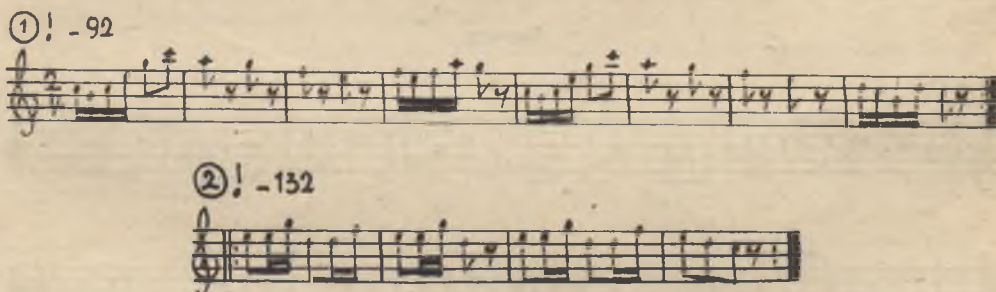
Wykonują pary ustawione w rząd. Tancerz obejmuje tancerkę prawą ręką z tyłu.

Fig. 1. Pary posuwają się krokiem chodzonym do przodu.

Fig. 2. Pary posuwają się do tyłu (krokiem wstecznym) w ruchu szybkim. Na jedną miarę wypadają dwa kroki.

Fig. 3. Polka.

Piłka



Tańczą pary ustawione w dwu rzędach. Tancerze obejmują tancerki oburącz, te zaś kładą ręce na ich barkach.

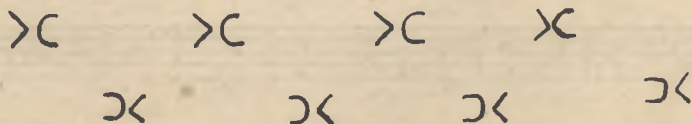


Fig. 1. W czterech taktach muzyki posuwają się w bok w kierunku do środka, przechodząc na przeciwne strony krokiem bocznym dosuwanym, wykonywanym na palcach nóg. Krok i dosunięcie wykonuje się w jednej mierze. Przy powtórce ruchem w przeciwne kierunki wracają na swe poprzednie miejsca.

Fig. 2. Polka w miejscu.

Uwaga: Przed rozpoczęciem powyższej piłki pary ustawione jedna za drugą posuwają się krokiem dosuwanym, obiegając po obwodzie koła. Odbywa się to w ciągu trzykrotnie zagranej pierwszego czterotaktu.

21

Ostrawski

① ! - 80

② ! - 132



Wykonują dwie trójki. W jednej trójce jest jeden tancerz w środku i dwie tancerki po bokach. Trójka trzyma się za ręce. Trójki stoją naprzeciw siebie w pewnej odległości.

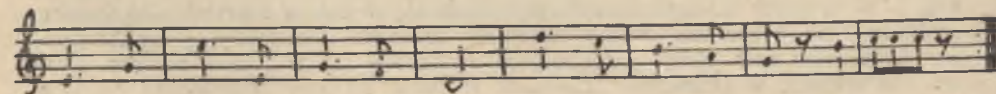
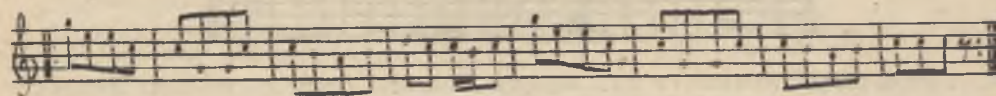
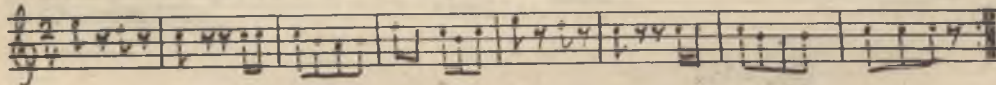
Fig. 1. W trzech taktach muzyki trójki zbliżają się do siebie, postępując krokiem chodzonym, w czwartym takcie po zatrzymaniu ruchu nóg kłaniają się. W następnym czterotakcie — w trzech taktach wracają na swe miejsca krokiem wstecznym, a w czwartym takcie zatrzymują ruch.

Fig. 2. Muzyka gra w szybszym tempie. Tancerki pozostają w miejscu, tancerze podbiegają do przeciwnych dwu tancerek i wykonują z każdą z nich obroty kółkiem przy haczykowym chwycie ramion. To odbywa się w czterech taktach muzyki. Przy powtórce czterotaktu wracają do swoich tancerek i wykonują z nimi to samo. W obrotach z pierwszymi tancerkami w trójce tancerze trzymają się haczykiem pod prawe ramiona, a z drugimi tancerkami pod lewe ramiona.

22

Sarocz

! - 132



W zabawie bierze udział dowolna (jednak niezbyt duża) ilość par. Chłopcy ustawiają się w jednym szeregu, dziewczyny w drugim. Szeregi zwrócone są twarzami do siebie. Figury ruchowe odbywają się w środku między szeregami, wykonywane przez odpowiednie pojedyncze pary. W wykonaniu figur ruchowych bierze udział pierwsza (1) i ostatnia (8) para. Każda para przed połączeniem się do poszczególnych figur klaska w dłonie.

1 ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ 8

1 ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ 8

Rozpoczęcie zabawy: Wykonuje pierwsza para, Podbiegają do siebie, chwytają się za prawe ręce, biegną w rytmie muzyki do ostatniej pary i z powrotem, po czym wracają na swoje miejsca do szeregów. To samo wykonuje ostatnia para w kierunku przeciwnym.

W wykonaniu niżej przedstawionych figur ruchowych bierze udział: 1) chłopiec pierwszej pary z dziewczyną ostatniej pary i 2) chłopiec ostatniej pary z dziewczyną pierwszej pary. Podbiegają do środka, a po wykonaniu każdej figury wracają na swoje miejsca. Obie pary wykonują w środku jedną i tę samą figurę. Każdą figurę wykonuje najpierw pierwsza para, potem druga para.

Fig. 1. Obrót kółkiem przy haczykowym chwycie ramion w prawo.

Fig. 2. Obrót kółkiem przy haczykowym chwycie ramion w lewo.

Fig. 3. Dwa obroty przy haczykowym chwycie ramion: w prawo i lewo.

Fig. 4. Obrót w środku, trzymając się za obie ręce: prawa lewą, lewa prawą.

Fig. 5. Obiegają w środku jedno koło drugiego, mając twarze zwrócone zawsze w jednym kierunku, t. j. w tym kierunku, jaki powstał, gdy podchodzili do środka. Ręce mają założone przed sobą.

Fig. 6. Chłopiec klęka na jednym kolanie, dziewczyna obiega koło niego, unosząc oburącz przed nim chusteczkę.

Zakończenie: Szeregi podchodzą do środka, pary chwytają się za ręce:

1 ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ ∨ 8
 ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪ ∪
 ↑ ↑ ↑ ↑
 ↓ ↓ ↓ ↓

Według powyżej oznaczonych strzałek pary rozchodzą się na zewnątrz:

1 ∨ ∨ ∨ ∨ 8
 ∪ ∪ ∪ ∪
 ∪ ∪ ∪ ∪

oraz wracają z powrotem. W tym czasie, kiedy pary szeregu oddaliły się, wykonująca figury pierwsza para, trzymając się prawymi rękami, przechodzi na przeciwną stronę pomiędzy oddalonymi parami. Zatrzymuje się na końcu, stając się ostatnią parą. Po zbliżeniu się szeregów pozostałe pary uwalniają chwyt,

zajmują miejsca jak na początku, klękają na jednym kolanie i klaskają w dłonie w rytm muzyki. Ostatnia para, która wykonywała figury, tworzy bramkę z uchwyconych i uniesionych rąk prawych i przebiega ponad klęczące szeregi dziewczyn i chłopców w ten sposób, że chłopiec posuwa się środkiem, a dziewczyna na zewnątrz. Następnie szeregi klęczące wstają, a para przebiega środkiem tam i z powrotem, po czym pozostaje na miejscu ostatniej pary.

Zabawa powtarza się od początku tyle razy, ile jest par, t. j. gdy wszystkie pary staną się pierwszymi i ostatnimi.

W końcu pary tworzą koło. W środku koła jest krzesło. Tancerze chwytają lewymi rękami krzesło za jego koło łączące nogi, a prawymi rękami prowadzą tancerki. Koło obraca się krokiem chodzonym (biegiem) do zakończenia przez muzykę.

JAN TACINA



O trzynieckim muzyku Pawle Kalecie opowieść prawdziwa

Pod koniec XIX stulecia Cieszyn był miastem na pozór zupełnie niemieckim. Podsycana sztucznym sposobem germanizacja nie potrafiła jednakże zapuścić swych korzeni tak głęboko, aby na Śląsku Cieszyńskim stworzyć własny region twórczy i jakąś naskórkową namiastkę istniejącej i żywiołowej sztuki ludowej. Pospólstwo miejskie posługiwało się w walnej mierze wiedeńskim „gassenhauerem”, w wulgarnej często, cieszyńskiej wersji. Akcentując swą wyższość kulturalną i powodując się misją szerzenia takiej kultury, mieszczaństwo cieszyńskie przede wszystkim kultywowało w sposób ruchliwy swe życie koncertowe. Trampoliną tego życia koncertowego stał się niemiecki teatr w Cieszynie, który w pewnych okresach czasu dysponował nawet swą stałą operą. Działające w mieście „Gesangvereiny” nie tylko, że własnym sumptem zbudowały pomnik wiedeńskiemu Schubertowi, ale nawet popisywały się wielkim repertuarem chórowym z oratoriami Haydna na czele. Istniejące tutaj orkiestry amatorskie porywały się na popisy utworów Beethowena, Schuberta czy Wagnera. Organizatorami tych różnych podniet twórczych, a zarazem ruchliwego życia muzycznego są wtedy przeważnie ludzie obcy, przybyli tutaj z innych krajów monarchii habsburskiej. Działalność ta jednakże wobec obojętnego zaplecza wsi cieszyńskiej nie zdołała przekroczyć granic odtwórczych w dziedzinie śpiewu i dzieł muzyki. Na takim podglebiu, bez współudziału szerokich mas ludowych nie mogła więc wyrosnąć nawet mierna twórczość artystyczna.

Przeciwnieństwem kulturalnego życia miasta Cieszyna stawała się wieś cieszyńska. Na świecie jest niewiele tak małych regionów o tak bogatej i różnorodnej twórczości ludowej, jak właśnie ziemia cieszyńska i jej lud. Jakże



Paweł Kaleta

często pod tym względem przypomina nasz kraj cieszyński daleką Prowansję! Tak właśnie wieś cieszyńska dokumentowała i w tamtych czasach, kiedy się zdawało, że jej stolica miasto Cieszyn tonie w zalewie obcej, niemieckiej kultury — swą żywiołą, podskórną jakby inwencją twórczą, o charakterze ludowo-artystycznym. Jeśli nam mówić o śpiewie, muzyce i pieśni ludowej, to wspomnijmy z tego zapominanego czasu choćby tylko o działalności nieodżałowanego i dotychczas niedocenionego, zmarłego przed pierwszą wojną światową — prof. Andrzeja Hławiczki i jego gronie współpracowników. Jego to śladami poszli później młodszy, tacy jak Jerzy Hadyna, Kiszowie, Gawlas czy później Tacina, Samiec a także Eugeniusz Fierla, Józef Firla i wiele innych. Tematem ich zainteresowań to przede wszystkim wielki wysiłek ratowania

pieśni ludowych i tańców śląskich przed zapomnieniem, a przeto dorobek tych wszystkich na polu muzyki kameralnej czy symfonicznej musiał być raczej skromny.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej, po uzyskaniu niepodległości przez Polskę i Czechosłowację, zmieniły się także stosunki w naszym kraju. Cieszyn przestaje być obcym miastem i urasta do miary duchowej stolicy kraju. Aczkolwiek istnieje Polski Cieszyn i Czeski Cieszyn, to obydwa Cieszyny są bliźniaczo podobne do siebie, posiadają wspólne zainteresowania i wspólne aspiracje kulturalne. Co spostrzegamy w tych dwóch Cieszynach, jeśli mówić o muzyce? Zmieniają się zainteresowania młodych muzyków. Muzycy ci, bazując na dawnym stopniu twórczości ludowej coraz częściej zaczynają pisać utwory kameralne, próbują swych twórczych sił w dziedzinie muzyki symfonicznej. Tak było najpierw u Władysława Macury i Jana Sztwiertni. Taką samą ewolucję przechodzi nasz współczesny kompozytor z czeskiej strony Śląska Cieszyńskiego — Paweł Kaleta.

Paweł Kaleta jest dzieckiem kolonii robotniczej. Kolebka jego stała w Trzyńcu, tuż nad samą Olzą, gdzie długie szeregi niskich domków pamiętają czasy Franz Józefa i tworzą robotniczą kolonię. Ojciec i matka Kalety wywodzą się ze wsi cieszyńskiej. Trudne warunki bytowania zmuszają ojca do porzucenia wsi, aby zdobyć zarobek w hucie trynieckiej. Tak więc Paweł Kaleta urodził się dnia 11 listopada 1912 roku w Trzyńcu w jednym z domków tamtejszej kolonii robotniczej. To życie w kolonii robotniczej nie odpowiada jednak rodzicom, nawykłym do zacisza i zieleni. Po czasie znajdują oni znośniejsze mieszkanie dla siebie na tak zwanej „Osówce” w Końskiej, sąsiadującej z Trzyńcem. Tam wśród robotników, ale w otoczeniu wiejskim, wyrasta nasz muzyk. Pierwszy swój pociąg do muzyki zawdzięcza on własnemu ojcu.

W rodzinach śląskich wiele wówczas śpiewano. Były to pieśni poranne i wieczorne, nabożne i świeckie, pieśni o pracy; każdy zawód posiadał swój pieśniowy repertuar; śpiewano pieśni miłosne,

pieśni o ziemi i ukochaniu mowy ojczyzny. Zaś ojciec Kalety lubił śpiewać, miłość do śpiewu wszczepiał także do serc swych dzieci. Starszy brat Pawła uczęszczał nawet na prywatne lekcje gry na skrzypcach. Uczył go sąsiad Podola, dobry skrzypek i wiolonczelista. I sąsiedztwo takich muzykantów jak Myrdacz, Pinkas i wielu innych było bardzo bliskie. Mały Pawełek wcześniej z tą muzyką zaczynał... Skrzypce brata wisiały na ścianie, chłopiec wyskakiwał na ławkę, sięgał po instrument i próbował... Najpierw była to próba zagrania tych pieśni, które śpiewał ojciec. Wtedy okazało się, że młody chłopiec posiada słuch znakomity i dlatego trzeba, aby stał się uczniem pana Podoli. Później talentem muzycznym młodego Pawełka zainteresował się jego własny kuzyn... Samiec. A ten ostatni to skrzypek na schwał, bo grywa w kinie u Podeszwy w Trzyńcu w czasie seansów. Następnym nauczycielem młodego muzyka jest pan Till, znakomity skrzypek żyjący dotąd w Cieszynie. W tym czasie Paweł Kaleta, już jako uczeń szkoły wydziałowej w Bystrzycy, próbuje sam zarabiać na nuty i struny, uczy takich jako on chłopców z kolonii gry na skrzypcach. Grupa jego uczni dochodzi czasem do liczby 15. Dla niej młody nauczyciel układa różne wieńce i fantazje z melodii obcych, ale i własnych. Powstają dueta skrzypcowe, tria i kwartety, występujące z koncertami pieśni ludowych itp. Do tej młodej grupy skrzypków przylączają się i starsi fachowcy, jak wspomniany już powyżej Myrdacz i inni...

Nagle w życiu młodego artysty zachodzi nagły i nieoczekiwany zwrot. W sąsiedztwie zamieszkała zameżna siostra baletmistrza opery ostrawskiej. Baletmistrz zjeżdża na wakacje do swej siostry... Ale tutaj nudzi się. Rad by poćwiczyć... pokazać to, co umie... ale jak to zrobić i przed kim? Baletmistrz zaprasza do siebie młodzieńckiego Kaletę. Dwóch ludzi o wspólnych zainteresowaniach przypada sobie do gustu. Snują wspólne pomysły i plany... A kiedy plan jest już gotowy, Kaleta zabiera się do skomponowania dla swego zespołu małej polki, walca i kilku drobniejszych utworów muzycznych. Niedługo po tym

odbędzie się w Końskiej „na Osówce” jedyna w swoim rodzaju impreza. Oto przed otwartymi drzwiami wiejskiej stodoły zasiądą na ławach muzycanci z Kaletą na czele. Zaś z drugiej strony stodoły, gdzie również otwarto jej wrota, zorganizowano miejsce dla szanownej publiczności, która na powyższą imprezę zeszła się tłumnie. Popatrzmymy teraz co się dzieje na gumnie stodoły? Oto w takt Kaletowej muzyki tańczy i hajdukuje baletmistrz opery ostrawskiej... Publiczność bije rżęsiste brawa. Tryumf jest zupełny. Taki to był ten „Dziadek do orzechów” czy „Jezioro Łabędzie” w trzyniecko-końszczyńskim wydaniu, których przedstawienia dano w stodole na wzgórzu zwanym „Osówką”. A potem po tej niezapomnianej imprezie, pan baletmistrz dopomógł Kalecie do tego, aby został przyjęty do szkoły muzycznej w Ostrawie. W tej szkole muzycznej uczył harmonii pan Hradil, zaś gry na

skrzypcach pan Benesz. Była to czteroletnia szkoła muzyczna. Kaleta uczęszczał do niej od 1932 do 1936 roku.

W roku 1932 zakłada Paweł Kaleta kwartet smyczkowy, który z pewnymi przerwami istnieje do dnia dzisiejszego i będzie obchodził w bieżącym roku 25-lecie swego istnienia. Od tego czasu powstają pierwsze utwory Kalety tworzone dla wymienionego zespołu.

Po ukończeniu szkoły muzycznej w Ostrawie młody kompozytor odbywa swą służbę wojskową w Opawie. Tam od razu znalazł się w swym „klimacie”. Jest tutaj kapitan — literat, który pisze melodramat na temat chiński, Kaleta dorabia do słów muzykę. Później orkiestra wojskowa rzecz tę wystawia. Po tym młody kompozytor tworzy wiele różnych kompozycji, jak np. melodykę do wierszy znanego czeskiego poety Jerzego Wolкера (na głos solowy i orkiestrę). Innym razem jest to muzyka sce-



Kwartet smyczkowy hutniczego Klubu Zakładowego w Trzyńcu. Od lewej: Paweł Kaleta, Mirosław Štyvār, Karol Rykała, Jan Myrdacz

niczna do dramatu napisanego przez poetę w mundurze opawskiego pułku piechoty.

Po powrocie ze służby wojskowej, Kaleta osiada w Trzyńcu i poświęca się wyłącznie muzyce. Występuje jako skrzypek, zarabia przez udzielanie lekcji, pilnie ćwiczy z kwartetem. Lecz są to czasy bardzo trudne. Szaleje bezrobocie, do mieszkań trzynieckich hutników zagląda bieda i nędza. Traf zrządza, że jednego wieczoru do Kalety uśmiecha się szczęście. Posłuchajmy jak to było! W cz.-cieszyńskiej „Polonii” (dzisiejszy „Piast”) odbywa się koncert. Występuje profesor Trombik ze swoim chórem. Gra orkiestra hutnicza Raszki z Trzyńca... Ze solem skrzypcowym pojawia się na scenicznym podium... Paweł Kaleta. Teraz sypią się oklaski, głośnie brawa, czasem zanadto głośnie. Efekt występu jest nadzwyczajny, nieoczekiwany. Obecny na koncercie lekarz cieszyński staruszek Dr Kotulecki, znany podówczas patron cieszyńskich twórców, zaprasza do siebie Pawła Kaletę z wyrażoną życzliwością i mówi:

— Panie Kaletko... ja pana grę słuchałem bardzo uważnie... podobała mi się... Pan ma duży i niezwykle talent... Tak, pan ma talent, tylko pieniędzy pan nie ma... No, to się często zdarza... W czasach dzisiejszych bardzo często! Talent bez pieniędzy to orzeł w klatce... skrzydeł nie rozwinie... szczytów nie osiągnie. Panie Kaletko, ja kiedyś miałem syna, wojna mi go zabrała... Ja chcę panu pomóc, niech pan uważa... jeśli pan zda egzamin na klasę mistrzowską w konserwatorium praskim, to ja panu będę płacił studia... No, niczego, ... wiem, że się pan zgadza. Niech no pan trochę poćwicz i wierzę, że pan przy egzaminie obstoi... Nie mam o pana obaw!

Kaleta zdał ten egzamin i został przyjęty, aby studiować w Pradze. Należy do grona najlepszych kandydatów, których uczą najlepsi profesorowie, których posiada arcymuzykalna Praga.

Zazwyczaj każde szczęście trwa bardzo krótko. Wrzesień 1938 roku... Mobilizacja... Monachium, no i koniec z marzeniami; młody artysta wraca do Trzyńca. W Trzyńcu trzeba się rozgląd-

nać za zarobkiem. Dnia 2 stycznia 1939 roku Paweł Kaleta zostaje przyjęty do pracy jako urzędnik. Tutaj młody muzyk poświęca swój wolny czas muzyce. Prowadzi kwartet pilnie, komponuje. Powstają duety skrzypcowe, utwory na kwartet, miniatury solowe na skrzypce z fortepianem. Rodzi się w zarysie pierwszy kwartet smyczkowy. Gdzie tylko w okolicy zabrzmi dobra muzyka, tam Kaleta pomaga. Jakiś czas prowadzi zespół mandolinistów w Lesznej, opracowuje dla niego repertuar, komponuje. W tym czasie powstają również wspaniałe miniatury na kwartet oraz „Pierwszy kwartet smyczkowy” później często nadawany przez rozgłośnie warszawską i katowicką.

We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. Wojna ta rzuca Kaletę daleko poza granice rodzinnego kraju. Tuła się po Włoszech i Francji. Lecz i tam każdą wolną chwilę poświęca muzyce. Na skrawkach papieru notuje swe dorywcze pomysły muzyczne. Karteczki skrupulatnie przesyła do Trzyńca. W taki sposób powstaje nowy zbiór miniatur, melodyka do tańców i pieśni.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Kaleta wraca do Trzyńca. Po pracy w hucie, wieczorem siada do instrumentu i komponuje, albo ćwiczy z zespołem kwartetu. W tym okresie tworzy kompozytor swe „Kwartetino” i „Drugi kwartet”. „Kwartetino” i „Szesaście miniatur” włącza do swego programu Polskie Radio w Warszawie. Przepiękny „Drugi kwartet” zostaje odegrany w Trzyńcu na koncercie przez zespół im. Ziky z Berna. Także w Pradze często jest grywany „Walc koncertowy” na orkiestrę symfoniczną... tak długo, aż zostaje zaprzepaszczonej materiał nutowy, partytura i głosy.

Jako ślad zaprzepaszczonego utworu pozostaje tylko płyta patefonowa z nagraniem na niej walcem...

Kompozytor tworzy dalej, powstają opracowania muzyczne pieśni masowych — np. melodia do „Pieśni hutników trzynieckich”, powstają opracowania muzyczne do jednego z regionalnych utworów scenicznych. W szczególności zaś nie jest zaniedbywana praca z zespołem kwartetu. Skład tego kwartetu

często się zmienia, Kaleta jednak trwa w nim przy pulpicie pierwszych skrzypiec już 25 lat. Zespół kwartetu urządza często wieczory dobrej muzyki, grywa w oświatowych kółkach robotniczych i świetlicach wiejskich, popularyzując i szerząc zamiłowanie do muzyki poważnej. Słuchając tonów muzyki poważnej w wykonaniu kwartetu smyczkowego Kalety, nikt nie może twierdzić, że muzyka ta jest niezrozumiała. Byłem na jednym z takich wieczorów kwartetu skrzypcowego Pawła Kalety w podgórskiej wiosce. Beethovenowskie melodyjne „Adagio cantabile” tak w ten czas oczarowało publiczność, że ta zapomniała nawet bić brawo. Widziałem te twarze słuchaczy urzeczonych ogromem piękna i myśli, oddanego po mistrzowsku dzieła.

Na zakończenie warto powiedzieć kilka słów o kwartecie smyczkowym. Warto tu wymienić członków tego kwartetu. Drugie skrzypce gra Mirosław Štyvár, kompozytor a zarazem dyrektor szkoły muzycznej w Trzyńcu, altówka należy do artysty-malarza Jana Myrdacza. Zaś czelista jest znakomity Karol Rykała. Kaleta i Myrdacz, to członkowie SLA. Przy tej sposobności trzeba dodać, że kwartet smyczkowy Kalety występuje corocznie z wielkim koncertem na kursach szkoleniowych SLA. Wtedy koncert taki połączony jest z szeregiem wykładów i prelekcji teoretycznych.

Kwartet smyczkowy Kalety stał się głośny w roku 1955. W tym roku bowiem został kwartet odznaczony złotym medalem na ogólnopanstwowym Konkursie Twórczości Ludowej w Pradze jako najlepszy amatorski zespół kameralny w Republice Czechosłowackiej. Prasa wydawana przez Czechosłowacki Związek Kompozytorów bardzo wysoko oceniła grę Kaletowców, stawiając ich na równi z najlepszymi zespołami zawodowymi tego rodzaju w Republice. Był to sukces nie lada, za mały jednak, aby obudzić żywsze zainteresowanie wśród czynników miejscowych na Śląsku czechosłowackim. Kwarteciści grają i grają, a grają coraz lepiej i coraz piękniej, zdobywają laury i w Pradze i w sąsiedniej Polsce, ale w ciasnych wiejskich



Dyplom Ministerstwa Kultury w Pradze, dotyczący przyznania I nagrody (złoty medal) kwartetowi smyczkowemu Pawła Kalety

świetlicach po naszych wioskach, a także do samego miasta Ostrawy... sława o tym kwartecie jakby nie mogła dotrzeć...

Jeśli mamy w nowym społeczeństwie socjalistycznym stworzyć właściwą bazę dla sztuki poważnej, której uprawianie było dotychczas przywilejem burżuazji, to zespół Kalety spełnia posłannictwo zaiste pionierskie, szerząc zamiłowanie do muzyki poważnej wśród szerokich mas ludowych. Zespół propaguje równocześnie zapomnianą twórczość rodzimą. Któż z nas znał miniatury muzyczne Władysława Macury, Karola Hławiczki i innych? I dlatego Paweł Kaleta i jego druhowie zasługują na poparcie całego naszego społeczeństwa, szczególnie zaś na przypomnienie ich żmudnej pracy, i jubileuszu wyrażonego cyfrą 25 lat.

JÓZEF STEBEL

Śmierć Saboty

Przerywniki Władysława Cejnara

Pomarł stary Sabala...

gorzka ta nowina
dodnia przysła do chałup... leci po dziedzinach,
jeszcze szaro w powietrzu, późno świty w grudniu...
Świecą w oknach kaganki... Twarde kroki dudnią.

Szreń skrzypi na nie dobrze zdeptanym chodniku,
stukał do wrót chałupy: — Hej wstawajcie stryku!...,
Trzeba odwiedzić Sabalę na ów Peksów brzyzek...
Zaczął wiatr duć zachodni, syпки padać śnieżek.

Żal ściska serca ludziom...

Gdyby jeszcze pożył?
Byłby swoją gawędę poszerzył, pomnożył,
drogę ludziom pokazał do cesarskich kremnic,
bo przed Sabalą w życiu nie było tajemnic.

On jeden znaki widział, pod Krywaniem w lesie,
tajnych skarbów zbójnickich — dukaty w kotliku.
On znalazł grotę w turniach...

Srebrny ptak tam niesie
Złote jaja...

On stworzył baśń o Janosiku,

hornym chłopcu, którego chodnik w Liptów wiedzie.
On wyrąbał w huściawie ścieżkę za niedźwiedziem,
a gdy się wraz spotkali: Błysło i zagrzmiało!...
Któż tu drugi był w Tatrach do miary z Sabalą?...

Przeznał też życie ludzi: — Miłość i nienawiść,
dobroć serca głęboką i serc małych zawiść.
Brał tworzywo na gęśle i w pieśni przelewał...
Już nie żyje...

Któż po nim drugi pieśń zaśpiewa.

Umilkła gęś szumiąca siklawy potokiem,
z milkła nuta... co była lasem i obłokiem;
co się z ludźmi cieszyła i z ludźmi płakała...
Osierocił ją gazda... Zmarł stary Sabała!

Przed ranem w zimnym grudniu...

Wiatry od Orawic,
niosły śniegu zawieję, a poświst dujawic,
drogę pokrył zaspami... mróz skrzypiał pod stopą...
ręce — co niosły truchłę, poglewiały chłopom.
Pochowali go prędko...



Burza ich wygnała...

Został w dole samotny. Lecz pieśń z nim została,
pieśń z wichru urodzona, nieśmiertelna, młoda,
szumi nutę zbójnicką: —

„Szkoda chłopu, szkoda.”

Przeszły roki już godne — éma czasu ubiegła,
sypie się piarg do żlebu — skalista ulewa,
Janosikowe dróżki siwa mgła zaległa...
Lecz nuta żyje ciągle... młody wnuk ją śpiewa.
Na groń się wspina z wiatrem, szumi po dolinie:
„Hej!... Sabałowe imię nigdy nie zaginie.”

Opowiadali ludzie: — Chorzał długo, wiele,
wieczór, gdy gasła zorza, powstawał z pościele...
I długo, długo patrzył na Regle przez okno,
czy jesienią na bukach złote liście mokną.

Złoto czerwone w słońcu, poszarzały w plusze...
zmarmotniał trochę chory: — Ja też odejść muszę,
praśnięty jak ten listek bukowy na wiatry.
Kiedy mię choć puścili iść w wysokie Tatry.

Pozwolili strzec kozic, w turnicach nad lasem,
pasłbym kerdel w upłazie i strzeliłbym czasem.
Nie chcę zamieszkać w niebie, gdzie boscy anieli,
W Tatrach góralskiej duszy byłoby weselej.

Hań ostra grań Hrubego — siedząc tam do czasu
miałbym błękit nad głową, pod stopą płań lasu.
Tak to dumał Sabala, smutno kiwiąc głową; —
ale niekze tam ide, ka mię radziej woła.

... Wspomniał na dawne lata... Mili towarzysia,
wszyscy precz już odeszli, marnie poginęli...
Sławny Józek Mateja w Rózemberku wisiał,
a Stopkowie — Mocarni na Lewoczy zgnili.

Wszystkich widzę... stoicie żywi przed oczami,
pomału, ja się także wybieram za wami.
Szumni chłopcy, już takich na świecie nie będzie,
czy na Liptow my poszli, czy strzelać niedźwiedzie.

Hej, panowie, panowie, chociażście panami,
hej nie uchyli czoła Sabala przed wami.
Zatchnął się... W sercu zima i ustać nie może
drżący wraca... znów legnąć na cierpiące łożo.

Zleciały się kumoszki... świętego Franciszka
córkę wierne... i radzą zaraz przyzywać księdza: —
Hej Sabala, Sabala, kostucha już bliska,
spowiedzią trzeba diabła od siebie odpędzać.

Zwiotczeliście coś bardzo i wyschli na listek,
grzecznie trza się wysłuchać na dalekie chody,
ulży wam na sumieniu, brud z was spłynie wszystek
dużoście nabroili, gdyście byli młody.
Macie sprawy zbójnickie...

Oburzył się starzec: —

Sto diasków wyścię zjadły ze swoją poradą,
jak pomrę to sam na sam będę z Panem gwarzyć
i ze swojego życia sam pertykuł składał.

Jak już pomrzeć przychodzi, pożylem dość długo,
więc kiedy gazda woła — pocóż gwara z sługą.
Sam wysłucha... najlepiej wie, czym bardzo grzeszył
bożą służbę pełniłem — ludzkiem serca cieszył.

Czy szum lasów głęboki, czy halnego jęki,
było mi to zajedno — przetwarzalem w gęśli,
skrzypiało to i drżało, ale rosło w dźwięki.
Aż ludzie powiadali: — Anieli przynieśli
tę nutę Sabalową...

Starzec się zadyszał,
i legł. Tylko z pościeli uniósł suchej dłoni
grożąc. Syn wpadł do izby, swar jakiś dosłyszał.
...Masz mi te wszystkie baby z hałupy wygonić.
Szumią jak żaby w bagnie.

Uciekały wściekle,
krzycząc: — Grzeszył Sabala — będzie gorzał w piekle...
Ciągły się dni choroby... jesienne dni mokre,
aż przyszedł zimny grudzień, śnieg sypał za oknem.
Mróz замуrował szyby w lodowate kwiaty: —
Jakoże pójdiesz dziadku w te dalekie światy? —

pytał wnuczek maleńki. Siedział w kątku ławy,
(on był jedynym stróżem dziadkowej niemocy)
przecież to dalej będzie, niżli do Orawy
i droga zasypana. Jako trafisz w nocy?...

Słyszał pogwarke ojców: — że jak pomrą starzy,
to ich dusze w daleką podróż idą... precki...
W zaświaty, poza chmury, tam ich mają w straży,
anioły... albo diabli ze ziemi tureckiej.

Lecz starzec nic nie mówił... ciśnięty na pościel,
okryty derką z sukna, chrapiał... żywy kościej...
a gdy z warg zaciśniętych wyzwały się jęki
wstał malutki Jędrek i kapkę palenki

wlewał do ust dziadkowi... wiedział że go skrzepi...
Przytomniej się uśmiechnie, wewnątrz mu ociepli.
I przestanie na chwilę tak chrapliwie dyszeć,
popuści go krzypota, zaśnie, będzie ciszej.

Żałował wnuczek dziadka...

Kiedy paśli latem,
razem krowy na tłoku lub jagnięta w lesie.
Uczył go jak ma biegać, w biegu strzaskać z bata
i żeby chrust się palił, jak się ogień krzesze.

A gdy usiadł na miedzy...

Wtedy boże święty...
gdy wyjął gęśle z cuchy, gdy pociągnął smykem?
Jędrek tańczył jak diasi... w koszuli rozpiętej,
gwizdał...

Zdawało mu się, że już jest zbójnikiem.

Potem dziadek zachorzał...

Zimna noc pamiętna,
trapiała go krzypota, brała go goręta,
zdawało się, że kończy... i znów ciszej było.
Jędrek usnął na ławie — spanie go zmorzyło.

Gdy się ocknął... szarzało i na dzień miało się,
dziadek stał na śród izby, odzież wdziewał na się —
Zobaczył wnuczka — rzekł doń: — Cicho, a nie tłucz się,
pomóż wzuć mi na nogi kierzpce i onuce.

Wołają mię z daleka... ten głos usłyszałem.
Dosięgał biały starzec głową pod powalę.
Rażno Jędrek się zerwał i uwinął duchem,
wzuł dziadkowi papucie, podał serdak, cuchę.

Kapelusz z długim piórem...

Krzywi się twarz sucha: —
Podaj jeszcze ciupagę, nie chcą nogi słuchać.
Zepnę na niej swą rękę...

Stroma perć we wierchy;
Tam czekają... Sabała, nie spóźnił się nigdy.

Już idę...

i krok zrobił...

Wtem jak buk podcięty,
zwałił się na podłogę, próg dosięgł mu czoła.
Mały Jędrek w głos krzyczy, srodze przeleknięty.
Leży martwy na dylach...

Hej! pomarł Sabała!

Umilkła bajda, pełna czarodziejskich dziwów,
zmlkła nuta szalona zbójnickiego śpiewu.
Prosta nuta góralska, której nikt nie uczył
czy ma grzmieć na dolinie, czy w sikławie huczeć,
Pomarł stary Sabała...

Zabrzmiął ludzki lament...

Lecz zostawił po sobie wykuty testament: —
Kto śpiewa pieśni wesela, ludzkie serca cieszy
ten przeciw ludziom swoim i światu nie grzeszy.
Przeszedł długi wiek hyrem, jeszcze drugie miną: —
O Sabale głos idzie tatrzańską doliną.

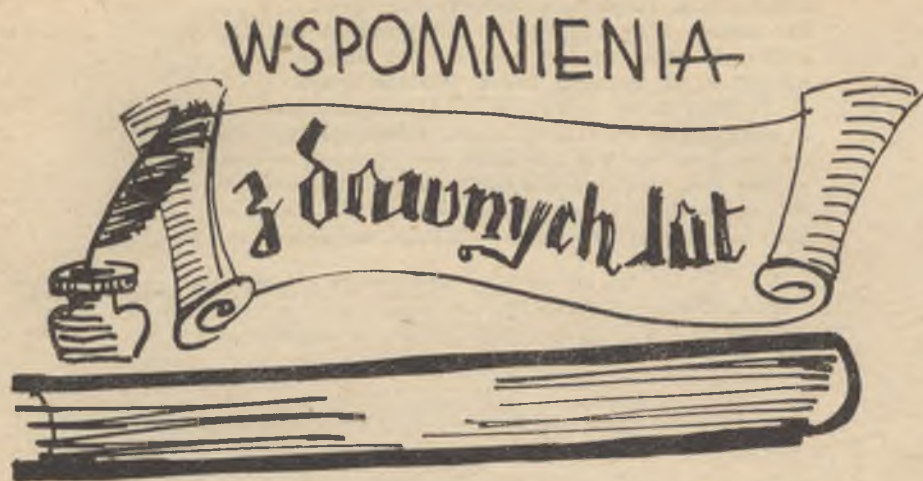
Na pogrzeb przybyły tłumy...

Z limby i kosówki,
uwiły masę wieńców polaniarskie dziewczki.
Bartuś Obrochta zagrał tę ostatnią nutę: —
Co wiodła hornych chłopów za dzwierze okute,
groźnych zamków orawskich czy miasta Lewoczy.
Płakały żalne gęśle...

wiatr niósł do uboczy,
 głos ich z tumanem śniegu — nie masz na to rady,
 Sabałowych chodników zasypywał ślady.
 Pytanie — syn poszuka lub czy wnuk je znajdzie —
 prawnuk ucha nachyli, Sabałowej bajdzie?
 Bo bywa, że zabaczą ludzie czasem pono.
 — Poszedł stary Sabała ścieżką nierąbaną...
 w góry, gdzie go wołali... Idzie coraz dalej...
 — — — — —
 — — — — —
 — — — — —
 Lecz świat nutę usłyszał. — Młodzi zaśpiewali.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC





Widziałem już wiele bibliotek i biblioteczek, prywatnych i publicznych, w różnych miejscowościach Śląska, miałem w rękach wiele różnych książek, czy nawet rękopisów i wydawało mi się, że wiem mniej więcej czego można się spodziewać w tych nawet bibliotekach, których nie widziałem. Zetknąłem się z kilkoma wybitnymi zbieraczami, gromadzącymi różne drukowane i rękopiśmienne osobliwości, z Londzinem, Regem, Matulą i Wantulą, a ich zbiory potwierdziły tylko moje mniemania o tym, czego można się w zakresie tak zwanych „silesiadców” spodziewać.

W zakresie druków trudno o większe rewelacje, bo prawie wszystko, co w druku istnieje, ujmują różne bibliografie. Nawet jeśli chodzi o druki bardzo rzadkie, uchodzące w oczach ich właścicieli za unikatowe, to zdarzają się drugie egzemplarze, rzadko bowiem bywa, by daną rzecz wyłoczono tylko w jednym egzemplarzu — jeśli więc nie tu, to gdzie indziej natrafi się na rzecz niby bardzo rzadką i nie ujdzie ona przeważnie uwagi zainteresowanych.

Natomiast w zakresie rękopisów niespodzianki i odkrycia są możliwe i to jeszcze jakie! Te z rękopisów, które już poznaliśmy dzięki pewnym odkryciom (np. Jana Wantuły) stanowiły pewną rewelację, ale przyjmowaliśmy, że

szczęśliwych odkrywców nie będzie znów tak wiele, bo dawnych rękopisów, jak praktyka wykazuje, nie było zbyt dużo. Złożyło się na to wiele powodów, a wśród nich najważniejszymi, to brak u naszego ludu większego zacięcia piarskiego, brak potrzebnych umiejętności, brak czasu, a najczęściej brak zrozumienia, że to czy owo warto lub trzeba napisać. Ludzie zapisywali sobie pewne rzeczy w kalendarzach, na wklejkach postyl lub kancjonałów, ale żeby sięgnąć do napisania większej rzeczy, na to przeważnie brakło chęci i odwagi.

Znane kroniczki czy pamiętniczki, takie jak Jury Gajdzicy, pominawszy to, że należą do zjawisk raczej rzadkich, odznaczają się tym, że są szczupłe, ubogie i przy nieudolnym na ogół przedstawianiu rzeczy ograniczają się do niewielkiego tylko wycinka jakiejś rzeczywistości. Nie czynimy bynajmniej tym dawnym piśmiarzom zarzutów, co więcej, jesteśmy im wdzięczni za to, co nam przekazali, przyjmujemy jednak, że na więcej nie było ich stać. Mamy na myśli oczywiście tylko chłopskie lub robotnicze piarstwo kronikarskie i pamiętnikarskie, pamiętniki bowiem inteligencje (a policzymy je prawie na palcach jednej ręki), to już sprawy inne.

Wydawało mi się, że znam mniej więcej i z grubsza dorobek piarski Śląska

Cieszyńskiego i jego możliwości w tym zakresie, tymczasem okazało się, że grubo się myliłem. Pomyłkę swoją spostrzegłem, kiedy zapoznałem się z użyczoną mi do wglądu dużą księgą in folio, obejmującą kilkaset stron, zapisaną pięknym i wyraźnym pismem o starannym, iście pisarskim dukcie. Imponującą tę księgę, zatytułowaną „Pamiętnik gminy Simoradz”, napisał Jerzy Raszka, chłop z Simoradza, żyjący w drugiej połowie XIX wieku.

Ojciec Jerzego Raszki, Jurek Raszka, przyszedł do Simoradza w pierwszej połowie XIX wieku z Karpętnej. Umiał pięknie i poprawnie pisać, o czym świadczy przytoczony przez jego syna w „Pamiętniku” opis granic simoradzkich z lat trzydziestych. Był przez jakiś czas pisarzem zwierzchności simoradzkiej, a jego syn, urodzony w Simoradzu w roku 1850, pisarstwo doprowadził do prawdziwej perfekcji, choć ukończył tylko, jak sam powiada, jednoklasową szkołę w rodzinnej wsi. Służba wojskowa sprytnemu chłopakowi rozszerzyła horyzonty i umożliwiła naukę w szkole podoficerskiej, a że służbę tę odbywał w Krakowie, uczyniła go świadomym Polakiem. W wojsku nauczył się nawet dokonywać pewnych pomiarów terenowych i rysunku, co po powrocie do cywilażytkował, wraz z odziedziczoną po ojcu kaligrafią, najpierw jako pisarczyk sądowy w Skoczowie, a później jako solicytator notarialny tamże. Rzucał to pisarstwo po kilku latach, a ożeniwszy się, został rolnikiem w Simoradzu, gdzie też przez pewien czas piastował nawet urząd wójta. Zmarł w roku 1900.

Wrodzone zdolności i wcale rozległa praktyka pisarska w wojsku, w sądzie i u rejenta oraz w gminie wiejskiej, uczyniły z Jerzego Raszki wyjątkowego piśmiarza. Jego „Kronika gminy Simoradz”, napisana zapewne w chęci przysłużenia się rodzinnej wiosce, w której żył jako świątkły chłop — obywatel i wójt, jest dziełem prawdziwego talentu. Składa się z trzech części: zbioru źródeł i dokumentów do dziejów wsi, opisu topograficzno-historycznego i zarysu społeczno-ludoznawczego. Część pierwsza ma znaczenie czysto lokalne, lecz

wśród zebranych przez autora źródeł i dokumentów, które przytacza w starannym i poprawnym odpisie, znajdują się teksty niezwykle ważne również dla innych miejscowości (ustrój, pańszczyzna, uwłaszczenie itd.) Źródła zebrane przez Raszkę, to coś jakby „Codex diplomaticus Simoradzensis”, a więc duża praca, imponująca i bardzo pożyteczna, natomiast dwie części następne, to już historiografia, pisarstwo samodzielne, pamiętnikarstwo, literatura!

Raszka rozpiął się w swym „Pamiętniku” bardzo obszernie, wszystko jednak co napisał dalekie jest od gadulstwa czy plotek. Czytając jego „Pamiętnik” odczuwa się po prostu pióro „prawnika”, „historyka ustroju wsi” a nawet „ekonomisty”. Szczególnie interesują go zagadnienia pańszczyzny i jej geneza, stosunki prawno-społeczne i gospodarcze. Wykład swój okrasza czasem wykrzyknikiem, pytańnikiem czy przysłowiem. Oto dwa nieznane nam już dziś przysłowia związane z pańszczyzną. „Na pański chodź krokiem, z pańskiego galopym.” „Pański zbydę, próżny bydę.” Jako wójt opisał wszystkie sprawy publiczne dawnej wsi, nie wyłączając nawet „wizytyrek”, dużo miejsca poświęcając sprawom szkolnym, wyznaniowym i ekonomicznym. Jako rolnik dał bardzo interesujący obraz dawnego rolnictwa, leśnictwa, ogrodnictwa, hodowli bydła itd. Język Raszki jest poprawny, styl potoczny i prosty, a dokumentacja i logiczna argumentacja zdradzają człowieka obitego z kancelarią, ustawami i paragrafami, nie w tym jednakże stopniu, by przysłoniły mu one życie, tak jak się to zdarza często u pokątnych „szrajberów”.

Z ciekawego „Pamiętnika simoradzkiego” Jerzego Raszki, stanowiącego jedną z najbardziej wartościowych pozycji w dawniejszym piśmiennictwie chłopskim na Śląsku Cieszyńskim, przytaczam cztery krótsze fragmenty obyczajowe: 1. rzecz o „wizytyrkach”, 2. wspomnienie o wojnie prusko-rakuskiej w r. 1866, 3. ustęp o koniach w dawnej wsi i 4. wierszowany utwór, wpleciony w topograficzny opis wioski. Fragmenty 1—3, typowe dla całego Cieszyńskiego, mówią same za siebie i nie wymagają

bliższych objaśnień. We wspomnieniach z dawnych lat, gdyby je ktoś spisał tak-że dla innych miejscowości, znalazłyby się na pewno podobne ustępy.

Utwór wierszowany trzeba objaśnić. Znalazł się on w „Pamiętniku” jako zakończenie rozdziału o częściach wsi i ich lokalnych nazwach. Każdy przysiółek, zagajnik, łąka, las czy pojedyncze nawet osiedla miały dawniej na wsi swoje nazwy. Wyliczywszy i opisawszy wszystkie, jakie były w Simoradzu, kończy Raszka ten rozdział słowami: „Tyle zauważyłem od dzieciństwa, odtąd nie przybyło nic — brak dowcipu i wypadków”, a następnie kropi wierszem uzasadnienie tego zjawiska, wynikającego według niego ze zmian, jakie zaszły po wsiach, na skutek wynaradawiania się i ucisku społeczno-narodowego. „Tak już otrętno, jak w więzieniu chłodno, znikły zabawy, zgoła wyżyć trudno, zgąś więc i dowcip jak węgiel w popiele...”

„Pamiętnik” Jerzego Raszki jako wybitne dzieło ludowego pisarstwa warto w całości ogłosić drukiem. Regionalna nasza literatura zyskałaby w nim kapitalne źródło do dziejów społecznych, kulturalnych i narodowych wsi śląskiej po zniesieniu pańszczyzny.



I.

Pewną rozrywkę w jednostajnym życiu wsi stanowiły tak zwane „wizytyrki”. Była to poniekąd perła z rodzaju rozgardiaszu. Jakoś krótko przed rokiem 1780 ustanowiona została tak zw. Kenschneits-Kommission we Wiedniu, w połowie z duchownych a w połowie z świeckich członków złożona. Zadaniem tej komisji było czuwać nad czystością obyczajów i dozorować szczególnie młodzież i zapobiegać jej wszeteczeństwu i wyuzdaniu.

Z polecenia tej komisji miał tedy wójt lub jego zastępca od czasu do czasu niespodzianie w nocy przejść się po domostwach i zdybanych in flagranti parobków i dziewczki, nocujących po obcych obozach odstawić natychmiast przed prawo dziedziczne celem ukarania ich. Karani byli takowi jużto grzywną, która na rzecz ubogich zużyta była, albo aresztem, albo też pracami publicznymi. Na wsi musieli takowi przykopy czyścić koło dróg, w miastach zaś zamiatać ulice. Wyrok zapadał albo zaraz w nocy, albo w następny dzień, bez dalszego targowania się przez rekursy, a kara następowała natychmiast.

Co to przy tych wizytyrkach obustronnie nie dokazano zręczności i podstępów, co za hece stąd powstawały i na długie dnie i tygodnie dawały temat do rozmów, wesołych uwag, żartów, dowcipów, przycinków, nie tylko we wsi, ale i poza nią, tego wszystkiego nie potrafię dostatecznie upamiętnić, i choć po części to tylko naszkicuję.

Wizytyrka odbywała się zwyczajnie po jakiejś stypie, najczęściej po muzyce. Około 10—11 w nocy światło zamigotało w oknie i zaraz dało się słyszeć stukanie po oknie.

— Kto tam? — zapytał zbudziwszy się gospodarz.

— Idziemy po wizytyrce — była odpowiedź.

Na to hasło gazda albo gaździna, ubrawszy się, wpuścili patrol do izby.

— Nie macie tu jakich noclegorzy? — zapytał niosący latarkę wójt.

— Nie wiem — odrzekł gazda.

— Gdzież dziewczka!?

— W chlewie!

— Tóż nóm tam otwórzcie!

Zaraz też gazda poszedł naprzód, a za nim patrol i burząc na drzwi zawołał.

— Dziewka, puść tam!

Z wnętrza zaraz dają się słyszeć jakieś szelesty, szepty, potem uchybowanie różnych gratów, nawoływanie na bydło „ustą” i powolne otwieranie drzwi, a między tym jakieś cichsze bantowanie: to parobek noclegujący otwiera i wylazi przez okienko w ścianie, przez które gnój się wyrzuca. Nie miał czasu ubrać się, więc w koszuli ucieka a ubiór ma pod pachą. Domyślawszy się, nadbiega mu jeden z patrola, ale parobek już był wyskoczył okienkiem, wpadł do gnojówki, skapał się po uszy, stracił jeden but, ale przecie uciekł.

Dziewka wylajana zabiera się milcząca, gniewna i płoniejąca, aby być zaprowadzoną do wójta po wyrok, gdzie też odniesiony bywa but, który parobek zgubił, jako corpus delicti.

W innym wypadku kochankowie leżeli na strychu. Parobek słysząc jakieś dreptanie, stukanie i rozmowę koło chaty, porwał z ubioru co miał i zwiął w ciemności. Patrol, wyszedłszy na strych, nie znalazł noclegorza, ale tu są buty, kapelusz i bruclik, więc gdzież parobek? Ale dziewczka nie wie, a przynajmniej nie zdradza.

Złazą ze strychu, obchodzą budynek dookoła, wachają po wszystkich kątach, nie ma nic. Gdzież jest! Zaczynają już śledzić wzrokiem w górze, w powietrzu, a wtem spostrzegają w świetle księżyca jakiegoś mężczyznę nie całkiem ubranego, jak stoi na kalenicy, trzymając się komina. To filut — parobek przedarł się przez słomiany dach, aby uciec i dalej nie może.

Wołają go, aby zszedł, ale się nie rusza. Biorą żerdź długą, by go zepchnąć z kalenicy, ale on przechodzi na drugą stronę komina, ci za nim z żerdzią w oną stronę, on przechodzi napowrót i tak powtarza się to kilka razy. Nareszcie patrol postanawia obłączyć go, pozostawić na kalenicy i kolejno wachować do rana. Po niejakej chwili woła parobek z dachu.

— A tóż mi choć przystowcie drabine, abych mógł zleźć, bo tu zmarznę. — Przystawiono mu drabinę, i gdy na



ziem dochodzi, dopiero cała patrol i gospodarz wybuchają śmiechem.

— A ty coś zrobił?

W ciemności i w pośpiechu nazywając galaty, obuł je naopak, rozporem do tyłu.

Podobnych oryginalnych scen dostarczyła wizytyrka nieprzeliczone mnóstwo i może ani ówczesne arystokratyczne par force polowanie na lisa nie dostarcza tyle humorystyki.

Wizytyrka w Simoradziu ustała około roku 1865, gdy samemu wójtowi zezowitczyła się cera.

II.

Muszę jeszcze wspomnieć o dwóch wypadkach politycznych, jakie w naszej wiosce miały miejsce i jakośmy się w nich sprawowali. Pierwszym była inwazja pruskiej landwery w r. 1866 w tutejszych okolicach między Wisłą a Odrą.

Była w r. 1866 w czerwcu i lipcu wojna między Austrią i Prusami i toczyła się w Czechach. Pruski król Fryderyk Wilhelm III chciał naszego cesarza ze związku niemieckich książąt wyrugować, aby się bez tak potężnego rywala tym łatwiej móżdż dać ogłosić niemieckim cesarzem i udało mu się też to po zwycięskiej bitwie z naszą armią w Cze-

chach, którą dowodził generał Benedek, i po jeszcze większym zwycięstwie w r. 1870/1 nad francuskim cesarzem Napoleonem.

Otóż podczas tej wojny w Czechach i niezależnie od niej pruski generał landwery wpakował tu w nasze wioski swoje regimenty, które nas wyżerały jak szarańcza. Musiał ten niemiecki „held”, ponoć książe Pszczyński, przy zawarciu pokoju zapłacić za ten figiel naszemu rządowi coś dwa miliony reńskich kontrybucji, bo do tego kroku w nasze strony nie miał rozkazu, ale nie o tym chcę mówić, tylko o wypadku, który tę inwazję poprzedził.

Było to pewnego pięknego dnia w czerwcu. Ja i wielu innych tutejszych ludzi okopawaliśmy ziemniaki na farskiej zagrodzie, skąd wspaniały widok roztacza się na zachód. Około 9 rano zatrzęsła się ziemia pod nogami, wszyscyśmy postawali i patrzymy, na samym krańcu widnokregu występują wielkie białe kłęby dymu, za kilka sekund huk jakby strasznego grzmotu przekruszył nas.

W kwadrans później powtórzyło się trzęsienie ziemi jeszcze gwałtowniejsze, po nim grzmot jeszcze strasniejszy i większe kłęby dymu. Zdrętwieliśmy, zaprzestali roboty, bo nikt nie wiedział co to się dzieje, chociaż domyślano się, że to coś Prusi na granicy nabroili. Zeszliśmy z pola do folwarku niemal w popłochu. Tu Rużyczka wszystek raps, który był w stodółach namłócony, w kontrakcie dał niezwioty poznosić do słodowni w palarni (młóćków potem kiedyś wypłacił nadziennie), koło stodół dał nastawiać kadzi i beczek z palarni i napełnić wodą. Gonił i krzyczał jak opętany.

Koło godziny 11 powrócił sprawca Haltof, którego Rużyczka natychmiast wysłał konno w te strony na zwiady co się stało. Powiedział Haltof, że Prusacy (landwera) podminowali w Zebrzydowicach most kolejowy i wysadzili w powietrze, że ich jest pełno w Zebrzydowicach, w Pruchnej, aż i w prucheńskim lesie... i nie wiem czy od niego, albo od kogo innego to gruchła wieść, że chwytają i zabierają naszych chłopów i pachołków w niewolę, niby dla po-

większenia swego wojska, że zabierają konie, krowy i rabują co tylko mogą.

Aż tu za chwile, jakby rozpieczęta karawana przesuwa się z pośpiechem przez folwark ludzie uciekający z miem i dobytkiem ze stron od pruskiej granicy, to pojedynczo, to z dziećmi, to pieszo, tam dolatuje galopem wóz z miedziachami zboża i strawą dla bydła. Tu kobieta oszarpana z niemowlęciem na ręku smyczy za sobą na powrozeku chude prosię, tu chłop na taczkach wiezie żarna, przedbiega go pasterz ciągnący dwie krowy, które z tyłu pogania kobieta rozczochrana, za nią pośpiesza dwoje nieletnich dzieci. Wszyscy uciekają z tym co kto ma nie wiedzieć przed kim — ha! no, przed Prusakami, i nie wiedzieć dokąd, gdzieby się skryć, a na twarzach ich nie strach ale formalne przerażenie się maluje, które się udziela wszystkim.

Nie podobna wyliczyć wszystkiego, co się działo i widziało i jakie wrażenia się odnosiło. Dopiero ta fala uciekających popchnęła i nas Simoradzan do ucieczki. Ogarnęła nas panika, potraciliśmy głowy, zdało się, że dzień sądny nadszedł.

Najprzód Rużyczka naładował stado swych gęsi na wóz i odesłał bezmała z jedną dziewczką na Czantorię, aby je tam pasła. Potem drugie dziewczki zebrały krowy i też tam pognały. Nie wiem co się tam dalej działo, bom wraz z innymi opuścił folwark, było już dosyć z południa, chciało się jeść, a potem by zajrzeć do domu i też tam przykładem innych jakieś środki obronne, nawet i ucieczkę obmyślić.

Matka moja już od ¼ roku owdowiała, na relację moją o tym com widział na folwarku i na lament i płacz niewiasty, żony mojego brata i siostr moich dała się nakłonić, że spakowano lepsze ubiory tych wszystkich kobiet do skrzyni, szatki, hacki, fartuchy, suknie, spodnice, koszule, a na drugi dzień wczesno rano odwiozłem to najętym furmanem do krewnych ojca mego w Karpentnej, z pięć mil drogi tu stąd. Oddałem, zabezpieczyłem, i wróciłem wesoły.

Aż tu nadchodzi niedziela a tu kobiety nie mają najmniejszego strzepka, co by na się wdziać i dopiero w strach: a

nuż to tam u krewnych złodzieje skradną albo wybuchnie pożar. Wprzód to nikomu na myśl nie przyszło, ale teraz było za późno i dopiero za parę tygodni pojechałem znów po te paki.

Nie wiem co kto wszystko wówczas za browerie wyrabiał, ale zaręczam, że nie było domostwa nie tylko w naszej gminie, ale we wszystkich wioskach, gdzieby nie palniono jakiego głupstwa. Uciekali wszyscy z czym się komu ubrało. Z Rychuła, Bąkowa i tam pogranicznych wsi uciekano najmniej do Drogomyśla, Ochab, ci zaś aż do nas, do Wiślice, Skoczowa, my znów dalej, gdzie się komu zażdało aż i z Ustronia i tuż podkarpackich wsi uciekano w głąb groni.

Ta fala ucieczki rozciągała się wszere całej granicy jako Szląsk do Pruskiej przytyka, a co najdziwniejsze, że i z drugiej strony granicy, Prusacy tak samo w popłochu uciekali od granicy naszej w głąb swego kraju, jako i my. Nasi ludzie uciekali i kryli się przed Prusami gdzie kto mógł, a pobywwszy tam dłużej i krócej wracał jak niepyszny do domu.

Frydzina z Dębowca, żona siedlaka zamożnego na jakie 40.000 złr. sama bez wszystkiego z jakąś drugą kobietą odbieżawszy z domu, skryły się w zaroślach u potoku Knajki, pare kroków od domostwa, posiedziały tam z godzinę i wróciły, już było po niebezpieczeństwie i strachu.

Bachrach w Kowali, leciwy już żyd, uchodząc wołał na swego sąsiada fojta: Fojcie! żytem go! żytem go! — aby do żyta się skrył i uciekał itd.

Na trzeci dzień, jak gruchła satyra i drwiny na ucieczkę, to było się czemu śmiać, aż się za brzuch trzymało.

— No! jużes wylazł!

— A ty skryłeś się do komina?

— A ty swoich siedem pieczek już masz doma?

— A ty gdzieś zawiózł swój pinkiel błech? — drwił jeden z drugiego i dokuczał co nie miara.

Ustało to powoli, bo właśnie niebezpieczeństwo nie było jeszcze przemienęło. W kilka dni później, już się żyto młóciło, pruska landwera rozsypała się po tutejszych wioskach jak szarańcza.

Do Simoradza przyszło ich ze dwie kompanie, jeśli nie więcej, osiedli się we folwarku i najbliższych chałupach, do odległych na Podlesie. Za las, żaden nie chciał iść.

I teraz nikt, ani pies nogą nie ruszył, żeby uciekać przed nimi. Przyszli cicho, nie robili nic złego. Były to już stare draby, wysłużeni żołnierze, ojcowie rodzin swoich, a chowali się tu jakby się tu wytuczyć mieli. Pobawili tu pare dni, pewnego poranku wczas przed świtem jeszcze na jakiś gwałtowny alarm, bez śniadania, zapomniawszy i odbieżawszy od bielizny lub innych drobnych rzeczy, w popłochu we ćwierć godzinie znikli z całego obszaru kraju.

Na drugi dzień jak tu przybyli — było to we czwartek — jako w targ tygodniowy dużo ludzi szło do Skoczowa. I ja tam w jakiś drobnych sprawach byłem posłany. W wiślickiej ulicy przed miastem Prusak stoi na warcie, wszystkich wpuszcza do miasta, z miasta zaś żadnego (objasniając), ażeby sobie wyrobił od sztabu (tej pruskiej landwery) paszport. Sztab mieścił się na Ratuzie, na rynku stały dwa małe kanony, przy nich Prusak na warcie, a przed ratuszem ścisk i natłok ludzi co nie miara, żądających paszportu. Dotarłem nareszcie po kilku godzinach i ja na ratusz. Oficer pruski jakiś pyta się mnie skąd jestem, kiedy do Skoczowa przyszedłem i po co, i wydawa mi ten paszport — bilecik jakiś. Wracam do domu przez „kępę” około kaplicy: tam szańca usypana we formie podkowy, w niej kanon pruski obrócony na miasto i Prusak na warcie, ale nikt się mnie o paszport nie spytał.

Ledwieśmy z pruskiej inwazji ochłonęli i pokryte „skarby” wydobyli, a tu znów alarm, że Koszut wysłał emisariuszów i szpiegów do krajów przyległych Węgrom, aby je popchnąć do rebelii i wyszpigować. Była w tym roku 1866 we Węgrzech rewolucja, bo Madziarzy chcieli mieć własny samorząd, być swoim własnym państwem, a nie prowincją austriacką; podnieśli więc przeciwko cesarzowi rokosz, a rewolucją tą kierował niejaki Koszut, który tak dalece postąpił, że własne pieniądze bił, tak zwane „Koszutówki” — i nie wiem jakiego waloru, bom ich nie widział.



Otóż, aby tych Koszutowych szpiegów i rebelantów wyłapać albo tylko choć wypłoszyć, starostwo w Bielsku nakażało wachy. W registraturze gminnej znajduje się jeszcze protokół posiedzenia wydziału gminnego, na którym wójt Cywka z wydziałem gminnym rozdzielają wieś na trzy dyskrykty strażnicze, mianując do każdego dyskryktu po jednym komisarzu strażniczym i gospodarzy jak i komorników, którzy każdemu z tych komisarzy podlegać i na wache iść albo posyłać mieli. Kto nie mógł ze swego domostwa tam iść albo posłać syna lub parobka na wache, ten musiał sobie napytać chłopą, zapłacić mu a posłać go na wache. Taki był ścisły rozkaz.

Dyskrykty były: 1) właściwa wieś tj. gorski i dolski folwark wraz z przybocznymi domostwami, 2) Dębina, 3) Zalesie i Podlesie. Wacha odbywała się tylko w nocy a trwała kilkanaście dni. Brałem i ja w tej wasze udział, będąc dopiero w 14 roku życia i to z przyczyny, że trudno było kogo napytać i aby nie musieć płacić, a potem sromotnie mnie do tego nęciła ciekawość, żądza awantur i budzące się u mnie poczucie gardy i obywatela.

Więc my strażacy z górnego końca zbierali się zwykle wieczór o zmierzchu na górskim folwarku i wyruszyli tłumnie po 5—8 osób i nie przypominam sobie, czyśmy kiedy przeszli w jakim innym kierunku, jak tylko „grobkową

miedzą” ku Leżajcu i na powrót, a potem pokładaliśmy się pod orstwem grochu, które Rużyczka miał na Oczkowem postawione, a łupiąc groch i gryząc, bajaliśmy i gwarzyli aż do świtu. Jako było w innych tutejszych dyskryktach strażackich, nie pytałem się nigdy, z pewnością jednak nie lepiej.

III.

Koni za czasów pańszczyzny było u nas więcej. Miewali siedlacy po 4—5 a nawet 6 koni, bo im było trzeba i trzy razy na tydzień czterokonny zaprzęgiem obrabiać pańszczyznę. Gdy jeszcze nie było kolei żelaznych przed r. 1840, to było trzeba na forszpony dla przesiedlającego się wojska konie posyłać, dalekie furmanki odbywać, a także własne grunta trzeba było obrobić. Chałupnicy również trzymali konie. Natomiast krów miał siedlak najwięcej dwie lub trzy.

Furmanki wspomniane przewoziły rozmaite towary, a przede wszystkim sól. Jeżdżono końmi do Wieliczki, Krakowa, Lwowa, Budapesztu, Wiednia i Ołomuńca, przewożąc towary z miejsca na miejsce, gdzie były obstalowane. Były to karawany po kilkadziesiąt wozów naraz. Jak pacholek a nawet i gazda wyjechał na furmankę, to był tam 3—4 miesiące i dłużej, aż się albo z pełnym miechem pieniędzy zarobku wrócił, albo też zmarnował — pozbył konie, wóz i towary, i więcej go nie było.

Nie wiem o ile tutejsi simoradscy siedlacy furmanili — nie słyszałem o tym nic przedniejszego. Musieli jednak coś furmanić — bo opowiadają — tutejszy karczmarz Jan Kukucz, pojechawszy do Wieliczki na sól, otrzymał od kupca Żyda przez pomyłkę zamiast soli pełną beczkę pieniędzy srebrnych i złotych. W innych podobnych beczkach była sól naładowana. Wprawdzie na kilka tygodni, jak zauważono szkodę jeździli wieliccy Żydki po okolicznych furmanach za tymi pieniędzmi, ale „złotej” beczki nie znaleźli. Kukucz potem córką swym wychodzącym za mąż, na wiertliki odmierzył pieniądze na posag.

Starzy furmani zrobili uprzęż na konie. Od skrajnego ucha na gurtach, koło boku, wisiało na rzemieniach kilkanaście połyskujących mosiężnych gaźewek jak tarcze księżyc. Od chomąta powiewał kawałek borsukowej skóry ze sierścią, obszyty czerwonym suknem, aby kto koni nie urzekł.

Ze zbudowaniem kolei żelaznych i ze zniesieniem pańszczyzny od r. 1850 ustały furmanki i przerzedziły się konie. Poznikały też ozdoby, gaźewki, jako zbytek, którego nie ma za co sprawować. Przerzedziła się i czeladź, pacholcy, pośrednicy, pogonice poznikali. Siedlacy trzymali tylko teraz po dwa konie, aby swój grunt obrobić, niekiedy też do sąsiada chałupnika do orki wyjechać, przy czym — według zdania niektórych gazdów — konie powinny sobie z domowej roboty wypocząć.

Trzymając dużo koni, a mimo tego jednak dużo roli nieobsianej przyłogiem leżącej mając, starzy siedlacy od wiosny aż do późniejszej jesieni pasali na tych przygonach konie. Pasali je po wyprzagnięciu wieczór przez całą noc aż do świtu pacholcy i pogonice na przemian, a gdy się ich lub innych parobków ze wsi naschodziło, położywszy się na ziemi brzuchami, gwarzyli, bajali albo śpiewali różne piosenki. Oto jedna z nich:

„Ej, kiedym ja konie pasał
Przyszła na mnie drzymota,
Ej, drzymo, drzymo drzymota,
Wlazły konie do żyta.

Przyszł ku mnie chłop w kożuchu,
Tego żyta gospodarz.
Ej, szelmo, szelmo, co działasz,
Że koniczki w życie masz!

Nie jestem ja żaden szelma,
Ani żadnej myrchy syn,
Bo moja matka dobra była,
A ja też jest jej syn!”

Czasami jednak wbrew twierdzeniu tej piosenki pacholcy byli skończonymi hultajami. Albo sobie poszli do karczmy, albo ku dziewkom na zolyty, albo w jesieni do zagród na owoce, a konie opuszczone... wlazły do żyta, albo gdzie im

się trafiło. Nie słyszałem jednak, aby między sąsiadami z takiej szkody powstały swary albo procesy. Pacholek o świecie konie z paszy przygnał i nikomu nie o swoich nocnych awanturach nie mówił.

Paszenie koni powodowane było brakiem siana. Dawny siedlak jedną furą siana łącznego, tuszył sobie parę koni przezimować. Na lato zaś nie troszczono się o strawę. Paszenie zaczynało się różnie u różnych. Jedni wygnali konie na paszę już na św. Jerzego (24 kwietnia), aby konie nie złożowały. Stary Cywka wyganiał rokrocznie na 1-go maja, choć potem znów jeszcze jakiś czas nie pasał. Ogólnie wypędzano konie na przyłóg po południu w poniedziałek świąteczny. Na ten czas stroili się wszyscy i wszędzie. Pacholcy już kilka dni przedtem skradali gaździnę jaja, albo też w ten dzień uprosili jaj i szperki, gazda zaś podał coś grosza na wódkę. Wygnawszy i spętawszy konie, pozakładali ognie i smażyli jajecznicę, zając jadąc chlebem i popijając. W uczcie tej niemal wszędzie gazdowie i domownicy a nawet obcy z innych chałup udział brali.

Ze zmniejszeniem się liczby koni, a tym samym czeladzi, a co gorsza, z raptownym zmienianiem się gospodarzy na gruntach i powolnym znikaniem przygonów, zaczęło i paszenie koni zanikać, i choć się przewlekało aż po rok 1870, ognie i biesiady już ustawały. Jeszcze raz próbował młody Jerzy Cywka odświeżyć urok końskich uctw świątecznych. W r. 1895 nabrawszy jaj i szperki z pacholkiem wypędził konie w poniedziałek świąteczny na ugór, szczerze posłał na wódkę, choć bezmala tylko sami dwa ucztowali. Spił się przy tym, a walając się po ziemi, zgubił z kieszeni kilka guldenów. Narobił we wsi śmiechu a nikt go w odświeżeniu starego zwyczaju nie poparł. Nikt już odtąd koni nie wypędza, nie mówiąc o uczcie. Było to formalne zamknięcie tego zwyczaju.

Celem podniesienia hodowli koni utrzymuje rząd kosztem ministerstwa rolnictwa już od kilkunastu lat ogiery rasy szlachetnej. W lutym każdego roku rozsyła po dwa lub trzy ogiery pod dozorem kaprała i dwóch Beschälérów

(wojaków) do stajni w Drogomyślu, Rudzicy, Hażlachu i Hermanicach i w innych miejscach ustanowionych. Do tych prowadzą gospodarze swoje gónne klacze, gdzie który chce. Kaprał prowadzi całą metrykę konną. Zapisuje nazwisko i gminę gospodarza, miano i farbę klaczy, która i przez którego ogiera i kiedy zapłodniona została.

W jesieni wracają Beschälerzy z ogierami do swych zimowych kwater a w następnej wiosnie otrzymuje wójt wykaz krytych klaczy i musi do starostwa podać, czy te klacze ożrebiły się lub spomiatały i jaki jest przychówek, czy zrebije czy klaczka. Przedtem bądź kto trzymał sobie ogiera i puszczał go na swoje i obce klacze, co teraz jest pod karą zakazane i przynajmniej rządowym tylko dispensem pozwolone.

Może od r. 1872 wskutek ustawy państwowej klasyfikuje się dorosłe konie dla potrzeby wojskowej. Rzecz dzieje się tak: wójt spisze wszystkie konie w swej gminie i wezwie gazdów z tymi koniami na oznaczony dzień na plac klasyfikacji. Tam komisja złożona z porucznika od konnicy, urzędnika ze starostwa, weterynarza, wójta i dwóch gazdów mających konie, uznają tego lub owego konia za zdatnego do wojska. Z całej tej bandy alias komisji jednak mało kto tam przemawia, tylko porucznik. Ten jednak zobaczywszy chłopskie konie, tylko machnie ręką i krzyknie: Marsz! Pakuj! i więcej ich nie ogląda, choć niektórzy nie mają wcale lichych koni. Lecz i z folwarków wszystkie konie nie bywają klasyfikowane. Dopiero w razie wojny będą z klasyfikowanych zdadne do wojska wzięte i właściciel dostanie za konia zapłacone coś około 300 złr.

Czy to pierwotnie Niemcy konie stworzyli, czy z jakiejś innej przyczyny nie wiem, rumaki nasze mają niemieckie miana: Braun, Fuchs, Fuchsa, Schimel, Szymle. — Inaczej z krowami, którym nadawanie imion jest zgola wyłącznym przywilejem pasterzy i dziewczki, co najwięcej z bydlęm się obchodzą, miana te najpowszechniejsze stosowane są do ma-

ści: Różana, Bystrocha, Gwiazdula, Brzezula, Łysina, Sarna, Łaska, Chowana itp.

IV.

**W kieszeniach pusto, w mózgownicach ciemno,
Chęci bezwładne, bo tam w sercach zimno!**

**To są te zyski, cośmy uzbierali,
Żeśmy tak Boga, jak naród zdrażali.
Nęciła żądza nabyć wiedzy wiele,
Więc porzuciwszy stare grzane pieczki
Porwaliśmy się jakby do ucieczki;
Drogą postępu — kultury — oświaty,
By zdobyć sobie jakieś „nowe światy”,
Odzież fajniejszą, dochodów obficie,
Wykwintną strawę, no! wygodne życie.
Jednak zdobywszy cele upragnione,
Widzimy nasze zabiegi zwiedzione.
Język „barani” choć już światem władą,
Jeszcze drapieżny, cnoty z serc wykrada,
Nie spostrzegamy, że ogołoceni
Stoimy prawie jak szkielet pustyni.
Za cnót utratę w zamian dumy brzemię;
Kładzie na barki, co nas ciśnie w ziemię.
I choć możemy spisać się w niemczyż-**

**nie,
Przewyższać swoich, przejść się po ob-**

**czyźnie:
Znikły uludy, kłopotów bez granic,
Praca stracona, gdyż „kultura” na nic;
Nie zagrzewa ciała, zadowalnia ducha,
Ni pokrzepia zmysłów, ani karmi brzu-**

**cha;
A co wczoraj prawdą, dziś stąd każdy**

**szczydzi,
Wczora mądre, piękne, dziś wszech nu-**

**dzi, brzydzi;
Tak już otrętno, jak w więzieniu —**

**chłodno,
Znikły zabawy, zgola wyżyć trudno,
Zgaśł więc i dowiej jak węgiel w popiele.
O Boże, szczerze wyznajemy winę
Rozgrzej przeziębłe serca bodaj słowem,
Daruj głupim karę, rzuć ją na przyczynę
Niech zatętnimy odtąd życiem nowym.**

19 III 1899

JERZY RASZKA

Podał do druku
JAN KURZELOWSKI

Urzekająca legenda

Urzekła mnie legenda o śląskim zbójniku Ondraszku.

Legenda była żywa i ogromnie barwna, zwłaszcza w czas jesiennych, rozdeszczonych wieczorów. Wtedy zazwyczaj pojawiała się także nieszczęsna Meluzyna, szukająca próżno swych pogubionych dzieci. Wiatr zawodził w kominie, starzyk przerwał opowiadanie o zbójniku Ondraszku i mawiał:

— Słyszycie? Meluzyna płacze?

— A dlaczego płacze, starzyku?

— Bo swych dzieci szuka...

Meluzyna przybłąkała się na Śląsk dziwnymi drogami z jakiejś minnesengerowskiej ballady rycerskiej znad Renu i opłakując swe dzieci, opłakiwała również zgon Ondraszka.

Czasem pojawiał się z wichrem tabun rozhukanych diabłów. Diabły spadały na kalenicę i waliły w nią kopytami, wydziwiała okrutnie lub zgoła trykały łbami w wątle przyciesi chałupy i usiłowały ją przewrócić. Diabły radowały się z dokonanej zdrady na Ondraszku, która obuszkciem rozłupała mu głowę w śniadowie na Morawach w roku 1715.

Starzyk kończył na owej zdradzie i zaczął śpiewać trzęsącym głosem:

„Gdzieś Ondraszku miły?

Pany cię zabiły!

Zabiły cię zradki,

płaczą dzieci matki,

Zarmuceni chłopci!...”

Wtedy dziewczyny zaczynały chlipać z wielkiego wzruszenia, a kto zajadlejczy zgrzytał zębami i obiecywał doczekać się rebelii.

Czasem babka podjęła zardzewiałym dyszkantem:

„O płaczcie góry, płaczcie doliny,

Płaczcie, rzeki i lasy!

Już nas opuścił hetman jedziny,

Odszedł po wszystkie czasy...”

Tyle pamiętam z chłopięcych wspomnień. Legenda o Ondraszku jakby rostała wraz ze mną, mężniała, stawała się bujna, zawadiacka i zwycięska. Zaczarowany obuszek stawa się rzeczywistością,

zapisana dusza diabłu — niezwykłym zdarzeniem, łapanie kul wystrzelonych w Ondraszka czymś więcej, aniżeli zonglerskim wyczynem, a gdy nasz ulubiony mówca i trybun o rudej, rozwichrzonej czuprynie ciskał pioruny „na panów”, a ogromne tłumy górników na pierwszomajowym wiecu w Orłowej krzyczały porwane jego płomienistymi słowy, widziałem w nim mojego Ondraszka!... Z tą różnicą, że Ondraszek był piękny, młody, z czarnymi kędziorami, a mówca z trybun był brzydki i rudy. Jedynie słowa jego były podobne do ciskanych żagwi w ciemną noc, podobnie jak to czynił Ondraszek, gdy przemawiał do śląskich chłopów, by „ruszyli na panów”.

Urzekła mnie więc legenda o śląskim heroju Ondraszku, swobodnym hajtmannie zbójnickim i nie opuszczała mnie już nigdy. Gdy czytałem tetmajerowskiego Janosika, lub gdy patrzyłem na drzeworyt Skoczylasa, przedstawiającego Ja-



nosika, było we mnie coś więcej, aniżeli zadróść.

„Gdybym był Tetmajerem lub Skoczylasem, pokazałbym wam, kim był Ondraszek! Przecież Janosikowi ani się umyć do mojego Ondraszka” — myślałem z goryczą. Z goryczą zaś dlatego, gdyż nie mogłem się mierzyć ze Skoczylasem, aczkolwiek pewnego razu udało mi się odrysować dzbanek z modelu ku zadowoleniu nauczyciela rysunków i że w owym czasie udało mi się tylko raz napisać „polskie zadanie” na celująco. Był to „List do matki”. W pierwszej chwili profesor-polonista uważał go za plagiat.

— Oderznąłeś go z „Listów do matki” Słowackiego! — grzmiał nade mną zgorzszony.

— Na mu duszu, panie profesorze, zaklinam się ze słowacka — że nie oderznąłem!

Polonista oświadczył po dwóch tygodniach, że porównał mój „List do matki” z „Listami do matki” Słowackiego, i że ku swemu zdumieniu i niedowierzaniu musi go uznać za oryginalny.

— Masz „celująco”, ale z pytańnikiem! — dodał i popatrzył na mnie z wyrzutem, jak z wyrzutem patrzy się na niepodarzonego syna porządnych rodziców.

Nie poraził mnie jego wzrok pełen wyrzutu, lecz przeciwnie. W tej bowiem osobliwej chwili postanowiłem mimo wszystko napisać powieść o Odraszku. Żyłem wtedy jeszcze poniekąd w niezgodzie z gramatyką i pisownią języka polskiego, lecz uważałem to za drobiazg. Gramatyki można się zawsze nauczyć, zasad pisowni polskiej można także się nauczyć, lecz Ondraszka nie trzeba się uczyć. Ondraszek bowiem istniał już w moich chłopięcych marzeniach, buntował mnie w pacholących postanowieniach i teraz sposobił się by „hyrnie i szumnie” wejść w moją młodzieniaszkową drogę. Był to okres durzenia się we wszystkich napotkanych dziewczynach. Ondraszek fascynował mnie swymi zuchwałymi przygodami miłosnymi, wielkimi namiętnościami, rycerskością swej „frajerki” Barbary, młodziutkiej żony starego „rehtora” frydeckiego, płomienistą miłością żywioną do urodziwej

grefiny Lizety i sceną zaczerpniętą jakby z Biblii, gdzie mowa o rozwiązłej żonie Putyfara i cnotliwym Józefie, a poparta kolorową reprodukcją obrazu bodaj czy nie Rubensa o tej samej treści. Mało! Ondraszek stał mi się z czasem śląskim Tristanem, a jego Barbara, Izolda, ich miłość zaś błękitnym uniesieniem, wyśpiewanym przez Słowackiego w poemacie „W Szwajcarii”.

Te marzenia były niesłychanie piękne i śmieszne. Ondraszek urastał w nich na romantycznego kochanka, bodaj czy nie szekspirowskiego Romea, który całuje kraj sukienki swej Julii. Słowacki mocno mnie wtedy wspierał w tych słodkich ułudach i kazał mi wierzyć, że to wszystko rzetelna prawda. Tak długo, aż pewnego razu na obnażonym ramieniu dziewczyny, której chciałem całować „kraj sukni”, dostrzegłem grubą, spaśną pchłę... Pchła skoczyła z jej „alabastrowego” ramienia na moją marynarkę i straciła mnie z błękitów na ziemię.

Potem jeszcze była pierwsza wojna światowa, która do reszty wytepiła wszelkie romantyczne mrzonki. Wojowałem wtedy w towarzystwie kolegi, który był prototypem Haszkowego „Szwejka” i to wiele znaczyło. Ondraszek zaś z sentymentalnego kochanka przedzierzgnął się w srogięgo zawałodrogę i w całkiem porządnego zbójnika, który umiał się dzielnie awanturować w karczmach, rozbijać ibly, uwodzić dziewczyny i mieszczyki, napadać na dwory i brać pogłowne od kupców jadących ze Słowaczyny na Śląsk przez jabłonkowską przełęcz. Olśniewała mnie jego fantazja, gdy po zdobyciu zamku lanckorońskiego wracał do siebie i po drodze rozdawał biedocie chłopskiej zdobyczne talary. Może dlatego, że i mój pradziadek coś z tych talarów szczerze uszczągnął, a umierając, w testamentie zostawił mojemu dziadkowi jedną chudą krowę i obowiązek błogosławienia Ondraszkowi. Mój dziadek byłby błogosławił bez tego testamentowego przymusu, gdyż wszyscy chłopcy śląscy jemu błogosławili, narzekając w gromadzie, że nie ma już Ondraszka, który by ich wybawił z pańszczyźnianej „ciężoby”.

W tumultie pierwszej wojny światowej zapomniałem trochę o Ondraszku.

Zawieruszył mi się gdzieś po drodze, gdy uciekałem spod Kraśnika jednym tchem aż pod Kraków. A ze mną rozbite treny, zdezelowane armaty, wrzeszczący pułkownik z pijackim nosem i ogromna gromada kalwaryjskich dziadów, którzy do niedawna byli jeszcze cesarskimi żołnierzami z przeróżnych pułków austriackich.

Potem skończyła się wojna, powstała Polska i ja zacząłem się parać nauczycielstwem. Ondraszek wrócił, zasiadł obok mnie za katedrą i plótł zasłuchanym dzieciom w klasie nieprawdopodobne historie o swym bogatym życiu zbójnickim. Przyszedł inspektor szkolny i zdumiał się niepomierne, że zamiast uczyć o zaimkach i ich odmianie, opowiadał o Ondraszku.

—Niech kolega skończy z tymi bzdurami! — ofuknął mnie wtedy i coś zanotował w notesie. — Proszę przeprowadzić lekcję o odmianie zaimków wskazujących!...

Chłopcy nie umieli niczego o zaimkach, lecz za to umieli bawić się w „Ondraszka i zbójników”. Tak długo, aż inspektor przeniósł mnie do innej szkoły, oddając mnie pod surową opiekę surowego kierownika szkoły. Kierownik przyjął mnie w kancelarii, w której smęcił się wypchany młody krokodyl o jednym szklanym oku, bo drugie chłopcy mu wylupili i tak mi powiedział:

— Panie kolego! Tylko bez tego Ondraszka!... Pan wie, o co chodzi...

Wiedziałem, że z powodu mojego Ondraszka mogę stracić posadę nauczyciela w szkole powszechnej. A to równało się bezrobociu. Pozbawiłem przeto swoich chłopców radości słuchania ondraszkowej legendy.

Jakoś tak się zdarzyło, że już wtedy zacząłem pisać, że powoli stawałem się literatem ku zdumieniu kolegów i ku oburzeniu kierownika szkoły, który oświadczył, że przynoszę wstyd zawodowi nauczycielskiemu. Radził mi się ożenić z grubą Trudą, córką miejscowego powroźnika. Nie uczyniłem tego, lecz prawie ukradkiem, by kierownik szkoły i koledzy niczego nie zauważyli, zacząłem sposobie się do pracy nad Ondraszką.

Działo się to przed dwudziestu laty.



Po świetle błakały się już niektóre moje książki, mój „Wyrąbany chodnik”, zaś jał mi już powoli wyrąbywać chodnik do literatury, koledzy przedstawiali się dziwić, i na mój widok już nie stukali palcem w czoło, a kierownik szkoły przestał mnie swatać z powroźnikową Trudą. Zaczął mnie wtedy namawiać, aby za sporą nagrodę literacką, jaką zdobyłem swoim „Wyrąbanym chodnikiem”, przystąpić do spółki zamierzającej założyć w Cieszyńie fabrykę zegarów ściennych. Fabryka zegarów pod piękną nazwą „Świt” powstała bez mego współudziału, potem zbankrutowała, a ja zacząłem pisać swojego „Ondraszka”.

Nie bardzo jeszcze biegły w rzemiośle pisarskim nie umiałem sobie poradzić ze zbyt obfitym materiałem, tym bardziej, że ów materiał tkwił w starych szpargach archiwalnych, strzeżonych zazdrośnie przez niemieckich lub czeskich woźnych. Dotarłem przeto samopas do rozdziału, w którym Ondraszek po wielu perypetiach dostaje się na zamek hrabiego Prażmy. Na zamku stał się hajdukiem grefiny Lizety. I na tym skończyłem.

Śniła mi się owa wspañiała scena biblijna, jaka rozegrała się po raz wtóry, teraz już na zamku frydeckim, gdy żona

Putyfara, czyli Lizeta, dybie na cnotę Józefa, czyli mojego Ondraszka. Nie wiedziałem tylko jednego: jak ubrać grefinę Lizetę. Wprawdzie kierowniczka teatralnej szwalni w Bielsku chciała mi pomóc i pożyczyła mi nawet jakąś francuską książkę, w której były przedstawione damskie stroje z czasów Ludwika XVI. Były więc w niej krynoliny, koafiury, muszki, dezabilki i inne dziwne rzeczy, lecz przekonałem się, że mimo tej pomocy nie przebrnę przez zamek grefiny Lizy. Tu nie chodziło tylko o stroje. Chciałem wiedzieć, jak żyła ówczesna arystokracja, jak daleko sięgał wpływ nowinek francuskich, przeszczerpionych w Wersalu na cesarski Burg we Wiedniu, a z Burgu na frydecki zamek Prażmy. Bezradny złożyłem maszynopis do biurka i postanowiłem czekać.

Czekałem osiemnaście lat, zanim maszynopis, przechowywany podczas okupacji w kominie, dotarł znowu do moich rąk: Przeczytałem go i postanowiłem pisać „Ondraszka” od początku. To bowiem, co napisałem przed laty było ogromnie śmieszne i naiwne, zakrawające na ponure romansidło, coś w rodzaju „Tajemnica żebraka, czyli miłość zwycięża”.

Genezy tej zmiany trzeba byłoby szukać w Paryżu na Champs Elysées. Działo się to już po wyjściu z niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau, skąd po sześciu niespełna latach nareszcie wyrwałem się na wolność. Francuscy przyjaciele dowieźli mnie do Paryża i rozjechali się do swych domów rozrzuconych po całej Francji.

— Dasz sobie radę w Paryżu? — dopytywali się troskliwie.

— Dam! — uspokoiłem ich i zacząłem sobie dawać radę w tamtym babilońskim mieście. Najchętniej wałęsałem się po Champs Elysées, gdzie, wytrzeszczając oczy na przedziwny świat zbytku, komfortu, elegancji, orchideowej urody dziewczyn, egzotyki, parweniuszostwa, „nouveau pauvre” obok jakiegoś nadętego „nouveau riche”, toczących się dolarów i szeleszczących, tęczowych banknotów, łatwej i drogiej miłości, zbiegowiska „high-life” i niebieskich ptaków z całego Zachodu i oszałamiającego

rytmu metropolii świata. W swych esmańskich buciorach podkutych i w ubraniu po jakimś Żydzie spalonym w oświęcimskim krematorium robiłem chyba wrażenie straszdyła, które pląta się niemrawnie i mąci tamtych radość życia. Kelner patrzył na mnie spoza ramienia, śliczne dziewczyny chichotały, jakieś panie przykładały „lorgon” do oczu i patrzyły na mnie jak na cudaka, a Francuzi udawali, że mnie nie widzą, że jestem przeźroczysty. Jedyne jakiś Murzyn w amerykańskim mundurze z naszywkami poklepał mnie po ramieniu i coś zabelkotał życzliwie. Przepiłem potem z nim pobratymstwo w taki sposób, jak to czynią Niemowy.

Podczas takiej włóczęgi poniosło mnie do jakiegoś pałacyku, który okazał się krytym basenem pływackim. Marmury, chromowany nikiel, brąz, kryształ, grube, puszyste dywany, białe i niebieskie kafelki, wytworna cisza pachnąca, nasycona perfumami, przerywana szumem wody, dziewczyny w trykotach, chłopcy, rzeźby, szczebiot francuskiego języka, śmiech podobny do pereł spadających „staccato” na srebrny talerz, finetna jakiegoś wysublimowanego „sex appeal”, przepych i sybarytyzm wszystko to zważyło się na mnie i upiło, jak wystale wino głodnego. I w tej osobliwej chwili zjawił się obok mnie inny Ondraszek.

Dzięki osobliwemu skojarzeniu przeżyć ujrzałem się w tamtym przepychu małym, kudłatym chłopaczkiem, dla którego największą rozkoszą było kąpanie się w gliniankach, w których gniła nie żółta, lecz prawie zielona woda, w której pływały stada gęsi i kaczek, do której ludzie wrzucali martwe koty i psy, i na której brzegu leżała zdechła świnia, do połowy zanurzona w wodzie. Pamiętam, taplałem się wraz z innymi chłopcami w tamtej gnojówce, dziewczyny, ubrane w koszule i kąpiące się wraz z nami, szczypałem pod wodą w pośladki, i wraz z kolegami ciskałem z wody kamieniami w odęty, siny brzuch świni. Brzuch pękł i wtedy wywalili się szare trzewia cuchnące jak wszyscy diabli. Myśmy zaś cieszyli się i jeszcze bardziej barszkwowali w zielonkawej, gęstej wodzie.

Tamten obraz pojawił się znenacka przede mną w obliczu owego wyszukanego komfortu, przepychu i zapachu perfum i po raz pierwszy w życiu pokazał mi krzywdę mojego dzieciństwa. Przejrzałem, jak biblijny Szawel tknięty ślepotą, by stać się Pawłem. Wraz ze mną przejrzał tknięty ślepotą Ondraszek. I już miałem jego pełny obraz. Ondraszek z sentymentalnego kochanka, a potem z zawadiackiego awanturnika przemienił się nieoczekiwanie w ludowego herosa i mściciela krzywdy chłopskiej. Zawarłem z nim pakt dozgonnej przyjaźni i powędrowałem z nim, jak z przyjacielem, do dalekiej Polski. Na swój Śląsk.

Zanim jednak przystąpiłem do nowego Ondraszka, do tego Ondraszka, który mi się objawił na Champs Elysées w Paryżu, musiałem się wyrzucić zuzina przeróżnych kompleksów czy urazów psychicznych wyniesionych z Dachau. W przeciwnym razie wciąż by mnie prześladowały krwawe i ponure majaki hitlerowskiej zbrodni, nie konanie, lecz zdychanie mych kolegów, cuchnący dym krematoryjny, komora gazowa ze zoranymi ścianami pazurami...

Gdy w końcu dobrotliwy czas wszystko zatarł a ja zdołałem już z siebie wyrzucić to, co było przekleństwem, przystąpiłem do pisania swego nowego Ondraszka.

Najtrudniej było mi przenieść się w świat XVII i w początek XVIII wieku na Śląsku. Chodziło mi o świat śląskiego chłopca. Świętochowski nie dał mi wiele, prawie nic. Wszyscy pisarze Odrodzenia polskiego, wspominający o polskim chłopie, także nie dali mi wiele. Bystron już trochę więcej. Może dlatego, że sam pochodził ze śląskiej rodziny chłopskiej. Najwięcej dał mi stary bibliofil chłopski, Jan Wantuła z Ustroń, dyrektor Franciszek Popiołek, grzebiący od lat benedyktyńskim sposobem w aktach arcyksiężęcej Komory w Cieszynie oraz czescy i niemieccy historycy, nie mówiąc już o gorliwym dyrektorem muzeum cieszyńskiego, Ludwiku Brożku.

Chodziło mi o odtworzenie życia śląskiego chłopca z tamtego okresu, z całą jego hierarchią chłopską, poczynając od

najemnego „pańszczorza” poprzez zagrodników, chałupników, siedlaków a skończywszy na odrębnej hierarchii wolnych chłopów, na ich „Woleństwach” i „Ligotach”. Chodziło mi o odczytanie tych wszystkich oszukańczych urbarzy, normujących pańszczyznę i świadczenia na rzecz pana, o zliczenie tych wszystkich „rebelij chłopskich” na Śląsku, karnych ekspedycji wojskowych, o zbadanie spraw szalaśców beskidzkich, okraszów „paszunków”, wyrębów lasów, wyludzanie dokumentów piastowskich z chłopskich „trówel”, ucieczki w zboże, o walki religijne między chłopskimi protestantami i katolikami, o ich lekturę dewocyjną i świecką, o codzienne życie, zwyczaje, wierzenia i diabły, jaroszki, utopce, Meluzyny, czarownice, cuda, słowem chodziło mi o beskidzki Olimp i jego rolę w życiu śląskiego chłopca, a w końcu starałem się pokusić o odtworzenie tęsknot śląskiego chłopca, których zrealizowanie widział jedynie w zbójnictwie.

O, hej! Swoboda, swobodniczka...

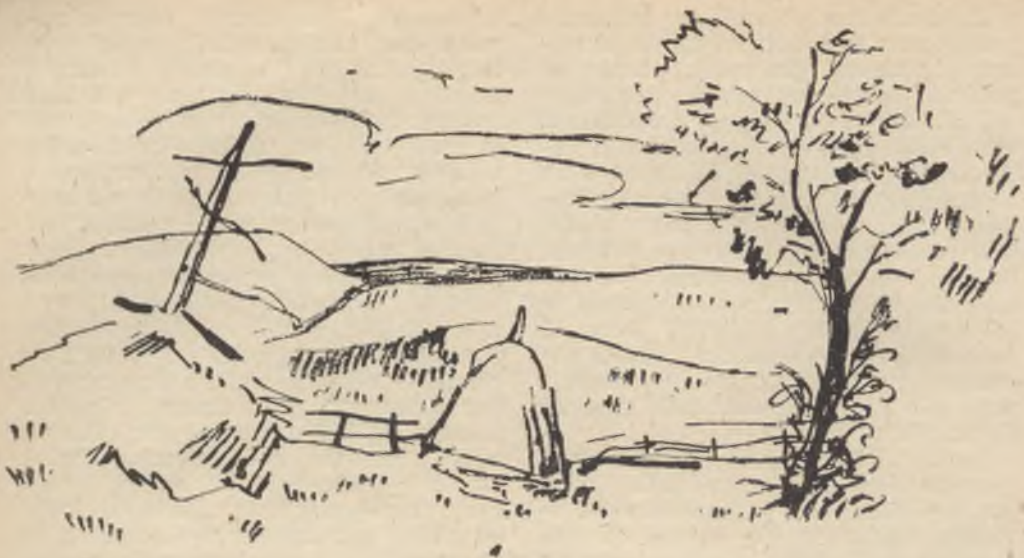
Mówiła mi o niej mamuliczka!

Dzisiaj nie ma już swobody,

Chłopi mają czorne gody!... —

zaliła się śląska piosenka chłopska, pamiętająca jeszcze Ondraszka.

Miłosne przygody Ondraszka musiałem odsunąć na dalszy plan, aczkolwiek wiem, że w pewnym okresie zajmowały poczesne miejsce w jego życiu. Nie dziwię się temu wcale, boć to był przecież urodziwy „chaśnik”, już za życia zdobiony legendą jak święty aureolą. Musiałem na dalszy plan odsunąć jego krewkość i pochopność do karczemnych awantur, aczkolwiek odgrywały w jego życiu poważną rolę. Chodziło mi zaś przede wszystkim o pokazanie tego procesu, jakiemu musiał ulec Ondraszek, przemieniając się ze zwykłego mściciela własnej krzywdy w mściciela krzywdy społecznej. Ponieważ skazany na własne siły nie dałby sobie rady, przydzieliłem mu do pomocy patrona Foldyna, człowieka światłego, podobnego trochę do miniaturowego Staszica lub Kołłątaja. Dla zachowania równowagi stworzyłem typowego patrona Santariusza. A przede wszystkim przydzieliłem Ondraszkowi wypędka klasztornego, braciszka w po-



dartym habicie, przeherę i spryciarza, przezwanego Braciszkiem.

Osobliwa historia była z owym Braciszkiem.

Nie było go wcale w planie i z góry martwiłem się beznadziejnie, jak pogodzić legendę o Ondraszku z rzeczywistością. Gdybym ową legendę podawał „od autora”, gdybym kazał czytelnikowi wierzyć, że Ondraszek był istotnie charakternikiem, że łapał kule godzące w jego serce, że posiadał zaczarowany obuszek, że widział diabłów harujących w izbie i osmalających sobie ogony w ucieczce przez komin — nikt by mi nie uwierzył i łąco pomówiono by mnie o nieudolnego bazarza. A tymczasem chodziło mi o napisanie powieści historycznej, z umiarkowanym zastosowaniem przywileju pisarskiego „licentia poetica”.

Braciszek spadł mi z nieba.

Niebo to było wprawdzie wielce sowizdrzalskie, lecz wybawiło z kłopotu i mnie i Ondraszka. Oto Ondraszek wraca od Janosika, zły na niego jak wszyscy diabli, poklinający raz po raz na jego zadufalość i hyr, i nic się nie dzieje. Droga daleka ze Słowaczyny przez Żywieckie i Cieszyńskie na Łysą Górę na pograniczu Moraw. Zbójnicy się budzą, Ondraszek się nudzi, czytelnicy przewracają nie przeczytane strony książki,

bo nic się nie dzieje. Żeby przynajmniej jaki bogaty kupiec znalazł się na drodze. Lecz i kupca nie było. I wtedy nieoczekiwanie wyskoczył mi na drogę pisarską a zarazem zbójnicką goniony przez baby braciszek zakonny. Świetnie!... Kazałem mu się wprosić do rodziny zbójnickiej w sposób wielce osobliwy, polecając mu wygłosić kazanie, którego pariodę opowiadali mi górnicy, gdy jeszcze byłem chłopcem i pracowałem na szybie „Głębokim”. Sparafrazowali wtedy kazanie pastora w Orłowej. Przypomniało mi się i kazałem je powtórzyć Braciszкови. Braciszek uczynił to z jakim takim kaznodziejskim kunsztem i wprosił się w ten sposób do Ondraszkowej rodziny. A gdy już wszedł do niej, nie pozwoliłem mu jeść za darmo zbójnickiego chleba. Przede wszystkim powierzyłem mu zadanie wyręczenia mnie w tworzeniu legendy o Ondraszku. Braciszek uczynił to chyba na „celująco”, podobnie jak ja kiedyś napisałem zadanie polskie przypadkowo na „celująco”; stał się sekretarzem Ondraszka, opiekunem, dyplomata, frantem kutym na cztery nogi, pociotkiem Zagłoby czy Falstafa, doradcą w ważnych chwilach, duszpasterzem Boże się pożał, sowizdrzałem, chytrym lisem, ministrem Ondraszkowym spraw zagranicznych i uczciwym gadułą.

Mam wrażenie, że Braciszek mi się udał i że dojrzewający moralnie Ondraszek, rozmówiana w nim Barbara i przeacny, trochę katonowski pater Foldyn nie udali mi się tak szczęśliwie, jak Braciszek. Braciszowski poleciłem spisywać się dzielnie, aż do ostatniej chwili. Gdy zaś nadeszła tamta ostatnia chwila, zawahałem się i zastanowiłem. Nie wiedziałem, co uczynić z takim zacnym człowiekiem. Ondraszek musiał zginąć, bo taki los był mu pisany w starych szpargałach sądowych i w legendzie. Lecz Braciszek? ... Długo biłem się z myślami, aż w końcu zdecydowałem, że Braciszek musi zginąć wraz z Ondraszkim. Gdy to uczyniłem w maszynopisie, uległem wrażeniu, że jestem szewcem, płaczącym pod stodołą, który chciał strzelić do zdrajcy Juraszka, a trafił w pierś Braciszka.

Nie mniej było mi żal Janosika.

Odbrażowiłem go, przyznając ze skruchością, lecz powodowała mną nie zadawniona niechęć do niego za to, że przerosł naszego śląskiego Ondraszka, lecz że to odbrażowanie było mi potrzebne do przekonania Ondraszka, jak niesłusznie postępuje, „miłując tylko swoje pożytki pojedynkowe”. Wyliczyłem wszystkie „zbrodnie” Janosika i kazałem mu zawisnąć na haku, by umarł niesławną śmiercią. Nawet w ostatniej chwili zabrałem mu ów tetmajerowski funt tabaki, którą wykopcił z fajki, wisząc na haku, a uczyniłem z niego człowieka jakby pozbawionego cech junactwa i bohaterstwa. Śmierć Janosika musiała wstrząsnąć Ondraszkim i przekonać go, że niegodnie sobie dotychczas poczynił. Oto ujrzał dwie sprawiedliwości, jedną dla chłopów, drugą dla panów. I teraz dopiero powinien był zrozumieć istotny sens walki z „panami”. Resztę uczynił już pater Foldyn i dopomógł Braciszek.

Ondraszka wysłałem w kuruce na Węgry, by się wyszumieć w podjazdowej walce ze zniechodzonymi Rakuszanami. Powiodła go tam żądza przygód. Trudno mi jednak powiedzieć, czy był istotnie najemnym jurgielnikiem Rakoczego. Istnieją raczej przypuszczenia, że miał tam dotrzeć, szukając guza, podobnie jak to z pewnością uczynił Janosik.

Gorzej przedstawia się rzecz z jego gwarkowym rzemiosłem w Tarnowskich Górach. Poniosła mnie górnicza pasja i kazałem Ondraszkowi kopać rudę, chociaż nie było w tym krzty prawdy. Miłując zawód górnika, jako że sam byłem górnikiem, nie mogłem się oprzeć pokusie, by potrafić w zbójnickiej powieści o kopalnię i gwarków. Pogrzebałem w starych szpargałach, wyszukałem w nich Piotra Piekielnika na Świerklicu, dowiedziałem się o poruszeniu ówczesnych gwarków i o ich wyprawie na świerkliniecki zamek, o ich krwawym buncie, o śmierci Piotra Piekielnika i w tej całej ponurej odysei gwarkowej kazałem przewodniczyć Ondraszkowi.

Czarny mór z roku 1713 na Cieszyńskim wypatrzyłem u Burckhardta i w galerii bodaj czy nie Pitti we Florencji. Działo się to przed wielu laty, gdy prowadzony przez znanego polskiego typografa florenckiego, Samuela Tyszkiewicza, dotarłem do obrazu nieznanego malarza, który w makabryczny sposób przedstawił skutki czarnego moru grasującego w średnich wiekach w Florencji. Boccaccio uciekł wtedy przed nią na podflorencką wieś, by napisać frywolnego „Dekameron”, nieznany malarz pozostał w Florencji, by potomnym pozostawić obraz, przedstawiający tragedię człowieka.

Cieszyński pastor Muthman pozostawił mi książeczkę, napisaną przez siebie w ślicznej staropolszczyźnie w roku 1715, pod tytułem: „Wierność Bogu y cesarzowi”. Czego mi nie powiedział Burckhardt i czego mi nie pokazał bezimienny malarz florencki, dopowiedział mi kaznodziejskim językiem pastor Muthman, piszący szeroko o czarnym morze w Cieszynie. W pewnej mierze posłużył mi cenną radą Goya, oglądany w brukselskiej galerii, podobnie jak Pieter Breughel pokazał mi flamandzkich chłopów, tak bardzo podobnych do mych śląskich pradziadków, a Hieronim Bosch diabłów, z których kilka wybrałem do swego „Ondraszka”.

W czasie pracy przekonałem się, że trudno będzie mi uporać się z owymi diabłami. Tak wiele bowiem znalazłem ich na Śląsku, że w końcu zadowolilem się dwoma flamandzkimi diabłami i kil-

kunastu rodzimego chowu, należącymi do diablej hołoty. Ich arystokrację zaś pozostawiłem nietkniętą, lekko tylko o niej wzmiankując. Być może, że i tak za dużo ich w „Ondraszku”, uczeni demonologowie polscy i zagraniczni przekonali mnie jednak, że wiek XVII i początek XVIII były do tego stopnia zapaskudzone ich ilością i ich niecnymi sprawkami — nad czym szczerze ubolewa ks. Bernard Chmielowski w swych „Nowych Atenach” — że mimo rad mych przyjaciół nie uszczupliłem ich regimentu w powieści. Poza tym było mi żal pozbywać się ich jednym przekreśleniem w maszynopisie, jeżeli tak bardzo namozoliłem się z ich odszukiwaniem w spróchniałych wierzbach, na strychach starych dworów arcyksiążęcych, pod schodami plebanii, pod mostami i na leśnych rozdrożach.

Ponieważ akcja powieści toczy się przed dwustupięćdziesięciu laty, przeto moi bohaterowie musieli rozmawiać ówczesnym językiem polskim. Nie natrafiłem na większe trudności, gdyż gwara śląska obfituje w takie mnóstwo staropolskich zwrotów, że wystarczyło mi sięgając do Krasnowolskiego, Brücknera, Lindego, a przede wszystkim do Karłowicza, by się przekonać, że pater Foldyn, Ondraszek, Barbara czy Braciszek rozmawiają z sobą językiem Reya i Kochanowskiego, od czasu do czasu wtrącając miejscowe gwarowe wyrażenia. Zresztą nawet te gwarowe wyrażenia znalazły prawo obywatelstwa u Orkana, Tetmajera i Kasprowicza. A gdzie nie mogłem wybrnąć z kłopotu, pomógł mi życzliwie prof. Julian Krzyżanowski w Warszawie.

Czytelnicy są zawsze ciekawi, jak powstaje powieść i skąd autor bierze do niej postacie. Postacie w „Ondraszku” są wyimaginowane i prawdziwe, wzięte ze współczesnego życia. Zwłaszcza Barbara jest wiernym, lustrzanym odbiciem dziewczyny, podobnej wprawdzie trochę do zbójniczka, lecz karminującej umiejętnie usta i lakierującej na czerwono paznokcie. Braciszka odkryłem w obozie koncentracyjnym w Dachau. Nazywaliśmy go „Niedźwiadkiem” i chociaż należał do zgromadzenia kamedułów, był

największym gadułą w obozie. Poza tym był najlepszym „organizatorem”, przynoszącym nam kiełbasę, buty esmańskie, chleb i koszule kradzione z obozowego magazynu, był facecjonistą doskonałym, trochę zezowatym sowizdrzałem, amatorem „grubych” kawałów i szcawanym lisem, umiejącym wyprowadzić w pole największego „psa esmańskiego” w obozie. Znalazłem go po kilku latach w Cięcinnie i kazałem mu przystąpić do zbójniczej familii. Uczynił to ochotnie i jak już wspomniałem, spisał się dzielnie w powieści. Ondraszka pożyczyłem sobie z obrazu, znajdującego się w muzeum w Cieszynie, a przedstawiającego śmierć „des berühmten Räuberhauptmanns Ondraschek”. Patra Santariusza znalazłem także w obozie w Dachau. Był to jakiś opat czy inny diabeł o gębie rzeźnika, brutalny, ordynarny, lubiący używać określenia „Polnisches Schwein”. Pochodził z Tyrolu. Był nieślubnym dzieckiem przekupki. Siedział w obozie za to, że podczas kazania nazwał wodza Hitlera impotentem. A resztę, postaci pozbierałem, gdzie się dało, a więc w szkole, z ławy sejmowej, z ulicy i z fantazji.

Wśród wielu listów z pochwałami i superlatywami, pisanymi przez czytelników „Ondraszka”, znalazły się dwa listy anonimowe. Jeden pisała rzekoma Niemka, drugi mój dawny kolega szkolny. Tak przynajmniej przypuszczam. Niemka wymyślała mi szpetnie za Lizetę i jej insekty w koafiuze, pomawiając mnie o szowinizm narodowy i pragnąc mnie zgniebić ponurymi inwektywami oraz przepowiednią, że gdy „unsere wieder heimkommen, werden sie sehen, was Sie wartet!...”. Cieszyński autor anonimowego listu na czterech bitych stronach pisma maszynowego usiłuje mnie przekonać w gwarze karwińskiej, że egzemplarz „Ondraszka” zawiesił w ubikacji... Jeszcze jest jeden list od jakiegoś staruszka Czecha w Warszawie, podpisany pełnym nazwiskiem. W liście tym robi mi cierpkie i zjadliwe wymówki, że Ondraszka ukradłem Czechom.

Kiedyś matka moja, opowiadając mi o Ondraszku, dodawała zawsze, że żalem, że pamięć o nim ginie, a „przecież to był taki porządny człowiek, który chciał



świat zrównać, brał panom, dawał ubogim, ubogich zaś chciał wybawić z ciężoby pańskiej”.

Pisząc ową powieść, pragnąłem tylko,

by pamięć o hetmanie Ondraszku nie zginęła. Może mi to się udało.

GUSTAW MORCINEK



Była raz jedna księżna na cieszyńskim zamku, a nazywała się Czarna Księżna. A dlatego nazywała się Czarną Księżną, bo była bardzo smutna i ubierała się w czarne suknie. Dlatego zaś była smutna, bo frysztacki dzwon nie chciał być jej dzwonem.

Z tym dzwonem, to była przedziwna historia.

Starzy ludzie opowiadali, że w tym miejscu, gdzie dzisiaj jest taki przysiółek frysztacki, noszący nazwę Stare Miasto, było kiedyś wielkie, piękne i bogate miasto, lecz mieszkali w nim źli ludzie. Ci ludzie byli tak bardzo źli, że trudno opisać. Napadali na przejeżdżających kupców i pątników, rabowali w okolicznych wsiach, co się tylko dało, krzywdzili sieroty i wdowy, cyganili na wadze, dolewali do mleka wody i sprzedawali je jako dobre mleko ze śmietaną, słowem byli to źli ludzie. Tak długo to trwało, aż pewnego dnia nadeszła kara. Ziemia się zatrzęsła, otworzyła i pochłonięła miasto wraz z tymi złymi ludźmi i nawet z kościołem. I ludzie z czasem o wszystkim zapomnieli, bo to było strasznie dawno. Wiedzieli tylko, że w tym miejscu było kiedyś miasto, lecz już go nie ma, bo je ziemia pochłonięła. A na tym miejscu nic nie chciało rósć, poza pokrzywami, ostem, lebiodą i innym zieleśkiem.

I zdarzyło się pewnego razu, że na

tym miejscu pasły się świnię. Jedna ze świń ryła i ryła i wyryła dzwon. A to był ten dzwon z tej kościelnej wieży, która się wraz z kościołem zapadła i wraz z niedobrym miastem.

Przyszli frysztaczanie i ogromnie się uradowali, że mają taki piękny dzwon. Zawiesili go na wieży i słuchali jak wyryty przez świnię dzwon pięknie dzwonił. A dzwon dzwonił tak:

*Świnia mnie wyryła
Gustła mnie utrzyma,
Serce moje bije,
Ludzka krzywda żyje.*

Nikt nie rozumiał, co ten dzwon dzwoni. Ale że pięknie dzwonił, więc frysztaczanie byli bardzo zadowoleni i dumni. Byli tak dumni ze swego gadającego dzwonu, że z byle kim nie chcieli rozmawiać. A głos ich dzwonu był tak donośny, że słysząc go było nawet w Cieszynie na zamku, gdzie panowała smutna Czarna Księżna.

Przyszli dworzanie i pytali, czemu taka smutna. A ona rzekła, że dlatego taka smutna, bo chciałyby mieć ten dzwon na swoim zamku, na wieży zamkowej. by tylko jej tak pięknie dzwonił. Wtedy dworzanie zwołali się do takiej wielkiej komnaty i radzili, co by tu zrobić, by dzwon dzwonił na zamkowej wieży w Cieszynie. Bo wtedy ich Czarna Księżna

nie będzie już smutna, lecz wesoła i wtedy będzie się nazywać Białą Księżną.

Trzy dni tak radzili i trzy noce, a na czwarty dzień przyszedli do Czarnej Księżny i tak rzekli:

— Mości Księżno! Jużeśmy uradzili!

— A co urządziliście? — zapytała Czarna Księżna i westchnęła tak żałośnie, że wszystkim dworzanom krajało się serce na ćwierci.

— Uradziliśmy, mości Księżno, że dzwon kupimy od frysztaczan i przywieziemy go do Cieszyna.

— Dobrze! — rzekła Księżna i leciutko się uśmiechnęła. A wtedy wszystkim się zdawało, że to słońce na niebie zaświeciło.

Pojechali więc dworzanie do Frysztatu i rzekli jego mieszczanom:

— Sprzedajcie nam wasz dzwon!

A frysztaccy mieszczanie rzekli:

— Ani się nam śni!...

— Zapłacimy sowicie!

— A ile?

— Tyle, ile chcecie!

Poszli więc frysztaccy mieszczanie na ratusz i zaczęli radzić z burmistrzem i rajcami. Radzili trzy dni i trzy noce. A na czwarty dzień wyszli z komnaty ratuszowej i oświadczyli cieszyńskim dworzanom, że owszem, czemu nie, dzwon mogą sprzedać, ale za tyle talarów, ile ich zmieści się na drodze z Frysztatu do Cieszyna, gdy położy się je jeden obok drugiego.

Dworzanie drapali się po głowie i znowu radzili przez trzy dni i trzy noce. Aż uradzili, że owszem, czemu nie! Będzie tyle talarów, tylko muszą je najpierw zedrzeć z chłopów, nałożyć daniny, bo szkatuła zamkowa przeświecała dnem.

Poszli więc do Cieszyna i zaczęli drzeć z chłopów daninę.

Chłopi jęczeli, płakali, narzekali, od ust sobie i dzieciom odejmowali, lecz płacić musieli. I tak się działo przez kilka lat. A gdy już nagrabili tych talarów pod dostatkiem, udali się do Frysztatu i kupili dzwon. Wyłożyli talarami całą drogę od Frysztatu do Cieszyna, zawieźli dzwon do Cieszyna i zawiesili na wieży. Gdy zaczęli nim dzwonić, dzwon tak dzwonił:



*Za talary mnie kupili
które z chłopą wydusili,
krzywdą ludzką mnie zmusili,
i na wieży powiesili
placzącego chłopą dzwon!...*

Nikt nie rozumiał, co ten dzwon tak dziwnie dzwoni, ale wszyscy się radowali, że Czarna Księżna się raduje i słucha dzwonu i przestaje być smutna.

I gdy nazajutrz znowu pobiegli dworzanie do wieży i chcieli zadzwonić, na „dzień dobry, mości Księżno” — ujrzeni zdumieni, że dzwona nie ma. Okazało się, że w nocy uciekł do Frysztatu. Jakim cudem to się stało, nikt nie wiedział. Zawezwano zezowatego maga cieszyńskiego, który umiał czytać w gwiazdach, i który lubił pić kminkówkę i nazywał się Kolasanty Pietrula. Mag popatrzył przez szyjkę butelki po kminkówce na gwiazdy i orzekł bardzo mądrze, że dzwon uciekł do Frysztatu. Wszyscy o tym wiedzieli, lecz ponieważ to powiedział jedyny mag w Cieszynie, imci pan Pietrula, więc orzekli wielkim głosem, że mądrze powiedział. I pojechali do Frysztatu po swój dzwon. Zdjęli go z frysztaćkiej wieży, zawieźli do Cieszyna i zawiesili na zamkowej wieży. A gdy zaczęli dzwonić, dzwon tak dzwonił:

*Za talary mnie kupili
które z chłopą wydusili.
Nie będę wam dzwonił z wieży
Bo tu do mnie z wszech stron bieży
skrzywdzonego chłopą płacz...*



Nikt nie rozumiał, co ten dzwon tak dziwnie dzwoni, gdyż byli radzi, że księżna jest rada i słucha głosu dzwona i uśmiecha się.

A gdy nazajutrz poszli do zamkowej wieży, by zadzwonić mości Księżnej na dzień dobry, dzwonu nie było. Znowu chyba uciekł! Poszli więc dworzanie do zezowatego maga cieszyńskiego, imci pana Pietruli i prosili go, by popatrzył w gwiazdy, gdzie się podział dzwon. Mag Pietrula długo ślepił w gwiazdy przez szyjkę butelki po kminkówce i orzekł wielce mądrze, że dzwon uciekł w nocy do Frysztatu.

Dworzanie wybrali się więc po raz trzeci do Frysztatu i po raz trzeci przywieźli dzwon na zamek cieszyński i powiesili go na zamkowej wieży. Lecz gdy chcieli dzwonić, dzwon już nie dzwonił!... Targali za powrozy, kolebali dzwonem, a dzwon nic! Milczy i nie dzwoni! Wtedy Czarna Księżna bardzo posmutniała, a dworzanie poszli do zamkowej komnaty i przez trzy dni i trzy noce zastanawiali się, dlaczego dzwon nie chce dzwonić. Posłali nawet po cieszyńskiego maga, imć Pietrulę, lecz mag był pijany, bo wypił flachę kminkówki i chrapał w łóżku jak stary koń.

A była na zamku służebna dziewczyna, która służyć musiała za darmo, bo jej ojciec, ubogi chłop, nie odrobił pańszczyzny. Nazywała się Jewka. Jewka słuchała pod drzwiami, jak tamci dworzanie radzą i pomyślała, że może ona nakłoni dzwon, by dzwonił. Wtedy Czarna Księżna nie będzie już płakać,

tylko się weselić i ludzie będą ją nazywać Białą Księżną.

Poszła przeto o świcie do wieży, pociągnęła powróż i o dziwy! Dzwon zaczął dzwonić, a dzwonił tak:

*Za talary mnie kupili,
które z chłopu wydusili.
Wróćcie chłopu te talary,
będę dzwonił na świat cały...
na świat cały... na świat cały...*

Czarna Księżna właśnie wtedy siedziała w oknie swej komnaty i płakała tak rzewnie, że dworkom i służebnym dziewczynom serca krajały się na ćwierci. Gdy jednak posłyszała zmienacka głos dzwonu, przestała płakać i słuchała. Lecz nic nie rozumiała, tylko Jewka rozumiała.

— Ja wiem, co on dzwoni, mości Księżno! — rzekła i powiedziała, co tamten dzwon na zamkowej wieży dzwoni. Wtedy dopiero Czarna Księżna zrozumiała wszystko i kamień jej spadł z serca. Przepędziła wszystkich dworzan na cztery wiatry, jako że nie wiedziała, iż dzwon był kupiony za ludzką krzywdę, sprzedała dużo swych lasów, stawów z karpiami i szczupakami, pożyczła od swych braci-książąt, zastawiła swoje klejnoty i wszystko zwróciła chłopom, co dworzanie z nich zdarli. A gdy już wypłaciła do ostatniego grosika, kazała Jewce, by poszła do wieży i spróbowała zadzwonić: a dzwon wtedy zadzwonił jakby był z czystego srebra i złota i tak dzwonił:



*Dzwonię, dzwonię na świat cały,
bo zwrócono już talary
które z chłopca wyduszono,
a za które mnie kupiono.*

I odtąd dzwon frysztacki dzwonił na wieży cieszyńskiego zamku i rano, w południe i wieczorem, a Czarna Księżna już teraz nazywała się Białą Księżną, a chłopcom w jej państwie nie działa się krzywda, a Jewka stała się nadworną dzwonnice. I dzwoniła aż do śmierci Białej Księżny. A gdy umarła zadzwonił

nił ostatni raz, gdyż potem serce jego pękło na dwoje, a dzwon też pękł na dwoje. I wtedy wszyscy wiedzieli, że po śmierci Białej Księżny przyjdzie jej syn, bardzo zły pan, który będzie gnębił chłopów. I tak też było...

I tak się skończyła historia o frysztackim dzwonie, który potem przewano chłopskim dzwonem.

GUSTAW MORCINEK

Ilustracje Władysława Cejnara



Nie ma co siedzieć i dręczyć się nadaremnie. Będzie, co Bóg da. Robota czeka. Trzeba do roboty.

Siwy Kaźmirz mocował się z rękawem kurtki, nie przerywając chodu w stronę drzwi. Wciągnął nareszcie tę kurtkę i sięgnął do klamki.

— A ty się nie ślimacz, bo nic ci z tego nie przyjdzie — obrócił się do żony, siedzącej w cichym płaczu i widomej udręce. — Stało się. Wojna. Nic tu płaczem nie odmienisz.

Kaźmirzowa podniosła zaczerwienione oczy. Rozchyliła usta, żeby odpowiedzieć. Na nic. Gwałtowny, nieuhamowany płacz zadusił słowa w zaczątku.

Siwy Kaźmirz odwrócił się od tego żalu i pchnął drzwi do sieni. Westchnął ciężko w przechodzie na podwórze, gdy go dognał rozplakany krzyk z izby:

— O, moje dzieci kochane!

Starczymi, utykającymi krokami przemierzał podwórze zalane żarem wrzesniowego słońca. Skądś z bardzo daleka dolatywały huki, głuche, przeciągłe, groźne i insze ze wszystkich aniżeli te, co po podniebiu warkoczą w burzliwy czas. Siwy Kaźmirz wstrząsnął się wspominając:

— Tak tutaj było słychać lat temu... ile to? Tak, tak, jak raz dwadzieścia pięć.

Z duchoty podwórza wlaźł popod sztangą w chłód stajni, gdzie stała żrebna kobyłka, sama jedna teraz w przestronnej przegrodzie. Klacz zwróciła łeb do starego gospodarza i patrzyła rozumnymi ślepiami, jakby go chciała spytać, gdzież to się podziewa jej córka, która tu stała bok w bok przez tyli czas, i gdzie się podziewa młody gospodarz, taki starowny i dbały...

Siwy Kaźmirz poklepał klaczkę po

grzywiastym karku i ni z tego, ni z owego rozzalił się jak ta jego kobieta tam w izbie:

— Widzisz, Gniada, co to się raptem we świecie porobiło! Nieszczęście. Wojna!... — Oparł się o żłób i szeptał, przepełniony wspominkami, które go naraz tu naskoczyły. — Stało was tu dwie nie tak dawno. Woziliście synów moich i córki z zięciami. A dziś gdzie czego szukać? Synów i zięciów już wojna porwała. I tę twoją zdatną córkę tak samo...

Nie dokończył myśli. Zerwał się z miejsca i z pośpiechem odkręcał sztangę.

— Co się będę mazgał jak baba. W pole trza, do roboty — obryknął sam siebie, zły za tę chwilę żalu.

Wyszedł za próg, a zaraz za nim pośpieszyła kobyła. Kobyła poszła w te pędy do wozu smakować świeżutką, pachnącą lucernę, a Kaźmirz podyrdał w kąt obok wrótni, gdzie stały rolne statki. Wyciągnął kółka, pług, szepił je akuratanie, potem przyniósł uprząż, nałożył na klacz i wreszcie dwoma postronkami złączył zwierzaka z kółkami i pługiem. Z batem w jednej ręce, a lejcamy w drugiej wyruszył w pole. Orać. Pod jesienią siew.

W kłębach kurzu dymiącego spod kopyt tyrtolił się Siwy Kaźmirz, popatrywał po świecie i nasłuchiwał. Świat smażył się w spiekocie, wysokie jeszcze słońko paliło jak w lipcu, wieś siedziała w ciszy przepełnionej ludzką trwogą i przeróżnym zmartwieniem. I w tej upalnej ciszy wsiowej wojna dawała o sobie wyraźny znak. Gościńcem pomykały chyże wozy wyładowane ludźmi lub wlokły się ciągnąc bydło. Ścieżkami, przełajem szły hurmy ludzi. Tu i tam

przewinał się rowerzysta. Wszyscy dążyli na Sandomierz, śpieszyli się, aby prędzej dopaść mostu i znaleźć się za Wisłą, która strachom drogę zagrodzi... A dalej, na szosie opatowskiej, widać jedno długie pasmo kurzu, spod którego słychać aż tu nieprzerwany turkot i łomot, i krzyk. A jeszcze dalej coś groźnego się odgrywało wśród częstego huku i grzmotu, który czasem się nasilał i zagłuszał odgłosy życia na pobliskich drogach. Zmora chodziła po świecie w białym, roziskrzonym dzień.

— Co to się porobiło! — powtarzał Siwy Kaźmirz i niespokojny czegoś oglądał się co i raz i dziwował zmianom, jakie na te pola naniósł okrutny czas. Tydzień dobiegał zaledwie — i już... Dawniej o tej porze ile to koni sunęło by po ociniskich pagórkach i równinach, tylu chłopów szło by za pługiem i broną — a dziś? Mało gdzie widać parę koni, ledwie kto miał ochotę wyruszyć, pusto jakoś i opacznie.

— Och, biedniemy, biedni. Ledwieśmy zapomnieli o tamtych męczyduszach, a tu już nowi, sto razy gorsi. Zagarną nas i na jak długo. Oj, dolo nasza, dolo!

Wśród gorzkich rozmyślań dotarł na ściernisko koło Roleńskiego Dołu. Odwrócił pług i chwycił mocno za capigi.

— Wio, Gniada!

Pług pociągnięty naprzód pruć ściernisko i odkładał skiby równo i prosto. Oracz szedł za nim nachylony, sterował umiejętnie i mocno, tak jak dawniej, za młodu. Raz jedną stroną, nawracał, raz drugą stroną, nawracał, i tak postępowała orka, powolna, porządna, pod u-

miar, tak jak zawsze od wieków, jak za ojców, praojców.

— Wio! Wiśta!

— Wio! Hetta!

Bez przerwy i ustanku orał Siwy Kaźmierz, i coraz więcej czerniło się ziemi, i coraz mniej smużyło się ściernisko. Coraz niżej opadało słońko.

Naraz zza tego słońka wypełził klucz potwornych ptaków. Migotały w oddali warkocząc. Kaźmirz poznał, czyje to są. Strzymał konia. Staął.

— O, skracając na miasto! Rozbić chcą most — domyślał się pełen złych życzeń dla tych tam.

Armatnia pukanina towarzyszyła przelotowi. Czarne kłaczki dymów wykwiwały na drodze przelotu.

— Ażebyśta pospadały na łeb.

Ledwie wypowiedział złą wróżbę, gdy jeden samolot, lecący trochę z tyłu, odbił się od reszty i nakierował lot prosto w stronę, gdzie stary chłop stał z koniem na szczycie pola jak stróż. Kobyła, jakby coś niedobrego wietrząc, strzygała uszami i kręciła się niespokojnie. W Kaźmirzu żywiej zabiło serce. Obejrzał się, gdzieby tu w razie czego... Zauważył, jak tam z pola umykał ktoś w dyrdy pod wierzbę.

— Olaboga, widać na mnie?

Warkot motoru coraz wyraźniejszy, samolot coraz większy. Zniżył lot.

Kobyła zadrżała. I po chwili w przerażliwym strachu rzuciła się w bok na ściernisko, przewracając pług, kółka. Siwy Kaźmirz ściągał lejce co sił. Nie poradził. Kobyła wydarła się, pognąła na łeb, na szyję w Roliński Dół. Kaźmirz pociągnięty lejcami, obalił się na





ściernisko i leżał w wypłowiałym ubraniu jak kład stargi zapomniany na ryśku.

Leżąc na boku, widział. Widział potwora nad głową, tuż, tuż. Widział człowieka w cudackim nakryciu, jak rozglądał się, jakby wypatrywał, gdzie mu się podział tak wyraźny cel. I widać dojrzał ten cel.

Gwizdnęły kule. Szły długim ciągiem i śpiewały Kaźmirzowi śmiertelną melodię.

Siwy Kaźmirz widział. Widział, jak samolot zakołysał. Znowu zaczerniła się cudacka głowa. I znowu świsnęły kule, jakby raz koło razu ktoś z bata strzelał. Gorące smugi przeleciały ukosem. Ziemia pryskała i roztrącała się kurzem.

Kaźmirz leżał wytrokowany, zdrewniał. Oczy mu tylko chodziły i towarzyszyły stalowemu smokowi w jego wygibach. Rozjaśniły się, gdy nareszcie odrunął i leciał hen, hen! coraz wyżej i dalej. O, już go wcale nie widać.

— No, to po krzyku! — Siwy Kaźmirz uważnie popatrzył dokoła. Zobaczył świat w kształcie i wyglądzie jakby odmienionym: był piękniejszy, wyraźniejszy, sercu stokroć miłszy.

Po czasie podniósł się i zeszedł po stoku w Roliński Dół, gdzie kobyłka szczyła trawę jakby nigdy nic. Uważnie obejrzał szkapę, czy nie zaznała jakiej krzywdy. No, nic. Pęciny miała trochę starte. To fracha.

Popoprawiał w uprzęży i statkach, co trzeba i wygramolił się z kobyłą na górkę. Popatrzył po słońku. Jeszcze hola na dzień.

— Poorzemy jeszcze, Gniada dobrze? — Strach strachem, ale robota czeka.

Nakierował pług w to miejsce, gdzie mu nalot przeszkodził. Śmignął batem i uchwycił capigi.

— Wio! wio! do wieczora. Wojna wojną, ale pole musi być zorane.

WINCENTY BUREK



Anna ZAWADZKA:

PODGLĄDAM ŻYCIE

Nie, to nie o mnie mowa i nie ode mnie wyszło to, co jest poniżej napisane. Moja rola jest tutaj epizodyczna i wcale nie ważna. Znalazłam po prostu kilka tygodni temu leżący na drodze nieduży zeszyt, podniszczony, bardzo wilgotny i zabrudzony błotem. Widocznie leżał już tam od kilku dni. Przechodząc rzuciłam nań okiem, ale nie chciało mi się zginać i brudzić rąk. Po kilku jednak krokach zmogła mnie ciekawość. Zawróciłam i podniosłam zeszyt. Przerzuciłam kilka stron chcąc na którejś tam stronie odczytać cośkolwiek, nie było to jednak takie łatwe. Błoto było powodem, że niezbyt czytelne pismo stało się jeszcze mniej czytelnym. Byłabym z pewnością rzuciła zeszyt tam, gdzie leżał, gdyby nie forma zwierzeń, jakie tam znalazłam. Co kilka zdań postawiono w nich daty.

— Oho — pomyślałam — tu się dowiemy czegoś ciekawego. Ktoś zgubił widocznie pamiętnik — i oto mimo woli staje się właścicielką cudzych sekretów.

Zamknęłam zeszyt, otarłam go z błota i włożyłam do torebki. Ten odruch z mej strony, wzbudził wśród przechodniów uwagę. Ruszyłam szybko naprzód.

Nie mogłam się jakoś doczekać dogodnej chwili, w której bez przeszkód przeczytać będę mogła zeszyt. Może w nim jakaś zakochana dziewczyna powierza białym kartkom tajemnice swe-

go serca. Ja też kiedyś namiętnie zapisywałam wszystko, co się w sercu działo w związku z pierwszą miłością. Przyznam się, że to przypomnienie wzbudziło u mnie nową ciekawość.

A jużci, bo proszę mi pokazać kobietę, której by obojętne były cudze sprawy sercowe?

Późną godziną, gdy domownicy pogrążyli się w błogim śnie, otwieram czarny, powalany zeszytek. Zobaczmy, jakie tajemnice w sobie chowa.

Otwieram go na pierwszej stronie. Oto w podwójnym oramowaniu czerwonym ołówkiem, zakreślono hasło:

Zapamiętać na całe życie!

„Świat jest śmierdzącą dziurą a wszyscy ludzie psy. Niektóre głupie, inne tchórzliwe, wiecznie uganiające się za żerem, jeszcze inne wściekłe, a najgorszy pomiędzy tymi psami jest majster Kokot. To jest stary, parszywy, wyleniały kundel. Najlepiej, żeby go na śmierć zagryzły pchły, albo też, żeby mu kto rozwalął tę plugawą mordę kamieniem. Możliwe, że tak zrobię ja, jeśli mi tak będzie ciągle laź za skórę.”

Jestem rozczarowana. A więc tutaj nie będzie mowy o gorącej miłości, nie będzie serdecznych zwierzeń, żalu, na-

dziei? Pocóż nastrajałam się lirycznie i po co trzymałam na podorędziu współczucie dla autorki pamiętnika...

Ale czytamy dalej.

* * *

15. 9. 1955. Muszę sobie dobrze zapamiętać, jakim tonem powiedział to do ślusarzy, gdy po raz pierwszy przestałem próg warsztatu — „Chłopi, a na tego gizda uważać, bo on już miał nieraz do czynienia z władzami bezpieczeństwa”.

Swinia, nie mógł trzymać jadaczki? Ale ja mu ją i tak przy okazji zmaluję jak należy.

22. 9. 1955. Dzisiaj znów na mnie wypadł z pyskiem. Straszne przestępstwo, że się zdrzemnąłem, ale jak przydybie przy drzemce starego Kajzara, to mu nie powie krzywego słówka. Wiadomo. Kajzar mu w każdą wypłatę stawia po „wielkiej” i pilznera na dodatek, a ja z majstrem nie pijam...

7. 10. 1955. A przecież komuś na mnie zależy — i to nie byle komu, samemu głównemu inżynierowi! Wadził się z tym łysym orangutanem (Kokotem), że się ma mną więcej opiekować i nakazać chłopom, aby mi nie dokuczali (stałem za maszyną i wszystko podsłuchałem...). „... Niech se go rodzice wychowują,” wrzeszczał Kokot. „Moim obowiązkiem to troszczyć się o to, żeby zrobił robotę jak należy, a inne sprawy mnie nie interesują.”

No, jabym też za nic w świecie nie chciał tej nadętej ropuchy za opiekuna. Zresztą, nie jestem żadnym smarkaczem i nianiek nie potrzebuję. Ale inżynier to fajny chłop!

12. 10. 1955. Karlik, Otek i Jarda, to morowi chłopci. Ludwikowi nie bardzo można wierzyć, bo się zanadto boi taty i straszny sknera — nim da dziesiątkę na „ściepkę” to ją dwadzieścia razy obejrzy. Ale za to można mu nagadać co wlezie a nie obrazi się. Julek najwięcej zarabia i chętnie funduje — trzeba się go trzymać. Też bym sobie kupił taki krawat jaki on nosi, ale mama by mi go spaliła, że niemoralny. Jak odejdę z domu, to będę nosił tylko takie krawaty.

16. 10. 1955. Chciałbym wiedzieć, czy

„fachowców od kieliszka” też tak po winie głowa boli... Jak się mama dowie, że przepiłem całą stówkę, to znów będzie lamentować. Jeśli o tym powie ojcu, to ja z domu ucieknę... Ale było fajn. Świat jest jednak nie taki szkaradny, jak na początku napisałem, tylko ta głowa...

18. 10. 1955. Szczekajcie, szczekajcie, panie Kokot, a ja was i tak mam gdzieś. Ja jeszcze do roboty nie przyszedłem pod gazem tak jak wy! Jeśli straciłem szychtę, to nie wy to odniesiecie na wypłacie, tylko ja. Że Duda z Fajkusem musieli robić za mnie!? Ja im tego nie nakazywałem!

19. 10. 1955. Jedna bumelka i tyle wrzawy. Rodzicom napiszą? Straszne rzeczy. Tata robi kazanie a na koniec powie: — a zresztą, rób sobie jak chcesz, ale raz pożałujesz. Mama znów będzie mówić do taty: — to jest twoja wina, nigdy nie miałeś dla niego czasu, więc masz. Potem się wspólnie pokłócą — a ja? Będę miał skruszoną minę, ale swoje będę dalej robił.

22. 10. 1955. Nigdzie na świecie nie ma sprawiedliwości — ani w rodzicielskim domu. Jak na Adę przyszła kiedyś skarga ze szkoły, to tam mama poszła i nagadała profesorowi co wlaźło, a jak teraz przyszła skarga na mnie, to mi już trzeci dzień robi wymówki za tę bumelkę. Zastanawiałem się, czyby też tak wydziwiała, gdyby w grę nie wchodziła strata finansowa.

7. 11. 1955. ... Co robić? Nie mam na papierosy. Ciekawe, trzy lata temu po wypaleniu papierosa kręciło mi się w głowie i zbierało się na wymioty, a teraz to samo dzieje się ze mną, gdy nie mam co palić. Tata skapował, że mu zaglądam do papierosnicy i odtąd ją zabiera. Mądry, myśli, że w ten sposób oduczy mnie palenia. Miał chować papierosy wtedy, gdy jeszcze chodziłem do szkoły.

15. 11. 1955. Jeśli to prawda, że się Julek całował z Milką, to mu zebra policję. Wie, że mi się Milka podoba, to po co lezie w kapustę? Zresztą, gdyby Milka wołała jego, to ją nie będę prosił. Dziewczyn na świecie jest dosyć, płakał z powodu jednej nie będę...

24. 11. 1955. Sąsiadka wypadła dzi-

siaj na mnie z buzią, że zapluję schody. W zeszłym tygodniu, kiedy jej mama wytrzepała wycieraczkę do nóg prosto na pierzyny wietrzące się w oknie, była cicho, bo się bała, że jej mama znów napyskuje. Na mnie chce sobie wyładować całą złość, ale ja sobie na szczęście z jej wymysłań niewiele co robię. Będę pluć dalej...

11. 12. 1955. Kiedyś wydawało mi się, że ludzie są psy, ale to nieprawda. Psy potrafią bronić jednego ze swoich, gdy go inny napadnie, a ludzie robią na odwrót. Bronią wtedy, gdy trzeba potępić, a gdy się dzieje krzywda, to chodzą obojętnie, albo się skryją, aby krzywdy nie widzieć. Tak było i dziś po południu. Ile ludzi było w tramwaju, wszyscy przyglądali się scenie, jak pięciu wyrostków znęcało się nad jakimś oberwanцем. Chociaż to był mazgaj (bo się nie bronił, tylko beczał), to przecież cierpiał boleśń tak samo jak inni w podobnym wypadku. Pasażerowie głośno wypowiadali swe uwagi, baby nawet pochlipywały z litości nad tamtym — i chociaż wszyscy byli zgorszeni, ani jeden nie wyszedł z tramwaju, aby chuli-ganów powstrzymać. A było jeszcze pięć minut do odjazdu...

7. 1. 1956. Do niedawna dosyć lubiłem sprzątaczkę Bernacikową, nie mieszała się do niczego. Od wczoraj zmieniłem swe zdanie. Mnie chciałyby uczyć moralności, zwracać uwagę jak mam postępować, aby ze mnie wyrósł porządny człowiek, a udaje, że nie widzi, jak jej Jarmilka wymiata kąty za kotłami, codzień z innym żołnierzem. Cała kotłownia, ba cała fabryka jest tym zgorszona, ale Bernacikowa nie chce o niczym słyszeć. Ciekaw jestem, który z tych żołnierzy będzie tatą dla Jarmilczyńnego bekarta...

10. 3. 1956. Niedawno się serdecznie ubawiłem, dzięki mojej siostrze Adzie. Mama jednak mówi prawdę, że ta dziewczyna ma wspaniałe zdolności, a myślałem zawsze, że przemawia przez nią zaślepienie do córeczki. Nikt inny nie potrafiłby w ten sposób zagrać komedii jak Ada.

Któregoś wieczora myła górny korytarz. W pewnej chwili przewróciła wiadro i woda połała się schodami w dół.

Brudne strumienie spływały powoli po świeżo pomalowanych ścianach niższych pięter. Zrobił się ruch. Zawiadowca domu przybiegł oburzony na górę, a Ada z niewinną miną do niego, że gdzież, to nie ona, tylko córka sąsiadki. (Ciekaw jestem jakby się Ada wykreśliła, gdyby tej smarkuli nie przyszło na myśl myć swojego progu równocześnie.) Sąsiadka była oburzona, że ktoś błyskawicznie potrafi wykorzystać sytuację dla siebie, ale w tej chwili wyszła mama i zrobiła się wrzawa nie do opisanía, bo mama jest w takich wypadkach bardzo nerwowa i nie przebiera w słowach. Na hałas w korytarzu wyszedł ojciec i też stanął głośno w obronie Ady. A ona tylko wzdychała — „Mamusiu, proszę cię, nie denerwuj się. Dziwiu ci się bardzo, że jeszcze z taką kobietą polemizujesz.”

Ja zauważyłem, że w wiadrze Ady zostało tylko trochę wody, a siostra skwapliwie zbierała ścierką po schodach resztę zawartości. Ale kiedy sami rodzice nie chcieli na to zwrócić uwagi... Zresztą, życzę tego sąsiadom z całego serca, bo patrzą na mnie, jakbym był najgorszym człowiekiem na ziemi... Tylko psiakrew — Ada uchodzi za wykształconą pannę — i takie świństwo... Z tego można wnioskować, że nie tylko uliczna hałastra, lecz i inteligencja potrafi robić podłość, ale potrafi się zawsze zamaskować i usprawiedliwić kłamstwem. Ja do takich nie należę.

12. 5. 1956. Na zebraniach, w gazetach i kto wie gdzie jeszcze — na każdym kroku mówi się do znudzenia o bohaterach. Nie, ludzie naprawdę nie mają pojęcia o bohaterstwie. Czy wykonać 120% normy, albo rozmyślać o tym, jak sobie ułatwić pracę, to jest jakieś bohaterstwo? Jeśli się przekracza normę, to się otrzymuje ładną wypłatę, czyli zaspokoi się swą chciwość, w drugim wypadku ulepsza się pracę, aby się przy niej nie uharować — to znaczy — dla swej wygody. No i jakież to jest bohaterstwo?

Mnie się podobają tacy bohaterowie, jak Czarny Bill z „Postrachu prerii”. Ciekawym, kto drugi potrafiłby dać sobie tak łatwo radę z dziewięciu bandytami. Wszystkich przyprowadzić na lasie do szeryfa i zaskarbić sobie jego

względy do takiego stopnia, że ten dał mu za to bez wahania swoją córkę.

„Jednoreki” to też bohater nad bohater, albo taki „Latający diabeł”. Stepy, koń, colt i pogoń za bandytami — to by było życie, a tutaj co człowiek ma?

16. 6. 1956. Niedawno jechałem pociągiem. Obok mnie siedział łysy grubas, naprzeciw niego starszy człowiek o suchej, kościstej twarzy i sterczącym nosie. Gdy mówił, to mu oczy latały po całym przedziale. Z jego rozmowy z grubasem wychodziło, że są dobrymi znajomymi, ale długo się już nie widzieli. Grubas był gospodzkim, a ten drugi jakimś rzemieślnikiem. Gospodzki skarżył się, że stracił cały majątek, ma tylko 700 Kčs pensji miesięcznie, to wszystko. Ten suchy człowiek aż oczyma przewracał, tak mu było żal grubasa.

Był jeszcze więcej oburzony na porządk, które pozbawiły gospodzkiego majątku, niż sam gospodzki. Na którejś stacji grubas wysiadł, a na jego miejsce usiadła stara kobiecina. Słyszała, wchodząc do przedziału, jak ci dwaj się serdecznie żegnali, więc się od razu zwraca do chudego: — „Wy, to wasz syn jest jego zięciem?”

— Ale ni! — odpowiada zapytany — to mój dobry znajomy; był wielkim bogaczem, a teraz nie ma nic.

Kobieta zaczęła suchego człowieka uświadamiać, co to za kanalia i krwiopijca z tego grubasa. Ona zna go dobrze, bo już trzydzieści lat mieszkają po sąsiedzku. Ma na sumieniu tyle krzywd, że dziwne, iż go jeszcze ta święta ziemia nosi. Podczas wojny miał 10 krów a biedakowi nie sprzedał ani kropli mleka, nawet dla chorego dziecka, ale dla SS-manów miał wszystko. On i teraz jesz-

cze siedzi na gospodzie i nadal „odziera” głupich ludzi jak może.

Suchy człowiek jej gorąco przytakiwał; że to wszystko prawda, on to dobrze zna i tak samo się gorszył, jak przed chwilą grubasa żałował. Na koniec powiedział: „No, no, wszak go jeszcze Pónbóczek znajdzie.”

Chciało mi się splunąć na tę fałszywą, kościstą gębę. Zresztą znam więcej takich, co tak samo, albo jeszcze bezwstydniej potrafią innym gdzieś włożyć.

27. 6. 1956. Dzisiaj mama była znów strasznie zła, że nie nocowałem w domu. Dziwię się, że tyle czasu traci na krzyki i na pogróżki, obiecując mnie wyrzucić z domu, kiedy i tak wiem, że pokrzyczy, pohałasuje i znów przejdzie nad wszystkim do dziennego porządku. Gdyby rozmawiała spokojnie, to by ją to nie kosztowało tyle nerwów, a może taka rozmowa więcej by mi trafiła do przekonania niż histeryczne wrzaski. Swoją drogą, robię czasem świństwa, chciałbym być inny...

* * *

Na tej dacie skończyła się treść pamiętnika. W czarnym zeszytiku pozostało jeszcze dużo czystych kartek. Chciałabym wiedzieć, czy autor zapisałby je do końca, gdyby się nie rozstał ze swym pamiętnikiem. Szkoda, poznalibyśmy może jeszcze dużo innych spraw splatających drabinę życia, po której pną się bujne młode charaktery. Ale i tak z tych kilkunastu jej szczebli wysnuć można pewien wniosek: Gdyby drabina była z prostych i mocnych szczebli, to by na nią młoda latorośl wstąpiła ufnie i pięła się prosto w wyż. Kto wie...

ANNA ZAWADZKA



Niespodzianki u górali

(Humoreska)

Chata góralska zapadła w głębokich śniegach, nakryta śnieżną kopułą, czerniła się wąską ścianą i małymi okienkami do świata, jakby spod zwoju otulającej ją pieluchy. W zamglonej szybie błysnęło dwoje ciemnych oczu Marynki, wypatrujących ślady w śniegu. Ślady, głębokie i gęste spływały w oddali w jedną, niebieską kreskę, biegnącą aż ku ciemnemu lasowi. Tamtędy właśnie przychodził Józef, tylko patrzeć jak jego sylwetka wyłoni się zza drzew.

W sieni stuknęły kroki. Marynka odskoczyła od okna, myśląc, że to mama, prędko usiadła za stołem i poczęła skwapliwie skubać pierze.

Drzwi uchyliły się niepewnie.

— Marynko, kaj sóm mamulka? — Ojciec wychylił przez drzwi głowę o zakłętym spojreniu szklanych, niebieskich oczu.

— W chlywie.

— Pój mi pumóc, przywióz zech jakigosi skijorza, je bez siebie.

Kiedy złożono narciarza na łóżku w kącie, weszła matka. Na widok leżącego obcego człowieka, jej wygięte brwi uniosły się w górę. — Co to? Cóżecie to przysmyczyli?

— Nie gnijwej sie babulko — rozpoczął gazda pojednawczo — leżo! na śniegu, nińóg zech go niechać zmarznóć.

— A czymu go nie wzióń Jura stejzbian?

Jej zwiędłe policzki, czerwone od mrozu, zaczerwieniły się jeszcze więcej.

— Jisto ście go wroz naszli, jakżeście szli łod kleśniynio smreków.

Góral pokręcił się, jakby mu mrówka weszła za koszulę i jękął.

— Na toć my go wroz naszli, jyny mi to do głowy nie przyszło.

Podparła się pod boki i czując się panem sytuacji, podniosła głowę wysoko, zaśmiawszy się urągliwie. — To se myślym. To je tak jasne jak latosi śniyg na

Stozku, ji na Girowej ji na Kozubowej. Ciebie by też co mądrego kiedy do głowy przyszło?

Ojciec odwrócił się do córki, polecając jej przynieść pierzynę ze strychu. Sam zakrzętał się wokół chorego, aby nie zwracać uwagi na zasłyszana obelgę.

Ale gaździna wybuchła na nowo. — Maryś, kaj jidziesz. Bisman ci bas zność pierzyne. Takigo dróciorza bejymy jeszcze nowóm pierzynóm przykrywać! Szkoda aji starych bebechów po pastyrzowi ji jego starganego kozucha, dło takigo andrusa i chómónciorza. Nale, przyniś ty chfanciska, bo czymśi sie go musi przykryć.

Gdy Marynka wyszła, zwróciła się do męża.

— Ji tego łózka też szkoda, móg byś margiranta wyniść do gajna.

— Smiłuj sie babo — zaprotestował porywczo i energicznie. — Dyć tam marznie, marznie!

— Co z tego? Jak sie zakuce do ścielo nic mu tam do śmierci nie beje. — Mówiła naumyślnie, chociaż nie miała zamiaru wyrzucać z łóżka chorego. Nie była też złą kobietą i ostatecznie wszystko w końcu zrobiłaby dla nieznajomego, wpierw jednak, jak już to u nich bywało, musiała się certować, aby pomęczyć męża. Był niesłuchanie miękkięgo serca. Częstokroć rozdawał wszystko innym, co ona mozolnie zaoszczędziła. Prawdą jest, że wspomagać drugich trzeba, alą życie w górach jest tak nielitościwie twarde, wszystko trzeba zdobywać tylko z mazołem. Im większy filantrop był z niego, tym bardziej zacięła się w sprzecznię, popadając nieraz w przesadę prowadzącą do skąpstwa. Dzisiaj nadarzającej się okazji nie miała też ochoty po lekku przepuścić, stała się jednak rzecz niespodziewana...

Chory otworzył oczy. Piękne niebieskie oczy, z rozszerzoną źrenicą. W zdumieniu nawet rzucił zapytanie:

— Gdzie jestem?

— U Pawła Zolaskiego. Naszli my was we śniegu.

Chory przyjrzał się uważnie zadzierżystej gorolce oraz szklanym oczom górala, po czym poruszywszy się jęknął i opadł na poduszki.

— A już sobie przypominam, spadłem w czasie zjeżdżenia.

— Jisto se złómali noge? — padło za pytanie.

— Długo tu leżę?

— Przed chwilą my jich przyniśli.

Chory poruszył się ponownie, jęcząc i wykrzywiając usta.

— Nie mogę wstać.

— Jyny leżą, o tym nima mowy.

— A moja praca, jutro mieliśmy rozpocząć montaż pieca.

— Majóm dobróm robote? — Zapytała zniénacka gaździna.

— Jestem inżynierem.

Cofnęła się o krok do tyłu. Jej ciemne brwi uniosły się znowu w górę aż po brzeg czepca.

— Inżynierym?

— Inżynierem.

Wyszła z izby z chyżością młodej dziewczyny, w sieni zatrzymała Marynkę, uginając się pod stosem starych łachów.

— Marynko, gzuż z tym spadki na górę...

— Co sie stało?

— Nie stój, jak słup malowany, jyny rób co ci kazujym. Nima czasu, potym trzeba ubić masła, dlo nimocnego, ji napiyc placków.

— Co sie stało? — zapytała się Marynka po raz trzeci.

— Nale nic sie nie stało. Jyny rób co ci kazujym, co by my pana inżyniera ługościli jak sie patrzy.

— A... pana inżyniera... Dziewczyna zaśmiała się wesoło i wybiegła lekko na strych.

Gaździna teraz dopiero zauważyła, jak przystojnym mężczyzną jest chory. Czarne loki, czarne brwi i niebieskie oczy. Twarz co prawda za delikatna, zanadto kobieca, usta zanadto łagodne, nos zbyt prosty, pozbawiony owej skazy — drapieżności, jaka musi cechować prawdziwą piękność góralską. Zresztą, choćby był nawet szkaradny, to i tak to nad-

zwyczajne, magiczne, czarodziejskie słowo — inżynier — dodawało by mu ziemskiego uroku.

— Co by jyny sie mu Marynka uzdała — rozmyślała. — Nale czymu ni, dyć je tako piekno. — Przyjrzała się znowu córce, krzającącej się wokół chorego. Zgrabna, pełna życia, śniada cera i ciemne oczy uwydatniały się mocno na tle jasnych włosów. Chory wodził za nią oczami, a uszczęśliwionej matce się zdawało, że z przyjemnością patrzy na to piękne zjawisko.

Spyrt nakazywał jej nie wypuszczać Marynki od łóża chorego, wierzyła, że urok tej dziewczyny musi dopiąć celu. Istotnie, pod wieczór między młodymi, jakby się zdawać mogło, została zadzierżgnięta bliższa znajomość.

Gaździna wyszła do sieni, aby zemleć na żarnach trochę ziarna na żarnówkę. Położyła lampę na schodach i zanurzyła się w cieniu nad żarnami, folgując własnym marzeniom.

— Zaroz na wiosne nasadzym dwie gęsi... ji dwie kury na kurczoki — marzyło się jej — bo jakby było wiesieli, to musi być porządne. Ji ze dwie świni nie muszym wykormić, ji cieloka uchować. Jyny co by krowy nie straciły młyka; łód pyndziałku bejym zbiyrać masło na wiesieli. Wiesieli musi być huczne ji bogate, bo pón inżynier to nima tam jakisi Jozef...

Wtem coś chwyciło ją wpół i ciepły oddech poczuła w pobliżu na twarzy. Moja najmilejszo, moja najmłodszo...

Gaździno krzyknęła i wypuściła kijok z ręki, odwracając twarz do światła.

— Jozef!

Napastnik gibko wytoczył się na środek sieni i zerwawszy czapkę z głowy jął zamaszycie otrzepywać buty i „guniok” ze śniegu. Śmiał się ubawiony pomyłką, szczerząc ostre zęby, błyskające bielą w śniadych policzkach.

— Gaździnko, przeboczcie, jo se myślał, że to Marynka.

Zmierzyła go zimnym i pogardliwym spojrzeniem.

— Prawie to, żeś se myślał, że to Marynka.

— Chyba żech wóm nie ubliżył?...

— Prowda, żeś mi ubliżył! Myślisz se, że moja cera je dlo byle kogo co?

— Prowda, że ni. Jo też nima byle jaki — ciągnął Józef wesoło, myśląc, że to zwykle żarty.

— Wiysz co Jozef, powiył ci łód razu, dej pokój dziełusze, bo łóna se cie ji tak nie weźnie. Wiysz dobrze, że sie insi też za nią łoglądają.

— Wiym, nale dyc mnie Marynka już wybrała.

— Wybij se to z głowy, łóna se weź- nie jyny inżyniera.

Józef w pierwszej chwili myślał, że źle słyszy, ale groźna postawa gaździny przekonywała go, że słowa są wypowiedziane na serio.

— To nima możne.

— Prawiył ci jeszcze roz, wybij se to z głowy!

* * *

Kiedy Józef nareszcie odszedł smutny i bez słowa, szepnęła do siebie, — alech mu dała bobu!

Potem gaździna pełna słodkiej nadziei i planów krzątała się wokół bydła, nie mając czasu zauważyć, jak Marynka coraz więcej się niepokoi i częściej spogląda w okno.

Ścieżka, niby ciemna nić na posrebrzanym atlasie biegła wciąż obojętnie pusto ku lasowi. Światło księżyca nasycało białą srebrzystością wielką poać, wykrojoną między lasami w płaszczyznę geometryczną.

Marynka odrywała się od okna z wes-

tchnieniem. — Czy by sie Jozefowi co stało?

* * *

Ranek pogodny i słoneczny rozsypał iskry na śniegu. Zaiskrzył się szron na szybach rozsnutymi nitkami, niby przędza pajęcza, łowiąca do swej sieci blask słoneczny.

Gaździna pogodna jak ten poranek, promieniała dobrocią dla chorego, jak to słońce. Był już lekarz, była też sąsiadka z najbliższej chaty, leżącej o pięćdziesiąt metrów w dole, na dnie wąskiej kotlinki. Wreszcie przybyła osoba trzecia...

Gaździna, wróciwszy ze stodoły, zastała narciarkę u łóża chorego.

— To beje isto jego siostra, dyc je podobno do niego. Ji włosy mo czorne. ji ty łoczy modre...

— Pozwólcie, że was przedstawię — odezwał się chory. — Matka Marynki. najserdecznieszka kobieta pod słońcem. a to moja narzeczona.

Ta niespodzianka była najmocniejsza ze wszystkich, jakie kiedy spotkały gaździnę, toteż uniosła swoje krucze brwi bardzo wysoko i wyszła pośpiesznie z izby. Za chwilę wróciła odziana w wełnianą hackę i odezwała się do Marynki:

— Nie zapómnij zmiynić gęsióm wode w halbiji, to ci kładym na głowe, a pozapiyrej chałupe, tatulek poszli do roboty, bejecie sami.

— A kaj wy idziecie?

— Łuhalkać Jozefa!

KAROLINA RUSZÓWNA



Straszydła i miłość

Humoreska

Na polu jesiń szamotała się ze zimom. Dziki wiatrzysko wyło nocami jak stado głodnych wilków i pładowało Beskidy. Kaj załdźdźdź swoim pniorkom, tam bułały się strómy i z korzyniami, łómały się kónorziska na bukach, że z tego dziwu aż las stękoł.

Gniywali się za to na niego gojni. Szkamrały na niego baby, że im kupy nagrabiónej ścieli rozfurtoł po lesie. Dudrały na niego dziwyki, że im gasił latarnie, jak szły dojić. Zaś niemoreśne wiatrzisko jak by na spóre dźwigało im spodnice aż kansi nad kolaniska i bezkuryja chichotał się z nich kansi z wyrchów ogolonych strómów.

Nie ominył ani gorolskich chałup. Kopyrtoł się po garbatych dachach i z rufijactwa targoł szyndzioly aż wieźba trzeszczała. Jak slegioł do kumina, to była sumeryja posłóchać. Jowejczoł i skumłoł tak strasznie jak dusza potępiono, że z lękym budziły się dziecka w barłogach i kwiańczały, a ludzie też niespokojnie przewracali się na łózkach i myśleli, że się gdosi łobiesił, abo że się na polu czarci gźóm.

Dnie jednak bywały ciche i spokojne. Nikiedy z szarych chmur jak z gęstego rzesiótka cedził się deszcz, abo na wyrchi chlapła kapka śniega, kiery poradziło jeszcze zlizać mdłe jesiynne słoneczko.

W pogodne noce łoszedź biyliła wyrchi gróni, skąd fuczoł zimny wiater. Na dole było fót jeszcze kopno, ale ludziska chuchali na ręce i czuli, że zima na dobrze zaczyno mańczyć jesiń.

U Miarków mieli na polu porobióne. Zimnioczki i kwaki były już w piwnicy a kapusta też kisiła się w becze. Tu i tam na zógónach tyrczoł jeszcze jakisi tyn głąb, ale to już niechoł Miarka dło zajęcy, aby w zimie niepościępińiały. W kumorze na trokach leżoł kormik jak byk, zaś w kuminie wędziła się na pięć palców grubo szpyrka.

Miarka gotowoł się na zime i strugoł kłaczorki, co by mioł na czym po śniegu

drzewo smykać. Miarkula zaś miała pełnom głowe kłopotu ze szkubaczkami. Cera Hanka rosła jak grón i trzeba było uzbijrkować na jakisi ty pierzińska.

A z Hanki była naprowde krymsko dzieucha. Zdrowo jak dąb, silno jak kón a zgrabno jak łania. Chociaż chodziła w kyrpcach, to jednak nożyska pakaż miała szykowne jak sarna. O gębulce to już ani nie spóminóm. Krew a mlyko. Ząbki miała drobne, zdrowe i jak śniyg biołe. Nie taki połotane jako to teraz dziwczacka majóm. Katać też tam. Bo Haniczka zamiast bónbónów i słodyczy gryzła dycki smołe z jedle, kiero ji tak pięknie zęby wypolyrowała. Haniczka miała włosy po mamie, jasne jak kądziel i nosiła ich dycki pięknie zaplecione na warkocz i związane splatkóm. A czy... ty oczy to miała jak niezapóminajki, co to kole szczurka rosły i szczyrzyły się do słoneczka, a głęboki jak morze.

Nic też dziwnego, że Mrógałów Jurek nadobrze się w nich utopił. We dnie w nocy śnił o tych oczach i dusił w sobie ogiyn, kiery piyk mu serce.

W letnich wieczorach zamiast zakupkać Haniczce do kumory na łokno, to ón nieśmiały siodowoł w zogradzie pod gruszkóm, zadziwowoł se do gwiozd, w kierych widziół její oczy i na swojej harmóniji łkoł pieśniczki, w kierych była teschnica i wielko miłość.

Haniczka też strasznie rada posłóchała jego granio. W tych wieczorach wylazowała z łózka, łodziywała się do hacki i na pociynku wysiadowała. Jakosi dziwno słabota na nią dycki przichodziła. Jakby ją tóm muzyką łocarowoł. Chociaż noc kryła świat czornóm łochtuszóm, óna widziła Jurka, czuła się bliźutko niego i szeptała przez zawrzyte usteczka: — „Jureczku, Jureczku, jak cie móm rada.” Czymu nie przidziesz choć na chwilićke tu hew, ku mie?...”

Nó, ale to było hań downi przed łostatkami, kiedy jeszcze nie znała praktykanta Franca, kiery skądśi ze świata przysmyczył się do tutejszego rewiru.



Karol Piegza

Zmierzch na górskiej polanie

Zebrała się z nim pierwszy raz jak niosła wodę z potoka.

Stanył przed nią niespodziewanie w zielonym kabocie z flintom na ramię i z kućm za czopkóm.

— Czy nie ciężko im freliczko? — odezwól się pierwszy.

Haniczke aż zaciyno. Putnie na klu-kach tak się jej rozbambyłały, aż jej kapke wody z putnie gichło na chodnik. Przistanyła i podziwała się do jego jak wągiew czornych łoczy i uśmichnęła się.

— Katać też tam. Dóm rady — odpowiedziała nieśmiało i poszła.

W niedzielę były łostatki i we starej karczynie wieczór rzepoliła muzyka ło sto sześć. Hanka pośpieszyła się z łodbywanim i wymigała się do suknie, bielutkiego kabotka, opasała się nowóm czyrwionóm przeposkóm i pocupkała na dół, by się pozwyrtać i ciepnyć okym na Jurka, który wyprawioł dziwy z muzykantami na tej swojej „Heligónce”.

W gospodzie była ciżba jak na jarmarku. Dzieuchy wywodziły przy dźwierzach pod ścianóm, zaś po drugi

stronie izby stoli synczyska. Gazdowie i ci starsi siedzieli za stołami. Haniczka wylazła się ku dziełuchóm na ławę i czekała skoro muzykanci spuszczoł jakiś tyn kónsek. I nie czekała długo.

Zawarczoł bymbyn i wrzaskła trómpeta, że aż okna zabrzcynzały. Prowie kiedy Hanka błyskała na Jurka, poczuła na ręce jakisi mlasknyci. Rozpoliła się jak piwonia, bo przed nią stoł Franc, kłaniał się jej miękko i niziutko i prosił do tańca. Poszła. Ale jak tyn tańcowo! Jęweryna kany. Jak pióreczko. Haniczka była jak w siódmym niebie. Tańcowała z nim każdy kónsek. Czym deli dziwała się mu do łoczy i posłóchała jego pańskóm mowe, tym bardzy zapominała na Jurka. Kiedy już zakręciła się jej głowa od zwyrtań a może i po rozolce, kieróm ją Franc poczęstowoł, nie czekała końca i poszła ku chałupie. Ale nie sama.

Pozwoliła się mu kludzić za rękę i czuła się szczęśliwo. Kiedy po chodniku opowiadał jej o sobie te straszne przygody, jak na Słowiokach upolowoł niedź-

wiedzia, jak sie proł z wilkami, to aż dech w ni zatykało. Kiedy opowiadał jak napadła na niego dziwoko świnia i jak sóm z nożym doł se s nióm rady, to aż zbladła. Kaj też Jurek podła niego. Při chałupie nimógli sie ani rozynść. Mówił tak przeca piękne o jeji krasie, o tym jak ją piyrszy roz widzioł, jak mu serce dziwnie zapytlowało, co tak sie mu spo-dobała. Na rozłake łobłapił ją mocno i chcioł pocałować. Hanka jak wrzeciynica wykielzła mu spod rąk, wpadła do siyni i przed nosym mu zaryglowała dźwyrze. Dziepro w łózku rozmyślała o tym co to zrobiła. Serce w nij szamotało tak niespokojnie, bo czuła sie, jak mucha w pajęczynie.

Cosi w ni mówiło — dobrześ zrobiła, żeś sie nie dała pocałować. Zuzka od Miyrwy tesz sie z chałpcami całowała a dzisio musi kolybać. Zaś inszy głos ji dokuczoł: — Ty głupio. Jak sie pogniwo i już nie przidzie? Czy ci nima żółtakigo szykownego i hōnorowego synka!?

Całóm noc szamotała sie z tymi myślami aż sie ji płakać chciało. Po północy szeł Jurek z harmōnijóm na plecach ku chałupie. Szeł jak z pogrzebu. Głowe miał skulónóm a serce bolawe bo czuł, że już na dycki Haniczke stracił.

Prowie u Miarków robili wielki szkubaczki, na kiere Hanka pozywała kaj kogo. Nie zapómniała ani na Mrógałke i Jurka, kierego pytała, aby prziszeł z harmōnijóm im zagrać, by sie lepi szkubało. Ciynżko było Jurkowi odmówić kiedy tak pięknie pytała. Obiecoł.

U Miarków nazbiyrała sie kupa bob, tóż to było regotanio, śmiychu i wykłōdanie. Při piecu siedzioł Jurek i jeździł palcami po kneflach harmōnije. Kiedy już aji śpiywani sie im przijadło zaczy ślęceć po Chrzaścince, aby opowiadała im jaki bojki. Baba sie z razu okocóniała, ale jednak sie dała przemówić. Fiąkla do fortucha i cicho sie zrobiło, że byś szwoba słyszol maszyrować po powale.

— Na tóż opowiy wóm ło straszidłach, ale to nima bojka, jyny szczyro prowda. Byłach jeszcze wtedy taki szkwet, z dziesięć roków zech miała, kiedy ludziska łopowiadali, że při krżiżu wedła stowka straszy. Jedni prawili,

że sie tam śmierć w nocy pokazuje, a drudzy zaś tuplowali, że sie jim diobol ukozoł. To wyicie strachu były pełne spodnice. Był ale w dziedzinie chłop, kiery sie tam żodnych strachów nie zlynknył. Był to Łotręba ze Snozy. Robowoł chłopisko na pańskim i nieroz przechodził na ścimiwku kole krżiża, a nic go jakosi nie postraszyło. Aż roz siyk na łączce łotawe, a po robocie stawil sie do szwagra Motyki, kaj sie zafuloł tak dłógo, aż sie zećmiło. Miesiączek był prowie w nowiu i na deszcz sie zbierało, tóż ćma było jak w miechu. Łotręba chynyl kose na ramie i pognoł ku chałupie. Kiedy prziszeł ku krżiżu, naroz skąd sie weź, tu sie weź, diobol stoi. Łotrębowi włosiska sie zjeżyły na głowie i kroku nimóg zrobić tak mu jakosi ty klączory stwierdły. Naroz porwoł kose, zagiyrzył sie i chcioł rąbnóć diobła przez łeb. W tym diobol szasnył go mietliskym tak strasznie, aż sie Łotręba przewrócił. Kosa wypadła mu z ręki i poczuć jak go cosi pod hyrtón chyto i chce dusić. Bić sie z diobłym to była opowaga, ale Łotręba sie nie doł. Wpadli jedyn na drugigo jak wilki i zaczyli sie młócić. Kiedy już ale Łotrębowi zaczyno bulić, zaczoł pytać:

— Nie zabijej mie dioble, miyj śmiłowani nad mojódm rodzinóm.

Diobol popuścił i zaczoł też pytać: — Puść mie śmiercio, puść. Jo jeszcze chcym żyć. Pyty, pyty!

Łotręba sie wytchnyl kiedy słyszol ludzkóm mowe i pytoł sie trzęsącym głosym:

— Coś ty za jedyn?

— Jo je kuminiorz Łamacz, idym z roboty. A tyś nima śmierć?

— Ni, jo je Łotręba.

Łobo wpadli do siebie z radości i zaczyli sie ścisnąć, bo jeszcze przed chwilą myśleli, że to je jejich łostatnio godzina.

Łamacz z tej uciechi pozwol Łotrębe do karczmy na achtliczek. Kiej wlyżli do szynku, to gospodzko chciała łoknym wyskoczyć co tak sie ich strasznie zlekła. Obo byli tak zafultani łod sodz, że wyglądali na diabłów. Było wóm też to śmiychu po dziedzinie, ale od tego czasu już při krżiżu nie straszy, chociaź iść w nocy je tam jakosi łotympne.

Chraścinka skończyła opowiadać i na chwilę było cicho. Potym zaczęły baby łomiyał straszdyła i prorokować, co by sie stało, gdyby Łamacz zadusił Łotrębe.

Hanka co chwila pogaładyła ku łoknu za kierym rozlywała sie noc czorno jak czernidło. Kiedy na godzinach pizła dziesiąto, wytraciła sie po cichu do siyni, porwała z klinka kozuszek i wypoliła przed siyń.

— Jeżeś tu? — zaszeptala cicho.

— Je! — odezwol sie Franc. Przistybala ku niymu i podała rękę, kierom on już nie puścił.

— Wyfurkłał jyny na chwiličke, aby baby nie poznały, że sie smykóm. — Zaszczyrkala wedle niego. Była rada, że prziszeł i że beje móglą mu dać tóm puse, aby poznoł synek, że je z ni dzieucha a nie piyń.

Szli se pięknie szpacyrkym ku Mrógałowej zogródzie. Łopowiadali se o szkubaczkach, kiedy Hanka chciała zacząć z inszej beczi, bo jeji serce uwziynało sie czegosi słodciejszego.

Naroz Franc stanął jak słup i wrzaskynył chrapliwie:

— Śmierć, uciekejmy!

Przed nimi naprowde cosi sie biylało. Haniczka porwała mu z ręki łoske i szasła po biołej postaci. Łoska skielzła po piszczalach i śmierć ani sie nie ruszyła. Strach piznył na nie i już chciała sie chycić Francowej ręki, ale tego już downo nie było. Z daleka słyszała jak dudnióm jego kroki i wołani:

— Uciekej, uciekej!

Franc polecioł na przejmo jak bez głowy. Naroz sie zaszmatłoł na jakisi karkoszce i strzelił seboóm do marasu. Wtym gruchło z jego flinty i Hanka boleśnie jękla. Cosi spoliło ją w noge.

Jak kury przed jastrzębym wypłoszóni i bladzi wpadli po jakisi chwili łobo do izby z wrzaskym, że przy płocie u Mrógały stoi śmierć. Baby porwały sie od stołu i zajowejczyły ze strachu. Kierosi sturzyła do stołu, tyn sie przewrócił i piyrzi rozleciało sie po całej izbie. Jurek porwoł latarke z pieca i z puczokym w ręce wypolił na pole. Za nim poszeł Miarka, kierymu fajka zaczyna sie dziwnie trzónść w zębach. Baby kupóm wypadły za nimi. Kiedy Jurek dźwignył latarnie, zhyrkli sie wszyscy i gichli

śmichym. Na płocie wisiała Mrógałczyno koszula.

— Toć mómy morowego gojnego kieru sie koszule boi — bąkla kierosi z chichotym. Żółte światelko latarni zozdrziło na Franca, kieru sie rozpolił z gańby jak szyna i stracił sie we ćmie, jakby sie zymia pod nim zapadła.

Baby ze śmichym wróciły sie ku szkubaniu, jyny Hanka ni. Usiadła na zorebie i rozplakała sie gorsko. Ciyrpko była to dło ni pigułka, kierom musiała połknyć. Przechdziła na oczy i poznała odwagę Franca, kieru sie ani niedźwiedzia nie boł i zagańbiła sie przed sobóm za to, że mu tak prędko uwierzyła. Chciała stanyć, ale nimógła. Po nodze jak by ji mrowce góniły i czuła, że cosi ciepłego leje sie aż do kopytka. Dziepro teraz sie spamiętała, że je ranno i rozplakała sie jeszcze bardzi.

Jurkowi było ciężko na sercu. Widzioł, że już nimo kómu grać, zebroł sie i szeł ku chłupie. Kiej już dochodził ku chałupie, posłyszol za seboóm jakisi cichy jęk. Poznoł Hanke.

Co ci sie stało! — blaknył do ni nieśmiało.

— Jureczku, pumóz mi stanyć, bo mie Franc podstrzelił — z płaczym powiedziała.

Jurka jakisi straszny żol popod za serce. Wzión Haniczke na ręce jak ptozka wypadniónego z gniazodka, przytulił do siebie i zaniósł do swoi izbeczki. Spod powału petryłolka ciepnyła snop żółtego światła na jeji zapłakane oczy. Z łydki ślepiąla ji fórt jeszcze krew. Jurek, kieru przy wojsku nauczył sie feiczerstwa, zbadol rane i uznoł, że kość je cało. Cyknył lizolu do wody, wymył rane. Hanka jękla z bólu, zbladła jak plótno i zawrzyła oczy. Kiedy bandaż zabielił sie na jeji nodze, poznoł Jurek, że Hanka zymdlała.

— Haniczko, nie umyorej mi. Dyc jo ciebie móm tak strasznie rod. Jyny nie umyorej. Kogóż bedym mioł? — zaskumłoł żałośnie i zaczął sie mazać jak mały chłapiec.

Potym Haniczka uśmiychnyła sie na niego przez łzy i pogłoskala go ciepłym wzrokym, kieru by poradził rozpuścić gore lodu.

ADAM WAWROSZ

DWIE GODKI

Panie hajer, długo jeszcze móm do pyndzyje

Roz na Betince, a było to jeszcze za Austryje, prziszedł robić taki młody synek, a był aż z Błyndowic. Bardzo się mu tam do tej dziury nie chciało iść, bo był z dziedziny. Tóż jak piyrszy roz jechoł tóm szolóm na dół, tak się strasznie boł i porząd się żegnoł. Dostoł sie ku jednemu hajerowi za taczniaka. A że tam było strasznie nisko, tak się bardzo pocił i narzykoł. Pleca i kolana miał odrzyte, że się ś nich aż krew loła. A z pełnymi karami to co chwila spod pod bón, bo jeszcze nie był zwykły na to karowani. Po cichu, co hajer nie widzioł, to se i po boku popłakoł i na swojóm mame spómniół, ale co miał robić? Uciyc nie-szło, bo się boł a pod szachte nie trefił i tóż co mu zostało inszego, jak ty kary dali smykać i nos do rękowa od koszule uciyrać.



Jak tak było już pół szychty precz, odłożył hajer kilof, poprawił galaty co miał podpasane sztyrokiem opaskym, strziknoł przez zęby na sztus, obetrzył rękóm pot z czoła, sięgnół do plewnie w kabocie, co miał zawieszony na sztympłu i wyjón chlyb. Potym siednół na kamiyniu, rozpakowół chlyb ze swaczy-niorki i prawi:

— Tak synek, niech ty kary a troche pojydz!... Jisto żeś jeszcze ani na to jedziny nie zarobił i miałbyś nie jeść, ale myślým, że się od jutra poprawisz i to dzisiejsze nadzynieasz!

Potym wypluł z gęby śliwke i zaczón pogryzać suchy chlyb i zapijać czornóm kawóm.

Synkowi się tam od tej utropy ani jeść nie chciało, ale hajer kozoł, tóż musioł postóchać. Siednół na kary, rozpakowół jedziny i zaczón jeść. Miał stryka ze zimnioków, co mu rano mama na tóm piyrszym szychte na lepszym upiykła i troche czarnej kawy we fenflaszce. Stryk był zimny i mazglaty i ani mu bardzo nie szmakowół. Ale było trzeba jeść, tak jod i nosym pocióngoł. Jak już tak chwile z tym hajerym jedli i nic nie mówili, jyny mlaskali, naroz tyn synek obetrzył se rękóm nos, obrócił głowę ku hajerowi i takim płacziwym głosym prawi:

— Panie hajer, długo tak jeszcze musimy robić, abych dostół pyndzyj?

Hajerowi aż chlyb z ręki wypod jak to usłyszół a potym się zaczón śmiec, aż z tego kamiynio, na kierym siedzioł, spod. Po tym wszystkim hajer powiedział tak:

— Ja synku, ty ledwa pół szychty robisz a już się o pyndzyj pytosz, a co ja mom powiedzieć, jak już tu trzicet rokóf w tej dziurze haruję. Tak hónym to z tóm pyndzyjóm nie idzie. Pomalutku przywykniesz, przestaniesz płakać a potym na tóm pyndzyj zapómnisz.

Dyc jo się głosił lewóm rękóm a nie prawóm!

To jak mój nieboszczyk staryk chodził do szkoły, to opowiadał, że był taki inszpechtór co miał strasznie rod jak się w klasie wszecki dzieci głosiły. Potym takigo rehtora albo kierownika strasznie chwolił i stawioł drugim na wzór. A wtedy mojigo staraka uczył jakisi młody rehtór a był to straszny miglanc.

Jak sie jyny dowiedzioł, że mo prziść do szkoły tyn inszpechtór tak zebroł dzieci w klasie i tak do nich przemówił:

— Dzieci, w tych dniach przyjedzie do nas pón inszpechtór. Tak jak sie was co zpytóm, tak sie musicie wszecki głosić. Ci, co bedóm umieli, ci podniesóm prawą rękę, a ci co nie bedóm umieli, ci podniesóm lewą rękę. Ale pamiętejcie, aby sie mi wszyscy głosili, bo jak kto zapomni, tak mu tak potym narznym, że tydzień nie bedzie mógł siedzieć na ławce.

Potym zrobił próbe z tym głoszynim i puścił dzieci dudóm.

Jakosik za dwa dni przyjechał naprowde inszpechtór w kolasie do szkoły. Kierownik w tym dniu se oblyk stary frak co miał jeszcze łód ślubu, zaś dzieci posypały kwiotkami cały stopiyn. Inszpechtór był rod, że go tak honorujóm i tóż nieprzód zaszł do kwartyru do kierownika, aby se łobetrzył bótki łód prochu i zjod przedobiodek, potym łoglóndnół w zogradzie ule, pofuloł z kierowniczkóm, kiero sie na niego porząd łusmiychała a nakoniec szel sie też podziwać do klasy kaj uczył tyn młody rehtór. Dziecka jak na komando stanyły w ławkach, wybałuszyle łoczy a potym jednym głosym zawołały:

— Witómy u nas pana inszpechtorze!

Inszpechtór sie łusmiychnył, pokręcił pod nosym fusa i powiedział:

— Dziękuję wam kochane dziatki!

Potym siednół za stołym, wyciógnół z kapsy hruby notes, położył go na stole, klepnół łółówkym łó stół i prawil:

— Tak proszę naczać panie nauczycielu!

Młody rehtór zapión se kabot na wszecki knefle, poprawił bindlym pod karkym i zadoł piyrsze pytani. To wyicie, że sie zaroz wszecy głosili. Rehtór wywołał jednego chłopca, tyn stanół i pieknie łodpowiedzioł. Inszpechtór kiwnół głowóm a chłopiec se zaś siednół w ławce. Szło wszecko jak na szpagacie. Rehtór zadowoł pytania a wszecki dzieci w klasie sie głosily. I łodpowiedzi też byly dobre.

Tymu inszpechtorowi to jednak było dziwne, że taki młody rehtór a tak do-



brze uczy i tóż jyny łokulory do kabota łociyroł i posłóchoł. Potym jednak stanół spoza stoła, położył tymu rehtorowi rękym na ramiyniu i prawi:

— Pozwólcie panie kolego, że jo sie o coś dzieci zapytam!

Tyn rehtór jak to uslyszoł, łomało sie na tym stopniu nie przewrócił, ale co mioł robić, przeca inszpechtorowi nimóg powiedzieć — ni!

— Proszę, panie inszpechtorze!

Tak tyn inszpechtór stanół między ławkami, poprawił łokulory na nosie i zadoł dość ciynszki pytani. I wierzcie abo ni, zaś wszecki te dzieci zaczyły sie głosić. Zdziwiło to tego inszpechtorze, ale nie doł po sobie nic poznać, jyny sie rozglądoł po klasie i wywołał takigo niejmiynszego chłopca w klasie. Tyn sie zaczyrwyinił, potym zblednół, stanół w ławce i prawi:

Na dyć jo sie panie inszpechtór głosił lewóm rękóm, a nie prawóm! Tak mi dajóm pokój!

To wyicie, że tyn inszpechtór hnet wiedzioł kiero bije i tóż sie już więcej tych dzieci nie pytoł. Jyny potym dobóróm godzinym siedzioł z tym rehtorym w kancynaryji i strasznie po nim krzyczoł. Łód tego czasu sie dzieci głosily jyny prawóm rękóm.

KAROL PIEGZA

Z humoru ludowego

Kumedyja z kobyłami

Starymu Pawłowi Byrtusowi z Mistrzowic zachciało się nowego kónia. Zniepodobala się mu naroz jego leworęczno kobyła, że to jest niby za mało i ku praworęcznemu Kasztanowi nie pasuje. Tóż roz wczas rano, kieć kónski targ miał się odbyć w Cieszyinie, jeszcze w łózkę prawi do baby:

— Idź mi, matko, nagotuj śniodani, bo dzisio po kónia na targ do Cieszyna jadym.

— Na, cóż się ci tak strasznie tego kónia zachciwo?

— Dyc wiysz, żebych się chciół kobyłczacko wymiynić za kónia. Podle praworęcznego je za mało, a potym, dyc wiysz, tak się mi jakosi diobół zniepodobala.

— Zrób się jak chcesz — prawi Byrtuska — ale abyś jyny za diobła czerta do chałupy nie przykludził!

I Byrtus stanół, pośniodół, zaprzagnół kobyłę do koszyiny, śmignół biczym i pojechał na kónski targ do Cieszyna.

Na Saksynberku stanół przed gospodóm, kobyłę powiesił na głowie miech ze sianym i stawil się na to bożedejzdrowi, bo przeca gardło troche przepłókać nie zaszkodzi.

I ledwa się tak wygodniejszy siód za stołym, ledwa się tak odgrzebnół fusa, aby się mu w półkwaretce nie zmoczył, a tu prrrrr! przed gospodóm stanół stary Jura Chałupian z Wielopolo, co też z kobyłóm na kónski targ jechał.

— Nale, wycie ludzie, to my się zebrali! Każ jedziesz Jura? — prawi stary Byrtus.

— Nale, jadym ci na targ, Pawliczku. Kobyłę chcym sprzedać, bo je ku moimu praworęcznemu za wielko. A ty każ jedziesz?

— Moji kobyłczacko je zaś za mało, tóż jadym na targ po większego kónia.

— Toć też dobrze, że my się tak spotkali! Siodej, wypijmy się po półkwaretce, a potym pojadymy na targ. We dwoje będzie się nómi lepszey kupować!

I tóż się społym siedli i popijali. Ale że to bożedejzdrowi szmakowało jednemu i drugimu, tóż gospodzko przinosała, a gazdowie popijali i rozprowiali, że się ani nie spamiyntali, a już był wieczór.

— Nale, Paweł — prawi Jura, kieć na godzinach kukułka wykukała siódmóm godzinie wieczór — dyc my mieli jechać na kónski targ, a my tuki calutki boży dziyń przeholofili!

— Mosz ty, Jura, prowde, ale teraz i tak już mómy nieskoro. Jyny co z kobyłami?

— Z kobyłami, Pawle, jako z kobyłami, ale, żebyś raczy rzyk, co z naszymi babami!?

— Mosz ty, Jura, prowde! Dyc nómi nasze rebeki zrobióm w chałupie taki wiesieli, że go dłogo popamiyncymy!

— Co tu robić? Co tu robić? — suszył się głowie Chałupian.

— Hm! mruknół na to Byrtus pod nosym i ucichnół.

A potym dość dłogo żodyn z nich nie mówił, jyny każdy rozmyśłół, jak z tej bryje wylyć, kierej się sami nawarżili.

Naroz się jakosi Byrtusowi rozwidniół w głowie, bo się rznół rękóm po kolanie i prawi do Chałupiana:

— Już wiym, Jura, co zrobimy!

— Na, tóż co?

— Ty mosz wielkóm kobyłę, a chcesz miynszóm, jo mómi małóm kobyłę, a chcym większóm. Ty mosz takóm, jakóm jo chcym, jo mómi takóm, jakóm ty chcesz. Tyś nie kupił, joch nie kupił, wiysz co? Zahandlujmy kobyły i zbyte!

— Juj, aleś ty to dobrze wymyślił, Pawliczku! — prawi Chałupian.

— Tóż zgoda? — pyto się Byrtus.

— To wiysz, że zgoda!

I teraz Byrtus z Mistrzowic wziół pod pażę Chałupiana z Wielopolo i szli uradowani przepragnół kobyły. Paweł do swojy koszyiny zaprzagnół wielkóm kobyłę Jury, a Jura zaś do swojy koszyiny miynszóm kobyłę Pawła. Potym dali

kobyłóm po kasku siana i zaś szli do gospody przepić hałdamasz, że sie im tak dobrze handel podarził.

I zaś szwarnie pociągali.

Kiedy już mieli oba porządnie pod myckóm, zapłacili gospodzki za wypite bożedejzdrowi, z wielkim stękanym włoż każdy do swoji koszyzny, mucli na konie i jedyn za drugim pojechali ze Saksynberku cysarskóm ku chałupie.

Aż pod żukowski kopiec pośpiywowali se wiesioło i pokrzykowali na siebie, ale potem sie każdymu jakosi słodko zrobiło, oczy sie jedynmu i drugimu pocihutku zamkły, Paweł i Jura klapli se wygodnie każdy do swoji koszyzny i spali tak słodko, jak jeszcze nigdy.

A kobyły szły, każdo ku swoji chałupie. Wielko kobyła Jury Chałupiana z Pawłym Byrtusym z Mistrzowic ku Wielopolu, a miynszo kobyła Pawła Byrtusa z Juróm Chałupianym z Wielopolo ku Mistrzowicom.

Ćma już było szwarnie, kiedy sie Paweł Byrtus obudził w koszyynie przed chałupóm. Zaburził na okno, baba mu otworzyła, ani z nim wiela nie mówiła, jyny sie mu po ćmoku pómógła posewlykać, nó i poszli spać. A kobyła? Na, pacholek wyprzagnół i zakludził do masztale.

Rano, kiedy jeszcze ćma było na dobre, baba sie obudziła, a że jóm język śwyrbił, tóż zaczyna chłopu robić kozani za wczorajszy dziyń. Byrtus sie budzi, otwiyro oczy, ale nimoże sie spamiyntać, bo głos baby jaksi dziwny. Cosi ji tam odpowiedziół, ale teraz i babe tknyło: chłop jakosi dziwnie mówi! Isto moc wypił, bo sie mu głos zmiynił.

I tak sie przeżyrajóm, przeżyrajóm, aż babie zaczyno cosí w tej chłopski rzeczy nie pasować, tóż skoczyła i rożła światło.

— Lokrystaboga! Na kiż dioból sie mi stawio na oczy? — wrzeszczy baba.

— Cóż to za stwora w moim łódku? — pyto sie Byrtus samego siebie.

— Jo ci dóm, dioble stodiysi, w twoim łódku! Mów, coś za jedyn i skóndeś sie tuki wziół?

— Mów jyny ty, coś za jedna i skóndeś sie tu wziyna!?

— Joch se jest przeca we swoji chałupie i we swoim łódku. A ty coś za jedyn?

Pawłowi, kierymu to wczorajsze bożedejzdrowi wyhócało już przez noc z czepani, zaczęło cosí rozumniejszego chodzić po głowie, tóż mówi do baby:

— Tak my se teraz pomów rozumnie. Jak sie nazywosz?

— Jo? Na, Chałupianka z Wielopolo.

— Co? Chałupianka? Z Wielopolo? A kaž je moja baba?

— Tóż, a ty jak sie nazywosz? — pyto sie zaś baba.

— Jo? Na, Byrtus z Mistrzowic.

— Co? Byrtus? Z Mistrzowic? A skóndeś sie tuki wziół?

Byrtus jyny trze czoło i naroz mówi:

— Chałupianka z Wielopolo? I to tuki je Wielopoli?

— Toć Wielopoli!

— Tózech teraz je dziepro dóma! Dyć my se wczora w Cieszynie z Chałupianym, mojim dobrym kamratym, zahandlowali kobyły, potym my cosí wypili. a kobyły szły se oswe i na śpiączku nas zawióżył każdy do swoji chałupy. Naledyć puknym! To Chałupian zaś społ z mojom babóm!

Potym sie Byrtus wartko oblyk, przeprosił Chałupianke, pośniodół dobrze, bo mu gospodyn nasmażyła szpyrek, do koszyzny zaprzagnął kobyłę, śmignół po ni i pojechał do Mistrzowic.

Prowie na cysarski ceście spotkali sie z Chałupianym, kiery już też jechoł z Mistrzowic ku Wielopolu. Zatrzymali sie na chwile i powiedzieli se, jak sie to oba dzisio dobrze wyspali.

— To bych se nie był nigdy rzyk, że zahandlujemy nie jyny kobyły, ale i baby! — powiedziół Byrtus do Chałupiana i rozjechali sie każdy ku swoji chałupie.

* * *

Dziółcha jest podobno do dzwónów we wieży.

Jak mo szesnosc roków, to mówi jak tyn największy dzwón:

— Jyny tyn! Jyny tyn! Jyny tyn!

Jak mo osiymnost roków, to mówi jak tyn miynszy dzwón:

— Tyn, czy tyn? Tyn, czy tyn! Tyn, czy tyn?

Jak mo dwadzieścia roków, to mówi jak tyn mały dzwón:

— Byle kiery! Byle kiery! Byle kiery!



A jak mo po trzydziestce, to repci jak kónajączka:

— Byle kiery, byleby jyny był! Byle kiery, byleby jyny był!

* * *



— Czymu żebrokwowi chlyb spadnie dycki tym niepómazanym na dół?

— Nie wiym.

— Bo nigdy ni miał chleba pómazanego!

* * *

Szoł gorol z obłóńkóm na plecach po śmietónke na szałas na Kozubowóm. Obłóńke miał zawiązanóm w dzichetce. Jak sie tak dropie do grónia, naroz sie sznórki od dzichetki urwały i obłóńka poleciała na dół. Gorol stanół, dziwo sie

za obłóńkóm, a jak łupła do piyrszego buka, to rzyk: — Do diaska! Jak łupła do drugigo, prawil: — Do sto diabłów! A jak łupła do trzecigo, zamamroł: — Do tysiąc diasków! I tych tysiąc diasków obłóńce pómógło, bo sie rozleciała na ograbki.



* * *

Złómoł gorol rękę i leży w szpitalu. Po miesiácu mówi dochtór do gorola:

— Ho-ho-ho! Jak sie wóm ręka wygoi, to bydziecie grać na skrzypcach aż hej!

— Naprowde, panie dochtór?

— Naprowde!

— To sie cieszym, panie dochtór, żech se te rękę złómoł, boch jo po teraz nie umioł skrzypiec ani do gorści chycić!



* * *

Przed ślubym synek mówi do dziol-
chy:

— Dziwej sie, złoteczko, przed tobą
błoteczko!

Zaroz po ślubie:

— Dziwej sie, złotko, że tuki błot-
ko!

Rok po ślubie:

— Dziwej sie, złoto, że leziesz w bło-
to!

Pięć roków po ślubie:

— Dziwej sie, mamlasie, że brodzisz
w marasie!

A po pięciu rokach już nie powiy ani
tela.

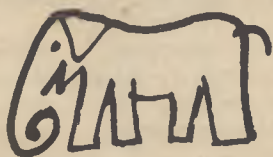


Był odpust na Kozubowej, tóż piekorz
z Jabłonkowa niós do schroniska bułki
i okrągłe pecynki chleba w piekarskim
koszu na plecach. Kiedy był nad Liścim,
kąsek od schroniska, szerka przy koszu
pękła, a bułki i pecynki kulały sie i sko-
kały na kamiyniach po grapie spadki ku
Liściu. Bułki wysoko, pecynki jeszcze
wyży. Stanół piekorz, słożył ręce i mó-
wi: — Tym małym głuptokóm sie nie
dziwiym, że skoczóm, ale że ty wielki
byki głupnóm, to mi jakosi do głowy
wlyżć ni może!

JÓZEF ONDRUSZ

Rysunki Władysława Cejnara

Z dzichty Macieja Mądrale



Jak zech był mały, toch był z ojcem
w ogrodzie zoologicznym. Uwidzieli my
tam słonia. Prawiym tatowi:

— Tako gróbo skóra, jaką mo tyn
słoń, to by sie nóm obóm przydała. Mie
jak rehtór bije, a ciebie jak mama wali!

* * *

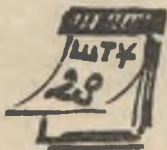


* * *



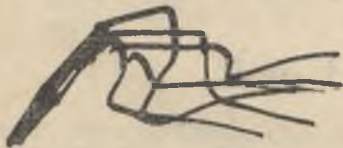
Roz my sie uczyli o trzęsiyniu ziymi. Jakzech prziszeł do domu, toch usłyszoł straszliwy harmider. Prawiym do matki: — Jyndrys maryna, to u nas už też jest trzęsiyni ziymi? Taki był rajwach, że sie mi zdało, że sie cały dóm wali. A to wóm nic takigo nie było, jyny sie sąsiadka pytała swoigo chłopa kaj był tak długo!

* * *



Pytali sie mie roz, kiedy moja staro nejmiyni mądruje. Jo jim prawił na to, że w lutym. Bo luty mo jyny dwacetosiem dni.

* * *



Pytóm sie sąsiada: Macieju! — Czy mu zaś walicie waszego Jure, czy co wymamlał?

— Ale nic takigo, — prawi mi Maciej — dzisio jadym na jarmark do Fryszto-ta na pore dni, a jutro przyniesie Jura świadectwo.

* * *

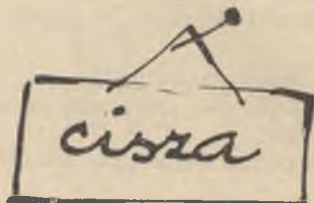
Stary Warzecha zostół oskarżony za to, że ukrod aptykorzowi pierzyny. Syndzia sie go pytoł: — Warzecho, czymuś-cie akurat ukradli pierzyny?

— Bardzo ich pięknie proszym, panie syndzio — usprawiedliwiół sie Warze-

cha — ale dyć mnie staro pytała, abych ji z aptyki przynioś co na spani.

* * *

Pytoł sie mnie doktór: — Macieju! łód kiedyście zmiarkowali, że waszo baba je nimocno?



— Łód wczora, panie dochtór, bo sie przestała zymnóm wadzić.

* * *

Pytała sie mnie roz jedna paniczka, czymu mlyko od naszej krowy je taki wodniate. A jo ji prawiym na to: — cóż móm robić, dyć fórt padze, to krowy zmokły.



* * *

Jedyn dochtór szeł przez naszą dzie-dzine i wołoł na Jadama: — Hej, Jadamie, to już nie poznacie swoigo dochtora?

— Panie dochtorze — tłumaczył sie Jadam — dyć zech myśłoł, że sie na mnie gniywajóm, za to, zech już tak downo nima nimocny.



* * *

Jeszcze starzik mi łopowiadali, że jak we Wiydniu żyli pón cysorz, to sie do-

wiedzieli, że w Bukowcu żyje chłop, kiery mo 105 roków. Tóz cysorz kozali se go przywołać do Wyidnia. Jak przyjechał, tak sie go pytali, jak to robi, że tak dłógo żyje. A chłop prawi na to:

— Po piyrsze, żech sie nie ożynił, po drugi żech moc nie jodoł, po trzeci żech kwitu nie pił. Ale jo wóm powiyim, że joch jeszcze nima tyn nejstarszy, bo mój brat mo 110 roków.

A cysorz na to: — A czemu ón nie przyjechał?

Chłop: — Bo nimóg, po piyrsze go baba nie puści, po drugi sie objod a po trzeci leży ożrały jak bela.

* * *

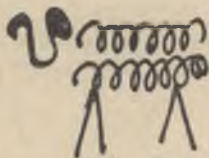


Roz wloz dochtór do jednej chałupy i widzioł tam cieie w kuchyni. Tóz prawi do chłopca:

— Nale człowieku, dyć to przeca nima higienicznie mieszkać w jednej izbie z cielokym.

— Nale, nale, panie dochtorze — prawi chłop — dyć już tela roków żyjemy z cielyntami, a jeszcze nóm żodne nie zdechło.

* * *



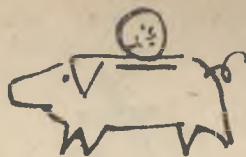
Roz sie mnie pytoł nauczyciel: — Po-wyidz mi Maciej, co sie robi z wełny? A jo prawiym: — Z wełny sie ro... ro...

Rechtór chcieli mi pomóc, tóz sie spytali: — No z czego je twój kabot?

— Z tatowych galot — prawiym.

* * *

Jura je straszny szpormajster. Na lato dzwiryze zdejmuje z bantów, aby sie nie drzyły. Na noc godziny zastawio a



jego Zuza jak se pazury u nóg strzigo, to se przy tym, ani pónóczoch nie sebyko.

* * *

GOSPODA

— Dwo furmani oddaleni są od siebie o 1 kilometr. Drugi furman jedzie o 50 metrów na minutę przyndziej niż piyrszy. Kiedy nastąpi spotkanie — pyta nauczyciel.

— W najbliższej gospodzie — odpowiada uczeń.

* * *

Alojz siedzi w cugu, naprzeciwnie nie-go siedzi jedna młodo dzieucha, kiero sie mu strasznie podoba, a nie wiy jako by z nią zacząć mówić, i tak ji prawi:

— Łóni mają, ale małe a zgrabne ręce freliczko.



— Myślóm — odpowiada dzieucha.

— Na isto — mówi dali Alojz. — Jo myślę, że jak kiedy ziają, to isto muszą obydwie ręce przed gębą dzierzeć.

* * *

2

Jednego dnia przychodzi baba z dzieckym do Jabłónkowa do dochtora.

— Fantazyrowało dziecko w nocy? — pyto sie dochtór.

— Dwa razy, panie dochtór, ale strasznie ciynko.

Po wypłacie poskym, jaką dostol
Francek od taty, zaczyno tak rzykać:



— Panie Boże nie dej, aby tatulek
mieli więcej dziecek, bo sie i tak nie
umią z nimi obchodzić.

* * *



Gdyby naszego buchaltera nie było w
biurze, to moglibyśmy przez cały dzień
wygodnie spać.

— Jak to, jest taki straszny służbista?

— Katać też tam, ale on straszliwie
charczy.

* * *



— Ty staro, jo tyn nasz młynek na
kawę sprzedóm! —

— A czym bedymy mleć kawę? —

— No, jo ci bedym suł kawę do gym-
by, abyś nie mleła po próżnu.

* * *



Alojz spotyko Michoła z wielką grusz-
ką na czole i pyto sie go, co zrobił.

— Ale przedstow se — odpowiada
Michoł — moja staro tłóczek mi na gło-
we chynęła.

— No a nimóg żeś sie troche zegnóć?

— Jo sie zegnół, ale ona z tym racho-
wała.

* * *

15 x



Przychodzi jedna paniczka do sklepu,
w kierym prawie była inwentura.

— Co tu mocie — pyto sie kobieta.

— Inwenture — odpowiada kupczyk.

— Dają mi 15 metrów!

* * *

— Wiela mo wasza krowa dziynnie
mlyka?

— Osiem litrów.

— A co robicie z tym mlykym?

— Dwa litry wypijymy a 10 litrów
sprzedómy!

* * *



Jyndrysa strasznie boloł ząb. Poszel
do Jabłónkowa do dynstysty, aby mu go
wyrwoł. Ale co dynstysta chycił ząb
klyszczami, to go dycki Jyndrys chycił
za rynce ze strachu. Dynstysta zawołoł
swoigo pomocnika i prawil mu po cichu:

— Weź jegle a jak jo bedym miol
pociągnąć, to pichni Jyndrysa do sie-
dzyńio. Tak sie też stało. Jyndrys sie
chycił za to miejsce, kaj go pomocnik
pichnył. Ząb był wyrwany. Pokozoł mu
go. — Tyn musioł mieć wielki korzyń,
bo jak go targali, to mie aż w siedzynie
zabolało!

* * *

— Panoczku nimajóm tu pisma na
poste restante? M 106? — Nima, jest tu
pismo na MMMM 100. —

— Dajóm mi go. To będzie do Macie-
ja, bo ón sie zajynkuje.



* * *

Moja baba przyszła roz do dochtora i skarżyła sie, że nimoże spać. Tóż chciała prószek na spani. — A jaki prószek — pyto sie dochtór — na spani, czy na błechy?



* * *

— Czytałach w gazecie, że z rybigo miynsa człowiek nabywo rozumu.

— Maciej, co myślisz, z jakich ryb miała bych jeść miynso? —



— Tobie bych radził zjeść aspón ze dwa wieloryby.

* * *

— Każ miół łoczy? — szepce Francek koledze po wiesielu. — Ślepo, koślawo, idź mi z taką babóm. —

— Możesz mówić głośno, óna je aji głucho!

* * *

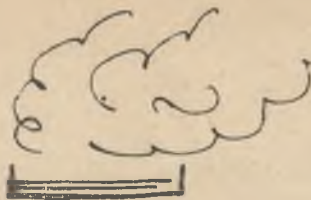


Fojt chycił Macieja w zogrodzie, jak mu jabka obiyról.

— Nima cie gańba kraść jabka? Gdyby to twój tatulek wiedziół, to by ci skóre wygarbowoł! —

— Ka... ka... katać też tam, dyć mój ta... ta... tatulek, sóm hy... hynaj na ostatni ja... jabłóni.

* * *



— Co to jest para?

— Panie nauczycielu, to je woda, co sie poci.

* * *

Nie wstydziecie sie w takim wieku ja-koście wy są a kraść?

— Panie sędzio, przeboczą, dyć jo już jako chłopiec też krod.

* * *

Do kościoła przyszła pora nowożyńców. Żynich pijany, że ledwo stoi na nogach. Ksiądz prawi do niewiasty: — Przidźcie jutro, pijanymu przeca nimo-gym dać ślubu. — Młoducha na to: — Se myślóm, wielebny panie, że ón za trzyżwa przidzie ku ołtorzu?

* * *



Pyskato Zuza ciyngiym sie wadzi ze swoim chłopym. Tózech ji poradził, aby sie rozwiódła. — Ja, tyś je mądry — prawi mi na to — aby se potym robił, co bedzie chciół.

MAMAMACIEJ





KALENDARZ „ZWROTU” na rok 1957
Rocznik IV

Redaktor: PAWEŁ KUBISZ

Komitet redakcyjny: Bogumił Goj, Henryk Jasiczek, Józef Mrózek

Okladkę wykonał Franciszek Szoltyś

Ilustracje tekstowe: Władysław Cejnar i Gustaw Fierla

Nagłówki do kalendarium: Inż. Leopold Wałoszek

Zdjęcia: Vl. Čudka, K. Piegzy, A. Wawrosza i archiw „Zwrotu”

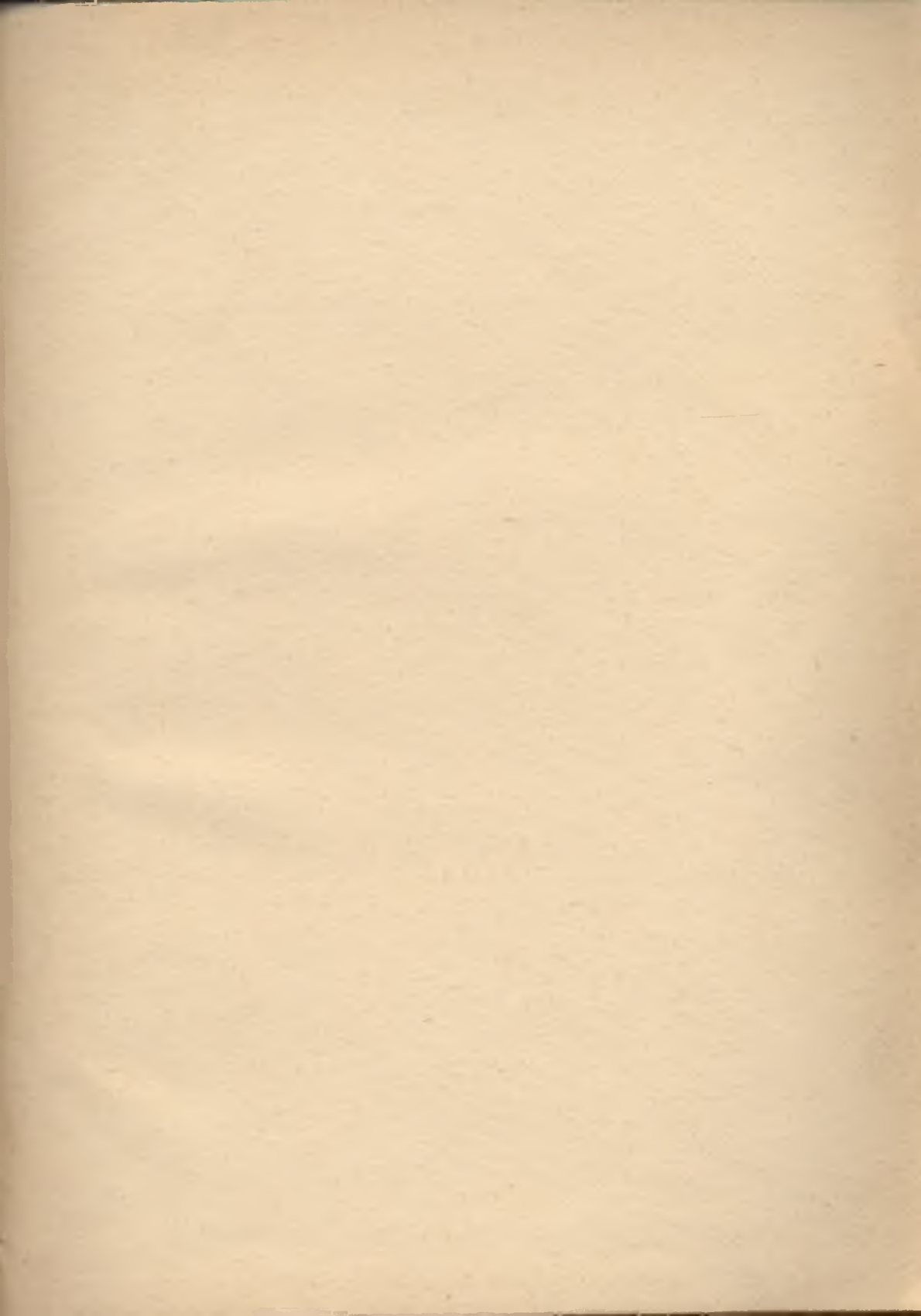
Kalendarium opracował prof. dr Karol Kozieł

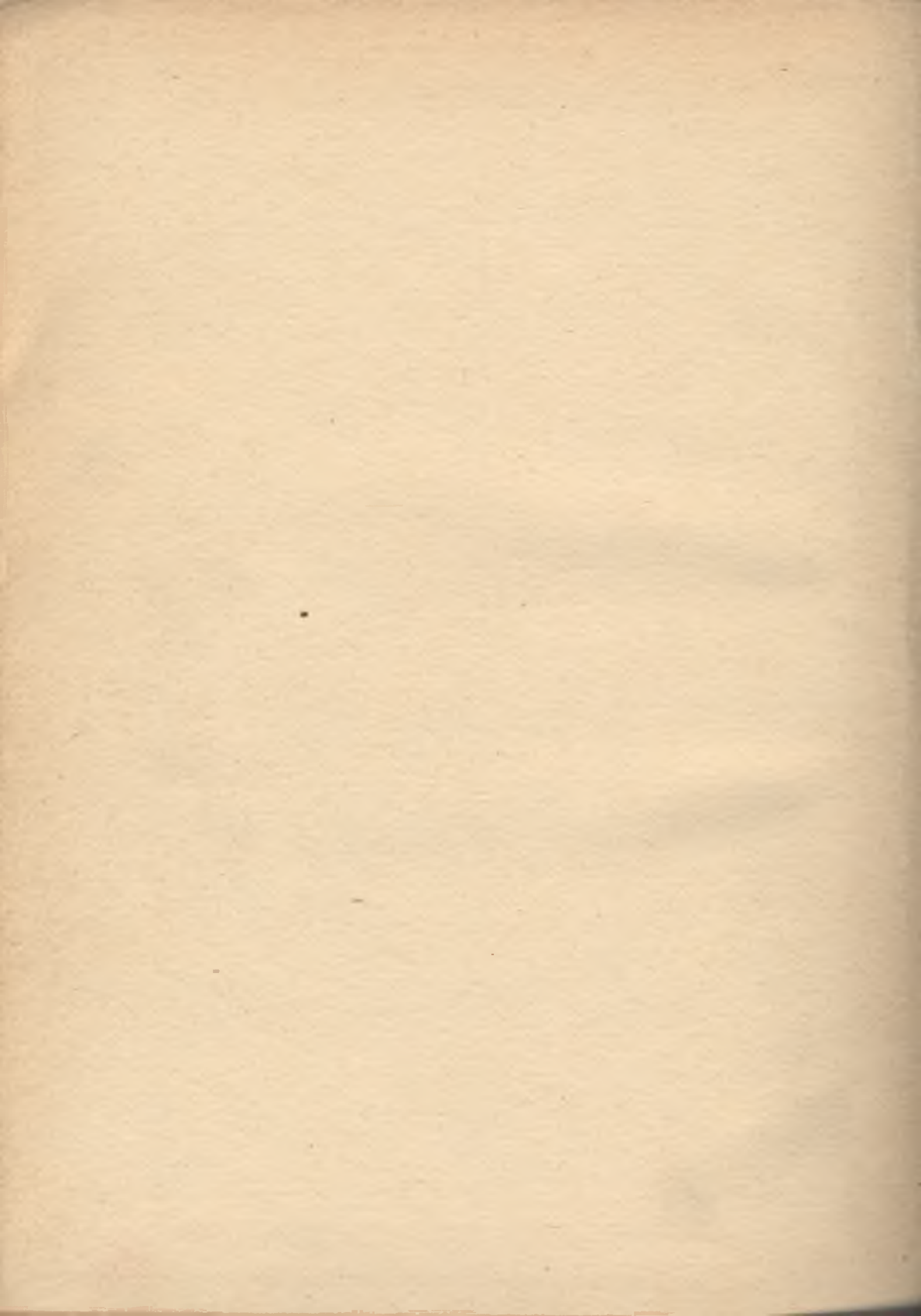
Tłoczono w drukarni „Ostravské tiskárny”, przedsiębiorstwo narodowe,
oddział 08 w Českém Tešíně, Nr 43. 246/56/SV 2

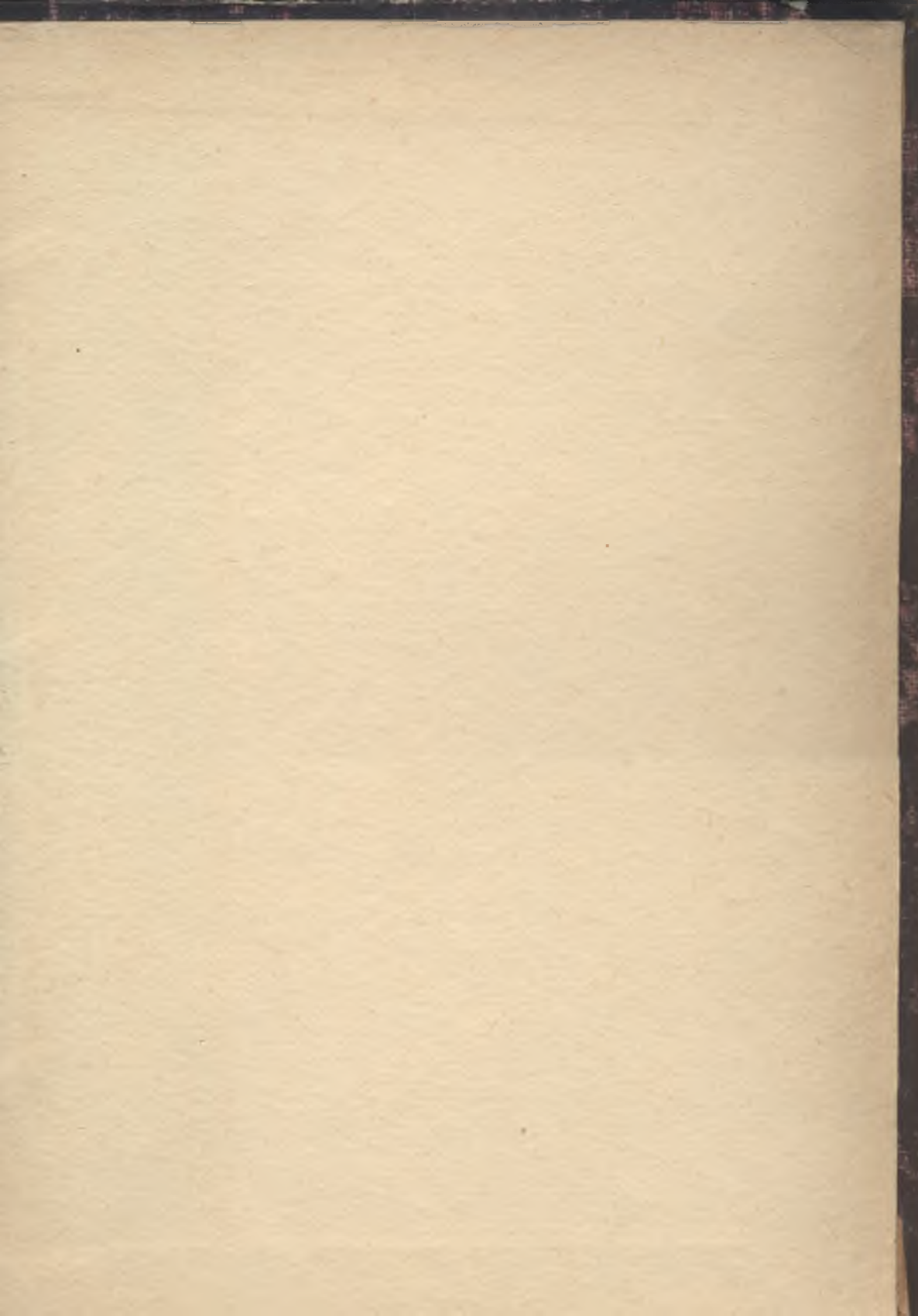
T 01023

Cena 11 Kčs

Wszelkie prawa zastrzeżone







Książnica Cieszyńska

GZ II 637/ 1957